



NIEZNAJOMI Z PARKU

TO NIE JEST
PO PROSTU
ROMANS...

JOANNA ŁUKOWSKA

RW2010

JOANNA ŁUKOWSKA
NIEZNAJOMI Z PARKU

Ufność nie jest grzechem, choć często bywamy za nią karani.

Pielęgnowanie nieufności samo w sobie jest winą i karą.

Joan Bowen

Doktor Clay MacAlister znajdował się w stanie najwyższego wzburzenia, a mówiąc krótko, był po prostu wściekły. Przenosił wzrok ze swojego brata Stevena na jego żonę Marię i nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Czy wy już do reszty zwariowaliście?! Chyba tylko to tłumaczy cel waszej wizyty! – krzyczał. – Nie mam zielonego pojęcia o wychowywaniu dzieci, szczególnie zaś małych dziewczynek. Chyba coś wam się pomyliło; jestem psychiatrą, a nie psychologiem dziecięcym. Do tego jestem nieznośny, marudny i okropnie zajęty. Nic jej nie mogę ofiarować, no, może z wyjątkiem dachu nad głową – zadrwił.

– I właśnie o to nam chodzi – szybko podjęła temat jego bratowa. Zdawała się zupełnie niezrażona niechęcią doktora. – My będziemy teraz stale w podróży, bez żadnych konkretnych planów, przenosząc się z miejsca na miejsce. To nie jest odpowiednie życie dla dziecka. Ona potrzebuje jakiejś stałości, domu, przyjaciół, szkoły...

– No tak, ale...

– Clay, proszę cię. – Steven nie pozwolił mu dokończyć. – Jesteś naszą jedyną nadzieją. Będziemy was odwiedzać tak często, jak to tylko możliwe, a Julia to takie grzeczne i niekłopotliwe dziecko. Prawda, kochanie? – zwrócił się z uśmiechem do córki. – Obiecuj mi, proszę, że będziesz grzeczną dziewczynką.

– Tak, tato. Będę – odpowiedziała cicho.

– Hmm. Może... Sam nie wiem. – Wbrew sobie MacAlister nie chciał zbyt ostrą odmową sprawić przykrości tej małej. – A po co, do diabła, w ogóle musicie wyjeżdżać?!

Steven i Maria spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

– Musimy, ale też... po prostu chcemy – odpowiedziała nie bez pewnej ironii Maria. – Steven jest zmęczony i znudzony pracą w redakcji, a ja odgrywaniem roli przykładowej pani domu i – tu z przeproszającym uśmiechem spojrzała na córkę – matki. Chcemy złapać drugi oddech, odnaleźć natchnienie i pasję. Może to zabrzmie dziwnie, ale chcemy i musimy wyjechać dla wspólnego dobra: Julii i naszego.

MacAlister z nagłym zainteresowaniem zaczął przyglądać się wzorom na dywanie. „Dziwnie? A jakże! Może to zabrzmie dziwnie, ale chcemy i musimy” –

zaczął przedrzeźniać w myślach słowa Marii. Dziwnie... Cóż za eufemizm! Nie mógł spojrzeć na żadne z nich, bo bał się, że zaczną kląć głośno i soczyć, a nie chciał tego robić przy tym już wystarczająco przestraszonym dziecku. Te ich zbolale miny, napuszone słowa i twarze pełne nadziei! Liczyli na niego. No pewnie! A kto inny dałby się wrobić w coś takiego? Komu innemu ci rodzice od siedmiu boleści mogliby podrzucić swoją córkę niczym kukułcze jajo? „Boże! Po co oni w ogóle sprawili sobie dziecko, skoro już po czterech latach są nim znużeni? I dlaczego ja mam teraz przyjmować na siebie cudze obowiązki, cudzą odpowiedzialność? Z jakiej racji mam brać na swoje barki cudze brzemię rodzicielstwa, skoro sam nigdy nie chciałem być ojcem?”.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, podszedł do stojącej pod oknem Julii i położył jej ręce na ramionach. Stał przy bratanicy, którą dopiero co poznał, jakby chciał jej bronić. Przed kim? Przed rodzicami, którzy postanowili ją opuścić nie wiedząc w jakim celu i na jak długo? Czy przed samym sobą, skoro już właściwie podjął decyzję – słuszną czy niesłuszną, ale jedyną możliwą w tej sytuacji. Był starym kawalerem z wyboru i zamiłowania. Do szczęścia w zupełności wystarczały mu praca i szklaneczka whisky od czasu do czasu, i naprawdę do niczego nie były mu potrzebne drobne, ciche dziewczynki z dużymi, poważnymi oczami. Ale zdecydował się, choć wiedział, że tego pożałuje i że nie nadaje się na ojca, nawet zastępczego. To dziecko właściwie będzie musiało wychowywać się samo, schodząc mu z drogi i tolerując jego zmienne nastroje oraz złośliwe usposobienie.

– Możliwe, że jestem trochę samotny i możliwe, powtarzam: możliwe, że przyda mi się jakaś odmiana. – Doktor postanowił się poddać, jednak nie bez walki.

– Wspaniale! Wiedzieliśmy, że to doskonały pomysł! – podchwyciła Maria i nie pozwoliła mu już dojść do słowa.

W ciągu godziny w jego holu wylądowały trzy niewielkie walizki, sprany miś, lalka i jedna mała dziewczynka. Kiedy Steven i Maria odjeżdżali, machając radośnie na pożegnanie, świeżo upieczony stryj spojrział z powagą i pewnym zmieszaniem na szczupłą twarzyczkę bratanicy.

– Od tej pory to jest twój dom – powiedział i wskazał ręką za siebie.

– Dobrze – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Michael C. Blackwell czuł się trochę niepewnie; niezupełnie dlatego, że po tygodniu spędzonym w nowej szkole nie wiedział o niej wiele więcej niż na początku swojego pobytu tutaj. To nie martwiło go prawie wcale, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że nie minie miesiąc, a dotrą razem z bratem do każdego miejsca w tej szkole, do którego można dotrzeć, i poznają każdego, kogo warto poznać. To nie nowa szkoła była źródłem prawdziwego niepokoju Mike'a. W całym swoim dziewięcioletnim życiu nigdy nie czuł się taki samotny, jak przez ten pierwszy tydzień w szkole imienia wielebnego Williama Hancocka. Prawdę mówiąc, nigdy nie czuł się samotny, bo zawsze i wszędzie towarzyszył mu brat bliźniak. Niestety pod koniec wakacji Benjamin J. Blackwell złamał nogę, mało szczęśliwie spadając z drzewa, którego jedyną zaletą była tajemnicza dziupla znajdująca się dwa i pół metra nad ziemią. Oprócz tego miało ono same wady: prosty gruby pień, który trudno było objąć, żadnych gałęzi, których można by się złapać, zupełny brak opadłych liści, które uczyniłyby bardziej miękkim lądowanie na wystających korzeniach; a do tego wszystkiego w pobliżu owego feralnego drzewa znajdował się usłużny brat, który nie dość, że namówił „starszego” bliźniaka na szukanie skarbu piratów w dębie rosnącym w samym środku rodowej posiadłości Blackwellów, to jeszcze z dużym samozaparciem go do owej pechowej dziupli podsadzał.

Dlatego oprócz samotności dręczyło Mike'a poczucie winy. Ben cierpiał bardziej od niego – też był sam, ale na dokładkę miał jeszcze nogę w gipsie. Postanawiając zemścić się za siebie i za brata na wszystkich dębach w okolicy, wycinał właśnie swoje inicjały na sędziwym drzewie, kiedy usłyszał przybliżające się głosy. Szybko schował się za pień i przywarł do niego. Nie był tchórzem i nie unikał bójek, choć preferował raczej negocjacje, ale tej nadchodzącej piątki po prostu się bał, zwłaszcza że nie było przy nim Bena. Nadchodzący chłopcy mieli od trzynastu do szesnastu lat i pochodzili z bardzo bogatych rodzin. Co prawda szkoła Hancocka była tylko dla bogaczy, ale ci...? Chyba już jako niemowlęta wiedzieli, że mają pieniądze, duże pieniądze, i uważali, że to daje im specjalne prawa oraz władzę nad tymi, którzy mają ich nieco mniej. Należeli do tych, których nie tyle warto, co trzeba poznać – aby potem skutecznie unikać.

– Ten Prayton mnie wkurza – wysyczał Ruben Giligan (Ruben syczał, a nie mówił, co na dłuższą metę było bardzo denerwujące). – Co on sobie wyobraża? Że niby kim jest? – Wściekał się, przez co syczał jeszcze bardziej. – Nie możemy pozwolić, żeby ignorował nas taki szczeniak jak on.

– Przymknij się – skwitował jego słowa zwalisty Greg Kolinsky. – Gdyby nam się narzucił albo trząsł przed nami portkami, nie byłby nawet w połowie tak interesujący, jak jest teraz. Z takimi twardzielami to jest dopiero zabawa! – wycedził ze złośliwym uśmiechem, wolno uderzając prawą pięścią w otwartą lewą dłoń i kręcąc nią na boki, jakby rozgniatał robaka.

– Nie wiem, czemu robicie wokół niego tyle szumu – modulowanym głosem powiedział William Balimore IV. – Wiem, że jego rodzina zajmuje wysoką pozycję, ale ten Prayton zachowuje się jak nieokrzesany prostak, jeszcze gorzej niż Kolinsky, choć wydaje się to prawie niemożliwe. – Spojrzał na Grega i skrzywił się z niesmakiem, równocześnie uskakując w bok, by uniknąć zamaszystej sójki.

– W gruncie rzeczy trudno mu się dziwić – stwierdził Simon de Vini z ledwie zauważalnym francuskim akcentem. Za to nie można było nie zauważyć jego wysokiej, patykowatej sylwetki i długich włosów gładko zaczesanych do tyłu. – Jego ojciec zmarł zaledwie miesiąc temu i niełatwo mu o tym zapomnieć, tym bardziej że na każdym kroku mu się przypomina, jak wiele go czeka pracy, ile wysiłku będzie go kosztować okazanie się godnym swego ojca, i tak dalej, tym podobne gadki.

– Bzdury! – prychnął nordycki w każdym calu, poczynając od jasnych włosów, niebieskich oczu i dumnego profilu, a kończąc na sztywnej, wręcz wojskowej postawie i czubkach wypolerowanych na wysoki połysk butów, Herman von Stick. – Mój wuj twierdzi, że kiedyś prowadzić interesy ze starym Praytonem to było wyzwanie i przyjemność. Ale od kiedy poznał, a potem co gorsza ożenił się z tą... tą Hiszpanką...

– Pamelą Diaz – usłużnie podsunął mu William, obeznany jak nikt w temacie Who is Who. Jego okulary w drucianej oprawce, które akurat zdjął z długiego nosa i z namaszczeniem zaczął przecierać irchą, przywodziły na myśl monokl dziewiętnastowiecznego angielskiego arystokraty.

– No właśnie. Nie dość, że Hiszpanka, to jeszcze trzydzieści lat od niego młodsza... – Wyczuwało się wyraźny niesmak w twardym głosie Hermana. – Wuj mówił, że z zażenowaniem przyglądał się, jak mężczyzna pokroju Johna Praytona, stary wyga biznesu, który w interesach był jak żołnierskie buty: twardy i nie do zdarcia, zamieniał się powoli w żalosego starca, którego jedynym zajęciem stało się zabawianie i pilnowanie swojej młodej żony.

– Przecież o to mi chodziło – wtrącił Simon. – Każdy mógłby się wściec,

gdyby kazano mu naśladować kogoś, kto okazał się zwykłym mięczakiem. Kenneth nie jest idiotą, na pewno doskonale wiedział, co się dzieje w jego własnym domu. W końcu wylądował tutaj w kilka dni po pogrzebie, a...

– ...a jego matka po kilkudniowej żałobie i pozbyciu się nastoletniego syna, który z pewnością nie ujmował jej lat, wyjechała z kochankiem do Las Vegas, żeby przepuszczać to, co dostała po kochanym mężu – wyręczył Simona pogardliwym sykiem Ruben.

– Zero dyskrecji, zero strategii, zero klasy; przepuści wszystko w szybkim tempie i z wielkim hukiem, a adwokaci młodego Praytona nie dopuszczą jej na kilometr do majątku syna, za jego zresztą zgodą i błogosławieństwem – podsumował William.

Mike był zaszokowany tym, co usłyszał. Skąd oni brali te wszystkie przerażające informacje? Naprawdę zaczynał wierzyć, że grupa Jeffersona wie i może wszystko. Doskonale wiedział, o kim mówili. Trudno byłoby nie zauważyć Kennetha Praytona – mrukliwego, ponurego chłopca, który każdą rozmowę kończył wzruszeniem ramion, a na bardziej dociekliwe pytania odpowiadał upartym milczeniem. Nigdy się nie uśmiechał. Był agresywny i nieprzystępny, zbuntowany i... samotny. Samotny? Tak. Nagle Mike, czy to pod wpływem jakiejś niezwyklej intuicji, czy też własnej, świeżo doświadczonej samotności zrozumiał, iż młody Prayton jest najbardziej samotną osobą, jaką kiedykolwiek poznał w swoim życiu.

Jego rozmyślania przerwał głos najstarszego i najwyższego chłopca, Samuela Jeffersona. Mike wstrzymał oddech i zastygł w bezruchu – Sam był przecież przywódcą całej grupy.

– Teraz już chyba wiecie, czemu tak nas interesuje Prayton – stwierdził beznamiętnie Sam. – Przeszedł twardą szkołę i się nie załamał. Aż dziw bierze, bo to w końcu taki smarkacz. Jedenaście lat, kto by pomyślał... – Zmarszczył brwi, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. – Za parę lat mógłby się stać naprawdę groźny. Dlatego musimy go trochę okiełznać, a wtedy będzie dla nas cennym nabytkiem.

– A jak nie? – mruknął nieco złowieszczo Kolinsky.

– To pożałuje, że się w ogóle urodził. Łamaliśmy nie takich jak on – z absolutną pewnością zakończył rozmowę Jefferson, chłopiec, o którego ojcu

mówiono, że jest bogaty jak Krezus i bezlitosny jak przywódca Hunów, Attyla.

Mike poczekał, aż trochę odejdą, i pobiegł w przeciwną stronę. Chciał ostrzec Praytona, choć wiedział, że i tak nie na wiele się to zda. Wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji Kennetha z tą piątką i mógł mieć tylko nadzieję, że Prayton okaże się silniejszy, niż ktokolwiek przypuszczał.

ROZDZIAŁ 1

Dom stryja Claya trzeszczał. Trzeszczał na mróz, na wiatr, na deszcz albo też zupełnie bez powodu. To było zdecydowanie przyjazne trzeszczenie – w każdym razie Julia za takie je uważała. Dobrze pamiętała, gdy po raz pierwszy – i jak się później okazało ostatni – wsunęła się w nocy do gabinetu stryja, ciągnąc za sobą jasiek i wysłużonego misia z wytartym futerkiem i uchem przyszytym czerwonym kordonkiem, bo tylko taki udało jej się znaleźć. Wyglądało na to, że przed snem doktor postanowił trochę poczytać, racząc się przy okazji lampką koniaku. Julia była nieduża, weszła cichutko i stanęła w cieniu, nic więc dziwnego, że mężczyzna jej nie zauważył.

– Stryjku... – wyszeptała. MacAlister nawet nie drgnął.

– Stryjku! – pisnęła nieco głośniejsze, a kiedy uniósł głowę i marszcząc brwi, spojrzał na nią z niepokojem, puściła się biegiem, upuszczając poduszkę, by tym mocniej przycisnąć misia, i szybko wdrapała mu się na kolana. Nieco przestraszony, doktor szybko odłożył książkę i odstawił kieliszek.

– Hej, maleńka! Co się stało? Nie możesz zasnąć? – Usadowił ją wygodniej, przycisnął do siebie i delikatnie pogłaskał po głowie. „Do diabła! – pomyślał. – Wiedziałem, że tak będzie. Jest ze mną już tydzień, a jeszcze nie zapytała o rodziców. To oczywiste, że za nimi tęskni. Zacznie mnie teraz pytać, gdzie są, kiedy wrócą... Boże! Co ja jej powiem?!”. Było jasne, że powszechnie znany i szanowany profesor psychiatrii Clay MacAlister gdyby tylko mógł, po prostu zastrzeliłby swojego brata Stevena i jego znudzoną żonę za ten ich egoizm wielki niczym Himalaje.

Chociaż w środku aż się gotował ze złości i niepokoju, do bratanicy zwrócił się najczulej jak potrafił.

– Kochanie, jeżeli będziesz mi tak mrużyć w koszulę, to tylko ona się dowie, co cię gnębi. Podnieś swoją śliczną główkę, o, właśnie tak, i powiedz staremu stryjкови, co się stało.

„Przynajmniej nie płacze” – pomyślał z ulgą.

Julia odetchnęła głęboko, jakby podejmowała bardzo trudną decyzję i spojrzała na niego z powagą malującą się w zielonych oczach.

– Stryjku Clayu – zaczęła. – Wiesz, że obiecałam nie sprawiać ci kłopotu, ale mam duży problem. Naprawdę – zapewniła go gorąco. – Nie oszukuję. I dlatego właśnie musiałam przyjść do ciebie. W nocy – dodała, żeby już wszystko było jasne.

– Oczywiście, Julio, wierzę ci. – MacAlister przybrał taki sam poważny ton jak dziewczynka. Pojął, że nie przyszła do niego, by się nad nią roztkliwiać, ale by jej wysłuchał i spróbował zrozumieć. – A ty wiesz dobrze, że możesz na mnie liczyć o każdej porze dnia i nocy. Jesteśmy rodziną. I przyjaciółmi – dodał, żeby już wszystko było jasne.

Julia uśmiechnęła się leciutko i w wyraźny sposób się odprężyła.

– Boimy się – wyznała, a MacAlister, czując nagłą suchość w gardle, sięgnął po kieliszek. – To znaczy ja i Misiak – wyjaśniła. – Leżeliśmy sobie w naszym nowym łóżku, w naszym nowym pokoju i już mieliśmy zasnąć, kiedy te wszystkie potwory przyszły nas odwiedzić. – Doktor zakrztusił się koniakiem i gwałtownie zakaszłał.

„A więc to tylko potwory ją martwią. – Poczł taką ulgę, jakby ktoś zdjął mu z ramion stukilogramowy ciężar. – Z potworami poradzę sobie jedną ręką, gorzej by było z nieodpowiedzialnymi rodzicami” – pomyślał, łapiąc wreszcie oddech.

Julia, której przerwał kaszel stryja, kontynuowała.

– Tak właściwie to my się nie boimy, no... może troszeczkę – przyznała z namysłem. – Ale to tylko dlatego, że ich nie znamy. To są zupełnie nowe potwory i one też nas nie znają. Więc przyszły nas poznać i strasznie chroboczą i trzeszczą, a my chcemy spać i w tym hałasie zupełnie nie możemy. Dlatego, stryjku – spojrzała na niego błagalnie – bardzo cię prosimy: chodź z nami i powiedz tym potworom, żeby przyszły jutro rano, a ty nas sobie wtedy przedstawisz i już nie będą musiały przychodzić do nas w nocy, bo w nocy się śpi, a nie straszy – skończyła i patrzyła na niego wyczekująco.

MacAlister z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu. Gdzieś w połowie tych wyjaśnień zupełnie się pogubił i nie wiedział już, kto kogo nie poznał, kto kogo straszy i dlaczego. Jednak rozumiał, że dla Julii jest to poważny problem i nie wolno mu go zlekceważyć.

– Posłuchaj mnie, maleńka. Strachów nie ma – stwierdził stanowczo.

– Mama też tak mówiła... – odpowiedziała zrezygnowanym tonem, a jej wiara w możliwości stryja wyraźnie osłabła.

– Nie powiedziałem, że w ogóle nie ma potworów. – Mężczyzna objął czułym spojrzeniem drobną figurkę skuloną na swoich kolanach i odgarnął kosmyk jasnych włosów z zafrasowanego czoła dziecka. – Miałem na myśli, że nie ma ich w tym domu.

Dziewczynka drgnęła, ale nadal popatrywała na niego z niedowierzaniem.

– To co tak trzeszczy? – zapytała niepewnie.

– Sama zobaczysz, a raczej usłyszysz – odpowiedział tajemniczo. – Zaniosę cię do sypialni, a ty zamknij oczy i słuchaj. – Wstał ostrożnie z fotela i trzymając Julię na rękach, skierował się do drzwi, podnosząc po drodze jasiek.

– Zamknij oczy, Misiu. Jak ty zamkniesz, to ja też – doleciał do niego stłumiony szept.

– Jesteś gotowa? – Dziewczynka tylko kiwnęła głową. – No to idziemy.

Na początku Julia tak mocno zaciskała powieki, że na niczym innym nie mogła się skupić, ale stopniowo rozluźniała się – w ramionach stryja było jej ciepło i czuła się bezpiecznie. Usłyszała skrzypnięcie, a potem cichy szelest. „To drzwi przesuwają się po dywanie w gabinecie stryjka” – pomyślała. Potem, kiedy krokom mężczyzny towarzyszyły rytmiczne trzaski, dziewczynka domyśliła się, że to drewniana podłoga w przedpokoju. Poznała też, gdy mijali odnogę korytarza prowadzącą do kuchni – poczuła smakowity zapach świeżo upieczonych ciastek i usłyszała zrzęczenie gospodyni Anny, wyrzekającej na kota, który znów dobrał się do stojącej na oknie śmietanki. Najgłośniejsze jednak były schody: skrzypiały, trzeszczały, dudniły – każdy stopień wydawał inny dźwięk. Na koniec usłyszała jeszcze zgrzyt zacinającego się zawiasu przy drzwiach jej sypialni i jęk sprężyn, gdy stryj położył ją na łóżku.

– Słuchałaś? – zapytał MacAlister, otulając Julię kołdrą.

– Tak – odpowiedziała cichutko, nadal wsłuchując się w pełną odgłosów ciszę dookoła.

– To stary dom – mówił doktor jakby do siebie. – W tych drewnianych schodach i podłogach, w wysokich oknach i drzwiach z kolorowymi szybami jest coś... może dusza. Ale to przyjazna dusza – ciepła, przestronna, wygodna i gadatliwa. Bo to dom do ciebie mówi, a najlepiej rozmawia się z nim właśnie nocą. Te wszystkie trzaski, zgrzyty, jęki i zawodzenia to pozdrowienie, jakie przesyła ci mój, a teraz także twój dom.

Od tej pory Julia często słuchała trzeszczącej kołysanki starego domu, która uspokajała ją i odpędzała koszmary. A kiedy skończyła dziesięć lat, tylko skrzypiący głos starego domu potrafił przegonić z jej snów obraz rozpędzonego samochodu mknącego ku przepaści, w której zginęli jej rodzice.

Julia otrząsnęła się ze wspomnień i spojrzała na stryja, który był właśnie w trakcie swojej cotygodniowej pogadanki pod tytułem: „Julio, co ty robisz ze swoim życiem?”. Niewiele się zmienił przez te dwadzieścia lat, odkąd z nim zamieszkała. Włosy mu się przerzedziły i posiwiały, brzuch zaokrąglił, a on sam trochę jakby zmalął, ale nadal był tym samym zrzędlwym, nieznośnym stryjaszkiem, którego pokochała.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! – powiedział ze złością i wymierzył w nią oskarżycielsko palec.

– Nie. W ogóle – odpowiedziała, a jej zazwyczaj poważną twarz rozjaśnił uśmiech. – Ale i tak wiem, co masz mi do powiedzenia.

– Doprawdy? To ciekawe, skoro mnie nigdy nie słuchasz. Zwyczajnie mnie lekceważysz. To, to...! – zaperzył się.

– Stryju – przerwała mu Julia i pokręciła głową z ubolewaniem. – Od kiedy się wyprowadziłam, przychodzę do ciebie co niedziela i co niedziela jemy razem obiad, podczas którego wysłuchuję tradycyjnego kazania na ten sam temat. – Julia podniosła zamkniętą dłoń i zaczęła wyliczać, po kolei odginając palce. – Po pierwsze, że latka lecą, a ja nie staję się coraz młodsza; po drugie, że to już najwyższy czas, abym wreszcie znalazła jakiegoś kawalera, który się ze mną ożeni i da mi gromadkę dzieci; a po trzecie – najważniejsze – że nigdy nikt mnie nie zechce, jeżeli będę taka nudna, nadęta, sztywna i nieciekawa. Czy to już wszystko? Chyba o niczym nie zapomniałam? – zapytała Julia z nutą zniecierpliwienia

w głosie.

– A więc jednak czasem słuchasz, co do ciebie mówię – stwierdził MacAlister z pewnym zmieszaniem, które jednak szybko przerodziło się w rozdrażnienie. – Ale nigdy nie mówiłem, moja panno, że jesteś nudna, nadęta czy nieciekawa! To są wierutne bzdury, które sama sobie wmawiasz, by móc ze spokojnym sumieniem użalać się nad sobą, kiedy w nie wreszcie uwierzysz. Bzdury! Zwyczajne brednie! Ot co! – wyskandował i manifestacyjnie otarł usta serwetką, jakby tym gestem chciał uciąć wszelkie dalsze dyskusje. – Przez ciebie straciłem apetyt. – Odsunął talerz i wyciągnął w jej stronę pusty kieliszek. – I muszę się napić, żeby w ogóle przełknąć te wszystkie absurdalne oskarżenia, którymi mnie częstujesz.

Patrząc, jak spokojnie i bez słowa Julia wstała i nalała mu po same brzegi jego ulubionego Rieslinga, wiedział, że nie dała się nabrać na ten wyreżyserowany wybuch. Poznał to po jej minie – lekko skrzywionym uśmiechu, który na upartego można by nazwać ironicznym i oczywistym powątpiewaniem, które zastąpiło niekłamanie zdumienie, jakie na początku pojawiło się w jej spojrzeniu. Kiedy już usiadła na swoim miejscu i ciągle milcząc, zaczęła bezmyślnie gonić widelcem ziarnko zielonego groszku po całym talerzu, poddał się.

– No, dobrze! Przyznaję – uniósł do góry ręce na znak poddania – być może powiedziałem kiedyś, że jak na swój wiek jesteś zbyt poważna, zbyt... – zająknął się.

– ...zbyt sztywna – podsunęła niewinnie Julia, korzystając z okazji.

– A tak! Właśnie tak! Żebyś wiedziała! Masz dwadzieścia cztery lata, a zachowujesz się jak stara panna i ubierasz niczym mniszka. Nawet święty by z tobą nie wytrzymał! – Stryj zdenerwował się nie na żarty. – Nigdzie nie wychodzisz, z nikim się nie spotykasz. Jesteś młoda, ładna, a wieje od ciebie chłodem jak od jakiejś góry lodowej. Największym komplementem, jakim może obdarzyć cię mężczyzna, to stwierdzenie, że jesteś miła albo uprzejma. Ale nienaganne maniery i zdawkowy uśmiech to nie wszystko. Gdzie w twoim życiu miejsce na zabawę, flirty, randki, na coś innego prócz książek i pracy? – Przerwał, by wstać i zaczerpnąć oddechu.

– Mówisz zupełnie jak Sunny – mruknęła Julia pod nosem i rzuciła stryjowi ukradkowe spojrzenie spod rzęs, mając nadzieję, że już skończył.

– Przynajmniej raz ta twoja zwariowana przyjaciółka powiedziała coś mądrego – prychnął i zaczął nerwowo chodzić po jadalni; zawsze w ten sposób rozładowywał emocje. – Nie rozumiem! Zupełnie cię nie rozumiem! – krzyczał, wymachując rękami. – Przecież najlepsze, co może spotkać kobietę, to mąż i tuzin dzieciaków. A ty? Co ty robisz w tym celu? Zamykasz się w domu z takim starcem jak ja i ze stosem książek albo gnasz do tej swojej galerii, z której nawet nosa nie wytkniesz na prawdziwy świat. Czy twoja przyjaciółka nie może ci pomóc dorosnąć, skoro ja w tej kwestii zawiodłem? O co tu chodzi? Czy chcesz na stare lata zostać taką nieznośną zrzędą jak ja?

– No właśnie, stryju! – zaatakowała Julia, mając już dość zarówno pytań, jak i staroświeckich poglądów stryja. – A ty?! Czemu ty nigdy się nie ożeniłeś, nie założyłeś rodziny, czemu wybrałeś samotność?

– Nie jestem samotny – obruszył się mężczyzna. – Mam ciebie.

– A ja ciebie – odparowała Julia. – Wiesz, że nie o to chodzi. Zarzucasz mi, że się z nikim nie związałam, tak jakby kandydata do ręki można było znaleźć na ulicy, a sam co? – wytknęła mu dziewczyna.

– Z mężczyznami jest inaczej – stwierdził i westchnął ciężko, nie mogąc uwierzyć, że musi wyjaśniać rzeczy tak oczywiste. – To kobiety od zarania dziejów gotowe były zrobić wszystko, żeby wyjść za mąż: kusiły, nęciły, uwodziły i usidlały delikwenta, który wpadł im w oko. Mężczyzna ma głowę zajętą czymś innym: polityką, zdobywaniem majątku, zaspokajaniem ambicji, wojaczką czy też seksem. – W tym miejscu MacAlister znacząco chrząknął, ale kontynuował dalej suchym, akademickim tonem, jakby prowadził wykład: – Dopiero odpowiednia kobieta może go skłonić do małżeństwa, przekonać, że rodzina jest właśnie tym, czego najbardziej potrzebuje. I tak, zanim facet się obejrzy, jest usidlony i zaobrączkowany.

Kiedy Julia pozwoliła sobie na ironiczne: „Co ty powiesz?”, spojrzął na nią jak na wyjątkowo tępego studenta i wyznał grobowym głosem:

– A wracając do mnie, to widocznie żadnej kobiecie nie wpadłem na tyle głęboko w oko, żeby chciała się trudzić zdobywaniem mnie. To wszystko – zakończył z udawanym żalem.

Julia słuchała tego przemówienia z mieszanymi uczuciami, ale w końcu nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Mój ty biedaku – powiedziała, podchodząc do stryja. – Nie poznały się na tobie. – Pokiwała głową ze współczuciem i przytuliła się do niego. – Musisz im wybaczyć, nie wiedziały, co tracą. – Oparła czoło o jego pierś i już otwarcie chichotała w jasne płótno wykrochmalonej koszuli. – Biedny stryjaszek!

– No, już dobrze, dobrze. Przestań się ze mnie nabijać. – MacAlister odsunął się od niej ostentacyjnie. – Jestem starym człowiekiem, a do tego twoim stryjem, więc powinnaś okazywać mi większy szacunek. Porozmawiajmy lepiej o twojej wizycie u lekarza. Byłaś? – zapytał tonem towarzyskiej pogawędki.

– Tak – odparła krótko. Powinna się już właściwie przyzwycząić do tych psychologicznych sztuczek stosowanych przez stryja: nagłych zwrotów w rozmowie i rozprawiania z zupełną otwartością o sprawach powszechnie uznawanych za tematy tabu. Już jako pięciolatka dawno nie wierzyła w bociany i doskonale zdawała sobie sprawę z różnic w budowie kobiety i mężczyzny. Mając dziesięć lat, była najlepiej uświadomionym dzieckiem w szkole, a jako piętnastolatka wiedziała stanowczo za dużo o chorobach wenerycznych, AIDS i najróżniejszych zбочzeniach seksualnych. Ale nawet ona czuła się trochę nieswojo, rozprawiając z własnym stryjem o swoich wizytach u ginekologa.

– No i co powiedział? Jak wypadły twoje badania? Wyniki są w porządku, czy to jednak coś poważniejszego? – zasypał ją gradem niespokojnych pytań. – No co, zamurowało cię?! Czemu nic nie mówisz?

Julia zdała sobie sprawę, że nie pora na fałszywą skromność, zresztą MacAlister też był w końcu lekarzem.

– Ogólnie rzecz biorąc, wszystko jest w porządku – uspokoiła stryja.

– Ogólnie?! A w szczegółach? Nie możesz być bardziej konkretna? – Doktor nie wygładał na specjalnie uspokojonego.

– Cytologia jest w porządku, a to najważniejsze, ale mam jakieś drobne cysty, guzy czy coś takiego. To nic groźnego, ale muszę, najlepiej co trzy miesiące, robić nowe badanie, żeby sprawdzać, czy nic się nie zmienia. Zapisał mi też pigułki na uregulowanie miesiączki i umówił się ze mną na kolejną wizytę – wyrecytowała jednym tchem.

– To świetnie. Czy jeszcze coś? – zapytał, widząc wahanie na twarzy Julii.

– Poza tym stwierdził... – urwała, spoglądając niepewnie na stryja. Ale skoro powiedziała już tyle, może powiedzieć i to. – Stwierdził, że w moim wieku na takie problemy najlepsza jest... najlepsza jest ciąża.

– Co?! – Naprawdę udało jej się zaskoczyć stryja. – A niech go! – krzyknął. – Lubię tego faceta! A to dobre! Ciąża! – Cieszył się jak dziecko. – Chodź, niech cię uścisnę! – Znowu znalazła się w jego objęciach. – Widzisz, nawet twoje ciało się buntuje – szepnął jej do ucha. – Czego ty się tak naprawdę boisz, Julio?

Pytanie padło tak niespodziewanie, że dziewczyna gwałtownie zeszywniała. Myślała, że stryj już skończył na dzisiaj z poważnymi rozmowami. Próbowwała się odsunąć, ale MacAlister jej na to nie pozwolił – mocniej złapał ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy. Już nie żartował, był wyraźnie zmartwiony.

– Czego się boisz? – powtórzył. – Jakie potwory straszą cię teraz, kiedy nie jesteś już małą dziewczynką? Co chowa się pod twoim łóżkiem i nie pozwala zasnąć? – dociekał łagodnie, ale Julia zamknęła oczy i odwróciła głowę. Bała się, że stryj wyczyta z jej twarzy odpowiedź, której sama nie знаła, a może raczej nie chciała poznać. Delikatnie uwolniła się z jego objęć i podeszła do okna. Musiała się uspokoić. Mężczyzna za jej plecami podjął przerwana wędrówkę wokół stołu. Wiedziała, że odezwał się w nim psychiatra. Był teraz jak pies myśliwski, który złapał trop i nie ma zamiaru z niego zrezygnować. Zaciśnęła palce na parapecie i prawie nie mrugając powiekami, patrzyła na park. Był stary, cichy i taki piękny, tą spokojną, ciepłotą urodą wczesnej jesieni.

– To moja wina – dotarł do niej głos z bardzo daleka. – Wiedziałem, że nie nadaję się na ojca. To przeze mnie jesteś taka zamknięta w sobie, poważna... – Czemu ten głos był taki smutny?

– Nie, to nie twoja wina – przerwał mu inny, młodszy głos, który także dobiegał z daleka. – Może ja po prostu taka już jestem. Nie szukajmy na siłę przyczyn. – Młody głos umilkł. Po drugiej stronie ulicy przykucnął zapomniany plac zabaw, na którym dawno temu bawiły się dzieci podobne do dziewczynki, jaką kiedyś była. Kolorowe liście przysypały piaskownicę i usiadły na opuszczonych huśtawkach.

– Nie, nie! Musiałem popełnić jakiś błąd, że aż tak odgradziłaś się od innych. Nie rozumiem... Dlaczego? A powiedz mi, co to było z tym młodym Trevorem? – Uparty odległy głos nie dawał jej spokoju. Dręczył, zagrażał i zbliżał

się nieuchronnie do granicy, której ona sama nie przekraczała. Nigdy. Prawie nigdy... Tylko dwa razy odważyła się przejść na drugą stronę tej cienkiej ostrzegawczej linii, która tkwiła ukryta głęboko w niej, i potem gorzko tego żałowała. Tam – po drugiej stronie – była ufna, szczerza, otwarta na świat i... na ból, który ten świat ze sobą przynosił. Za barierą wyniosłości, uprzejmego chłodu i ostrożności czuła się bezpieczna, może trochę samotna, ale bezpieczna.

MacAlister zwolnił kroku, w końcu przystanął. Przyglądał się Julii spod zmrużonych powiek i powolnymi okrężnymi ruchami masował pulsujące skronie. Dziewczyna czuła na sobie jego skupiony wzrok i po plecach przebiegł jej nieprzyjemny dreszcz. Nagły powiew wiatru rzucił w twarz ukrytą za szybą garść uschniętych liści. Julia drgnęła i odruchowo zamknęła oczy. Obróciła się niechętnie, choć nadal trzymała się kurczowo parapetu.

– Stryju, proszę cię, daj spokój! Nie jestem twoją pacjentką i mam nadzieję, że nigdy nią nie zostanę, więc daruj sobie. Nie chcę, żebyś rozkładał mnie tu na czynniki pierwsze, żebyś pytał, dociekał, szukał odpowiedzi! – zażądała ostrzej, niż zamierzała, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Wytłumacz mi, bo ja sam nigdy tego nie zrozumieję, co się wydarzyło między tobą a Trevorem? Byliście dla siebie stworzeni. Oboje smukli, jasnowłosi, delikatni: jak książkę i księżniczka z bajki. Jego jednego nie zraziła twoja poza, wpatrywał się w ciebie jak w obraz, gotów spełnić każde życzenie.

Julia zacisnęła usta, obiecując sobie, że nie powie już ani słowa, ale nie wytrzymała.

– Przestań, słyszysz, przestań, mam tego dosyć! – wyrzuciła z siebie. Niestety doktor zachowywał się, jakby nagle ogłuchł.

– Bajka? – Westchnął. – Ale bez szczęśliwego końca. Pamiętam, jak przybiegł tu do mnie. Kiedy go zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wyglądał jak zbity pies. Coś ty mu takiego zrobiła? – Pokręcił głową w zdumieniu.

– Co ja mu zrobiłam?! – wycedziła, pochylając całe ciało do przodu i lekko unosząc zaciśnięte pięści. Nigdy nie była taka wściekła; miała ochotę krzyknąć, kopać i gryźć. Równocześnie zrozumiała, że tylko dwie osoby na świecie mogły ją doprowadzić do takiej złości: stryj i Sunny; dwie najbliższe jej osoby, którym naprawdę na niej zależało i z tego właśnie powodu wtrącali się bezceremonialnie

w jej życie. Nieproszeni pouczali, komenderowali i radzili. Jednak w tej chwili nie była w stanie docenić takich starań.

– Tak, co mu zrobiłaś? – MacAlister powtórzył pytanie i cofnął się bezwiednie; dopiero teraz zauważył, że Julia nie żartuje i naprawdę jest zła. Nie miał jednak zamiaru przerywać, póki wreszcie nie wyrzuci z siebie tego, co od tak dawna nie dawało mu spokoju. – Trevor prawie płakał. Jąkał się, bełkotał, przepraszał nie wiadomo za co. Mówił, że źle go zrozumiałaś i nie dałaś szansy się wytłumaczyć. Prosił, żebym się za nim wstawił, ale ty wtedy na sam dźwięk jego imienia wychodziłaś z pokoju. Nigdy nie pojmę, jak mogłaś przepuścić taką okazję. Przystojny, zdolny, a jaki ambitny... – Słyszac to, Julia aż sapnęła. – I wcale nie mówię tego tylko dlatego, że był moim asystentem. W porządku, przyznaję, może przesadziłem nieco z tymi jego zdolnościami. Trevor istotnie nie miał zbyt lotnego umysłu. Ponadto, nie ukrywajmy, był nudziarzem o ciężkim dowcipie, a czasami wyłaził z niego zwyczajny gamoń, niemniej Trevor był również jedynym jak dotąd poważnie tobą zainteresowanym mężczyzną. Nie patrz tak na mnie, moja droga. Gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie już bym tu leżał martwy, ale fakt pozostaje faktem: wystraszyłaś go. Ty straciłaś kawalera, a ja nieźle zapowiadającego się asystenta. Dlatego nie dziw się, proszę, że chcę się wreszcie dowiedzieć, co takiego mu powiedziałaś, co zrobiłaś, że...

– Co ja mu zrobiłam?! – Julia, która nie lubiła podnosić głosu, tym razem niemal wrzasnęła. – A nie pomyślałaś, że to on mi coś zrobił? Nie mów o sprawach, o których nie masz zielonego pojęcia! Powtarzam po raz ostatni: nie życzę sobie, byś kiedykolwiek przy mnie wspominał o tym człowieku. Powiem ci tylko jedno i musi ci to wystarczyć. Twój wspaniały asystent Trevor Smith okazał się wstrętnym człowieczkiem, równie banalnym i pospolitym jak jego nazwisko, który dla kariery gotów był zrobić wszystko. Na nieszczęście dla niego, a na szczęście dla mnie robił to bardzo nieudolnie. – Julia dyszała ciężko jak po długim biegu.

– No, no, moja droga. Kto by pomyślał, że masz w sobie tyle ikry? – MacAlister zaśmiał się z zadowoleniem. – A więc nie wszystko stracone. Masz pazurki, tylko nie lubisz ich pokazywać. – Był tak zachwycony tym przejawem nieujawnianego do tej pory temperamentu bratanicy, że zupełnie zapomniał, co wywołało ów wybuch. – Mimo wszystko, Julio, nie ma powodu aż tak się unosić. Chciałem cię tylko lepiej zrozumieć. Poza tym może jednak niewłaściwie oceniłaś Trevora. Pracowałem z nim i chyba wiem najlepiej, jakim człowiekiem...

Julia poczuła się jak balon, z którego uszło całe powietrze. Obrzuciła stryja

zrezygnowanym spojrzeniem, zdjęła torebkę z oparcia krzesła i nie mówiąc ani słowa, wyszła, pozwalając sobie tylko na mało delikatne zamknięcie drzwi.

MacAlister wstrzymywał oddech, dopóki nie usłyszał pełnego żalu trzaśnięcia drzwi wyjściowych. Wolno wypuścił powietrze i usiadł w fotelu – ostrożnie, jakby z obawą, że się pod nim rozpadnie.

– Jestem starym głupcem – mruknął w przestrzeń starego domu. – To mną powinna trzasnąć, a nie twoimi drzwiami. Już dobrze, dobrze, przestań mi trzeszczeć nad głową. Przykro mi, że musisz cierpieć za moje grzechy. Chociaż mnie też się dostało; Julia naprawdę się wściekła. No cóż, gdy ktoś wtyka nos w nie swoje sprawy, niech się nie dziwi, że mu go przytną. A ty przestań jęczeć, bo uszczelnię ci wszystkie okna! Ja też się o nią martwię i dlatego to wszystko robię. Nie przejmuj się, przejdzie jej. A jak się uspokoi, to napuścimy na nią Sunny. Trzeba wreszcie wyrwać Julię z tego odrętwienia, z tego dobrowolnego aresztu domowego. W końcu wiem, co jest dla niej najlepsze – to, co dla każdej kobiety – mąż i dzieci. Jak nikt inny jest warta miłości, a i sama ma tyle do zaoferowania. Gdyby tylko zdobyła się na odwagę...

„Boże, gdzie ja jestem? Jak się stąd wydostać? – Prayton z niedowierzaniem przyglądał się starym domom stojącym wzdłuż ulicy, którą jechał. Miał wrażenie, że nagle przeniósł się wraz ze swoim szarym mercedesem prosto w dziewiętnasty wiek. – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nagle zza rogu wyłonił się dżentelmen w cylindrze i z laseczką”.

Ale na jego nieszczęście w pobliżu nie było nikogo – nawet zjawy z przeszłości, która mogłaby mu wskazać drogę. Trafił tu przez przypadek, a teraz jechał powoli, uważnie rozglądając się dookoła i próbując znaleźć wyjście z labiryntu wąskich brukowanych uliczek. „To wszystko przez Melissę!” – pomyślał i poczuł, jak rozdrażnienie, które już prawie zniknęło, zanim znalazł się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku, powraca ze zdwojoną siłą. Czemu kobiety muszą być takie zachłanne? Dasz im palec, to wezmą całą rękę, a Melissa nie okazała się lepsza od innych. Zaczęły się pytania, aluzje, żądania, w końcu lzy... Uśmiechnął się ponuro na wspomnienie jej miny, kiedy w trakcie kolejnego wywodu pełnego pretensji po prostu wystawił ją za drzwi samochodu i odjechał, nie patrząc, dokąd jedzie – byle dalej, byle szybciej. Ale w ten sposób znalazł się tutaj. Co prawda uwolnił się od Melissy, przynajmniej na jakiś czas, ale sam utkwiał w miejscu, gdzie było coś tak niesamowitego jak bruk na ulicy! Rozejrzył się

i potrząsnął głową w zamyśleniu. Miejsce to miało jednak jakiś niezaprzeczalny urok. Wszystko tu wydawało się stare, a raczej starodawne, jakby nie z tej epoki. Domy wyglądały na nieco podniszczone, ale wciąż były dobrze utrzymane i otoczone zadbanymi ogródkami. Chodniki zaś były prawie tak szerokie jak jezdnie – nawet jemu wydało się oczywiste, że ludzie tutaj przede wszystkim spacerują. Zamiast typowych lamp ulicznych stały latarnie, a w parku pełnym sędziwych drzew, który zastąpił domy po lewej stronie, zauważył żelazne ławki o dziwnych, powyginanych kształtach. Cała okolica tchnęła niezmaconym spokojem i ciszą, która nie przytłacza i której nie trzeba zagłuszać radiem czy głośną rozmową. Czuł się jak intruz. Prawie bezszmerową pracą silnika samochodu zakłócał panującą tu ciszę, a samą swoją obecnością naruszał spokój domów, drzew dookoła oraz niewidocznych mieszkańców. Był tu obcy. Senna atmosfera tego miejsca, która na początku mimo woli go oczarowała, teraz jeszcze bardziej pogłębiła jego irytację.

Przyspieszył, pragnąc uciec stąd jak najprędzej, ale zaraz zwolnił. Nawet gdyby chciał, nie mógł jechać szybciej po tej przeklętej kostce. Spojrzał w bok. „Plac zabaw? Tutaj?” – zdziwił się. Okolice fascynowała go i denerwowała zarazem, ale nie potrafił wyobrazić sobie tutaj dzieci. Przyglądał się jeszcze przez chwilę i już odwracał wzrok, gdy nagle kątem oka dostrzegł dziewczynę siedzącą na jednej z huśtawek. Nacisnął gwałtownie hamulec. Pisk opon wydał mu się najgłośniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał. Gdy powoli otwierał drzwi i wysiadał z samochodu, miał wrażenie, że zza firanek przyglądają mu się dziesiątki par oczu. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Stał niepewnie na chodniku, zastanawiając się, co zrobić. Nie chciał krzyczeć, poza tym... Może ona też się zgubiła? Ale kiedy przyjrzał jej się dokładnie... Nie, ona z pewnością się nie zgubiła. Była stąd. Mimo jasnej sukienki, dzięki której ją zauważył, prawie zlewała się z otoczeniem. Nie zakłócała sielskiej atmosfery, wręcz przeciwnie – dopełniała jej. Ręce schowała głęboko w kieszeniach, a głowę wtuliła w ramiona. Zapierając się stopami o ziemię, ni to stojąc, ni siedząc, wpatrywała się nieruchomo w swoje pantofle, których czubki ginęły pod dywanem rdzawobrazowych liści. W widoczny sposób należała do tego miejsca, była częścią tego parku. Wyglądała, jakby dawno temu zapomniała zejść z huśtawki i po prostu nie zauważyła, że w tym czasie zdążyła dorosnąć.

Przynależała tu tak bardzo, jak bardzo on sam czuł się obcy. Nie tylko tu. Wszędzie. Nigdzie nie miał swojego miejsca; był bezdomny, choć nie w sensie dosłownym. Będąc właścicielem luksusowego apartamentu w City, dużej eleganckiej willi na przedmieściu, komfortowego domu letniskowego na Wybrzeżu i nawet jednej posiadłości rodzinnej, tak naprawdę nie czuł się związany z żadnym

z tych miejsc – ani sercem, ani tradycją, ani miłymi wspomnieniami.

Zacisnął usta w gorzkim grymasie. „Do niezłego stanu się doprowadziłem – pomyślał. – Najnormalniej w świecie zabłądziłem, a zachowuję się jak na seansie u psychoanalitka Melissy”. Prayton nie miał dobrego zdania o psychoanalitikach w ogóle, a psychoanalitka Melissy uważał za zwykłego szarlatana, by nie powiedzieć niebezpiecznego partacza. Wychodził z założenia, że albo masz przyjaciół zawsze gotowych cię wysłuchać, albo żaden, nawet najlepszy terapeuta nic ci nie pomoże.

Już bez wahania wszedł na przystrzyżony trawnik; liście, jeszcze niezgrabione w porządne stopy, szeleściły w takt jego zdecydowanych kroków. Nieznajoma była tak zatopiona w myślach, że nawet kiedy stanął blisko niej, prawie na wyciągnięcie ręki, nadal nie zwracała na niego uwagi. Jego cień przykrył stopy dziewczyny.

Drgnęła i uniosła głowę. Przez moment zdawała się ciągle nieobecna, ale naraz jej twarz pobladła, a w rozszerzonych oczach pojawił się strach. Gdy spłoszona zerwała się z miejsca, zgrzyt huśtawki zabrzmiał jak wystrzał.

Kiedy Julia wyszła z domu stryja, była zbyt wzburzona, by po prostu wsiąść do swojego garbusa i pojechać do siebie. A park przyciągał jak magnes... Lubiła jesień, zwłaszcza wczesną, która łączyła w sobie nostalgię końca lata i dojrzałą radość nowej pory roku. Wrześniowe słońce było zwyczajnie ciepłe – nie tak palące jak latem, nie tak złudne jak zimą, nie tak kapryśne jak wiosną. Ominęła piaskownicę i przysiadła na huśtawce – tej ulubionej z czasów dzieciństwa. Przyglądała się drżącym plamom słońca, w których nawet opadły liść ożywał, a kasztan, wyzierający z pękniętej kolczastej łupiny, lśnił własnym rdzawym światłem.

Właściwie nie miała pretensji do stryja – troszczył się o nią na swój nieznośny sposób, a poza tym miał rację prawie we wszystkim. Mylił się tylko co do Trevora, ale nie mogła go za to winić, skoro wiedział o całej sprawie tylko tyle, ile ona sama mu powiedziała, czyli w gruncie rzeczy nic.

Dwa razy w życiu Julia pozwoliła, by uczucia wzięły w niej górę nad rozsądkiem. Raz pogrążyła się w rozpaczony ponad siły dorosłego człowieka, a co dopiero dziesięcioletniego dziecka, jakim wówczas była. Za drugim razem przeżyła

upokorzenie, po którym tak naprawdę nigdy nie doszła do siebie, zraniona zbyt głęboko w swoim i tak niezbyt silnym poczuciu kobiecości. Te dwa razy wystarczyły, by wybudowała mur między sobą a wszystkim, co groziło zbytym zaangażowaniem. I trzeba było wyjątkowej bezceremonialności, tupetu i niewiarygodnie twardej głowy, jakie miała Sunny, aby wybić szczelinę w tym murze. A co do stryja, był przy niej za długo i zbyt blisko, aby mogła, gdyby nawet chciała, wypchnąć go poza nawias swoich uczuć.

Kiedy rodzice postanowili wyjechać, a ją zostawić u MacAlistera, nie protestowała. Obyło się bez płaczu i hysterii. Skoro wyjechali – widocznie tak musiało być. Pokochała nowy dom i stryjka Claya, polubiła gospodynię Annę i jej koty. Nauczyła się nie przejmować brakiem listów od rodziców i cieszyć z ich coraz rzadszych i krótszych wizyt. Nie zastanawiała się nad powodami, nie wracała do przeszłości. Jednak tragiczny wypadek rodziców wszystko zmienił. Nagle pojawiły się pytania, których dotąd bała się zadać, i bez ostrzeżenia zasypały ją przerażającym gradem. Dlaczego wyjechali bez niej? Czemu ją zostawili? Czy jej nie kochali? Czy rodzice w ogóle mogą nie kochać swoich dzieci?! Ale przecież jej rodzice byli tacy piękni, utalentowani... Może to ona nie zasługiwała na ich miłość? Taka nijaka, ani ładna, ani mądra. Czy to dlatego? Dlatego jej nie kochali? Czemu?! Czemu jej nie chcieli? Odczuwała stratę tym większą, cios tym silniejszy, im mniej była pewna miłości rodziców. I już nigdy nie miała poznać odpowiedzi... Budziła się w nocy z krzykiem i płaczem. Koszmar był zawsze ten sam. Stała na drodze i machała do zbliżającego się samochodu. W środku siedzieli jej rodzice. Machała, machała, ale oni ją mijali i jechali dalej. Zaczynała krzyczeć i biec za nimi. Odwracali na chwilę głowy. Widziała przez tylną szybę ich uśmiechnięte twarze i uniesione w pozdrowieniu dłonie. Gdy zrozpaczona stała na środku drogi, samochód przyspieszał coraz bardziej.

– Przepaść! – wołała. – Przepaść!

Budziła się roztrzęsiona, kiedy docierał do niej stłumiony odgłos wybuchu.

Mimo ciepłego popołudnia, na wspomnienie bólu, jaki wtedy odczuwała, przeszył ją zimny dreszcz.

– Nigdy! – wyszeptała bezgłośnie, mocniej wciskając dłonie w kieszenie sukienki. – Nigdy więcej nie chcę czuć czegoś takiego.

Udało jej się pokonać rozpacz dzięki stryjowi, który dzień po dniu, noc po nocy przekonywał ją o swojej miłości. Przybiegał na każdy jej krzyk, tulił,

uspokajał, tłumaczył, ale najważniejsze było, iż bez względu na to, czy się złościł, czy żartował, Julia wierzyła, gdy mówił, że ją kocha. Nadal wierzy.

Trevor Smith... Westchnęła z goryczą. MacAlister go lubił i trudno mu się dziwić. Ona sama – gdyby nie zbytnia arogancja Trevora czy też może zwyczajna głupota – już dawno byłaby jego żoną. Skuliła się niczym pod uderzeniem lodowatego wiatru; powróciło upokorzenie równie silne jak przed trzema laty. Do tej pory nie wiedziała, czy obiecujący młody lekarz specjalizujący się w psychiatrii przecenił swoje, czy też nie docenił jej możliwości. Przypuszczalnie jedno i drugie. Ale żeby również stryj dał się tak nabrać...? Jako psychiatra – i to dobry – powinien od razu odkryć prawdziwe zamiary wielce ambitnego pana Smitha. Chociaż, jak mówi przysłowie, najciemniej jest pod latarnią. Któż by podejrzewał, że jakiś młodzik, zwyczajny żółtodziób, ośmieli się zwodzić i oszukiwać taką sławę, takiego znawcę ludzkiej psychiki, za jakiego uchodził Clay MacAlister. Z drugiej strony może stryjowi tak bardzo zależało na jej zamążpójściu, że po prostu nie chciał widzieć wad i braków ewentualnego pana młodego. Trevor z kolei starał się jak mógł, by doktorowi nawet przez myśl nie przeszło, że jego młody asystent wcale nie jest takim znowu idealnym kandydatem ani na zięcia, ani na naukowca. O tak, Trevor był bardzo sprytny. Ten jego spryt o mało jej nie zniszczył!

Kiedy się poznali, Julia naprawdę myślała, że oto spotkała swojego księcia z bajki: przystojny, wysoki, ale nie za bardzo, blondyn, z uroczym dołkiem w brodzie, o niebieskich oczach, nienagannych manierach i zniewalającym uśmiechu. Starszy od niej o siedem lat wydawał się taki dojrzały, interesujący; był szarmancki, dowcipny, usłużny – po prostu idealny. Po tygodniu znajomości uważała Trevora za miłość swojego życia. Zaczęły się nieśmiałe uściski i niezręczne pocałunki. Dla wniebowziętej Julii wszystko było takie nowe i takie słodkie, a niezdarność Trevora kładła na karb zażenowania. Nawet wtedy, kiedy stryj wpadł wściekły do jej pokoju i zaczął się awanturować, niczego nie podejrzewała. Zarzucał Julii, że to wszystko jej wina – przez nią Trevor opuszcza się w pracy i jeśli tak dalej pójdzie, nigdy nie zrobi doktoratu i skończy się na tym, że go wyleją z Instytutu.

Miała takie wyrzuty sumienia, że następnego dnia postanowiła odwiedzić Trevora w jego mieszkaniu. Co prawda nigdy u niego nie była i nie umawiali się wcześniej, ale musiała z nim porozmawiać. Dom, w którym wynajmował pokój, nie prezentował się zbyt okazale, ale znajdował się niedaleko Akademii Medycznej; poza tym Trevor dopiero zaczynał karierę, więc pewnie nie stać go było na lepsze lokum.

„Może go nie ma” – pomyślała zawiedziona, gdy jedyną reakcją na kolejny długi dzwonek do drzwi był przeraźliwy psi jazgot dobiegający z sąsiedniego mieszkania. Już miała odejść, gdy usłyszała chrobot zamka i drzwi się uchyliły. Pierwszy szok przeżyła chwilę potem. Mężczyzna, który jej otworzył, w niczym nie przypominał eleganckiego, wręcz wymuskanego Trevora, jakiego знаła do tej pory. Był bosy i rozczochrany. Jedną rękę trzymał na klamce, drugą oparł ciężko o ścianę, zagradzając jej drogę do środka. Miał na sobie niedopięte spodnie i rozchełstaną koszulę; niewątpliwie pijany, chwiał się – gdyby nie klamka i ściana, pewnie by się wywrócił.

– Cześć – wydusiła z siebie. Zabrzmiało to bardzo słabiutko.

– A, to ty – wymamrotał. – Czego chcesz? – Zdawał się zupełnie nie przejmować swoim wyglądem. Patrzył na nią obojętnie. Chociaż nie. Dopiero gdy Julia odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy, odkryła całą zawartą w nich wrogość. Zadrżała. Nie mogła wykrztusić ani słowa, ale czuła, że musi powiedzieć cokolwiek, choćby dlatego by się nie rozplakać.

– Ja... – Zająknęła się i głośno przełknęła ślinę. – Martwiłam się o ciebie. Stryj mówił, że masz kłopoty i że to przeze mnie. Czuję się winna i chciałam ci jakoś pomóc. Pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać, wspólnie na pewno znajdziemy jakąś radę. – Mówiła szybko, z wyraźną desperacją w głosie, bojąc się, że zanim zdąży skończyć, zamknie jej drzwi przed nosem.

– Daj spokój – burknął. – Jak widzisz, jakoś sobie radzę. Poza tym – wykonał nieokreślony gest i wskazał ręką za siebie – jestem trochę zajęty. – Patrzył na jej otwarte usta i zdumione oczy. – Nie stój tak i nie gap się na mnie! – warknął. – Odejdź! Porozmawiamy jutro, chyba musimy – stwierdził z niechęcią. – A teraz – wskazał jej brodą schody – bądź tak łaskawa i idź sobie.

Jedynym pragnieniem Julii w tym momencie było uciec stamtąd jak najdalej. Kiedy wreszcie udało jej się oderwać stopę od podłogi i z dużym wysiłkiem zrobić krok do tyłu, z wnętrza mieszkania dobiegł zniecierpliwiony damski głos:

– Trev, na miłość boską, zamknijże wreszcie te drzwi! Robisz niemiłosierny przeciąg! Jeżeli ma ci coś do powiedzenia, niech to zrobi w środku!

– Właściwie czemu nie? – Mężczyzna spojrział na Julię z krzywym uśmiechem. – Skoro tak się domagasz rozmowy, kochanie, po co odkładać ją do jutra? – W jego głosie lekceważenie mieszało się ze złośliwą uciechą. – Właż! –

Odwrócił się i nie patrząc już na nią, ruszył w głąb wąskiego korytarza, po drodze przytrzymując się jedną ręką ściany. Julia zrozumiała, co czuje małe zwierzę zahipnotyzowane wzrokiem czyhającego na nie drapieżnika. Po prostu nie mogła tam nie wejść.

– To Julia. To Stella. – Przedstawił je sobie, wskazując każdą trzymaną w ręce szklanką z nową porcją whisky.

– A więc to jest Julia – odezwała się Stella z uprzejmym zainteresowaniem. Miała na sobie tylko jedwabną bieliznę; nie trudziła się, żeby założyć leżący obok niej na łóżku szlafrok. – Wiele o tobie słyszałam... Trev lubi dużo mówić. – „Niezła gra się zapowiada – pomyślała i ułożyła się wygodniej. – Szkoda, że do jednej bramki”.

– Kim pani jest? – Raczej domyślili się, niż usłyszeli, o co zapytała.

– Moją kochanką. – Mężczyzna nie pozostawił Julii żadnych złudzeń. – A myślałaś, że kim? Siostrą miłosierdzia robiącą mi zastrzyk?!

– A my? Co z nami? Wydawało mi się... – Czowała, że teraz już musi wszystko wyjaśnić, bez względu na cenę, jaką przyjdzie jej za to zapłacić.

– A co ma być?! – wrzasnął; jego irytacja rosła w miarę, jak twarz Julii robiła się coraz bledsza. – Dobrze powiedziałaś: wydawało ci się. Potrzebuję normalnej kobiety z choćby minimalnym temperamentem. A ty? Spójrz na siebie: zimna i nijaka. Oto jaka jesteś. Nie podnieca mnie ani dziewictwo, ani głupota, a trzeba być wyjątkowo naiwnym albo głupim, żeby nie przejrzeć gry, jaką prowadzę od miesiąca. Gdyby nie Stella – podszedł do przeciągającej się na łóżku kobiety i pocałował ją mocno w usta – chyba umarłbym przy tobie z nudów.

– To dlaczego... – wychrypiała – dlaczego w ogóle przychodziłeś? Nie rozumiem...

– Nie rozumiesz? No pewnie! – Cierpienie, którego nie potrafiła ukryć, sprawiało mu perwersyjną satysfakcję. Chciał być okrutny, agresją i szyderstwem pokrywał nieśmiało wyrzuty sumienia. – Mimo wszystko masz coś, co jest dla mnie bardzo ważne. – Julia spojrzała na niego z iską nadziei. – Masz stryja – dokończył bezlitośnie – który, tak się składa, jest znanym i cenionym psychiatrą.

Gdybym został mężem jego ukochanej bratanicy, moja kariera, sama rozumiesz, dostałaby skrzydeł.

Julia niewidzącym wzrokiem przesuwiała po kilku zaledwie sprzętach stojących w pokoju: biurko, rozbebeszone łóżko, niedomknięta szafa, niewielki regał, z którego książki wysypywały się na podłogę; nie zauważała braku zasłon i dywanu, nie dostrzegała rozrzuconych ubrań i brudnych szklanek. Bezwiednie zaczęła się cofać, ale Trevor złapał ją brutalnie za ramię i kontynuował, jakby przerwali przyjacielska pogawędkę.

– Widzisz, umiem stwarzać pozory i robić dobre wrażenie, ale z autentycznym talentem u mnie kiepsko. Natomiast Clay MacAlister jest kimś i gdyby zechciał, wywindowałby nawet takie beztalencie jak ja. Niestety, zaczął coś podejrzewać. W końcu odkryłby prawdę, ale miałem nadzieję, że dojdzie do tego raczej później niż wcześniej, na przykład po ślubie.

Nie zważając na ewentualne siniaki, Julia wyrwała się z uścisku. Nie chciała już niczego więcej słyszeć, niczego więcej widzieć. Wybiegła, z trudem powstrzymując się od krzyku.

Nawet się nie zdziwiła, kiedy nazajutrz, po wytrzeźwieniu, Trevor próbował wszystko odkręcić. Dlaczego dała się tak nabrać? Gdy teraz się nad tym zastanawiała, nie miała wątpliwości, że Smith udawał. Przesadził. Był zbyt wspaniały, zbyt cudowny – zbyt idealny, aby mógł być prawdziwy. Ale za to bezpieczny – podpowiedział cichutki głosik. Właśnie, gdyby ten jego styl nie okazał się tylko pozą, Trevor byłby dla niej wymarzoną kandydatem – bezpiecznym kandydatem – niewymagającym, nieskomplikowanym, wyrozumiałym i przewidywalnym. Julia unikała tych silnych, ponurych mężczyzn, za którymi uganiały się inne kobiety. Bała się tych mrocznych facetów, pełnych tajemnic i niedopowiedzeń. Ale co z tego, skoro ostatecznie zakochała się w mężczyźnie tylko z pozoru idealnym. Zaufała człowiekowi, który przez cały czas ją oszukiwał, a na koniec jeszcze okropnie upokorzył. „Może jednak ci książęta nocy nie są tacy źli” – pomyślała z ironią. Jeżeli nie spodziewasz się niczego dobrego, nic złego cię nie zdziwi ani nie rozczaruje.

Julia nie była pewna, co ją wyrwało z zamyślenia, ale wyczuła jakąś zmianę. Dopiero po chwili dotarło do niej, że słoneczne plamki na liściach wokół jej stóp zniknęły – ich miejsce zajął cień. Zaczęła powoli unosić głowę; niespiesznie sunęła

wzrokiem po parze długich, eleganckich spodni z lekkiej czarnej wełny. Prawą kieszeń wypychała jedna ręka, na lewym biodrze spoczywała druga – zarejestrowała obecność srebrnego sygnetu na palcu serdecznym; zatrzymała się na chwilę, patrząc zafascynowana, jak brzuch nieznajomego, ukryty pod szarym swetrem, unosi się w rytm przyspieszonego oddechu. Wreszcie, nieświadoma jego rosnącego rozdrażnienia, spojrzała prosto w twarz intruza. „To niemożliwe!” – krzyknęła w duchu oszołomiona. A jednak. Jakby za sprawą jej niedawnych myśli zmaterializował się przed nią „książę nocy” w całej okazałości. Stał, zasłaniając jej słońce, ale mimo to widziała jego gniewne spojrzenie i nieprzyjaźnie zaciśnięte usta. Górował nad nią, groźny i posepny, a jednocześnie przystojny, w ten mroczny, niepokojący sposób. Zareagowała instynktownie. Po prostu uciekła.

– Do licha! Niech się pani zatrzyma! – Julię osadził w miejscu kategoryczny ton głosu nieznajomego. – Proszę się nie bać. – Próbował ją uspokoić i opanować własne zniecierpliwienie, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Stał tuż za nią, ale jej nie dotknął; ona ze swej strony nie uczyniła najmniejszego gestu, by się odwrócić czy choćby na niego spojrzeć. Przystanąła, gdy tego zażądał, lecz widział wyraźnie, że w każdej chwili gotowa jest znowu rzucić się do ucieczki.

– Nic pani nie zrobię. Proszę się nie obawiać. Zabłądziłem i chciałem tylko zapytać o drogę. – Pomimo szaleńczego łomotu serca, Julia zdołała dosłyszeć w jego niskim, matowo brzmiącym głosie jakąś odległą, ciepłą nutę.

– O drogę? – powtórzyła bezwiednie.

Prayton odniósł wrażenie, że się z niego nabija.

– Tak, o drogę! – Wszelkie ciepło, o ile jakieś było, zniknęło. Jego słowa wprost ociekały ironią. – Może to rzeczywiście tak trudno zrozumieć, ale nie mam najmniejszego pojęcia, jak stąd wyjechać. Pani jest pierwszą osobą, którą tu spotkałem i co? Na mój widok ucieka pani jak spłoszona łania! Proszę uwierzyć, nie gryzę. Zanim więc rozplynie się pani we mgle, proszę łaskawie mi wyjaśnić, jak się stąd wydostać.

– Wydostać? – Julia nieświadomie igrała z ogniem. Ostre przekleństwo wyrwało ją z odrętwienia.

– Czy ma pani zamiar wszystko tak za mną powtarzać? Oczekuję krótkiej, jasnej odpowiedzi! Wie pani czy nie?!

Julia zrozumiała, że jeżeli nie chce, by ten gwałtowny mężczyzna zaczął nią potrząsać, musi szybko odpowiedzieć.

– Trzeba jechać cały czas główną ulicą, park powinien pan mieć po prawej stronie...

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć... – Chciał jej przerwać, ale dziewczyna, nadal stojąc bokiem do niego, wyrzucała z siebie słowa niczym katarynka.

– Główna ulica jest trochę szersza, a kostka na niej jest nieco większa i ciemniejsza niż na pozostałych uliczkach. Proszę się tylko dobrze przyjrzeć, a na pewno pan trafi. – Ostatnie zdanie rzuciła w biegu. Jeszcze tylko jej sukienka mignęła w oddali na tle barwnego parku i już jej nie było.

– Nie zdążyłem podziękować – mruknął na pół z żalem, na pół z zadowoleniem. – Niech tam... – Wzruszył ramionami.

Jeszcze przez kilka chwil patrzył w ślad za dziewczyną, mając wrażenie, że w ogóle nikogo nie spotkał, a tę rozmowę z przestraszoną jasną nimfą po prostu sobie wymyślił. Ponownie wzruszył ramionami i odszedł w stronę swojego mercedesa.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, włączając silnik. Z całej siły przydusił gaz kilka razy, celowo robiąc niemiłosierny hałas, którym zupełnie się nie przejmował. Jadąc uliczką wybrukowaną ciemniejszą, większą kostką, oddalał się od ciszy i spokoju jesiennego parku i był naprawdę szczerze zadowolony, że już nigdy więcej tu nie wróci.

ROZDZIAŁ 2

Prayton spieszył się, ale nie na tyle, żeby zapomnieć o powracających z weekendu niedzielnych kierowcach. Dlatego starannie omijał wszystkie miejsca, w których mógłby utknąć na kilka godzin w kilometrowym korku.

Zatrzymał się na parkingu przy jednym z tych nowoczesnych, ekskluzywnych wieżowców, w których mieszkania (a raczej apartamenty) kosztują więcej niż gdzie indziej cały dom.

Większość wolnego czasu spędzał w willi pod miastem; tam przyjmował gości, organizował spotkania z klientami na bardziej towarzyskim gruncie, tam również – jeżeli było trzeba – urządzał wystawne przyjęcia, tam w końcu przeprowadzała się, jeśli tylko chciała, kobieta, z którą w danym momencie swojego życia był związany. Jednak czasami miał serdecznie dość tego domu, w którym znajdowało się więcej cudzych rzeczy niż jego własnych; domu nafaszerowanego różnego rodzaju bibelotami, lampami, narzutami, obrazkami i Bóg wie czym jeszcze, czyli inaczej mówiąc podarunkami od klientów, gości i tak zwanych przyjaciół. Dla Praytona zaś jedyny godny pochwały prezent stanowiła butelka dobrego koniaku, albo – jeszcze lepiej – markowej whisky; ale o tym wiedzieli tylko nieliczni, na przykład Blackwellowie. Im zawsze udawało się trafić z prezentem w dziesiątkę. Na dokładkę jego bliskie znajome różniły się z pewnością pod wieloma względami, ale w jednym były nieprawdopodobnie zgodne: nie pozwalały niczego wyrzucać. Powody wynajdywały najrozmaitsze: coś było urocze, coś musiało sporo kosztować, a jeszcze coś innego mogło się kiedyś przydać. Pojawiały się także filozoficzne uwagi, że wyrzucając prezent, obraża się ofiarodawcę. Prayton osobiście uważał, że ofiarodawca sam się obraża, dając prezent, który obdarowany ma ochotę wyrzucić zaraz po rozpakowaniu. A jeżeli chodzi o jego partnerki, niezmiennie wprawiała go w zdumienie ta skłonność skądinąd nowoczesnych, wyzwolonych kobiet do chomikowania różnych, nierzadko zupełnie absurdalnych przedmiotów. Same też nie próżnowały. Wprowadzały bowiem tak rozległe i liczne zmiany, że często nie poznawał własnego domu, gdy do niego wracał. Dlaczego się na to godził? Z lenistwa, wygody... Czasami go to nawet bawiło, ale czy nie protestowałby bardziej zdecydowanie, gdyby nie miał swojego „gdzieś tam”, dokąd zawsze mógł uciec?

Właśnie tu, na trzydziestym siódmym piętrze budynku znajdującego się w samym sercu rozgorączkowanego City, posiadał swój azyl, miejsce, gdzie nikt prócz niego nie miał wstępu. Nie było tu faksów, telefonów, zabieganych

sekretarek, zaafierowanych klientów ani żadnych pięknych kobiet. Był za to święty spokój i widok na miasto, wesoło mrugające krzykliwymi neonami i przyciągające wzrok szarymi plamami ubogich dzielnic. Miasto zza szyby i z wysokości tyłu pięter przypominało olbrzymią makietę szalonego architekta, czy też raczej pozbawioną ładu i składu monstrualną budowlę z klocków Lego, ale lubił je – było równie wspaniałe, jak niesamowite, równie piękne i tajemnicze, jak smutne i przytłaczające.

Lubił też swoją kryjówkę – a dokładniej lubił w niej odpoczywać – pomimo, a może właśnie dlatego, że była kompletnie bezosobowa. Jedyne ubrania oraz przybory toaletowe sam wybrał i kupił. Całą resztą, łącznie z naczyniami, wzorem na pościeli i kolorem ręczników, zajęła się projektantka. Na początku trochę się obawiał, że przyjdzie mu się odprężyć w czymś przypominającym statek kosmiczny; albo że będzie się musiał skręcać i wyginać na pufach oraz poduszkach rozrzuconych artystycznie po dywanie, z braku bardziej przydatnych sprzętów takich jak fotele czy kanapa. Jednak dekoratorka uczciwie zarobiła na swoje wysokie honorarium; urządziła mieszkanie w stylu jak najbardziej klasycznym, w stonowanych odcieniach beżu, brązu, szarości i zieleni. Miał tu wszystko, czego potrzebował, zarówno do odpoczynku, jak i do pracy, jeżeli akurat zaszła taka konieczność. Najbardziej odpowiadał mu salon z oknem na całą ścianę, bogato zaopatrzonym barkiem, dywanem grubym na dziesięć centymetrów, kanapą i fotelami, które aż prosiły się, żeby na nich usiąść.

Gdy Prayton wreszcie opadł ciężko na jeden z tych niesamowitych foteli, nadal czuł się niepokojąco spięty. Uniósł trzymaną w dłoni szklaneczkę z solidną porcją szkockiej i poruszył ręką. Przyglądał się zafascynowany, jak światło zaczyna lekko migotać i rozplýwać się w wirującym delikatnie bursztynowym płynie.

– To niemożliwe – powiedział na głos, próbując przekonać sam siebie, że to nie incydent w parku tak go poruszył. Właściwie przez cały dzień marzył, żeby tak sobie usiąść i móc odczuwać tę przewrotną przyjemność, jaką znajdował w umyślnym przedłużaniu chwili dzielącej go od pierwszego, rozluźniającego łyku.

Bywają takie dni, że nic nie układa się tak, jak powinno: kompetentna sekretarka zwalnia się, bo wychodzi za mąż, człowiek, na którego się postawiło, okazuje się malwersantem, niewymagająca kochanka nagle zaczyna wymagać... Tak, chyba właśnie Melissa była tą przysłowiową kroplą. Wcześniej podejrzewał, a teraz miał już pewność, że chce przekształcić ich związek w coś, hm, poważnego. Akurat dzisiaj urządziła mu awanturę, bo nie chciał z nią rozmawiać o swoich

interesach.

A on po prostu nie znosił pytań dotyczących tego, czym się aktualnie zajmował; nie chodziło o to, że były to jakieś szczególnie tajemnicze sprawy. Traktował jednak swoją pracę zbyt poważnie, aby rozprawiać o niej z laikami czy z osobami pytającymi z pustej ciekawości (poza tym tak do końca nigdy nie wiadomo, kto pyta i dlaczego). Natomiast szczerze nienawidził dociekań w stylu, po co w ogóle pracuje, skoro jest wystarczająco bogaty, by pozwolić sobie na słodkie nieróbstwo do końca życia. Co miał odpowiedzieć? Że praca to właśnie jego sposób na życie, że bez niej umarłby z nudów? Czy miał tłumaczyć, że nie nadaje się na rentiera, pojawiającego się w firmie tylko po to, by robić dobre wrażenie? Zabaw i rozrywek nie traktował nawet jak koniecznego dodatku, a co dopiero mówić o uczynieniu z nich treści istnienia.

Z wyjątkiem wysokiej dożywotniej renty dla matki, całą resztę ojciec zapisał jemu: akcje Prayton Bank oraz pięciu innych banków, posiadłość Prayton House i dom nad morzem, gotówkę, papiery wartościowe, nawet biżuterię. Był to spory majątek – wbrew temu, co powszechnie uważano, stary Prayton nie dał się aż tak opętać swojej hiszpańskiej żonie, żeby przy okazji stracić kontrolę nad interesami; jego testament stanowił tego najlepszy dowód. Pamela nie mogła go przeboleć. Przeklinała zmarłego męża i zniechęciła syna. Wysyłając Kennetha do internatu, zapowiedziała, że zrobi wszystko co możliwe, by nie dostał „jej” pieniędzy.

– Nie po to – wrzeszczała, nie próbując nawet nad sobą panować – wyszłam za starca i urodziłam mu bachora, żeby teraz zadowolić się jakąś marną pensyjką! To wszystko – wskazała rękoma wokół siebie – jest moje! Nikt mi tego nie odbierze. Zwłaszcza taki zastrachany dzieciak jak ty!

Stali akurat na podjeździe przed Prayton House, czekając na samochód, który miał zawieźć chłopca do internatu. Jeszcze raz matka zatoczyła ręką wokół siebie gestem posiadacza i zachłannym wzrokiem objęła stary park, ziemie uprawne, zabudowania gospodarcze i wielki biały dom za plecami Kennetha.

– Zapamiętaj – wyszczała – to i wszystko inne: akcje, pieniądze, biżuteria należą do mnie!

Nie zapomniał. Nawet gdyby chciał, nie mógłby zapomnieć lodowatej groźby zawartej w jej głosie i twarzy wykrzywionej nienawiścią. Zawsze taka była – jak zła czarownica z bajki o Królewnie Śnieżce: próżna, zachłanna i niebezpieczna. Tylko że jemu zamiast siedmiu dobrych krasnoludków trafiło się

pięciu nastoletnich wrogów, a na osłodę dostał parę wścibskich bliźniaków, pakujących się w kłopoty nawet szybciej niż on.

Matka twierdziła, że był zastrachany. Nie miała racji, choć faktem było, że się bał. Bał się jej ostrego języka i upokarzających sytuacji, w jakich lubiła go stawiać. Nienawidził jej za to, co robiła ojcu, i za pogardę, którą wbrew sobie odczuwał w stosunku do niego. Nigdy tak naprawdę nie zrozumiał i nie wybaczył ojcu jego słabości do kobiety pokroju Pameli Diaz; słabości, którą nazywał miłością. Na domiar złego ojciec go unikał. Chciał syna, więc dlaczego tak się działo? Teraz domyślał się, że John Prayton, niegdyś tak dumny, po prostu wstydził się przed własnym synem tego, że zamiast normalnego domu dał mu parodię rodziny. Wstydził się swojej ślepej miłości do żony, na którą nic nie mógł poradzić.

A jednak Pamela przeliczyła się; chociaż raz w życiu. Nie pomogli najlepsi adwokaci ani przekupni lekarze mający dowieść przed sądem niepoczytalności Johna Praytona. Nie udało jej się podważyć testamentu, choć niewątpliwie jeden warunek zastrzeżony przez Johna działał pozornie na jej korzyść – Kenneth nie mógł przejąć kontroli nad majątkiem do chwili ukończenia dwudziestu jeden lat. Gdy więc ostatecznie przekonała się, że majątek syna pozostanie poza jej zasięgiem, ze wszystkich sił starała się zniszczyć dziedzictwo Kennetha, na które ród Praytonów pracował od ponad stu lat. Intryga, podstęp, kłamstwo i przekupstwo – to była jej broń. Ale kiedy w pewnym momencie zaczęła domagać się jednorazowej, horrendalnie wysokiej sumy zamiast dożywotniej renty, Prayton nawet nie zastanawiał się nad jej motywami. Skończył dopiero piętnaście lat i nie do niego należała decyzja, ale tak nalegał, że adwokaci w końcu wyrazili zgodę – podobnie jak on mieli nadzieję, iż w ten sposób raz na zawsze uwolni się od matki. I nie pomylili się, choć Kenneth musiał poczekać jeszcze kilka lat na zwycięstwo, które zawdzięczał w dużej mierze zapobiegliwości zmarłego ojca i trochę zwykłemu szczęściu.

Właśnie wtedy, w ciągu tych długich lat upokarzającej walki z własną matką, docenił przebiegłość swojego ojca i zdał sobie sprawę, że jego ślepa miłość wcale nie była aż tak ślepa – ostatecznie John Prayton bardziej zatroszczył się o syna niż o swoją żonę. Nie tylko bowiem zapisał mu cały majątek, ale jeszcze dopilnował, by mógł ten majątek zachować do czasu, aż dorośnie i nauczy się nim zarządzać, a także bronić go w razie konieczności. Tak więc ani podejrzanego znajomości Pameli, ani znaczne pieniądze, jakie wyciągnęła od syna, nie na wiele się zdały. Stary Prayton powierzył los chłopca całej armii zdolnych i co ważniejsze uczciwych pracowników. Adwokaci, zarządcy, plenipotenci, dyrektorzy banków, nawet detektywi strzegli interesów młodego Praytona. Jednych przy Kennecie

trzymała lojalność wobec rodziny, dla której pracowali od wielu lat. Innych, tych młodszych – świadomość, że dobrze dbając o interesy młodego Praytona, zapewniają sobie jego przyszłą wdzięczność, co na pewno było o wiele więcej warte niż wszystkie obietnice, które lekką ręką rozdawała Pamela.

Gdy więc Kenneth ukończył upragnione dwadzieścia jeden lat, zastał firmę może nie w zachwycającej, ale zadowalającej kondycji. Pozycja Prayton Bank, którego wszystkie akcje należały do rodziny, to znaczy do Kennetha jako jedyne go żyjącego członka rodu, była zbyt silna, by nawet śmierć Johna Praytona mogła ją osłabić. I choć tradycją stało się, że młoda żona dostawała dziesięć procent akcji (lecz dopiero w piątą rocznicę ślubu), to po śmierci Johna okazało się, iż Pamela nie otrzymała tradycyjnego prezentu. Kenneth odziedziczył całe sto procent, w tym pięćdziesiąt, które zapisał mu wcześniej zmarły bezpotomnie stryj.

Pozostałe banki, w których Praytonowie mieli znaczące udziały, radziły sobie z mniejszym lub większym szczęściem, lecz ciągle utrzymywały się na powierzchni.

Właśnie banki leżały w głównej sferze zainteresowań Praytonów, ale Kenneth czuł, że to mu nie wystarczy. Banki co prawda potrzebowały silnej ręki, która ożywiłaby ich działalność, w tamtym okresie przypominającą niestrudzone, ale jednak powolne toczenie się z góry, i zamieniła leniwe turlanie w energiczny marsz ku przyszłości; wymagały potężnego kopniaka, który zmusiłby je do rywalizacji z największymi i najlepszymi. Łączyło się to z podjęciem wkalkulowanego wprawdzie, ale zawsze ryzyka. Tak więc czekało go poważne i niewątpliwie odważne zadanie przeorganizowania nieco skostniałych struktur i zmiany zbyt konserwatywnych jak na obecne czasy sposobów działania „jego” banków. Przewidywał, że zajmie mu to kilka dobrych lat, może nawet więcej, biorąc pod uwagę, że przecież zostały mu jeszcze przynajmniej trzy lata studiów. Trzy lata – jak się dobrze postara, a starał się, odkąd pamiętał. Musiał być najlepszy, żeby dać sobie radę z matką, kolegami, nauczycielami, z firmą. Zawsze coś musiał udowodniać – sobie albo innym. Już jako dziecko uczył się dużo i intensywnie, a jako student niewiele się zmienił. To, że studiował marketing i zarządzanie, bankowość, ekonomię czy zasady działania giełdy, było raczej oczywiste. Ale jak znajdował czas na trenowanie pływania, pogłębianie znajomości języka niemieckiego i, o ironio, hiszpańskiego, na więcej niż powierzchowne zainteresowanie sztuką, zwłaszcza malarstwem, i na czytanie dosłownie wszystkiego, co mu wpadło w ręce? Jak? Sam nie wiedział. Co więc zrobi taki pracoholik jak on, gdy w końcu naprawi, umocni i zmieni wszystko co trzeba w pracy banków, a stanowisko prezesa zarządu, choćby nawet i sześciu banków,

przestanie być tak fascynującym zajęciem jak na początku? Nowe wyzwanie i związane z tym ryzyko – to był klucz, którego szukał, odpowiedź na nudę i wieczną chandrę, której się obawiał, oraz na wspomnienia, których nie chciał.

Gdy więc skończył dwadzieścia siedem lat, dał się poznać jako człowiek angażujący się w niepewne czy wręcz przegrane przedsięwzięcia. Pomagał, czasem właściwie wyciągał znad przepaści spółki, firmy, fabryki... bez względu na to czym i na jaką skalę się zajmowały – najważniejsze, że uznał te podmioty za warte pomocy i poświęcanego im czasu; one ze swej strony nie tylko zwracały zainwestowane w siebie pieniądze, ale przynosiły określone, wcale niemałe zyski. Dlatego choć niektórzy upierali się nazywać go idealistą, „rycerzem biznesu” czy wręcz filantropem, on sam za takiego się nie uważał. „To wszystko jest grą – mówił. – Ktoś wygra, ktoś przegra. A ja tak gram, żeby nie zostać tym drugim”.

Prayton wpatrywał się w rozświetloną czerń za oknem. „Co się ze mną dzieje? – pomyślał z niechęcią. – Skąd nagle te wspomnienia?”. Potarł pulsujące skronie. Czuł, że jeżeli ma coś jeszcze dzisiaj zrobić, powinien zabrać się do tego natychmiast, zanim zmęczenie i ból głowy, którym wymykał się od tygodnia, wreszcie go dopadną.

Zdarzało się, że musiał przemyśleć pewne sprawy – dokonać szczegółowych kalkulacji, podjąć istotne decyzje czy rozważyć swoje plany – a tylko w tym wytłumionym i w pewnym sensie odcięty od świata miejscu mógł się odpowiednio skupić. Właśnie dlatego dzisiaj się tu znalazł. Jutro z samego rana miał spotkanie z ważnym, lecz nieco zdenerwowanym klientem. Chciał jeszcze raz przejrzeć wszystkie dokumenty, a potem dobrze się wyspać. Był zdania, że jego spóźnienie nie wpłynie dobrze ani na nerwy klienta, ani na ewentualne dalsze negocjacje. Szykował się do przejęcia na korzystnych dla wszystkich warunkach niewielkiej firmy softwarowej, która choć skromnych rozmiarów, miała jednak duże możliwości, wiele nowatorskich pomysłów i młodych, zdolnych, pełnych entuzjazmu pracowników. Niestety brakowało im funduszy i kontaktów. A Prayton mógł im zapewnić obie te rzeczy.

Kiedy jednak po raz kolejny zaczął czytać ten sam fragment umowy, stwierdził, że się poddaje. Trudno, w poniedziałek będzie musiało wystarczyć to, co wcześniej zdążył przygotować. Jeżeli jutro wynikną jakieś niespodziewane komplikacje, które teraz bezskutecznie próbował przewidzieć, będzie po prostu improwizował. Na pewno się uda. Musi. Jak zawsze.

Wrócił z gabinetu do salonu, zgasił lampę i położył się na kanapie. Był zmęczony i bolała go głowa. Ukrył twarz w zgięciu łokcia, chroniąc oczy przed feerią kolorowych świateł za oknem; druga ręka opadła bezwładnie na podłogę, palce wplotły się w miękkie włosie dywanu. Po co udawał, że jutrzejszy kontrakt jest jedynym powodem, dla którego tu przyjechał? Spotkanie w parku wytrąciło go z równowagi o wiele bardziej, niż chciał się do tego przyznać.

Dziewczyna z bliska okazała się nieco starsza. Gdy ją zobaczył z samochodu, wyglądała jak osiemnastolatka. Czemu aż tak się wystraszyła? No dobrze, nagle zobaczyła przed sobą obcego mężczyznę, więc mogła się trochę obawiać. Ale przecież ona uciekała jak spłoszony zając! Zirykowało go to bardziej niż powinno. W porządku, nie podobało mu się, że zabłądził. Nie podobały mu się uczucia, jakie budziło w nim to uśpione miejsce. Był zły i wyładował złość na niej, ale mimo wszystko... Nawet nie pamiętał, czy była ładna. Chociaż? Chyba tak, w ten subtelny, nierzucający się w oczy sposób; jasne włosy opadały na policzki, odsłaniając jednocześnie dość wysokie czoło, delikatne usta i niewielki nos. Tylko oczy były zadziwiająco zielone i duże w drobnej, jasnej twarzy. Jasna. Jasna dziewczyna w jasnej sukience. Taka właśnie była i... bała się go. Dlaczego tak się tym przejmował? Nie znał jej i wcale nie chciał poznać. A może?

Prayton gwałtownie usiadł. Chyba rzeczywiście był przemęczony. Snuł rozważania o nieznałomej dziewczynie z parku, jakby nie miał innych zmartwień. „Przyjęcie u Blackwellów – przypomniał sobie. – Tak, chyba właśnie tego mi potrzeba”. Przedtem nie miał na nie ochoty, choć bliźniacy szczerze go namawiali, a Melissa nalegała. Teraz zaczął powoli zmieniać zdanie. Może istotnie to nie był taki zły pomysł...

Julia pozwalała, aby gorące strugi wody niemal parzyły jej skórę. Nie mogła sobie darować. Zalewały ją uczucia równie gorące jak uderzająca w nią woda: złość, oburzenie, wstyd i przerażenie. Chociaż ogarniające ją przerażenie było raczej zimne, czuła jego chłód od chwili spotkania w parku. Może właśnie lód tego strachu chciała roztopić pod gorącym prysznicem. Mężczyzna w parku zachował się nieuprzejmie i uszczypliwie – on nie prosił o wskazówkę, on jej żądał – ale jednak nie był to dostateczny powód do tak panicznej ucieczki. Poza tym, jeżeli chciała być ze sobą zupełnie szczerą, musiała przyznać, że zaczęła uciekać, zanim nieznamy w ogóle się odezwał.

Obcy mężczyzna w pustym parku może stać się przyczyną pewnego niepokoju, ale nie aż tak gwałtownej reakcji, zwłaszcza za dnia. Zachowała się jak rozhisteryzowana nastolatka. Czy fakt, iż przypominał, a może nawet był wręcz modelowym typem mrocznego faceta, mógł tłumaczyć jej przerażenie? Przystojny i niebezpieczny – jaka kobieta oprze się takiej mieszance? Dziewczęca fascynacja? Tak, może właśnie to jej się przytrafiło: mocno spóźnione wiosenne zauroczenie. Bez względu jednak na przyczyny, nie zachowała się jak rozsądna dwudziestoczteroletnia kobieta, ale jak nieśmiałe dziewczę, które zobaczyło smoka. Jednak jej reakcja była zbyt instynktowna, zbyt autentyczna, by mogła ją zlekceważyć. I to tak naprawdę przerażało Julię. Ów mężczyzna stanowił raczej symbol wszystkiego, przed czym uciekała przez całe życie, a nie rzeczywiste zagrożenie. Jej opanowanie, nieprzystępność, narzucona sobie dyscyplina okazały się wyjątkowo kruchą fasadą, naruszoną już nieco przez scysję ze stryjem.

Może więc niepotrzebnie zawsze ukrywała swoje emocje? Unikała towarzystwa, wybierając bezpieczną samotność, tylko dlatego że nie potrafiła uwierzyć w siebie i bała się ryzyka, jakie niosą ze sobą kontakty z innymi ludźmi. I po co? Żeby teraz przekonać się, że i tak nie uchroniło jej to przed gwałtownymi odczuciami, których ani nie rozumiała, ani nie pragnęła? Irracjonalny strach i niejasne oczekiwanie, niepewność, przyspieszone bicie serca, kurczowo zaciśnięte dłonie – wszystko to wprawiało ją w nieustające drżenie i budziło nieznaną dotąd niepokój. „Wychodzi na to, że swoją posuniętą do przesady ostrożnością wyrządziłam sobie więcej szkody niż pożytku. I co ja mam teraz z tym zrobić?”

Raptownie zakręciła kurek i wyszła z kabiny. Stała nago przed olbrzymim, zajmującym prawie całą ścianę łazienki lustrem, które było chyba jedyną ekstrawagancją w jej uporządkowanym życiu.

Patrzyła w skupieniu na swoje zaczerwienione ciało: drobne piersi, pełne biodra, silne ramiona, długą szyję, smukłe nogi. „Tak, nogi masz całkiem niezłe. Twarz...” – Spojrzała prosto w oczy dziewczynie z lustra.

– Bez dwóch zdań jesteś zwyczajna, taka cholernie zwyczajna – mruknęła. Przesunęła wolno palcem wskazującym przez czoło, nos, aż do podbródka. „Może każdy element z osobna byłby interesujący, zwłaszcza u kogoś innego – rozmyślała beznamiętnie. – Razem, hm... nic ciekawego”.

Poczuła dreszcze i owinęła się dużym ręcznikiem kąpielowym. Już dawno temu pogodziła się ze swoim wyglądem, z tym, że nie jest kobietą, za którą mężczyźni szaleją. Z drugiej strony nie robiła nic w tym celu, aby ich choć trochę

sobą zainteresować, czy nie dać Boże zachęcić. Uważała się za klasyczny przykład starej panny: zamknięta w sobie, powściągliwa i zakompleksiona. Toteż rozważania przed lustrem nie wpłynęły na nią bardziej frustrująco niż zwykle. Nie była może piękną, ale i ona miała swoje plusy: zgrabne nogi, szczupłą figurę i gęste, jasne włosy. Jednak nie potrafiła się z tego cieszyć, tak jak nie napawał jej radością fakt, iż jest kobietą. Po prostu nie czuła się nią w pełni, do czego w dużym stopniu przyczynił się Trevor. Zniszczył jej nieśmiałość, zaledwie kiełkującą kobiecość, podkopał jej wiarę w siebie, w to, że może się komuś wydawać atrakcyjna i pociągająca.

Owinięta ciasno ręcznikiem wślizgnęła się do łóżka w swojej maleńkiej sypialni, niespecjalnie przejmując się długim i dokładnym wycieraniem. Uwielbiała zasypiać w miękkim, włochatym ręczniku, pod ciepłą kołdrą, z paczką chipsów pod ręką. Chrupanie w ciemności miało w sobie coś uspokajającego, nawet kosztem okruszków w łóżku. Leżała z zamkniętymi oczami, gryząc chipsy. Otulona ciepłem i nocą, odprężała się i zastanawiała. Mogła spędzić kolejne dni na liczeniu każdej nowej chwili pełnej nieznanego do tej pory strachu. Mogła spróbować rozwiązać zagadkę, jaką stanowiła dla samej siebie, albo po prostu się z nią pogodzić. Dużo i mało jednocześnie. A gdyby tak poświęciła trochę czasu na coś innego niż jałowe rozmyślenia i bezcelowe zamartwianie się? Gdyby dała sobie nieco wytchnienia, zabawy, ofiarowała trochę szaleństwa? Czy starczyłoby jej odwagi? I czy spodobałaby się jej ta nowa Julia? Bardziej otwarta, rozmowna, poznająca smak, choć na początek może raczej „smaczek” ryzyka, nieco weselsza, szczęśliwsza...

Niemożliwe, żeby to było aż tak proste – zwyczajnie zdecydować się, odważyć i już, po kłopotcie. „Trochę szaleństwa? Łatwo powiedzieć! – krzyknęła w duchu. – Nie mam zielonego pojęcia o zabawie, a co tu dopiero mówić o szaleństwie, nawet całkiem skromnym. Boże, nie umiem się nawet dobrze ubrać i umalować!”. Co prawda nigdy specjalnie jej na tym nie zależało, bo i dla kogo miałyby się stroić – dla stryja, dla siebie? „Dla siebie...” – powtórzyła w myślach. Otóż to! Najwyższy czas zrobić coś tylko dla siebie, dla własnej przyjemności.

Poczuła niespodziewany przypływ energii. „Teraz już nie zasnę. Jestem zbyt... zbyt...” – Julia nie wiedziała jak nazwać ten stan niezwyklej euforii i podniecenia, jaki ją ogarnął. Dlatego zrezygnowała z wszelkich określeń i po prostu cieszyła się chwilą.

Ubrana w stary, powyciągany dres, Julia w środku nocy zawzięcie szorowała kafelki. Łazienka była ostatnia na jej liście. Dzisiaj mogłaby posprzątać pięć takich mieszkań jak jej własne, ale musiała zadowolić się tym, co miała, a niewiele tego było. Mała sypialnia mieściła tylko łóżko, nocny stolik, szafę i garderobę rozmiarami przypominającą raczej dziuplę wiewiórki.

Salon połączony z kuchnią był pokojem do wszystkiego; pośrodku znajdowała się kanapa, przed nią stolik i dwie pufy, pod oknem stał stół, cztery krzesła, a nieco z boku komoda – wszystko to oddzielone zostało od aneksu kuchennego dwoma solidnymi regałami. Był także mały kominek (bardziej dla ozdoby niż do użytku), na którym postawiła fotografię rodziców z ich podróży poślubnej oraz zegar z pozytywką. Na ścianach wisiały tylko dwa obrazy: portret Julii podarowany jej przez matkę na dziesiąte urodziny i karykatura narysowana przez ojca, na której mała Julia w stetsonie zsuniętym na tył głowy i w kowbojkach z ostrogami ujeżdża jakąś rachityczną chabetę, do złudzenia przypominającą stryja Claya.

Nie przejmując się małą powierzchnią mieszkania, Julia poustawiała rośliny wszędzie, gdzie się dało: na parapecie, podłodze, kominku i komodzie, na regałach, a nawet w kuchni; stały w ceramicznych doniczkach i kolorowych wazonach, w butelce o interesującym kształcie i starej wazie do zupy, w lekko przeciekającym dzbanku, nienadającym się już do parzenia herbaty, i fajansowym kubku z nadtłuczonym brzegiem. Julia nie podzielała pasji stryja do kaktusów, ale za to uwielbiała fiołki afrykańskie, fikusy oraz wszelkiego rodzaju bluszcze. A chryzantemy, astry i piwonie po prostu kochała. I choć widok więdnących, opadających płatków był smutny, bo miał w sobie jakąś nieodwołalność, nigdy nie umiała się oprzeć, by po wyrzuceniu starych (i minięciu przykrego poczucia winy) wstawić do wazonu nowe, świeże kwiaty. Obfitość i różnorodność miękkich płatków oraz bogactwo soczystych, zdecydowane określonych kolorów kontrastowały z jasną urodą dziewczyny, z jej spokojnym charakterem, niewinnością i nieśmiałym, nieco sztywnym sposobem bycia. Może dlatego tak bardzo fascynowały ją właśnie te kwiaty.

Lustro w łazience, niewielka sypialnia, salon, dwa obrazy, kilka sprzętów, kwiaty... To wszystko. Niedużo, ale każdy przedmiot miał tu swoje miejsce i czynił to mieszkanie domem, który Julia mogła nazwać własnym.

Zmęczona usiadła na kanapie, opierając stopy o rant stolika, i obrzuciła pokój roztargnionym spojrzeniem; ciągle trzymała ściereczkę, którą przed chwilą przecierała lustro w łazience. „Powinnam jeszcze wytrzeć kurze i podlać kwiaty,

ale... może później” – zdecydowała w nagłym przypiływie lenistwa. Jej wzrok powrócił bezwiednie do ściany nad kominkiem. Nie musiała odwracać ani nawet zbytnio odchyłać głowy, by patrzeć wprost na obrazy. Były dobre, bardzo dobre. Nie powinno jej to dziwić. Maria była uznaną malarką, Steven natomiast równie cenionym dziennikarzem jak rysownikiem. Matka rzadko malowała portrety, uważając, że trudno znaleźć naprawdę dobry model, a ojciec był wyjątkowo kapryśny w kwestii rysowania. Tak więc portrety autorstwa matki oraz niesamowicie trafne, choć bardzo złośliwe karykatury, którymi czasami okraszał swoje reportaże ojciec, wprost rozchwytywano. Julia musiała dorosnąć, by tak naprawdę docenić talent swoich rodziców.

Coś się jednak nie zgadzało. Oba obrazy przedstawiały Julię. Może to był zwykły gest z ich strony, chęć sprawienia przyjemności córce lub sposób na okazanie, że choć są daleko, nadal o niej myślą. Bardzo długo tak właśnie uważała, ale ostatnio nie miała już takiej pewności.

Na karykaturze ojca to była ona i nie ona, stryj, a jednak nie stryj; bo przecież ta zuchwała, roześmiana i triumfująca dziewczynka nie mogła być nią, a ta stara, zmęczona, końska twarz o pustych oczach na pewno nie była twarzą Claya MacAlistera.

Rysunek przeleżał wiele lat głęboko schowany w szufladzie. Kiedy Steven im go pokazał, stryj wybuchnął śmiechem, a Julia nie mogła powstrzymać łez, które wolno spłynęły po jej bladych policzkach. „Nigdy nie będę taka jak ona. Nie potrafię. Nigdy nie będę taką córką, jakiej tata pragnie” – myślała z rezygnacją. Widząc reakcję córki, Steven wzruszył ramionami i chyba poczuł się urażony, a Clay po prostu ukrył rysunek w swoim biurku. To zastanawiające, że przypomniała sobie o nim dokładnie tego samego dnia, kiedy zerwała z Trevorem; tego samego dnia, kiedy zdecydowała, że najwyższy czas się wyprowadzić. Całe to niesmaczne zajście z jej niedoszłym narzeczonym miało przynajmniej jeden plus: Julia zrozumiała, że musi rozpocząć własne życie, a nie wciąż chować się za plecami stryja. Nie może wiecznie być jego małą bratanicą – musi mieć swój dom, swoją pracę, swoich znajomych i przyjaciół. Z tymi przyjaciółmi niezupełnie wyszło, ale cała reszta... Wróciła wówczas do domu i jednym tchem powiedziała, że się wyprowadza i że chciałaby zabrać swoją karykaturę, tę starą, rysowaną przez ojca. Stryj nie okazał zdziwienia, może od dawna na to czekał. Tak samo jak czternaście lat temu, gdy bez słowa i z twarzą bez wyrazu chował rysunek do szuflady, teraz również w milczeniu i z kamienną miną wyciągnął go i podał Julii.

Patrząc później na udręczoną, przegraną szkapinę, widziała w niej, nie bez

pewnej przyjemności, swojego oszukańczego ukochanego i już nawet nie miało specjalnego znaczenia, kto jest ową ujeżdżającą go amazonką; mógł to być ktokolwiek, choćby i Stella, byle Trevor dostał nauczkę.

Czternaście lat wcześniej nie pojęła idei rysunku ojca. Widziała tylko uosobienie niespełnionego marzenia o tym, jaką chciała być. Marzenia – jak sądziła – również jej ojca. Zapomniała albo raczej jako dziecko nie zdawała sobie sprawy z tego, że Steven MacAlister – wybitny dziennikarz i karykaturzysta – musiał być przede wszystkim wnikliwym obserwatorem. Jego rysunek nie był zwykłą złośliwością. Ojciec już wtedy wiedział to, co ona zrozumiała dopiero po latach: okiełznanie przez beztroską dziewczynkę z obrazu nędznej chudej szkapę było niczym w porównaniu ze zwycięstwem prawdziwej Julii. Obłąskawiła i pokonała stryja. Na początku zapewnił jej troskliwą opiekę, która wypływała bardziej z litości i poczucia obowiązku niż jakichś innych uczuć. To ona sama zmusiła w końcu zatwardziałego starego kawalera do ofiarowania sobie nie tylko miejsca w jego domu, ale także w jego życiu, myślach i sercu. Pokonany, ofiarował jej całą swoją miłość i taką czułość, o jaką nikt by go nie podejrzewał.

O ile rysunku ojca przez wiele lat nie chciała w ogóle oglądać, o tyle obraz matki towarzyszył Julii od chwili pojawienia się w jej życiu. Wisiał nad dziewczęcym łóżkiem w sypialni w domu stryja i zabrała go ze sobą do nowego mieszkania, ale tak naprawdę nigdy na niego nie patrzyła. Czowała podświadomie, że zawiera prawdę, której się obawiała. Znała na pamięć najmniejsze muśnięcie pędzla, ale nigdy nie odważyła się spojrzeć w swoje oczy patrzące na nią z obrazu. Teraz jednak, jeżeli raz na zawsze chciała rozliczyć się z przeszłością, jeżeli pragnęła pomóc sobie samej, musiała się dowiedzieć, co skłoniło matkę do namalowania portretu córki.

Dotknęła dłonią chropawej powierzchni obrazu. Przesunęła delikatnie opuszkami palców po zarysie dziecięcej twarzy. Dziewczynka była smutna. Obie były smutne. Dziewczynka i kobieta. I wtedy, i teraz. Zamarła w pół kroku, w pół gestu. Do kogo wyciągała ręce, kogo chciała objąć? Siebie samą po latach? Może malarzkę, a może każdego, kto umiałby ją pocieszyć? I dlaczego zrezygnowała, czemu ramiona zamiast się unosić, opadły bezradne, nieufne i puste?

Samotność. Oto, co dostrzegła Maria w swojej córce. Zaboląło. „Dlaczego, mamo?! Dlaczego mnie opuściłaś, skoro wiedziałaś? A ty, tato?! Czemu zamiast was obojga miałam tylko stryja Claya?”

I nagle – jakby otwarła zamknięte na głucho drzwi – zrozumiała, uwolniła

się i wyszła na światło. Wiedziała już, dlaczego rodzice namalowali te obrazy. Musieli. Żaden prawdziwy artysta nie mógł przejść obojętnie obok tajemnicy, jaka tkwiła w Julii, jaką była ona sama. Jej niewinna siła zafascynowała takiego cynicznego kpiarza jak Steven, a silne, choć głęboko ukryte uczucia oczarowały Marię. Dlaczego więc, mimo zrozumienia wypływającego z ich artystycznej wrażliwości, nie potrafili się zdobyć na nic więcej prócz podarowania jej tych portretów? Przecież była ich córką! Teraz odpowiedź zdawała się taka prosta. Nie umieli inaczej. Ofiarowali jej swoje prace i cztery lata ze swojego życia – to wszystko, co mogli jej dać. Musieli wyruszyć w dalszą drogę, a ona im... przeszkadzała, zatrzymując przy sobie, przywiązując do jednego miejsca. Zostawiając córkę u MacAlistera, zatroszczyli się o nią najlepiej, jak potrafili. Egocentryczni, kapryśni i niecierpliwi, nie rozumieli takich słów jak odpowiedzialność czy obowiązek – po prostu nie nadawali się na rodziców i szybko zdali sobie z tego sprawę. Mieli pieniądze, pozycję, uznanie, ale wiedzieli, że nie są w stanie zapewnić Julii tego, co najważniejsze: domu, prawdziwej rodziny i poczucia bezpieczeństwa. W ich mniemaniu odchodząc, wyświadczyli jej przysługę.

I to, czy sytuacja ich przerosła, czy przestraszyli się długotrwałego zobowiązania, czy tylko się nim znudzili i czy w ogóle kochali Julię – przestało być już takie ważne. Nie chodziło tu bowiem wyłącznie o nią. To Steven i Maria byli inni – wieczni wędrowcy, tułacze, artyści, niespokojne duchy. Świat ich przywoływał, nęcił, obiecywał... Od lat żyli razem, w układzie między nimi brakowało miejsca dla kogokolwiek innego – nawet dla córki. Julia wreszcie to rozumiała. Pojęła, kim byli Maria i Steven, i kim na pewno nigdy by się nie stali. Jako dorosła kobieta ich rozumiała, ale nadal nie umiała wybaczyć. Tamto opuszczone dziecko pozostanie w niej już chyba na zawsze. Zrozumieć nie znaczy przecież wybaczyć, ale przynajmniej mogła wreszcie odetchnąć, darować sobie niepopelnione grzechy i uwierzyć, że jeżeli się mocno chce, każde drzwi można otworzyć.

ROZDZIAŁ 3

W świetle dnia wszystko niestety wyglądało inaczej. Mimo wczorajszych długich przemyśleń i odważnych postanowień, pomimo szeroko otwartych drzwi, które teraz zdawały się tylko lekko uchylone, Julia znowu czuła się zagubiona i niepewna. Starła się tego nie okazywać, ale obawiała się, że nie da rady uprzejmie obsługiwać klientów z przyklejonym do twarzy zachęcającym uśmiechem.

Ich galeria nie należała do zbyt okazałych, toteż dwie osoby w zupełności wystarczały do jej prowadzenia, choć akurat dzisiaj Julia nie była zbyt zachwycona tym faktem. Oznaczało to bowiem, że nikt nie mógł jej zastąpić i nie mogła się stąd wyrwać bez konkretnego wytłumaczenia, a wiedziała, iż Sunny nie da się zbyć byle czym. Nie miała też co liczyć na to, że nikt nie przyjdzie. Sklep znajdował się w dobrym punkcie i zdążył już zdobyć sporą klientelę. Można było u nich znaleźć prawie wszystko, co w jakiś sposób wiązało się ze sztuką, w szerokim znaczeniu tego słowa; obrazy i artystyczne pocztówki, ubrania i gobeliny, biżuterię i rzeźby, ręcznie wykonane lampy i haftowane obrusy... Coś przybywało, coś innego znikało, przez co sama galeria wciąż się zmieniała. Niektórzy przychodzili tu na zakupy, inni po prostu z ciekawości. Nie miały nic przeciwko temu, choć Sunny narzekała czasami: „Boże, strzeż nas przed zbytnią ciekawością ludzką!”, kiedy jakiś wyjątkowo namolny klient wypytywał niemal o każdą rzecz w galerii, z dokładnością godną co najmniej poborcy podatkowego. Oczywiście tacy klienci niczego nie kupowali.

Julia znalazła to miejsce, kiedy szukała dla siebie mieszkania. Lombard, który się tu przedtem znajdował, został wystawiony na sprzedaż. Nie miał tutaj racji bytu – powstał, kiedy wokół były głównie domy mieszkalne, a teraz, wskutek rozbudowy centrum, tylko straszyl elegancki i wysublimowany świat City. Natomiast na realizację pomysłu Sunny miejsce to nadawało się idealnie. Mimo wszystko nadal było to raczej obrzeże, a nie sam środek tego wielkiego „młyńskiego koła”, z jego bankami, milionowymi kontraktami, sportowymi samochodami oraz najnowszą modą. Nie miały ochoty rywalizować ze wspaniałymi salonami sprzedaży czy domami aukcyjnymi, nie chciały też zniechęcać tych bardziej zwyczajnych, mniej światowych klientów. Jednak tak się jakoś złożyło, że ich galeria, którą regularnie odwiedzały starsze panie z sąsiedztwa i znajome dzieciaki z okolicy, stała się czymś w rodzaju miejsca pielgrzymek dla znudzonych bogaczy, wiecznie szukających czegoś nowego dla towarzystwa i podążających ich śladem snobów. No cóż, ich Crazy Gallery była w modzie.

Kiedy po raz pierwszy Julia usłyszała rzuconą jakby mimochodem propozycję Sunny, aby wspólnie otworzyły jakąś – przyjaciółka nie precyzowała konkretnie jaką – galerię sztuki, była tak zaskoczona, że nawet zapomniała z miejsca odmówić. Zaś argumenty Sunny okazały się wcale logiczne; zwłaszcza że Julia nie miała żadnych innych planów na swoją dość nieciekawie zapowiadającą się przyszłość, oprócz bezkonfliktowego przebrnięcia przez szkołę plastyczną, do której właśnie uczęszczała.

Co do Sunny, to chyba nawet ona sama nie miała pojęcia, co w danym momencie studiuje. Zmieniała kierunki jak rękawiczki; wybierała wykłady, kierując się ciekawym tytułem albo oryginalnym nazwiskiem prowadzącego, po czym zaliczała je w ekspresowym tempie i z notą najwyższą z możliwych. Sunny była po prostu... Sunny.

– Słuchaj, to jest świetny pomysł! W każdym razie najlepszy, jaki miałam ostatnio! – zapewniała, podskakując na jednej nodze. Przypominała Julii wróbla, rudego wróbla; nigdy nie mogła ustać spokojnie w jednym miejscu, ciągle musiała czymś ruszać: nogą, ręką, głową, a najczęściej ustami.

– No nie wiem – bąknęła Julia. – Co niby ja miałabym tam robić? Nie bardzo się nadaję na bizneswoman – powątpiewała.

– Biznesem to ja się zajmę; promocją, rachunkami i całym tym kramem. Ty byś wyszukiwała towar, rozmawiała z artystami i pięknie się uśmiechała. To nic trudnego. Po prostu pestka, nawet dla ciebie – perorowała jej podskakująca przyjaciółka.

– Pestka? Czy ty trochę nie przeceniasz moich możliwości?

– Skądże! Poza tym nie ukrywam, że prócz koniecznego artystycznego wyczucia, posiadasz, równie konieczny, kapitał – szczerze stwierdziła Sunny. – Chyba że masz jakieś inne plany co do swojego spadku.

Obie wiedziały, że Julia nie ma żadnych innych planów. Co prawda większość majątku jej rodzice przepuścili w trakcie rozlicznych podróży, ale co nieco pozostało. Steven i Maria, podobnie jak ich córka, choć z innych powodów, nie przywiązywali wagi ani do pozycji towarzyskiej, ani do pieniędzy. W istocie jednak – Julia nie była biedna.

Później sprawa jakby się rozmyła, chociaż Julii, mimo wcześniejszej niechęci, nie dawała spokoju. Kiedy więc zdecydowała się na przeprowadzkę, kolejnym logicznym krokiem wydała jej się – mocno co prawda spóźniona, ale zawsze – zgoda na rozpoczęcie wspólnego interesu z Sunny. A znalezienie idealnego lokalu stało się owym decydującym punktem zwrotnym. Reakcja Sunny była bardzo entuzjastyczna; seria skoków i okrzyków przypieczętowała ich dalszą współpracę.

Julia ciężko westchnęła i spojrzała na zegarek: za pięć minut otwierają. Jeszcze raz krytycznie przyjrzała się wystawie, na której właśnie zmieniła dekorację. Czarną balową suknię z aksamitu szerokim rękawem obejmował kolorowy, skórzano-wełniany sweter; porcelanowy serwis do kawy na dole oraz dwie buchające czerwienią i złotem akwarelki u góry; figurka smukłej dziewczyny wykonana z brązu przyglądała się ze smutnym uśmiechem kolekcji ciężkiej srebrnej biżuterii. Pomieszanie z poplątaniem, czyli „mydło i powidło”, jak to w skrócie określała Sunny, co jednak doskonale odzwierciedlało niepowtarzalną atmosferę panującą w ich sklepie.

Julia odruchowo wygładzała nieistniejące zmarszczki na sukni – naprawdę nic więcej nie miała tu do roboty, nawet filiżanki idealnym kołem otaczały wysmukły dzbanek.

– Te wystawy – stwierdziła z przekąsem – to są jedyne dzieła sztuki, jakie jestem w stanie stworzyć z tym moim nieodziedziczonym talentem i papierem rzemieślnika. – Bo za taki właśnie uważała swój dyplom ukończenia szkoły plastycznej.

Kate Sweetheart, dla wszystkich krewnych i znajomych (a było ich naprawdę wielu) po prostu Sunny, patrzyła na swoją współpracowniczkę, marszcząc brwi. Nie wiedziała, czy Julia mówi do niej, czy tylko do siebie. Przez cały ranek prawie się nie odzywała; bąknęła tylko „dzień dobry” i zaraz wzięła się za wystawę. Coś było nie tak. Co prawda Julia jak zwykle sprawiała wrażenie jedynej oazy spokoju pośród wzburzonych fal oceanu życia (Kate uwielbiała wzniosłe słowa i dramatyczne gesty), ale nawet gdyby nie telefon, który wyrwał ją ze snu bladym świtem, Sunny domyśliłaby się, że na coś się zanosi.

O szóstej rano zadzwonił do niej stryj Julii i zaczął coś pleść piąte przez dziesiąte. Pomimo tak barbarzyńskiej pory w końcu zdołała wychwycić

z chaotycznej wypowiedzi Claya MacAlistera elektryzujące słowa „stara panna”, „zmarnowane życie” i że ktoś, przypuszczalnie Julia, „zachowuje się głupio, dziecinnie i w ogóle bez sensu”. Kiedy odłożyła słuchawkę, nie miała już ochoty na spanie. „Czeka mnie dzisiaj ciężki dzień” – pomyślała. Z trudem zwlokła się z łóżka i poczłapała do kuchni, by sprawdzić, czy ma wystarczającą ilość kawy.

Teraz przyglądała się sztywnym plecocom Julii z coraz większym zniecierpliwieniem i rozczarowaniem. „Czemu ona nic nie mówi! – złościła się w myślach. – Przecież wie, że może na mnie liczyć. W końcu po to ma się, do diabła, przyjaciół, żeby z każdym problemem, małym czy dużym, nie latać zaraz do psychoanalityka”. Wreszcie nie wytrzymała i postanowiła działać.

– Co się dzieje, mała? No, zwierz się swojej najlepszej i jedynej zresztą przyjaciółce. – Bezpośredniość Kate uchodziła wręcz za przysłowiową. Chyba tylko tortury mogłyby ją powstrzymać od mówienia, a i to nie na pewno.

Ręce Julii znieruchomiały nad swetrem, który mimo wszystko chciała poprawić, chyba po raz setny. Przywołując na pomoc całe swoje opanowanie, odwróciła się i uśmiechnęła zdawkowo.

– Wiesz, ten sweter to prawdziwe dzieło sztuki współczesnej. Jest może ekstrawagancki, żeby nie powiedzieć wariacki: skóra z wełną i te wszystkie pióra, cekiny, wstążeczki... No, a kolory... Naprawdę niesamowite, ale... – przekrzywiła głowę w udanym zastanowieniu – myślę, że pasowałby do ciebie.

– Dziękuję bardzo. – Sunny westchnęła teatralnie i uniosła w górę ramiona, jakby przywołując niebiosy na świadka. – A więc tak mnie widzisz?! Dziękuję bardzo po raz wtóry. Ale, ale... – Kate wyciągnęła oskarżycielsko palec w jej stronę – nie zwódź na manowce mojej niezemskiej intuicji. Swoim zwierzęcym instynktem wyczuwam podstęp. Wijesz się, wijesz jak piskorz. Co jest grane? Przecież nie jestem ślepa. Jesteś spięta, na granicy wybuchu. Czuję się jak saper przed odbezpieczoną bombą. Tykasz, moja mała, tykasz cichutko, ale ja cię słyszę. Gadaj więc, o co chodzi!

Julia naprawdę próbowała zachowywać się jak zwykle, ale Sunny istotnie miała wielką intuicję. Już wcześniej zdawała sobie sprawę, że pod pozorem egzaltacji, nadmiernej elokwencji i przerażającej czasami bezpośredniości kryje się prawdziwa Sunny: wrażliwa, współczująca, a także inteligentna i, kiedy trzeba, twarda kobieta interesu; w końcu to Sunny, tak jak obiecała, zajmowała się rachunkami, podatkami i całą tą czarną magią finansów, która Julię przyprawiała

o dreszcz obrzydzenia.

Poznały się w koledżu. Były jak dwa przeciwległe bieguny. Sunny – pogodna, niewysoka, z szopą rudych włosów i wiecznie roześmianymi niebieskimi oczami, zawsze w centrum wszelkich wydarzeń, otoczona wianuszkami przyjaciółek i gotowych na każde skinienie chłopców. I Julia – niepozorna, poważna, zawsze gdzieś z boku, sama, nikomu niepotrzebna. A jednak wytworzyła się między nimi jakaś nić porozumienia, ogniwo sympatii. Trudno było to wtedy nazywać przyjaźnią, bo przecież prawie ze sobą nie rozmawiały – uśmiechały się tylko do siebie, jakby posiadały jakąś wspólną tajemnicę. A teraz od trzech lat razem pracowały, wiele godzin spędzały ze sobą, naradzając się, planując i zwyczajnie rozmawiając.

Kate była jedyną prócz MacAlistera osobą, która nie zważała na mur, jaki Julia wzniosła wokół siebie, i parła do przodu z siłą i wdziękiem czołgu. W taki właśnie „militarny” sposób Sunny wyciągnęła od niej wszelkie informacje na temat Trevora. Gdy tylko zaczęła coś podejrzewać, Julia trafiła pod nieustający ostrzał – przyjaciółka bombardowała ją pytaniami i domysłami. W końcu dowiedziała się wszystkiego, co chciała wiedzieć: kim jest Trevor, co jej zrobił i dlaczego od tej pory Julia nie ufała mężczyznom. Mimo wszystko jednak nie potrafiła się teraz zdobyć na szczerość. Znowu spróbowała się wykręcić.

– Może masz rację. Jestem trochę spięta, ale to chyba z przemęczenia. I ta pogoda... Może złapałam jakiegoś wirusa? A do tego jeszcze stryj... Byłam wczoraj u niego. Chyba trochę dokucza mu samotność.

– Samotność?! – Kate parsknęła i lekceważąco wzruszyła ramionami. – Ten arogancki doktor nawet nie wie, co to słowo znaczy.

Julia sama czuła, że jej wyjaśnienia są raczej mało przekonujące, a poza tym nie umiała kłamać.

Kate spojrzała na nią z wyrzutem. Podeszła bliżej okna i objęła się ramionami, próbując opanować nagły przypływ rozgoryczenia. Nie trwało to jednak długo. Kate Sweetheart nie lubiła rozczulać się nad sobą i po chwili zupełnie inne uczucia wzięły w niej górę. Odwróciła się gwałtownie i wycedziła ze złością:

– Niech to jasny szlag! Myślisz, że kim ja jestem? Jakąś sensatką?! Plotkarką, która szuka nowych tematów? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Jak ty

mnie, do jasnej cholery, traktujesz?! Znamy się nie od dzisiaj i przez te wszystkie lata próbowałam, cegła po cegle, rozwalić to więzienie, w którym się zamknęłaś z własnej woli. Staralam się. Bóg mi świadkiem, że się starałam. I po co?! Żebyś teraz zbywała mnie jakimiś bzdurami?! Za kogo ty się uważasz? – Spojrzała na Julię prawie z pogardą. – Za jakąś kretyńską samotną wyspę, czy co?! – Sunny chodziła szybko po sklepie w tę i z powrotem, prawie biegała i gestykulowała tak gwałtownie, jakby walczyła z niewidzialnym wrogiem. Teraz jej palec wycelowany był prosto w Julię.

– Odpowiedz mi – wykrzyczała z głębi serca – czego ty właściwie chcesz?! Czy do końca życia chcesz być taką ofiarą losu? Nikomu nie ufać, w nikogo nie wierzyć, nawet w siebie?!

Julia stała jak porażona. Najpierw stryj, teraz Sunny. Nie była w stanie się ruszyć, a jej zdrętwiałe wargi zdobyły się tylko na chrapliwy szept:

– Nie! Nie...! To nie tak...

Ale Sunny nie słuchała.

– Myślisz, że jestem ślepa, że nie widzę, co się dzieje?! Miałam nadzieję, że wspólna praca nas zbliży i byłam pewna, że się udało. Ale nie. Nam się nie udało. Galeria odniosła sukces. Ale nam, tobie i mnie, nie udało się. Masz problem i znowu zamykasz się w sobie. Twój stryj dzwonił, ale nie przypuszczam, żeby cotygodniowa pogadanka starego MacAlistera mogła aż tak wytrącić cię z równowagi. – Zrezygnowana pokręciła głową. – Mam ochotę przełożyć cię przez kolano i wrzepić kilka solidnych klapsów. – Sunny westchnęła ciężko i spojrzała na Julię, ale w jej twarzy nie znalazła oczekiwanego chłodu czy choćby zmieszania tą nagłą otwartością. Dotknęła mokrego policzka dziewczyny. Jedna łza, druga; i następna, i jeszcze jedna... Julia płakała, bezgłośnie, bezradnie.

– Ej... – powiedziała cicho Kate.

Julia chwyciła jej dłonie i ścisnęła mocno. Słowa Sunny podziały na nią jak katalizator. Ale co miała jej powiedzieć? Że ma dość jałowego i samotnego życia? Przecież Sunny rozumiała bezsens jej postępowania dużo wcześniej niż ona sama. Miała jej opowiedzieć o spotkaniu w parku, chociaż sama nadal nie wiedziała, co o tym myśleć? O obrazach wiszących na ścianie jej salonu? Co miała powiedzieć, jak to wszystko wytłumaczyć?

– Przepraszam – szepnęła rozpaczliwie. – Przepraszam, Sunny. Proszę, wybacz mi. Ja... ja po prostu... – Rozszlochała się i ukryła twarz w dłoniach.

– Wiem, wiem... Ty po prostu wróciłaś do starych nawyków. Zapomniałaś, że nie tak łatwo mnie oszukać. – Sunny przytuliła Julię. – Cicho, już dobrze. – Odsunęła ją lekko od siebie i spojrzała w zapłakane zielone oczy. – Powiedz mi, powiedz, co cię męczy?

– Jestem taka przerażona. Zupełnie nie wiem, co robić. Jak odzyskać stracony czas? Może już za późno? Wczoraj wydawało się to takie proste: znaleźć trochę czasu dla samej siebie. Ale teraz nie wiem... Tak się boję, tak bardzo... Myślałam... Nie wiem, co myślałam. Ten mężczyzna...

Zwierzenia – bezładne i niepewne słowa – wylewały się z Julii nieprzerwaną falą. Sunny milczała. Słuchała, nie chcąc przerywać nieskładnego opowiadania, ale też po raz pierwszy w życiu nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. W końcu obie płakały, tuląc się do siebie, szukając nawzajem pocieszenia w bliskości drugiego człowieka.

– Dziękuję, że pozwoliłaś mi się wygadać – powiedziała już spokojna Julia i otarła twarz dłońmi.

– Raczej zmusiłam cię do tego. – Sunny głośno wydmuchała nos w ogromną chustkę.

– Na jedno w końcu wychodzi. Dziękuję ci.

– Przestań! Nie masz za co mi dziękować. Bądź ze mną szczerą i pozwól sobie pomóc, to wszystko, czego chcę. Możliwe, że to dużo, zwłaszcza dla ciebie, ale... – Sunny uśmiechnęła się nieco złośliwie – przyjaźń zobowiązuje. Zresztą, jakby co, to działa w obie strony.

Julia poczuła się skarcona i zaczerwieniła się jak pensjonarka, a jednocześnie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Sunny już doszła do siebie i jak zwykle zaczęła się rządzić. Właściwie była jej za to wdzięczna.

– Naprawdę stryj dzwonił do ciebie? Ale po co? Nie rozumiem...

– Pomijając fakt, że obudził mnie w środku nocy i z właściwą sobie bezczelnością nawet za to nie przeprosił, że gadał trzy po trzy, a o tobie

wypowiadał się raczej mało pochlebnie, to myślę, że po prostu martwi się o ciebie.

– Martwi się? O mnie? Kochany stryjasek... – Julia wyraźnie się rozczuliła.

– Kochany?! Paradne. Zupełnie jakbyś powiedziała, że ludożercy mają po prostu duży apetyt. Ale wracając do tematu, postanowione, chcesz zaszaleć. – Kate przechadzała się po sklepie szybkimi krokami.

– Zaraz tam zaszaleć... – zaprotestowała nieśmiało Julia, ale niezrażona Sunny ciągnęła dalej.

– Musimy zaplanować całą batalię. Przygotować plan twojego powrotu do prawdziwego życia. Ale najpierw pójdziemy do łazienki i doprowadzimy się do porządku. W każdej chwili ktoś tu może wejść, a z tymi czerwonymi oczami wyglądamy jak króliki. Myślę, że najlepiej będzie, jak dzisiaj urządzimy sobie dzień wolny i pójdziemy gdzieś pogadać.

– Ale klienci... – zaproponowała Julia.

– A co tam, wywiesimy tabliczkę. – Sunny skrzywiła się pocieszenie.

– No tak, jeden z twoich sławetnych napisów... – Julia westchnęła z rozbawieniem.

Sunny zrobiła kilka wywieszek dość szczególnej treści: „Zamknięte z powodu słoty”, „Nieczynne z powodu grasującej chandry”, „Przyczyną chwilowego, powtarzamy, chwilowego zamknięcia jest napad wyjątkowo złośliwej czkawki” i jeszcze kilka nie mniej intrygujących. Julia obawiała się trochę, że odstraszą tym klientów, ale było wręcz przeciwnie – tabliczki przyciągały gości, ciekawych tak ekscentrycznych właścicielek.

Siedziały w małej kafejce naprzeciwko Crazy Gallery. Julia zamówiła tylko kawę, a Sunny – kawę, piwo i sałatkę wiosenną. W to, co sałatka wiosenna mogła zawierać jesienią, Kate nie wnikała, a Julia wolała się nie domyślać.

– Nie rozumiem twoich oporów – mówiła zaaferowana Sunny. – Przecież to jest właśnie doskonała okazja. Zabawisz się, poznasz nowych ludzi, pogadasz o tym i owym, poobserwujesz. No nie! Nie powiesz mi teraz, że to całe moje

gadanie było psu na bude? Radzę ci, nie drażnij mnie. Kiedy się wściekam, jestem straszna!

– Nie, nie wycofuję się... Tylko ja nigdy... No, wiesz... Ja po prostu nie umiałabym... – płątała się Julia.

– Tak, rozumiem, nie musisz mi tłumaczyć jak komu głupiemu. – Sunny w lot chwyciła obawy Julii. – Rozpaczliwie potrzebujesz lekcji na temat makijażu, stroju – krytycznie spojrzała na Julię i mrugnęła porozumiewawczo – oraz umiejętności niezobowiązującego flirtu. Ale od tego masz mnie. – Uderzyła się w pierś. – Póki nie kupisz sobie czegoś odpowiedniego, pożyczę ci jakąś szalową kieckę i jakieś kosmetyki. Domyślam się, że twoje ograniczają się do zestawu jednego kremu do wszystkiego, kredki do oczu i bezbarwnej pomadki. Może to praktyczne, ale... – Sunny lekceważąco machnęła ręką. – A co do flirtu, to po prostu patrz i ucz się, jak to robi osoba bywała w świecie, czyli ja. – Uśmiechnęła się figlarnie.

– A więc powtórzmy. Mam pójść jutro. Boże, już jutro! – Sunny groźnie zmarszczyła brwi. – Dobrze, dobrze, jutro – westchnęła zrezygnowana Julia – na przyjęcie organizowane przez twoich dwóch nowych wielbicieli i mam być kimś w rodzaju twojej przyzwoitki.

– Nie przyzwoitki, tylko osoby towarzyszącej dla Mike’a lub Bena. Ciągle mi się mylą, ale są do siebie tak podobni... W końcu to bliźniacy, a ponieważ i tak świata poza mną nie widzą, więc nie musisz się obawiać żadnych nieprzystojnych awansów z ich strony. Posiedzisz sobie, może potańczysz, po prostu zabawisz się trochę i odprężysz. Nie ma w tym niczego złego ani straszego. Poza tym będę przy tobie, zawsze czujna, zwarta, gotowa, więc nie ma strachu. No to jak?

– Oczywiście pójdę. Chyba byś mnie zabiła, gdybym teraz zrezygnowała.

– Chyba masz rację.

ROZDZIAŁ 4

Julia stała przed dużym domem braci Blackwellów i czuła się jak żołnierz przed pierwszą bitwą. Ponownie ogarnęła ją fala niepewności i zwątpienia. „Nie dam rady – myślała – to nie mój świat, to nie dla mnie”. Sunny od razu wyczuła jej nastrój.

– Nawet o tym nie myśl. Wybij to sobie z głowy – powiedziała scenicznym szeptem i złapała ją za rękę. – Sądziłam, że już to przerabialiśmy. Najpierw narzekałaś z powodu makijażu, a wierz mi, jest bardzo dyskretny. Potem wpadłaś w popłoch na widok sukienki, a teraz chcesz uciec tylko dlatego, że chatka bliźniaków okazała się nieco większa, niż myślałaś. Dalej! Wciągnąć brzuch, wypiąć pierś, na twarz uśmiech numer pięć i do boju!

Julia uspokoiła się. „W końcu nie jestem dzieckiem i nikt mnie nie zje – tłumaczyła sobie. – A poza tym Sunny gotowa mnie tam zaciągnąć siłą, jeżeli będę się nadal opierać”. Nie miała już odwrotu. Wzięła głęboki wdech i... w tym momencie drzwi się otworzyły. Stała w nich czarnowłosa piękność. Jej twarz na widok Sunny rozjaśniła się uśmiechem.

– Świetnie, że jesteś, kochana. Mike i Benny już się niecierpliwi. A to jest...
– Spojrzała na Julię z pytaniem w oczach.

– A to jest moja przyjaciółka i współpracowniczka. Julio – zwróciła się w jej stronę
– przedstawiam ci Melissę, duszę wszelkiego towarzystwa.

– Co ty opowiadasz! Przy tobie każdy schodzi na drugi plan, nawet ja! –
Melissa roześmiała się perliście. – Ale nie mam ci tego za złe, złotko. Ty zawsze jesteś gwarancją świetnej zabawy.

– Chcesz powiedzieć, że impreza wymaga rozruchu. Sądząc po odgłosach,
raczej nie bardzo. – Sunny miała wątpliwości.

– Nie, oczywiście, że nie. Jest głośno, wesoło i beztrudno. Ale, ale...
Wchodźcie. Nie stójmy w drzwiach. Rozbierzcie się, przypudrujcie nosy, a ja
skoczę po bliźniaków. – Obróciła się, zastukała obcasami i zniknęła za drzwiami.

– No i jak, kryzys opanowany? – Sunny zdążyła zdjąć płaszcz i poprawiała
właśnie fryzurę przed lustrem.

Istotnie, było lepiej, niż się Julia spodziewała. Melissa wydawała się miła i przyjazna, a dom od środka sprawiał o wiele bardziej przytulne wrażenie niż z zewnątrz. Julia dołączyła do Kate przed lustrem.

– Czy nie uważasz, że stanowimy parę całkiem ładnych dziewczątek? – Sunny roześmiała się z zadowoleniem i okręciła na pięcie. – Tylko przestań zagryzać wargi, bo zjesz sobie całą szminkę – dokończyła z dezaprobatą.

– Ty wyglądasz prześlicznie – powiedziała Julia szczerze. – Twoja sukienka jest urocza i, hm, dość odważna.

– No ja myślę – mruknęła Sunny. – Ta kiecka, choć mała, kosztowała całkiem sporo. To cytrynowe cudeńko osłania, co trzeba – błyszczący materiał kusząco opinał kształtne piersi Sunny – i odkrywa, co należy – plisowany dół sięgał do pół uda i unosił się niebezpiecznie przy każdym kroku. – Tak, jestem zadowolona, ale ty, moja mała, nie bądź taka skromna. Wyglądasz szalowo!

– Szalowo... Nie jestem pewna, czy właśnie tak chciałabym wyglądać. – Opory Julii na nowo dały o sobie znać.

– Znowu zaczynasz! – prychnęła Sunny zniecierpliwiona. – Nawet Kopciuszek wyglądał jak półtora nieszczęścia tylko w domu macochy. Kiedy załapał się na bal u księcia, to już się postarał, żeby w niczym nie ustępować pełnoetatowej księżniczce. Pozwól, że udzielę ci pierwszej dobrej rady, tak jak matka córce. – Kate przybrała mentorski ton. – Strój dla kobiety jest tym, czym karabin dla żołnierza; dzięki niemu czuje się pewniej i bezpieczniej. Nie mówiąc już o możliwości ataku – dodała z przewrotnym błyskiem w oku. – Po prostu przyjmij do wiadomości, że wyglądasz szalowo i że tak ma być. Twoje obiekcje są nieuzasadnione i wynikają z niezajomości tematu. Jest dobrze, tak trzymać i koniec! – Sunny kategorycznie ucięła wszelkie dyskusje.

„Sunny oczywiście ma rację” – myślała Julia. Przechodziły przez to wcześniej i czuła, że teraz zachowuje się po prostu śmiesznie.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła sukienkę, którą miała dzisiaj na sobie, była zachwycona. Kate wyciągnęła ją z dna szafy, gdzie rzuciła ją zaraz po zakupie.

– Kupiłam ją latem. Nie wiem, chyba słońce zamroczyło mi umysł i miałam nadzieję, że po powrocie do domu okażę się o dwadzieścia centymetrów wyższa.

A poza tym to zupełnie nie mój kolor ani fason. Ale dla ciebie będzie idealna.

Zwiewna i dość długa sukienka sięgała Julii do pół łydki. Luźna góra z długimi rękawami, dopasowana na biodrach i przewiązana szarfą, przechodziła w spódnicę poszerzaną na dole godetami. Wzór na jedwabnym materiale wyglądał tak, jakby ktoś bukiet róż posypał popiołem: trochę srebra, trochę szarości, wiele przygaszonego różu, spod którego miejscami przeświecały jaśniejsze błyski zieleni. Julia poczuła się w nowej sukience lekko i kobieco. Problemy zaczęły się, kiedy obejrzała się z tyłu. Od maleńkiego guziczka na karku biegło rozcięcie aż do pasa.

– Ależ... ja mam gołe całe plecy! – wykrzyknęła przerażona.

– Nie przesadzaj, moja mała. Oczywiście nie będziesz mogła założyć stanika, ale i tak zupełnie nie wiem, po co go nosisz. Ta zbroja tylko przeszkadza ci oddychać. Chyba że owo bawełniane paskudztwo zakładasz po to, żeby ci było cieplej.

Zaaferowana Julia nie zwracała uwagi na kpiny ze swojego niewielkiego biustu.

– No przecież ja będę pod spodem zupełnie naga – jęknęła zażenowana.

– Boże, miej cierpliwość! Nie wiem, czy zdążyłaś już zauważyć – Sunny tłumaczyła jej jak dziecku – że wszyscy ludzie pod ubraniem są zupełnie nadzy. Czyż to nie okropne? – dokończyła ze śmiertelną powagą.

Julia skapitulowała.

– Sukienka jest prześliczna i na pewno nie będzie mi w niej za gorąco – stwierdziła z przekąsem.

– Tak, na pewno się nie zgrzejesz. – Sunny utrzymała grobowy ton, ale w jej oczach zamigotały figlarne ogniki.

„Szałowo, nie szałowo, w każdym razie całkiem nieźle” – stwierdziła Julia, przeglądając się po raz ostatni w lustrze i odruchowo poprawiając kosmyk, który wysunął się z jej misternie upiętego koka.

– Przestań. – Sunny klepnęła ją po ręce. – Ten kok ma sprawiać wrażenie artystycznie niedbałego. Nie szkodzi, gdy ci się wysunie jeden czy drugi kosmyczek.

– Już dobrze, będę pamiętać. A jak się cała ta niewymuszona konstrukcja rozpadnie, to tym lepiej, czyż nie?

– Dokładnie... – Sunny zdawała się zaprzątnięta czymś innym. – Gdzie się podzieli ci przekłeci bliźniacy? Nie lubię czekać! – fuknęła rozdrażniona.

– O nas mówisz, kochana? – W drzwiach, spoza których dochodziły do nich już wcześniej szmery rozmów i odgłosy przytłumionej muzyki, stanęli dwaj mężczyźni. Byli do siebie tak podobni, że Julię zamurowało. Gdyby ubrali się identycznie, pomyślałaby, że jej się dwoi w oczach. Jednak, chyba dla żartu, jeden założył biały, a drugi czarny smoking, co zdaniem Julii jeszcze bardziej podkreślało ich podobieństwo.

– Czy rodzice nie musieli was numerować? – zapytała, zanim zdążyła ugryźć się w język. – Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna – wybąkała okropnie zmieszana.

Odpowiedział jej wybuch gromkiego śmiechu.

– Nie przejmuj się, na pewno się nie obrazili. O ile wiem, niejeden ich nauczyciel chciał zrobić to samo, żeby zupełnie nie zwariować. – Sunny chichotała.

– Oczywiście, że nie czujemy się obrażeni. Zdążyliśmy się już przyzwyczać. – Julia nie była pewna, czy mówi o ich podobieństwie, czy raczej o reakcji na nie innych ludzi. – Nasza mama – ciągnął dalej mężczyzna w czerni – zawsze potrafiła nas odróżnić. Twierdziła, że Ben jest mocniejszy – wskazał na brata, który skłonił się z uśmiechem – a ja – silniejszy. – Roześmiał się z zadowoleniem, jakby to, co powiedział, wyjaśniało wszystko. – Tak więc, Julio, pierwsze koty za płoty. Bo ty jesteś Julia, prawda?

Zdobyła się tylko na lekkie skinięcie głową. Mike ujął jej dłoń i pocałował szarmancko.

– Chodź przedstawię ci pozostałych gości. Sunny na pewno już wszystkich zna. I, Julio... – spojrzał na nią z czarującym uśmiechem – cieszymy się, że przyszedłaś. Prawda, Benny?

– Yhm – odmruknął jedynie Ben. Sunny akurat objęła go w pasie i pocałowała w policzek; mężczyzna zdawał się całkowicie pochłonięty tym czułym powitaniem.

– Gdyby nie był moim bratem, chyba bym mu przyłożył – stwierdził cicho Mike i zabrzmiało to dziwnie poważnie.

Przyjęcie u Blackwellów nie rozczarowało Praytona; było takie jak zwykle: huczne, wesołe i pozbawione wszelkiej sztuczności. Mógłby się naprawdę dobrze bawić, gdyby nie Melissa. Drażniło go, że dziewczyna zachowuje się tak, jakby absolutnie nic się nie stało, jakby niedzielna kłótnia nie miała miejsca i jakby nie wyprosił jej, raczej mało grzecznie, ze swojego samochodu. Siedzieli tu już od godziny i w tym czasie Melissa zdążyła doprowadzić go do szału, „odgadując” każde najmniejsze jego życzenie: przynosiła drinki, przekąski, przymilała się, kokietując go i flirtując na całego. Jak miał szanować kobietę, która nie szanowała samej siebie? Żadnej dumy, żadnego poczucia własnej godności! Jej sztuczki nawet go nie bawiły, a już na pewno nie podniecały. „To żalosne... – myślał rozgoryczony Kenneth. Rozejrzał się z niepokojem; już od jakiegoś czasu był sam, dziewczyna gdzieś przepadła. – Może choć przez chwilę da mi spokój; pewnie znowu szykuje dla mnie jakiś smakołyk. – Wzdrygnął się. – Czy ja jestem indyk na Święto Dziękczynienia, żeby mnie tak tuczyć?”

Najgorsze w tym wszystkim było to, że on naprawdę lubił Melisę – piękną, inteligentną kobietę, seksowną i, co tu kryć, bardzo namiętną. Przez pięć wspólnych miesięcy była dla niego cudowną kochanką i towarzyszką. Niestety ostatnio Melissa zaczęła snuć plany... Nie okazała się zbyt oryginalna. Mógłby jej współczuć, gdyby podejrzewał, że naprawdę się w nim zakochała. Ale w cuda, podobnie jak w Świętego Mikołaja, nie wierzył już od bardzo dawna. Zdawał sobie sprawę, że jest idealnym kandydatem do wzięcia, pożądanym ze względu na majątek, pozycję i dobrą prezencję. Nic nie mógł poradzić na to, że czuł się z tym wszystkim jak towar na wystawie sklepu dla kobiet, albo raczej jak dorodny jeleń przeznaczony do odstrzału, z którego przyrządzi się później soczystą pieczeń na święto rodzinne.

I w gruncie rzeczy nie chodziło nawet o to, że był szczególnie zagorzałym przeciwnikiem małżeństwa, rodziny czy kobiet w ogóle. Broń Boże! Znał wiele szczęśliwych małżeństw, choć znał również takie pary, które wiążąc się z wielkiej

miłości, nie mogły wytrzymać ze sobą nawet roku. Dostrzegał wszystkie „za i przeciw” stałego związku. Ludzie decydowali się na małżeństwo z tak różnych powodów; na dwóch przeciwległych biegunach, a jednocześnie na czele listy znajdowały się dwa najważniejsze: miłość i pieniądze. Jeden enigmatyczny, ulotny, wymykający się definicjom; drugi natomiast jak najbardziej konkretny i zrozumiały dla każdego. Były też inne przyczyny, a jakże: znudzenie dotychczasowym życiem, przestrzeganie konwenansów, chęć stabilizacji, strach przed samotną starością; czasami wystarczała zwykła wygoda i unormowane życie seksualne, jakie daje, a przynajmniej obiecuje małżeństwo; no i oczywiście – dzieci. Dzieci, które dziedziczą, kontynuują, prawie zawsze kochają i ufają bez zastrzeżeń, i które można kochać tą bezpieczną, niczym niezagrażającą miłością.

O ironio, najczęściej owe pobudki okazywały się później za słabe albo też małżeństwo nie było jednak idealnym rozwiązaniem wszystkich problemów. Ale już wcześniej pułapka się zatrzaśniała i raczej nie należało liczyć na to, że jakaś litościwa dusza nas z niej uwolni. Tkwiło się w niej do śmierci, chyba że było się na tyle odważnym czy zdesperowanym, by uciec, nie zważając na koszty. Do takich śmiazków na pewno nie zaliczał się John Prayton. Pozostał w pętach miłości, która okazała się fałszem. Nie chciał lub nie potrafił uwolnić się od kobiety, która po ślubie z cudownej wróżki przeistoczyła się w paskudną wiedźmę. Najgorszemu wrogowi nie życzyłby takich doświadczeń, przez jakie on sam musiał przejść w dzieciństwie. Jak więc mógłby narazić na coś takiego własne dzieci?

Ale przecież związek jego rodziców, będący karykaturą małżeństwa, nie stanowił reguły, nie zawsze tak się działo. Czasami, innym... zdarzało się coś naprawdę pięknego i prawdziwego. Z drugiej strony niektórym zwyczajnie nie paliło się do odpowiedzialności i ograniczeń wynikających z posiadania rodziny. Czy właśnie dlatego, choćby tylko w myślach, nie widział siebie w roli ojca i męża? Czy dlatego, gdy jego przyjaciółki zaczynały śnić o białej sukni i weselnych dzwonach, on znajdował się już w połowie drogi do bocznej furtki, prowadzącej byle dalej od tego wyimaginowanego szczęścia i wyidealizowanej wspólnej przyszłości? „Bądź ze sobą szczery, Prayton. – Obrócił się do okna i posłał drwiący uśmiezek swojemu odbiciu w szybie. – Boisz się. Boisz się jak diabli. I z zasady nie ufasz kobietom; każdą posądzasz o najgorsze intencje. A jak tylko zaczniesz coś podejrzewać, uciekasz. To odruch, instynkt samozachowawczy, którego nie umiesz opanować”. Nie czuł dumy ani zadowolenia z tego powodu. Jego życie stanowiło coś w rodzaju układanki, w której każdy element trafił już na swoje miejsce i nie sposób było go zamienić czy przesunąć gdzie indziej. W centrum tych skomplikowanych puzzli znajdowała się praca – jedyna rzecz, której poświęcał się bez reszty. Dla nikogo nie umiałby z niej zrezygnować, choćby

z najmniej ważnego detalu. Która kobieta by to zaakceptowała, jak by to wytłumaczył dzieciom? Praca wypełniała mu prawie każdą wolną chwilę. Żył nią, niemal oddychał. W jego świecie nie było miejsca na nic innego.

Wszystko to prawda, naturalnie, ale nie cała. Najistotniejszy był strach. On – Kenneth Prayton – bał się. A nie lubił tego i prawie nigdy nie bał się nikogo ani niczego. Teraz jednak musiał przyznać sam przed sobą, że coś takiego istnieje i że nie jest aż tak silny, jak mu się zawsze wydawało.

Melissa podeszła do niego z uśmiechem.

– Tęskniłeś za mną? – zaszcebiotała.

– Może już pójdziemy – burknął w odpowiedzi i odstawił na pobliski parapet pustą szklankę.

– Ależ, kochanie! Przecież świetnie się bawimy! – Melissa po prostu przechodziła samą siebie.

– Powiedzmy. – Prayton nie zamierzał się tłumaczyć.

W momencie kiedy już zdecydował, że na dzisiaj ma dosyć rozrywki, zauważył, że Blackwellowie wprowadzają nowych gości. Domyślił się, że drobna rudowłosa osóbką to Sunny – ekscentryczna znajoma bliźniaków. Z tego, co o niej słyszał, nie przypuszczał, aby mógł ją polubić. A ta młoda kobieta obok niej? Przyjrzał się uważniej i choć stał dość daleko, od razu ją rozpoznał. Teraz, elegancka i pozornie swobodna, wyglądała inaczej, ale to na pewno była ona – smukła, jasnowłosa nieznajoma z parku. Jego płochliwa nimfa. Ciekaw był, co robi, gdy go dostrzeże. „Może znowu ucieknie”. Uśmiechnął się na tę myśl. Lecz gdy jej spojrzenie prześlizgnęło się po nim obojętnie, poczuł rozczarowanie i budzącą się złość. Miała chyba talent do denerwowania go. „Naprawdę mnie nie poznała czy tylko udaje?”. Nie miał pojęcia, czemu tak go drażni, że dziewczyna w różowej sukni jest dzisiaj rozluźniona i uśmiecha się uroczo do każdego, a jego traktuje jak... obcego.

– Podoba ci się? – Zjadliwy głos Melissy wyrwał go z zamyślenia. Udał, że nie wie, o kogo chodzi.

– Kto? Sunny? Chyba żartujesz? – Stwierdził, że marnuje się jako bankier, powinien zostać aktorem.

– Nie – warknęła. – Wiem, że Sunny nie jest w twoim typie, za bardzo lubi się rządzić. – Sądził do tej pory, iż złośliwość nie leży w naturze Melissy. – Mówię o jej nieśmiałej przyjaciółce.

„Nieśmiałej? A więc nie tylko ja to zauważyłem” – pomyślał.

– Nie wiedziałam, że lubisz takie niewinne panienki. – Ironia nadała jej słowom bardzo niemiłe brzmienie.

– Melisso, radzę ci, uspokój się – ostrzegł ją. – Zaczynasz cierpieć na manię prześladowczą. – Chciał jak najszybciej skończyć tę dyskusję, szczególnie gdy zobaczył, kto się do nich zbliża. – Proszę, opanuj się i nie rób scen. – Chyba tylko głuchy nie usłyszałby groźby w jego głosie.

Pokój był ogromny i zadziwiająco jasny; oświetlony niezliczoną liczbą lampek i świec, umieszczonych w różnych miejscach i stwarzających pomimo jasności intymny nastrój. Pomieszczenie urządzone bogato, wręcz wystawnie, lecz z gustem i umiarem. Julia nie miała czasu dokładnie przyjrzeć się wystrojowi, gdyż całą jej uwagę pochłonęli znajdujący się tu ludzie. Zabawa była w pełni rozkwitu. Każdy robił to, na co miał ochotę: tańczono, rozmawiano, parę osób stało, pogrążonych w samotnych rozmyśleniach; na tym przyjęciu nie obowiązywały żadne sztywne reguły zmuszające do konwencjonalnego zachowania. Wyczuwało się swobodę i absolutny brak nudy czy zadęcia. Doskonale zaopatrzenie barku i bufetu sprzyjało radosnej atmosferze.

Mike przedstawił Julii chyba ze dwadzieścia osób. Trochę się pogubiła, ale wbrew swoim najgorszym przewidywaniom nie czuła się ani skrępowana, ani onieśmielona. Sunny prawie z każdym witała się hałaśliwie i wygłaszała zabawne, niepozabawione uszczypliwości uwagi, ale nikt jakoś się nie obrażał. W końcu podeszli do pary stojącej nieco na uboczu, przy oknie.

– Meliszę już poznałaś – powiedział Mike.

Julia uśmiechnęła się, ale w odpowiedzi dziewczyna tylko sztucznie wykrzywiła wargi, bo trudno to było nazwać uśmiechem.

„Ciekawe...” – pomyślała Julia i spojrzała pytająco na Kate, która – jak

zauważyła z rosnącym zaciekawieniem – z wyraźnym wysiłkiem powstrzymywała wybuch śmiechu.

– A to jest Kenneth Cristobal Prayton – kontynuował „czarny” bliźniak, nie zwracając uwagi na latające w powietrzu iskry.

– Czyż to nie brzmi arystokratycznie? Kenneth Cristobal Prayton, nasz znakomity as bankowości – wtrąciła Sunny, kręcąc głową, i kilka razy cmoknęła ustami ściągniętymi w zabawny ryjek.

– Liczyłem, że w taki miły wieczór i w obecności tak pięknych dam nie będziemy wspominać o interesach. – Mężczyzna miał głos niski i niepokojąco miękki. Ujął rękę Julii. Poczowała lekki, acz pewny uścisk chłodnej dłoni o długich palcach. Nie wiedzieć czemu, miała ochotę dygnąć. – Miło mi panią poznać, Julio. – Kenneth puścił jej dłoń i przez chwilę ręka dziewczyny zawisła bezradnie w powietrzu. – O pani, Sunny, wiele już słyszałem i cieszę się, iż wreszcie mam okazję porównać opowieści z rzeczywistością. – Nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie.

– Gładki, ależ gładki, i jaki niebezpieczny – mruknęła Kate, kwitując tym jego nieznaczne skiniecie głową.

Mężczyzna spojrzał na nią poirytowany.

– Jak zwykle musi pani każdemu przyklepać etykiety.

– A co w tym złego – odparowała Sunny – przynajmniej jest wesoło.

– Ale może się pani pomylić – nie dawał za wygraną.

– Bardzo rzadko się mylę, panie Prayton – stwierdziła stanowczo.

– Dość już tych utarczek – przerwała gwałtownie Melissa.

„Chyba nie lubi schodzić na drugi plan” – uznała Julia.

– Chodź, Kenneth, zatańczymy. W końcu mamy się bawić, a nie dyskutować. – Towarzyszka Praytona złapała go za rękę i pociągnęła na parkiet. Przez chwilę biernie pozwalał się prowadzić, lecz po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił w stronę Julii.

– Spotkamy się później, Julio. – W jego głosie była pewność, a w oczach natarczywość. – Porozmawiamy – obiecał. – O naszym wcześniejszym spotkaniu – dodał i odszedł z czarnowłosą dziewczyną uczeponą jego ramienia.

„Porozmawiamy? O czym? Chryste, o czym ja mogę rozmawiać z takim facetem? – myślała Julia wystraszona, zawstydzona i podniecona. – Patrzył na mnie tak, tak... Och, sama nie wiem jak! Może po prostu jak na kobietę. A co on mówił o naszym niby wcześniejszym spotkaniu? Przecież ja go nigdy na oczy nie widziałam! Skąd?! Musiał się pomylić. Ale był taki pewny... Właściwie on nie prosił o rozmowę, on jej wręcz zażądał! – I nagle Julia przypomniała sobie. – Boże, to on! Mężczyzna z parku!”. Zbladła i poczuła znajome ściskanie w dołku. Nie poznała go, bo wyglądał zupełnie inaczej; sweter i spodnie zostały zastąpione przez elegancki garnitur, dokładnie wygolona twarz straciła ponury wyraz, gładko zaczesane włosy nie wydawały się już tak ciemne, oczy okazały się niebieskie, a nie czarne, jak myślała wtedy w parku, patrząc na niego pod słońce. Dobre manery i grzecznościowe formułki pokryły złość i niebezpieczeństwo, jakie zapamiętała. Gładki – tak powiedziała Sunny – gładkie włosy, gładkie słowa... Dopiero ten twardy ton w jego głosie, ta wyczuwalna pewność siebie i aroganckie żądanie były dokładnie takie same jak w czasie ich pierwszego spotkania.

Stała jak wmurowana tam, gdzie ją zostawił, nie mając siły zrobić jednego kroku ani nawet zamknąć otwartych w zdumieniu ust.

– Zamknij buzię, bo zaraz połkniesz jakąś muchę. – Sunny bezceremonialnie szturchnęła Julię w bok. Dziewczyna powiodła wokół siebie nieprzytomnym wzrokiem. Otrząsnęła się – znowu słyszała muzykę i szmery rozmów. Bliźniacy przyglądali się jej z uprzejmym zainteresowaniem, Sunny z niewątpliwą kpina w oczach. Julia poczuła, jak mimowolne przerażenie powoli ustępuje. „Zachowuję się śmiesznie. Znowu zrobiłam z siebie idiotkę, po prostu mam pecha do tego faceta”.

– Poszli? – zapytała bez sensu.

– Już dawno. A ty... – Sunny pokręciła głową i wzniosła oczy ku górze – jak sroka w gnat, ech! – Machnęła ręką. – Lepiej chodźmy się czegoś napić. Zaczyna się robić gorąco. Nie ma co, nie możemy narzekać na brak emocji. Droga Melissa zdążyła już pokazać pazurki.

– Nie rozumiem... – Julia czuła się skołowana tym wszystkim.

– Moje ty niewiniątko! – Sunny spojrzała na nią z politowaniem. – Nawet ślepy by zauważył, że zachowywała się jak dzika kotka broniąca swojego terytorium.

– To znaczy... Masz na myśli tego faceta? – Oczy Julii zrobiły się okrągłe ze zdziwienia i niespodziewanej nadziei. „Może nie tylko ja mam do niego pecha?”.

– No pewnie. A kogo? Księcia Walii? Ten facet to niezły kąsek: przystojny, bogaty, czarujący...

W tym momencie bracia Blackwellowie postanowili się dyskretnie wycofać.

– Drogie panie, pogadajcie tu sobie, a my skoczmy zobaczyć, czy nas nie ma przypadkiem w drugim pokoju.

– Nie bądź taki dowcipny, Mike. Nie wiedziałam, że jesteście takimi wielkimi przyjaciółmi z Praytonem. Nawet Jego Wysokości Kennethowi Cristobalowi parę niewinnych plotek nie zaszkodzi. A zresztą możecie iść – powiedziała z wystudiowanym znużeniem i odesłała ich skinieniem ręki niczym udzielna księżna.

– Jakaś ty łaskawa, pani. – Skłonili się unieżenie i z trudem zachowując powagę, sztywno odmaszerowali w stronę „drugiego pokoju”.

– No i dobrze, że poszli. Przy tych dżentelmenach do kwadratu nie mogłybyśmy tak jak trzeba poobgadywać naszego superfaceta. A sądząc po twoich wypiekach – Sunny spojrzała na Julię znacząco – naprawdę powinnyśmy.

– Och, nie przesadzaj. – Julia nerwowo kręciła w palcach kosmyk włosów. – Nawet jeżeli ten Prayton mi się podoba, to co z tego, a wypieki mam po prostu od wina.

– Którego jeszcze nie piłaś. Przestań, moja mała. Mam oczy. Gapiłaś się jak cielę na malowane wrota. Muszę przyznać, że miałaś wyjątkowo głupią minę.

– Dostyc już! Chociaż ty daj mi spokój. – Miało to zabrzmieć zdecydowanie, lecz wypadło raczej żałośnie.

– Dobrze. – Kate nagle przeszła ochota do żartów. – Porozmawiajmy poważnie. Zrobił na tobie wrażenie, tak? Zresztą po co pytam. To chyba jasne, że

ten nadęty bubek zrobił na tobie kolosalne wrażenie. A może jednak nie? – zapytała z nadzieją.

– Zrobił. Masz rację, zrobił kolosalne wrażenie. Ale nie dlatego, że jest... jak to powiedziałaś? Aha. Przystojny, bogaty i czarujący. On jest... jest tym... – „Dlaczego tak trudno mi to powiedzieć?”

– Boże! Mogłam się tego spodziewać – przerwała jej niezadowolona Sunny. – Pierwszy raz wyszłaś się zabawić, pierwszy raz facet, niebędący twoim stryjem albo listonoszem, zdaje się być tobą zainteresowany, a ty już zachowujesz się jak zakochana nastolatka. Powierzyłabym mu może swoje pieniądze, bo uczciwości nie można mu odmówić, ale serce i ciało zamknęłabym przed nim na dziesięć spustów, a klucz wyrzuciła do Rowu Mariańskiego! – Kate była zła i nie starała się tego ukryć, choć nie wpłynęło to zbytnio na jej wyszukany sposób wysławiania się.

– Sunny, uspokój się. To nie diabeł, a ja nie zamierzam sprzedawać mu swojej duszy. I wcale nie zachowuję się jak zakochana nastolatka. – Niespodziewanie Julia poczuła przypływ dobrego humoru. „Serce i ciało? Ach, ta Sunny! Nawet martwić się musi na swój gwałtowny i nieobliczalny sposób. W porządku. Ale należy jej się nauczką za to, że w ogóle nie słucha, co się do niej mówi”. – Niech ci będzie – Julia zaczęła grę. – Podoba mi się, to wszystko. Chyba nie ma w tym niczego złego? Jest uroczy, czarujący... Sama coś mówiłaś o jakimś niezobowiązującym flircie...

– Niezobowiązujący flirt?! Nie bądź naiwna! Uroczy, czarujący? A jakże! Jest też gładki, śliski, nie-bez-pie-czny. Niebezpieczny jak sto diablów! Taki jak on bierze wszystko: serce, duszę, ciało i nie bawi się potem w wydawanie reszty. Radzę ci, trzymaj się od niego z daleka. Takie słodkie dziewczuszki jak ty Prayton zjada na pierwsze śniadanie.

– Starasz się mnie przestraszyć. Dlaczego? Czemu tak go nie lubisz? Czy ty i on...? – W przeciwieństwie do Sunny Julia bawiła się coraz lepiej.

– Daj spokój. – Sunny parsknęła krótkim śmiechem. – Oczywiście, że nie. Ale nie lubię go, i to z wzajemnością. Dzisiaj widzieliśmy się po raz pierwszy w życiu, ale słyszeliśmy o sobie to i owo. On wie, że go rozszyfrowałam, i to go irytuje. Jest zimny i twardy, bezwzględny, nawet okrutny. Nie ma przyjaciół, wyłącznie znajomych.

– Przecież ja nawet znajomych nie mam – wtrąciła cicho Julia.

– To nie to samo. On jest z tego faktu zadowolony. Dla niego liczą się tylko praca, pieniądze, pozycja. Jest nieludzki. Rozumiesz? Nie-ludz-ki! I niebezpieczny. Boję się o ciebie. Patrzył na ciebie jak na potencjalną zdobycz.

– Pochlebiasz mi. – Wbrew woli Julia zarumieniła się i uśmiechnęła nieśmiało.

– Julio! Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? On cię może skrzywdzić. Ot tak sobie, mimochodem. Zainteresuj się lepiej jednym z bliźniaków. Zobacz, idą tu. – Sunny pomachała do braci.

– Którym? – szepnęła Julia konspiracyjnie. – Sama ich nie rozróżniasz. Ta teoria o silniejszym i mocniejszym jakoś do mnie nie przemawia.

– A czy to ważne którym? Obaj są przystojni. Popatrz. Wysocy, dobrze zbudowani szatyni o brązowych oczach. Oni też są czarujący i do tego o wiele mniej skomplikowani niż Prayton.

– Możliwe, ale... – Julia nie za bardzo wiedziała, jak wytłumaczyć przyjaciółce, dlaczego właśnie ten mężczyzna zrobił na niej takie wrażenie. Chyba w końcu trzeba powiedzieć prawdę. Poza tym gdyby porównywać Praytona i Blackwellów, najprawdopodobniej wygraliby bliźniacy, tym bardziej że mieli przewagę liczebną. Prayton był wysoki, ale jednak niższy niż bracia, nieźle zbudowany, lecz nie tak wspaniale jak Mike czy Benny, nawet w jego uśmiechu, niewątpliwie zniewalającym, dawało się znaleźć ślad przymusu i wyrachowanej grzeczności. Tylko w jednym punkcie bił Blackwellów na głowę. Niesamowite połączenie czarnych włosów i niebieskich oczu oraz tkwiąca w nim samym jakaś groźna siła, której ani garnitur, ani wyszukane maniery nie zdołały ukryć, musiały robić wrażenie. Nawet na niej. A zdanie Julii na temat Praytona, choć z innych nieco powodów, było równie złe jak opinia Sunny.

Kate z niesmakiem przyglądała się Melissie tańczącej z Praytonem.

– Jeżeli ci jeszcze mało, Julio, przyjrzyj się Melissie. – Sunny najwidoczniej nie miała zamiaru wysłuchać przyjaciółki do końca. – Zobacz, jak się do niego klei. Osacza go, kokietuje, ma nadzieję... – cedziła z niesmakiem. – Wszystkie one mają nadzieję, że złapią słynnego Praytona w pułapkę.

– Pułapkę? – nie rozumiała Julia.

– Małżeństwa, miłości, namiętności, uczucia czy czego tam chcesz. Żadnej się nie udało i nie uda. Bawią się w drapieźniki, a w końcu same stają się ofiarami.

– Robisz z niego jakiegoś potwora bez uczuć. – Te nieustające ataki na Praytona zaczęły ją trochę irytować.

– Bo taki właśnie jest. Ma kobiet na pęczki. Krążą wokół niego i planują. Ale nic z tego, nie z nim.

– Co, taki z niego donżuan? – Julia nawet nie była zdziwiona.

– Tak przypuszczam, choć on się tym nie chwali. Jest dyskretny. Ale czy to normalne? Dyskretny facet, jeżeli chodzi o kobiety? Jemu po prostu nie zależy.

– Teraz to już naprawdę przesadziłaś. Wszystko interpretujesz na jego niekorzyść. Nawet gdyby kochał swoją babcie, to stwierdzisz, że z wyrachowania.

– Może. Nie ufam mu.

Julia zdawała się nieobecna. W milczeniu przyglądała się tańczącej parze.

– No i jak, piękne panie? Mam nadzieję, że nagadałyście się do woli? – Mike był pełen energii, a Benny gorliwie mu potakiwał.

– Aż nadto – mruknęła Sunny pod nosem.

– Świetnie. Rozruszałyście języki, pora na wasze zgrabne nóżki. – „Czarny” bliźniak był z siebie bardzo zadowolony.

– Specjalnie dla was zażyczyliśmy sobie tradycyjnego, staromodnego walca. O, już grają. Można prosić? – Zanim Julia zdążyła odpowiedzieć, złapał ją wpół i chciał natychmiast porwać na parkiet, ale powstrzymała go. Nie mogła odmówić sobie tej drobnej satysfakcji. Przechyliła się z wdziękiem przez przytrzymujące ją ramię i wyszeptała w stronę Kate:

– A tak między nami mówiąc, to Kenneth Cristobal Prayton jest tym nieznośnym mężczyzną, którego spotkałam w parku. Nie dziw się więc, że ten

gbur, przy którym wyszłam na idiotkę i smarkulę, budzi moje, zrozumiałe chyba w takiej sytuacji, zainteresowanie.

Mina Sunny, niezbyt mądra, warta była wysłuchania przydługiej perory na temat Praytona – tego pozbawionego skrupułów łajdaka i dręczyciela kobiet.

– A niech to! – wydusiła z siebie. – Szybko się uczysz, nie ma co! Ależ mnie podpuściłaś! Ja gadałam jak najęta, a ty słuchałaś i miałaś ubaw. – Kate pokręciła głową, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w aż taką podłość. – Ty spryciaro! – wykrzyknęła, choć wirująca na parkiecie przyjaciółka już jej nie usłyszała. Co do Sunny, to zbyt ceniła dobry żart, nawet swoim kosztem, by się długo gniewać.

Kenneth miał już dosyć. Kiedy usłyszał pierwsze takty walca, zniecierpliwiony warknął na Melissę:

– Starczy! Nie mam ochoty na jakiś maraton taneczny. Chodźmy się czegoś napić. – Cofnął się o krok, chcąc uwolnić się z ramion Melissy.

Jednak dziewczyna mocno chwyciła go za klapy marynarki.

– Och, mój drogi, nie bądź taki – przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się zalotnie. – Zrób to dla swojej małej dziewczynki. Wyobraź sobie, piękna muzyka, ty i ja, zatopieni w swych objęciach, zapominamy o bożym świecie. Mielibyśmy co wspominać... po przyjęciu – szepnęła kokieteryjnie i otarła się o niego znacząco.

Kenneth kiedyś lubił, gdy ta piękna, wyrafinowana kobieta zachowywała się czasami jak słodka idiotka. Teraz zdecydowanie nie miał na to ochoty i nie miał zamiaru być dobrym chłopcem dla swojej małej dziewczynki.

– Och, moja droga – zaczął z wyraźną ironią – nie wiedziałem, że pod tą zmysłową i pozbawioną zahamowań pozą kryje się taka romantyczna dusza. Wybacz. – Skłonił się z wyszukaną galanterią.

Policzki Melissy poczerwieniały ze złości.

– Starasz się mnie obrazić! – syknęła bardziej wściekła niż zażenowana.

– Możliwe – przytaknął niedbale. – Zresztą to nieważne. Tak czy siak, nie

nadają się na rycerza w lśniącej zbroi. Bolą mnie nogi i chce mi się pić, więc raczej trudno będzie mi zapomnieć o bożym świecie, jak to uroczo ujęłaś. A w każdym razie o jego wygodnych krzesłach i szklaneczkach ze złocistą whisky.

– Do diabła, czy ty zawsze musisz być taki wygadany? – prychnęła rozeźlona i mocno podenerwowana Melissa. Wydało jej się nagle, że stojąc na parkiecie pośród tańczących par i spierając się o tego przekłętą walca, w rzeczywistości kłóca się o coś znacznie poważniejszego. – Czy ty nie możesz powiedzieć po prostu: nie albo zgodzić się, żeby zrobić mi przyjemność? Czy musisz odmawiać, obrażając mnie jednocześnie? Musisz dawać do zrozumienia, że poświęcasz swój cenny czas, tłumacząc mi to wszystko, i że powinnam być ci za to niewymownie wdzięczna? Do diabła! Do diabła z tobą i twoją gładką gadką!

– Na tym, między innymi, polega moja praca. Nie tylko na przedstawianiu swojego punktu widzenia, ale i na umiejętnym przekonaniu przeciwnika do swoich racji. – Kenneth zdawał się zupełnie nie przejmować wybuchem Melissy. Ostatnie słowa wypowiadał, kierując się już w stronę barku.

– Do ciężkiej cholery, Prayton! Nie jestem twoim przeciwnikiem. Jestem twoją kochanką! – zawołała za nim z wściekłością pomieszaną z gorzkim poczuciem porażki.

Mężczyzna odwrócił się powoli. Z jego twarzy zniknęły wszelkie objawy rozbawienia, nudy czy irytacji – była groźna, choć nie malowały się na niej żadne konkretne uczucia. Tylko nienaturalne napięcie ciała i szybko pulsująca żyłka na szyi zdradzały kipiący w nim gniew. Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Może wywiesz afisz, ogłosisz to z ambony w kościele albo porozdajesz ulotki wszystkim zainteresowanym? – wycedził z tak przygniatą pogardą, że Melissa zadrżała i bezwiednie się cofnęła.

Ale mężczyzna nie pozwolił jej uciec. Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie. W geście tym jednak nie było śladu czułości czy choćby samczej chęci dominacji.

– Teraz pójdziesz grzecznie ze mną i wyjaśnimy sobie wszystko raz na zawsze, ale gdzieś na uboczu i bez widzów. Skończymy to, co zaczęliśmy, i mam nadzieję, że szybko ochłonę, bo teraz mam po prostu ochotę skrócić ci ten śliczny karczek! – wyszeptał jej wprost do ucha.

Wepchnął ją do pierwszego z brzegu wolnego pokoju i zatrzęsął za nimi drzwi. Puścił łokieć Melissy, na którym było widać białe ślady jego palców, i podniósł, nieznacznie ściskając, jej podbródek. Chcąc nie chcąc, dziewczyna musiała patrzeć mu prosto w oczy. Zadrżała. Jego oczy z niebieskich stały się szare i zimne. Bała się. Domyślała się, że potrafi być bezlitosny, ale nigdy nie doświadczyła tego na własnej skórze.

– Niczego się nie nauczyłaś. Powinnaś wiedzieć, że oprócz głupoty równie mocno nienawidzę wszelkich skandali, publicznych scen czy gwałtownych manifestacji uczuć. Za bardzo, jak dla mnie, świadczą o słabości i wyjątkowo złym guście. A ty byłaś tego bliska, niebezpiecznie bliska. – Zdecydowanie się od niej odsunął i drwiąco spojrzął na pobladałą twarz. – Nie umiesz przegrywać. Jesteś dobra tylko w histeryzowaniu. Skoro z powodu jednego tańca robisz taką awanturę, to...

– Tu nie chodzi tylko o taniec – wyszeptała zbielełymi wargami.

– Tak, z pewnością. Nie tylko o to chodzi. – Jego głos był twardy, bez śladu ciepła. – To narastało już od jakiegoś czasu. Stałaś się zaborcza. Zaczęłaś wyobrażać sobie coś, co nie istnieje. Już widziałaś miłe, wygodne gniazdko, uwite w luksusie, zakochanego mężusia i potomka, który ugruntowałby twoją pozycję, nawet kosztem figury, co? – zakpił. – Ale nic z tego. Nie takie jak ty próbowały.

– Dosyć! Przestań natychmiast! Boże, co ja ci zrobiłam? Dlaczego tak mnie traktujesz? Przecież było nam dobrze razem, byliśmy... szczęśliwi. – Brwi Praytona uniosły się w górę, mężczyzna całym sobą zdawał się wyrażać powątpiewanie. – Przecież tak było, nie rozumiem, czemu się krzywisz? Było wspaniale, a ty musiałeś wszystko popsuć. To przez ciebie ostatnio już... już nam się nie układa. Przez ciebie! Nie zwalaj teraz winy na mnie. – Przerazenie ustąpiło złości i dziewczyna teraz sama miała ochotę pobić Praytona.

– Doprawdy, Melisso, wydawało mi się, że jesteś inteligentną kobietą. Tylko posłuchaj tego, co mówisz. Było nam dobrze? Było nam wygodnie. Zawarliśmy układ. – Melissa próbowała coś powiedzieć, ale Prayton nie dopuścił jej do słowa. – Nie zaprzeczaj. – Uniósł ręce do góry, powstrzymując jej protesty. – Żadnych zobowiązań, żadnych obietnic. To wydawało się oczywiste i dla mnie, i dla ciebie, od samego początku. Ale zmieniłaś reguły gry. Nie interesuje mnie dlaczego. Czy zaczęło ci zależeć na naszym układzie za bardzo, czy chciałaś go zamienić w coś trwałego, pewnego, czy po prostu... – beznamytnie spojrzął na swoją kochankę – zakochałaś się. – Melissa zagryzła wargi i spuściła oczy. – Nie interesuje mnie

powód, lecz wynikające z niego konsekwencje i dlatego nie możemy być już razem.

Kobieta westchnęła głęboko i wyprostowała się. Przełknęła raniącą nieodwołalność jego decyzji i szloch dławiący gardło. Patrzyła na Kennetha, jakby go nigdy przedtem nie widziała, jakby nagle stał się dla niej zupełnie obcym człowiekiem.

Zaczęła mówić pewnym, choć nieco drżącym głosem:

– Żał mi ciebie. Jakie trzeba mieć życie, by stać się tak bezwzględny? Rozpieszczali cię, co? Wszystko dostawałeś na tacy? Biedny bogaty chłopiec... A może w ogóle cię nie zauważali, nikt się tobą nie zajmował, a może cię dręczyli? Powiedz mi, co takiego ci zrobili, że teraz nie ma w tobie krzty uczucia?! Dla nikogo, ani odrobiny!

Prayton nie wiedział, jak opanować zalewające go wspomnienia. Podszedł do okna i patrzył na oświetlony dom po drugiej stronie ulicy. Nie dostrzegał jednak ani bogato zdobionej fasady, ani wypielęgnowanego trawnika i precyzyjnie przyszczyżonego żywopłotu. Widział za to zbuntowanego chłopca, który próbował kłąć i strzelać z procy, a nocami zbyt często płakał przed zaśnięciem; widział samotnego nastolatka bez przyjaciół i kolegów, który udawał, że mu nie zależy na innych, i bił się z każdym, kto go zaczepił. Wreszcie łyzy i bunt się skończyły, a wszystko, co przedtem było ważne, nie miało już żadnego znaczenia.

Zamknął oczy, próbując odegnać niechciane obrazy, starając się zapomnieć słowa, które kiedyś słyszał, i nie pamiętać słów, których nikt nigdy nie powiedział.

– Moje uczucia to nie twój interes, podobnie jak moja rodzina. – Nie dodał, że z nikim nie rozmawiał o swoich rodzicach, licznych niańkach, guwernantkach, szkole z internatem, surowych nauczycielach i otwartej wojnie, w jaką zazwyczaj zmieniała się rywalizacja między uczniami.

– Tak, to nie mój interes. Już nie – stwierdziła Melissa ze smutkiem. – Ciebie nie można kochać. W każdym razie ja nie mogę. Nie potrafię kochać kogoś, kto tego nie chce, kto jest takim draniem jak ty. – Patrząc na jej twarz pełną napięcia, poczuł cień współczucia i nim zdołał je stłumić, powiedział:

– Przepraszam, Melisso, ja...

Nawet na niego nie spojrzała, potrząsnęła tylko głową i wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

„Komu ja współczuję, kogo mi żal – jej czy samego siebie? Ma rację: jestem draniem – pomyślał znużony. – Tylko cud może mnie uratować. Cud i solidna porcja whisky”.

Julia z zaciekawieniem przyglądała się opuszczającej parkiet parze, która wzbudziła powszechne zainteresowanie, by nie powiedzieć, że wywołała mały skandal. Klócili się, niby publicznie, ale niestety tańczyli za daleko, żeby usłyszała o co. Wyczuwała strach i wzburzenie Melissy, a także z trudem hamowaną wściekłość Praytona. Obserwacja była równie ekscytująca jak sam walc, a może nawet bardziej. Kiedy Melissa z Praytonem zniknęli za drzwiami, mruknęła pod nosem:

– On ją tam po prostu zaciągnął! Właściwie to na siłę. Wyglądał, jakby miał zamiar ją pobić. A ona? Była tak przerażona, że chyba nawet by się nie broniła.

– Co tam mruyczysz, moja droga? – „Czarny” bliźniak nie pozwolił jej na długie rozmyślenia.

– Słuchaj, może trzeba coś zrobić? Ten Prayton naprawdę wyglądał groźnie.
– Sama zbyt dobrze pamiętała swoją reakcję na niego, by teraz ze spokojnym sumieniem mogła zbagatelizować strach innej kobiety.

– O co ci chodzi? – Mike patrzył na nią w takim osłupieniu, że Julia aż się zmieszała.

– No, pomyślałam, wydawało mi się... Nie powiesz mi chyba, że nie zauważyłeś tego... incydentu?

– Jakiego incydentu? – Nieświadomość mężczyzny zdawała się nie mieć granic.

– Tego między Melissą a Kennethem Praytonem. Incydent to doprawdy delikatnie powiedziane. Boję się, że on jej coś zrobi.

– Kto? Prayton?! To jest tak samo absurdalne, jak gdybyś Sunny oskarżyła

o nieśmiałość. Uwierz mi, Ken naprawdę nie musi stosować przemocy wobec kobiet. Ma ciekawsze metody.

Julia zaczerwieniła się gwałtownie.

– Tak, wierzę ci, ale ja nie o tym mówię. On był bardzo, bardzo zły i... sama nie wiem. – Zrezygnowana wzruszyła ramionami. – Zresztą pewnie masz rację, znasz go lepiej. Chyba trochę przesadziłam.

– Nie, nie! Może faktycznie grozi nam mały skandalik. W końcu to ty widziałas całe zajście, nie ja. Byłem zbyt zajęty... – Mike znacząco zawiesił głos. – Widocznie nie okazałem się dla ciebie tak interesujący, jak ty dla mnie. – Westchnął w udanej rozpaczy.

– Ależ co ty opowiadasz?! Było bosko, fantastycznie! Tańczysz fenomenalnie i... – Dziewczyna aż się zachłysnęła, a Mike wybuchnął głośnym śmiechem.

– Wiesz, jak podbudować ego mężczyzny. Jeszcze trochę, a usłyszałbym oświadczyzny. – Objął ją ramieniem i lekko uściśnął. – Już dobrze, obiecuję cię więcej nie peszyć. Nie wiedziałem, że kobiety potrafią się jeszcze tak rumienić. – Spojrzał na rozpalone policzki Julii i jej spłoszony wzrok. – Już sza! Więcej nie będę. Słowo skauta. A wracając do naszej zbrodni w afekcie, najlepiej będzie po prostu sprawdzić, co oni robią.

– O Boże! Nie! To nie jest dobry pomysł. Przecież będziemy im przeszkadzać. – Julia wydawała się autentycznie przerażona.

– Na pewno, ale jeżeli ktoś tam kogoś morduje, to raczej nie mamy wielkiego wyboru – tłumaczył rozsądnie Mike, świetnie się przy tym bawiąc.

– No tak, ale...

– Przeszkadzimy im z pewnością w zupełnie czymś innym... – Figlarnie poruszył brwiami.

– W czymś innym? – Naiwność Julii była rozbrajająca. Mike nie mógł się powstrzymać, by tego nie wykorzystać.

– Tak. Na przykład w nowej odmianie godzenia się. Tej bardziej czulej.

– Jesteś niepoprawny. Ale mam za swoje. Dałam się nabrać. A ty nigdy nie byłeś skautem. – Nie potrafiła się na niego gniewać. Sprawiało jej nawet dużą przyjemność to przekomarzanie się.

– Byłem, ale mnie wyrzucili. – Wyglądał na bardzo skruszonego.

– Nawet wiem za co. – Żartobliwie pogroziła mu palcem. – Notorycznie spóźniałeś się na zbiórki.

– Skąd wiesz? – Mike szeroko otworzył oczy. – Nic się przed tobą nie ukryje. A więc dobrze, chodź, Sherlocku. Pora zapobiec zbrodni. Przy tobie Prayton nie ma żadnych szans.

– **O** co chodzi? – Kenneth z niechęcią spojrział na rozbawionego Blackwella i zdenerwowaną Julię.

– A gdzie Melissa? Czyżbyś już zdążył upchnąć ją do szafy albo pod łóżko? Co prawda żadnych krwawych śladów nie widać, ale mógł ją udusić w szale, nie uważasz, Julio? – Dziewczyna spłoszonym wzrokiem omiotła pokój.

– Cholera, o co wam chodzi? – Prayton stanowczo nie był w nastroju do żartów.

Mike z trudem przybrał poważną minę.

– Ta oto panna – wskazał ręką Julię – uważa, że zaciągnęłaś tu Melissę w niecnym zamiarach.

Prayton zignorował Mike'a i zwrócił się bezpośrednio do Julii.

– Mogę panią zapewnić, że nikomu nic się nie stało.

„Czy na pewno?” – zadrwił z siebie.

– Ależ nie, oczywiście niczego takiego nie miałam na myśli! – wykrzyknęła i choć wydawało się to prawie niemożliwe, zaczerwieniła się jeszcze bardziej. – Tylko widzi pan... wydawał się pan taki... a Melissa... no, ona... – Dziewczyna

umilkła i przymknęła oczy, czekając na wybuch, który – była o tym święcie przekonana – zaraz nastąpi. Gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię ze wstydu.

– Ona ma na myśli, mój drogi – Blackwell dokończył za Julię – że Melissa miała solidnego pietra, a bała się ni mniej, ni więcej tylko właśnie ciebie. Podobno strasznie się kłóciliście i ty sprawiałeś wrażenie... no, dość groźne wrażenie. Doprawdy zastanawiam się, co mogło cię aż tak wytrącić z równowagi, żeby robić publiczne awantury? Ty? Niesamowite... – Mike wydawał się wyraźnie zaintrygowany tym tematem.

– Daruj sobie! Zdecydowanie mnie to nie bawi, w przeciwieństwie do ciebie, jak widzę. A panią – spojrzał na spłonioną Julię z nieodgadzionym wyrazem twarzy – mogę uspokoić. Ani nie zgwałciłem Melissy, ani tym bardziej jej nie zabiłem.

– O Boże... – Tyle tylko dała radę z siebie wydusić. „Po co się w ogóle odzywałam, należało sobie przedtem odgryźć język. Po co mi to było? Taki wstyd! Mnie trzeba po prostu zamknąć i pokazywać za pieniądze jako wyjątkowy okaz idiotki!”.

Nieoczekiwanie Praytonowi zrobiło się żal Julii. Niespecjalnie współczuł Melissie, a żałował dziewczyny, która wtrącała się w nie swoje, co gorsza, w jego sprawę. Ale to była Julia. Julia o oczach jak młoda trawa i manierach dobrze wychowanej panienki. Nieśmiała i silna, szczerza i ostrożna. Zdawała się znać tajemnice, jakich nikt inny nawet się nie domyślał. Nieoszlifowany diament – oto czym była, a może także cudem, na który czekał. Cudowną dziewczyną tylko dla niego, która się martwi o jakąś kobietę, choć jej prawie nie zna, i o obcego mężczyznę, choć się go obawia. „Boże, co się ze mną dzieje? Zaczynam gadać jak domorosły poeta. Nie potrzeba mi żadnych zielonych cudów, tylko whisky”. Potrząsnął głową, próbując odegnać niezrozumiałą tęsknotę, która nie wiadomo skąd się pojawiła.

– Słuchaj no, Blackwell, chyba coś mi się należy za straty moralne, a i pannie MacAlister przydałoby się chyba coś mocniejszego. Skocz po jakieś drinki, dla mnie to co zwykle, tylko podwójnie. A my tymczasem sobie w spokoju porozmawiamy.

– Świetny pomysł – ożywił się natychmiast Mike, jakby chciał ubiec wszelkie ewentualne protesty Julii. – Ty ją jeszcze trochę poprzekonujesz, jaki z ciebie niegroźny facet, ona cię trochę poprzepasza za niegodziwe podejrzenia, po

czym zgodnie wypalicie fajkę pokoju. No to lecę. I nie będę się spieszyć.

Mike czuł lekkie wyrzuty sumienia, że tak zostawia Julię, ale musiał sprawdzić, i to zaraz, co robią Sunny i jego ukochany brat Benny; Julia na pewno sobie poradzi, a Kenneth przecież jej nie zje.

Kiedy Mike zniknął za drzwiami, Julia zupełnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Rozglądała się nerwowo po pokoju, który musiał służyć za gabinet do pracy. Naprawdę mało znajdowało się tu rzeczy, którym mogłaby się długo i z wielkim zainteresowaniem przyglądać: biurko, fotel, regał, lampa i jakaś rzeźba, na której Julia skupiła całą swoją uwagę, jakby to było oryginalne dzieło Michała Anioła.

– Ładna? – Nawet nie zauważyła, kiedy Prayton podszedł cicho i stanął za jej plecami. Blisko. Bardzo blisko. Czowała bijące od niego ciepło.

– Co? Ta rzeźba? – Dziewczyna aż podskoczyła z wrażenia i gwałtownie się odwróciła. – Ach, sama nie wiem. Po prostu tak mi głupio. – Prayton zauważył, jak uporczywie unika jego wzroku i jak kurczowo zaciska palce.

– Odpręż się. – Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Pogłaskał ją lekko, jakby uspokajał małego kotka. – Przecież nic się nie stało. Niepokoiliś się, to nie grzech. Ja się nie gniewam, choć może powinienem. – Poczul, jak nagle zeszywniała. – Spokojnie, tylko żartowałem. – Wyciągnął drugą rękę i delikatnie zaczął masować jej kark i ramiona. – Czemu jesteś taka spięta? Rozluźnij się... – Mówił szeptem i bardzo powoli; Julia czuła, że ten chropawy, przytłumiony głos pieści ją tak samo jak jego dłonie.

Czarował ją dotykiem i słowami. Dziewczyna chciała się odsunąć, ale nie mogła. Ogarniało ją rozleniwienie, jakiś niepojęty bezwład. Zapomniała o krępującej sytuacji, przestraszonej Melissie, o niepokoju, jaki w niej samej wzbudził Prayton, i o ostrzeżeniach Sunny. Było jej tak dobrze. Za dobrze – miała ochotę mruzczyć jak zadowolona kotka.

Otrzeźwiała i szybko odsunęła się od Praytona. Zażenowanie powróciło.

Kenneth nigdy nie przypuszczał, że kobiecy kark i ramiona mogą być tak pełne zmysłowości, tym większej, że nieświadomionej. Jednocześnie był zdumiony własną reakcją na lekkie wygięcie szyi i bierne poddanie się napiętych ramion Julii dotykowi jego palców. Był oczarowany i podniecony. On? Nie był

próżny, ale też doskonale zdawał sobie sprawę, jaki ma wpływ na kobiety. Chciały go. Chciały go mieć, zdobywać, osaczać i posiadać na własność. W gruncie rzeczy lubił kobiety i wiele o nich wiedział; szanował je jako przeciwników, unikał jako wrogów, ale przede wszystkim nie ufał im za grosz. Teraz jednak czuł, że cała jego wiedza i doświadczenie zawodzą. Czuł, że te pieszczoty, niebędące właściwie pieszczotami, i ten flirt, niebędący przecież flirtem, działają na niego w sposób zadziwiający. Nie wiedział, co o tym myśleć, ale w jedno nie wątpił: cała ta sytuacja była dla niego tak samo nowa, jak dla tej dziewczyny. Nigdy czegoś podobnego nie przeżył.

Przytrzymał ją, gdy odsunęła się od niego, i przyciągnął z powrotem. Obrócił przodem do siebie i delikatnie uniósł jej brodę, która drżała jak od tłumionego płaczu.

– Spójrz na mnie – polecił łagodnie.

Niechętnie, ale usłuchała. Przyglądał się jej nieprawdopodobnie zielonym oczom, teraz wyrażającym przede wszystkim lęk, i poczuł dziwny skurcz w żołądku.

– Boisz się mnie? – Niepewnie zaprzeczyła. Była jak marionetka, którą on trzymał w dłoni. – Nie bój się. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Tylko... tylko muszę sprawdzić.

Jeszcze bardziej przybliżył jej twarz do swojej, tak że Julia musiała stanąć na palcach.

– Muszę sprawdzić, czy naprawdę jesteś taka słodka, jak sobie wyobrażałem. – „Co ja robię? Czego właściwie od niej chcę?” – zadał sobie błyskawicznie te pytania, ale nie miał ani siły, ani ochoty, żeby na nie odpowiedzieć, bo... Julia właśnie zamknęła oczy.

„Co ja robię? Czego on ode mnie chce? Czemu mu na to pozwalam?” – te pytania i jeszcze setka innych, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, wirowały w jej głowie. Stała jak sparaliżowana i nic nie mogła poradzić na to, że usta, których nie widziała, były coraz bliżej. Bała się i jednocześnie drżała z niecierpliwości, aby wreszcie móc go objąć.

Poczuł jej zapach, zanim jej posmakował. Nie był to jakiś konkretny zapach perfum czy mydła, ona po prostu pachniała sobą. W zapachu tym kryła się jakaś wspaniała, cudownie słodka nuta. Kiedy zaczął ją całować, bezwiednie zamknął oczy. Nie mógł inaczej. Z własnej woli oddał się we władzę wszystkich zmysłów, z wyjątkiem wzroku. Wzroku, który zawsze uważał za najważniejszy, bo oceniał i ostrzegał. Ale w tej chwili chciał przede wszystkim czuć – dotykał, smakował, wąchał. Jej smak i zapach zlały się w jedno – były po prostu Julią. On był z Julią, był z nią w sposób, o jakim nie marzył. Kochali się pocałunkiem.

„Na pewno chce mnie ukarać – przemknęło Julii przez głowę. – Tak. Chce mnie ukarać za to, że go podejrzewałam i za to, że uciekłam... wtedy, w parku...”. Myśl, która miała coś wyjaśniać, zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Nie potrafiła jednak znaleźć żadnego wytłumaczenia, dlaczego godzi się na to wszystko, a nawet sama ponagla Praytona, łapiąc go za ramiona i przywierając niecierpliwie do jego ciała.

Tymczasem „kara” zaczynała się robić coraz bardziej intensywna. Mężczyźnie przestały wystarczać delikatne muśnięcia warg. Chciał smakować ją głębiej, mocniej. Obrysował językiem zarys jej ust, a gdy je rozchyliła, przejechał nim po zaciśniętych zębach. Julia gwałtownie westchnęła i zagryzła dolną wargę.

– Przestań – polecił zachrypniętym głosem. – Nie broń się przede mną. Nie uciekaj... znowu. Nie teraz. Będzie dobrze. Uwierz mi, nie ma się czego bać. Złap mnie za szyję. Chcę cię czuć blisko, chcę czuć, jak mnie obejmujesz.

Gdy Julia jak bezwolna kukielka zrobiła, co kazał, sama utonęła w uścisku tak silnym, że prawie bolesnym. Czuła jego dotyk na swoich nagich plecach. Jego ciepłe dłonie – jakby porażone tą nieoczekiwaną bliskością – nie śmiały posunąć się dalej, tylko ścisnęły... ścisnęły coraz mocniej. „On naprawdę bardzo chciał mnie pocałować” – pomyślała jeszcze, a potem już w ogóle przestała myśleć.

Złapał jej dolną wargę zębami; zaczął ją delikatnie gryźć i ssać. Julia jęknęła zdumiona i oszołomiona, a wtedy jego język wślizgnął się do środka jej ust. „Nareszcie” – pomyślał Kenneth. Trącał jej język swoim. Zachęcał do zabawy, wciągał do wspólnego tańca. Julia początkowo nieśmiało, ale później coraz odważniej odpowiadała na to nieme zaproszenie.

Prayton z trudem oderwał się od ust Julii, a ona, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, ukryła twarz na jego piersi. Objął ją ciaśniej i uspokajająco głaskał po głowie. Miała takie jedwabiste włosy. Jego palce wplotły się w delikatne pasma.

Czuła tę dłoń, która uspokajała i jednocześnie brała w posiadanie. „Zepsuję sobie fryzurę – pomyślała sennie – ale teraz nie będę się tym martwić, może potem...”. Nie zdążyła się zastanowić nad tym, co będzie potem, bo właśnie wtedy dłoń Kennetha powoli ześlizgnęła się w kierunku jej szyi.

Delikatnie choć stanowczo ścisnął kark Julii. Podniosła głowę. Patrzył na nią tak, że czuła się przezroczysta. Nie wiedziała, czego szuka w jej oczach, czego od niej oczekuje i czy pragnienie, które wyczytała w jego spojrzeniu, zdumiało go tak samo jak to, które odnalazła w sobie samej.

– Jesteś jeszcze słodsza, niż myślałem – powiedział. – Mogłoby mi to wejść w nawyk.

– Co? – Nie wiedziała, jak zdołała to z siebie wydusić.

– Całowanie ciebie. Wydaje się to tak naturalne, tak oczywiste. Poza tym już się mnie nie boisz. – Nie pytał, po prostu stwierdził fakt.

– Nie bałam się ciebie – zaprotestowała słabo.

– Nie? – Jego uśmiech wyrażał tak mało.

– No, może troszeczkę, w końcu...

– W końcu jestem niedoszłym zabójcą.

– O Boże, nie to miałam na myśli. Chyba mi nigdy nie wybaczysz.

– Wybaczę ci wszystko. Wszystko... nawet to, że się ode mnie odsuwasz – wyszeptał i uśmiechnął się, gdy momentalnie znieruchomiała. – Już dobrze. Przecież w ogóle mnie nie znasz. Prawda? To chciałaś powiedzieć. Nie wiesz, czego się po mnie spodziewać.

– Tak – bąknęła. – To znaczy nie. Ach, już nic nie wiem. Sprawy potoczyły się tak szybko. Twoja kłótnia z Melissą, moja... interwencja. Niepotrzebna zresztą. No i nasz... to znaczy to, co było potem... – Julia ukryła twarz w dłoniach, niezdolna powiedzieć niczego więcej. Nie zauważyła więc, że na wzmiankę o Melissie usta Praytona wykrzywił nieprzyjemny grymas. Ale później, na widok zmieszania i zawstydzenia Julii, znowu się uśmiechnął.

– Muszę się napić, a Blackwella jakoś nie widać. Za dużo tego wszystkiego, nawet jak dla mnie – mruknął i z lekką ironią patrzył, jak skwapliwie kiwa głową.

– Tak, tak, doskonały pomysł, napijmy się na zgodę. – Zerknęła niepewnie na Praytona, ale ten ponownie się uśmiechnął, tym razem zachęcająco.

– No właśnie, tylko może przedtem doprowadźmy się do porządku.

– Nie rozumiem. Wyglądasz zupełnie... dobrze. – Julia obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

– Cieszę się, ale twoje włosy...

– O rany! – Julia podniosła ręce do góry i próbowała bezskutecznie poprawić coś, co jeszcze niedawno było jej kunsztownie ułożonym kokiem. – Liczba mnoga to uprzejmość z twojej strony – powiedziała z wyrzutem. W końcu zrezygnowana wyciągnęła spinki i przeczesła włosy palcami. – To musi wystarczyć – mruknęła.

– Wyglądasz świetnie. Naprawdę. Chodźmy wreszcie – dokończył zniecierpliwiony i ujął Julię pod rękę.

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona. Z ulgą przyjęła propozycję Kennetha. Musiała pomyśleć i trochę się rozluźnić, a drink z pewnością rozluźnia; czy pomaga również w myśleniu, tego nie była już taka pewna. Tylko dlaczego teraz on zrobił się spięty? Wydawało się, że przeszedł nad wszystkim do porządku dziennego, że ani jej oskarżenia, ani ich pocałunek nie sprawiły na nim takiego wrażenia jak na niej. O co więc teraz chodzi? Może żałuje? Ale czy mężczyźni żałują czegoś tak drobnego, mało istotnego jak pocałunek? A już zwłaszcza Prayton nie wyglądał na takiego, który żałuje czegokolwiek. Dla niej zaś „ten drobiazg” był cudownym, niepowtarzalnym przeżyciem i po prostu nie mogła go żałować. Z drugiej strony właściwie wcale się nie znają, może więc zastanowiła go jej reakcja – taka entuzjastyczna. Nie bronila się, była chętna, bardzo chętna. Powinna się wstydzić, ale nie miała na to najmniejszej ochoty. Nikt, a już na pewno Trevor, nigdy tak jej nie całował, ona nikogo tak nie całowała. To było zbyt piękne, zbyt podniecające, żeby się teraz tego wstydzić czy wypierać. A jeżeli on ma jakieś wątpliwości, to... to wyłącznie jego sprawa! I chociaż okazało się, że nie jest wyjątkiem i też uległa czarowi Kennetha Praytona, to teraz o wiele bardziej niż jego zmienne nastroje Julię interesowały jej własne odczucia. Nieoczekiwanie w miejsce strachu pojawiła się fascynacja i czysto kobiece zainteresowanie.

Chciała przeżyć coś szalonego i przeżyła; i nie będzie miała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Kenneth czuł na sobie spojrzenie Julii, kiedy szedł po drinki. Wiedział, że zachowuje się dziwnie, ale nic nie mógł na to poradzić. Podczas gdy ona zaczęła się uspokajać, on czuł się coraz bardziej niepewnie, a to go denerwowało. Nie znosił czuć się niepewnie. Musi natychmiast uwolnić się od tej kobiety! Od tej delikatnej, nieśmiałej dziewczyny, która podnieciła go jak żadna inna do tej pory. Jeszcze teraz czuł niepokojące pulsowanie w dole brzucha. Przecież ona nawet nie próbowała go uwodzić! A jednak czuł się uwiedziony, oczarowany, czuł się nieswojo i właśnie niepewnie. To było nie do zniesienia!

– Widzę, że spotkanie z Jego Wysokością Praytonem przebiegało dość burzliwie. – Sunny nawet nie siłała się na uprzejmość.

– Nie bardzo rozumiem. – Julia była w tak doskonałym humorze, że nie docierały do niej żadne złościwości.

– Mówię – Sunny wymownie spojrzała na rozpuszczone włosy Julii – o twoim koku.

– Ach... No cóż, popsuł się.

– Raczej ktoś ci go popsuł. Julio, co się z tobą dzieje? Czy on aż tak dobrze całuje?

– Tak... – Westchnęła rozmarzona, ale zaraz oprzytomniała. – Skąd o tym wiesz?

– Po prostu widzę. – Rude włosy Sunny zdawały się płonąć żywym ogniem.
– A czy ty nie widzisz, co się dzieje? Czy nie widzisz, co on z tobą wyprawia? Ten facet to chodzące niebezpieczeństwo, a tobie zupełnie odbiło!

– Przecież tego chciałaś, żebyś zaszalała, odżyła, i właśnie to robię.

– Nie, ty pakujesz się w coś, o czym nie masz zielonego pojęcia. Myślałam... mówiłaś, że on nie interesuje cię w taki... – wykonała nieokreślony ruch ręką – sposób.

– Proszę cię... – Julia spojrzała na nią trochę smutno. – Nigdy nie przeżyłam niczego takiego. On nie jest taki, jak myślisz; już się go nie boję. Może przedtem nie chciałam się do tego przyznać, ale on ma w sobie coś, co mnie przyciąga, coś, przed czym kiedyś schowałam się do mysiej dziury, ale teraz... Teraz zaczęłam się zmieniać i to właśnie on uświadomił mi te zmiany. Jestem inna niż wczoraj, inna niż pół godziny temu. Mogę otwarcie przyznać, że jakiś mężczyzna mnie fascynuje i że nie ma w tym niczego złego. Słyszysz? Mogę głośno powiedzieć: ten facet mi się podoba i lubię, jak mnie całuje. Spróbuj zrozumieć – w głosie Julii pojawił się błagalny ton – jak wiele to dla mnie znaczy.

– Ależ rozumiem! – prychnęła Sunny. – Tylko nie pochwalam twojego wyboru.

– Co do niego... – Julia beztrąsko wzruszyła ramionami – myślę, że jest inny, niż się wszystkim wydaje. A nawet gdybym miała go nigdy więcej nie zobaczyć, co z tego? Już ofiarował mi więcej, niż mogłabym chcieć, nawet więcej niż mogłabym marzyć. On nie ma brata bliźniaka, jest jeden jedyny, niepowtarzalny i całował się właśnie ze mną – zakończyła z niezaprzeczalnym triumfem w głosie.

– Jezu, jest gorzej, niż myślałam!

Następnego dnia po przyjęciu w Crazy Gallery panowała cokolwiek napięta atmosfera. Julia udawała, że wszystko jest w porządku. Sunny udawała, że w to wierzy; w końcu jednak nie wytrzymała.

– Do diabła! Mam tego dosyć! Czuję się jak po filmie w kinie porno, który przespałam. Na Boga, jakie ty miałaś sny!

– Niesamowite. Po prostu niesamowite... – Julia głośno westchnęła. – Miałam sny erotyczne, tak się to chyba nazywa?

– Zupełnie ci odbiło.

– Już to wczoraj mówiłaś.

– Mówiłam i powtórzę: zupełnie ci odbiło! Wczoraj się zabawiał twoim kosztem. Melissa go wkurzyła, a ty posłużyłaś za odtrutkę. Dzisiaj już pewnie

nawet nie pamięta, jak masz na imię.

– Możliwe, ale w takim razie co on tu robi? – Julia spojrzała znacząco na drzwi.

Prayton czuł się idiotycznie. Wydawało mu się, że przez noc zapomniał o Julii, jej zapachu, jej ustach... Nie udało się. Może za słabo się starał. Przez całą noc śnił o trawie zielonej jak jej oczy, o zielonych pocałunkach i o zielonych czarach. Tylko że w jego snach czarodziejka nie była ani nieśmiała, ani zawstydzona; była dzika i nienasycona. Płochliwa nimfa stała się ognistą bachantką. Nie mógł się od niej uwolnić, nie mógł o niej zapomnieć; musiał ją dzisiaj zobaczyć. Dlaczego? Może dlatego, że niczego od niego nie chciała, niczego nie oczekiwała. Przyjmowała go takim, jakim był, choć stanowił dla niej taką samą zagadkę, jak ona dla niego.

Z jego przyjaźnią z Blackwellami było podobnie. Wiele lat temu zaufał im tylko dlatego, że niczego od niego nie chcieli. Mieli siebie, łączyła ich więź, jaką potrafiła zrozumieć tylko inna para bliźniaków – zawsze mogli na siebie liczyć, zawsze jeden wiedział, co czuje drugi, pewnie nawet czytali w swoich myślach – i Kenneth w gruncie rzeczy do niczego nie był im potrzebny. Po prostu nieoczekiwanie, bez żadnego powodu polubili go; nie licząc na wdzięczność, ofiarowali mu swoje wesołe towarzystwo, swoją lojalność, a także pomoc w razie kłopotów. Tylko tyle, ale dla niego to było bardzo wiele – gdyby nie Blackwellowie, nigdy by nie uwierzył, że istnieje coś takiego jak prawdziwa męską przyjaźń. Tak więc to właśnie od nich próbował dowiedzieć się czegoś więcej o Julii. Niewiele jednak mogli mu powiedzieć. Oprócz wywołania ich ciekawości swoim nagłym zainteresowaniem przyjaciółką Sunny, poznał tylko kilka suchych faktów: dwadzieścia cztery lata, niezamężna, córka nieżyjących, choć nadal cenionych artystów, Stevena i Marii MacAlisterów, od czwartego roku życia wychowywana przez stryja, obecnie prowadzi razem z Sunny dość oryginalną galerię sztuki niedaleko City.

Blackwellowie odradzali mu tę znajomość.

– Daj sobie z nią spokój – bez żadnych wstępów oświadczył Mike, gdy tylko Kenneth zapytał go o Julię.

– Martwicie się o mnie? – zakpił.

– Nie. O nią. – Ben z zasady mówił niewiele, ale zawsze trafiał w sedno.

– Chyba tracie wycucie, przyjaciele. To nie jest bajka o Czerwonym Kapturku i wielkim złym wilku. Julia po prostu mnie interesuje. Jest inna... – Nie sprecyzował, co miał na myśli.

– Właśnie. Zostań lepiej przy kobietach pokroju Melissy, oczywiście nie ubliżając nikomu. Nie wyrządźcie sobie większej krzywdy. One przynajmniej wiedzą, czego chcą. Julia, no cóż, Sunny twierdzi, że jest trochę zagubiona. – Mike zastanowił się przez chwilę. – Myślę, że ona ma dość problemów i bez ciebie.

– A może mógłbym rozwiązać niektóre z nich? Chłopaki – Prayton uniósł ręce w uspokajającym geście – powiedzieliście, co mieliście do powiedzenia. Wiecie o niej coś jeszcze? Jeżeli nie, to lepiej skończmy z tym tematem.

– No proszę, proszę. Któż to zawitał w nasze skromne progi? – Sunny szybko doszła do siebie. – Jego Wysokość Kenneth Prayton we własnej osobie zaszczyił nas swoją wizytą. – Uśmiech Sunny trudno było nazwać sympatycznym.

Kpiny Kate spowodowały, że mężczyzna poczuł się pewniej. Ona była przeciwnikiem, on zaś doskonale sobie radził z wszelkimi przeciwnościami, nawet tymi rudowłosymi na dwóch zgrabnych nogach.

– Oj, Sunny, Sunny. Pani tak zawsze, czy tylko ja działam na panią jak płachta na byka? Jeżeli wszystkich klientów witacie w ten sposób, to cud, że do tej pory nie splajtowałyście. – Choć mówił do Kate, patrzył na Julię, która od wczoraj nic się nie zmieniła. Była tak samo urocza, znowu cała w pąsach i znowu chciał ją pocałować.

– Dzień dobry – bąknęła cicho w odpowiedzi na jego powitalny uśmiech. – Proszę się nie przejmować Sunny – dodała i lekko wzruszyła ramionami. – Ona ciągle żartuje, ma taki odruch. A pan... Szuka pan czegoś? Dla siebie czy na prezent?

– Dla siebie. Szukam czegoś dla siebie. – Gdy spojrział w szeroko otwarte oczy Julii, odgadł, że wychwyciła dwuznaczność jego odpowiedzi.

Sunny obserwowała tę wpatrzoną w siebie parę i czuła się jak piąte koło

u wozu. Zupełnie nie wiedziała, co robić. Dalsze docinki pod adresem Praytona mogły tylko bardziej zdenerwować Julię.

– Proszę się rozejrzeć – powiedziała w końcu. – Nie będziemy panu przeszkadzać.

Podeszła do przyjaciółki i zaciągnęła ją na zaplecze.

– Opanuj się – zażądała kategorycznie. – Jeszcze trochę, a wejdiesz mu do kieszeni.

– Przesadzasz. – Julia zamrugła powiekami. – Po prostu zaskoczył mnie, nie spodziewałam się go tutaj i...

– ...i dlatego stałaś jak słup soli, gapiąc się na niego jak sroka w gnat. Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe – prychnęła.

Kiedy wróciły, mężczyzna trzymał w ręku figurkę dziewczyny z wystawy.

– Psuje nam pan ekspozycję – burknęła z niechęcią Sunny.

– Chcę to kupić – odpowiedział zdecydowanie.

– Gdy zmienimy wystawę. – Kate nie tak łatwo dawała się przekonać.

– Ależ Sunny, jeżeli Ken, to znaczy pan Prayton chce ją kupić, to przecież...
– Twarz Julii barwą przypominała piwonie. To prawda, że w myślach nazywała go Kenem, ale co ją napadło, żeby teraz pozwalać sobie na taką poufałość!

– No pewnie, nie ma sprawy. – Sunny natychmiast pośpieszyła przyjaciółce z pomocą. – Jeżeli tak panu na niej zależy...

– Bardzo. Przypomina mi kogoś... – Zawiesił głos i uśmiechnął się do Julii. „Ken? Ciekawe...” – pomyślał.

– Doskonale – powiedziała Sunny. „Im szybciej kupi, tym szybciej się wyniesie – myślała błyskawicznie. – Niepotrzebnie go powstrzymywałam. Jeżeli nie kupi teraz, przyjdzie znowu, a tak może...”. Pokręciła głową z rezygnacją, bo w gruncie rzeczy nie wierzyła, żeby Prayton tak łatwo zapomniał o Julii.

ROZDZIAŁ 5

To nie było takie proste, choć oboje jakby nie zdawali sobie z tego sprawy. Rozmawiali i śmiali się razem, pragnęli się i tęsknili do siebie, ale tak naprawdę w ogóle się nie znali. Niewiele mówili o przeszłości, prawie wcale nie myśleli o przyszłości. Liczyło się tylko tu i teraz, to, co ich połączyło, co odnaleźli w sobie na nowo albo odkryli po raz pierwszy. Byli razem – szczęśliwi, że nie muszą nikogo ani niczego udawać, że nareszcie mogą być tylko sobą. Ale to, co nie pozwalało im na to przedtem, nadal w nich tkwiło. A jak długo można się oszukiwać, pragnąc rzeczywistości będącej wyłącznie chwilą...

Julia często odnosiła wrażenie, że jej mieszkanie jest dla Kena za małe. To było nawet dość zabawne – dorosły, zorganizowany mężczyzna potykający się o własne stopy niczym dorastający nastolatek, który w ciągu jednego lata urósł o trzydzieści centymetrów i teraz sam nie wie, co zrobić ze swoimi zbyt długimi rękami i nogami. Ciągłe wpadał na szafki w kuchni, zrzucał książki, zahaczał o obecne na każdym kroku kwiaty, a kiedyś zaplątał się w dywan leżący przed kominkiem. Najbezpieczniej dla niego i sprzętów wokół byłoby, gdyby w ogóle nie wstawał z kanapy. Zresztą w gruncie rzeczy tak głównie spędzali czas: na kanapie, w łóżku albo na podłodze – leżąc, kochając się lub tylko sennie pieszcząc nawzajem. Jej mieszkanie stało się dla nich miejscem wspólnej, czule pielęgnowanej tajemnicy.

Nie pytała, dlaczego nigdy nie zaprosił jej do swojego domu. Nie wiedziała, gdzie mieszka ani co robi, gdy nie są razem. W ogóle nie zadawała żadnych pytań. Nie chciała wiedzieć, kim był, zanim się poznali, i do czego powróci potem, gdy już nie będą się znali. Nie chciała nawet myśleć o żadnym potem. On też nie próbował się o niej dowiedzieć niczego ponad to, co już wcześniej wiedział. Dlaczego nie pytał o samotność, którą czuła tak długo, czemu nie dziwił się, że wychowywał ją stryj, dlaczego nie zastanowił go jej zupełny brak doświadczenia, jej niewinność...?

Dlaczego nie martwiła się ponurymi przepowiedniami Sunny, czemu nie szukała trosk, z powodu których wołał noce bez żadnych snów, czemu jego gniew, który pojawiał się nagle i równie nagle znikał, nie ostrzegł jej, nie przygotował na to, co się miało zdarzyć? Dlaczego...? Niezadane pytania, brak odpowiedzi, które nieproszone, nadal trwały w podświadomości... Czy to było szczęście? Dla nich tak. Przez pewien czas.

Jednak w końcu zderzyli się z faktami, które nie lubią, gdy się je lekceważy. W bańce złudnego szczęścia tak łatwo zapomnieć o strachach i potworach, o wytrenowanych przez lata odruchach. Dopiero poniewczasie okazuje się, że są one silniejsze od woli.

Gdy czujesz się osaczony – atakujesz lub godzisz się na to, co ma przyjść, a Prayton nie należał do tych pokornych; jego żywiołem była walka z prawdziwym lub tylko wyimaginowanym wrogiem.

Gdy czujesz zagrożenie – uciekasz albo bronisz się, a Julia nie miała już sił na obronę; ściany, za którymi się ukryje, będą mocne i wysokie jak mury średniowiecznej twierdzy.

To jej kompleksy i jego nieufność odsunęły ich od siebie. Ona nie umiała walczyć o to, co było piękne i prawdziwe między nimi; on nie wierzył, że to, co piękne, mogło być również prawdziwe.

Mężczyzna przygarnął kobietę do siebie. Nie tulił jej jednak, lecz przyciskał coraz mocniej, jakby próbując wydobyć nieznaną prawdę.

– Dlaczego? Dlaczego?! – pytał siebie. Milcząca dziewczyna nie знаła odpowiedzi.

Poczuła jego suche i zachłanne usta. Zdierał z niej ubranie, a ona poddawała się temu biernie. Przez chwilę chciała głośno wykrzyknąć, że to niesprawiedliwe, ale tylko przez chwilę. Potem ogarnęło ją jego szaleństwo. Rozdarła mu koszulę i przyłgnęła do nagiej skóry mężczyzny. „Dlaczego?!” – jego pytanie odbiło się w niej echem.

Nie szukał łóżka, nawet podłoga była za daleko. Poczuła go w sobie, zanim zrozumiała, co się stało. Nie pragnął jej, ale tego co, jak przypuszczał, mu zabrała. Dążył do spełnienia, nie czekając na nic. Ale ona była tuż za nim; choć już nie razem, to jednak wciąż byli bardzo blisko.

Odsunął się od niej roztrzęsiony. Patrzył na nią, jakby chciał zapamiętać na zawsze i zapomnieć w tym samym momencie.

– Muszę się zastanowić. – Przymknął powieki tak, że nie wiedziała, czy

kryje pod nimi rozczarowanie, ale słyszała gorycz w jego głosie i coś przypominającego ból. – Pomyślę i zdecyduję, co zrobić. Czekaj tu – rozkazał i opuścił ręce, które jakby zapomniane wciąż leżały na jej ramionach; dłonie opadły, odpychając ją od niego. Odwrócił głowę i spojrzał w bok. – Nienawidzę cię – powiedział miękko. Zebrał ubranie i poprawiając rozerwaną koszulę, odszedł.

To było dziwnie piękne – to uczucie gorące i gwałtowne, akt prawie brutalny, ale nie było dobre. Chciał ją upokorzyć, lecz i siebie zranił przy tym równie głęboko.

– Wiem – powiedziała do zamkniętych drzwi.

– **Halo**, proszę pana! – Ledwie poczuł, że ktoś potrząsa go za ramię. – No! Proszę pana! Co z panem? – W obcym głosie wyczuwało się niepokój i wyraźną już irytację. – Pijany, czy co? – Ken chciał zaprzeczyć, ale... – Dalej, rusz się, kolego. Nie możesz tu zostać. – Teraz w obcym głosie pojawiła się jowialność i coś na kształt zrozumienia, wypływającego z odwiecznej męskiej solidarności. – To już koniec trasy. Musisz wysiąść.

– Dlaczego? – zapytał spokojnie pochylającego się nad nim starszego mężczyznę w uniformie kierowcy autobusu.

– Co dlaczego? – Kierowca zrozumiał swoją pomyłkę, kiedy wreszcie przyjrzał się dokładnie twarzy pasażera. Gość co prawda nie zionął alkoholem, ale z pewnością coś z nim było nie tak. Roztargnione, nieobecne spojrzenie i raczej mało odpowiednie okrycie, biorąc pod uwagę panujący chłód, który jednak na nieznanym zdawał się nie robić wrażenia. – O co panu chodzi? – Powrócił formalny ton, zniknęło rozbawienie, nawet irytacja. Teraz przyglądał się Kenowi głównie z obawą. „Mam nadzieję, że to nie jakiś wariat”. Kierowca nie po raz pierwszy przeklął w duchu swoją nocną pracę. – A może pan jest chory albo coś... Może cierpi pan na tę, jak to się mówi, a...ame... Cholera! No że nic pan nie pamięta?

– Chciałbym...

– Słuchaj pan, mam już tego dosyć. Chcę jak najszybciej wrócić do żony i dzieciaków, więc wariat czy pijany wysiadaj pan, do jasnej aniłki!

– Tak, oczywiście.

Kiedy powoli wstał i skierował się do wyjścia, kierowca przyglądał mu się z ostrożną ciekawością. Ken stanął na chodniku i rozejrzał się wokół – nie znał tego miejsca i jakoś nie mógł się tym przejąć. Gdy wsiadał do prawie pustego autobusu, pragnął jedynie chwili spokoju i odpoczynku. Nie wiedział, dokąd jedzie, i niewiele go to obchodziło. Ale teraz musiał się w końcu na coś zdecydować – przecież nie mógł tak tutaj stać i czekać na świt. Jego żal nie zniknie wraz ze wschodem słońca. Nowy dzień nie pocieszy wczorajszego smutku.

– Co robić? Dokąd iść? – zapytał ciemności.

– A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć! To już pański problem. – Kierowca miał go naprawdę serdecznie dosyć.

– Gdzie ja jestem? – Noc odpowiedziała cichym sykiem zamykanych drzwi. Jednak autobus nie odjechał natychmiast. Czyżby wyrzuty sumienia? Kierowca uchylił szybkę.

– Tu niedaleko, koło lunaparku, zaraz przy bramie jest budka telefoniczna – niech pan wezwie taksówkę. – Kiedy nieznajomy nawet nie drgnął, kierowca wzruszył ramionami. – Dziwny facet. A co mnie to zresztą obchodzi! Jak nie ma forsy albo lubi spacerować, to niech wraca piechotą – wymruczał pod nosem i odjechał.

Kiedy Ken został sam, poczuł ulgę. Nie miał ochoty na rozmowy, na tłumaczenie się ze swojego zachowania i wyglądu. Wcisnął ręce do kieszeni i ruszył w stronę, którą wskazał mu kierowca. Mijał nieliczne, słabo widoczne w oddali domy, w których gdzieś palilo się samotne światło.

Lunapark. Zobaczył go w końcu – niewyraźny kształt, przytłaczająco cichy, prawie nierealny. Był jak ciemniejsza bryła na tle szarzejącej niechętnie nocy. Zamglony blask latarni. Nieliczne reflektory, których świetlista odwaga i kilkusetwatowa brawura rozplywały się pod milczącym granatem nieba. Wszystko to bardziej przypominało opuszczoną dekorację do filmu science fiction niż znajome miejsce, w którym już kiedyś był. Razem z Julią.

Podczas jednego z pierwszych spotkań stwierdzili ze zdziwieniem, że żadne z nich nigdy nie odwiedziło wesołego miasteczka. Może to śmieszne, że dorośli

ludzi chcieli nadrobić zaległości z dzieciństwa, ale cały czas to właśnie robili.

Chodzili do kina: na komedie, horrory i filmy rysunkowe – zawsze z obowiązkową dużą torbą czipsów lub popcornu. Jeździli na pikniki, kilka razy zabrał Julię do największej krytej pływalni w mieście, a kiedyś nawet rozegrali mecz koszykówki z grupą znudzonych dzieciaków, którym zabrakło dwóch zawodników. Często wybierali się na długie wypadki do miasta, podczas których opychali się pizzą i hot dogami, oglądali wystawy i regularnie odwiedzali jeden z salonów gier komputerowych. Poza tym namiętnie kupowali ciuchy na wyprzedazach, by później urządzać sobie wieczorki przebierańców. Pamiętał, że Julia zaśmiewała się do łez z jego stroju kowboja rodem z Dzikiego Zachodu i interpretacji sceny pojedynku w samo południe, w którym przeciwnik, choć niewidzialny, zdawał się być górą. On zaś wręcz turlał się po podłodze, kiedy Julia odtańczyła własną wersję „Jeziora łabędziego” w nieco przyciasnym, różowym stroju baletnicy.

Bez względu na to, co było prawdziwe w ich związku, śmiali się i bawili jak nigdy dotąd. Gdyby mogli się zwyczajnie rozstać – marzyłby o takich wspomnieniach! Ale między nimi zawsze już będzie istniała więź, najsilniejsza z możliwych, taka, która łączy na zawsze nawet najbardziej obcych sobie ludzi. Gdyby naprawdę mógł dostać amnezji, gdyby mógł odrzucić wspomnienia, które teraz tylko mu przeszkadzały, obciążały, ale... nie potrafił.

A lunapark? To było takie cudowne niedzielne popołudnie. Czekał na nią wtedy – długo, ale cierpliwie, bo już samo czekanie sprawiało mu przyjemność. Spacerował po parku, tym samym, w którym spotkali się po raz pierwszy. Teraz na drzewach i pod nimi prawie nie było już liści, za to po obu stronach ścieżki leżały ich całe stosy, porządnie zagrabione i ułożone czekały na... Nie miał pojęcia, co tu robią z opadłymi liśćmi – może wywożą, a może palą, a może ocieplają nimi róże w ogródkach. Coś na pewno z nimi robili. Schylił się, by podnieść kasztan, który wytoczył się spod niewielkiej liściastej sterty. Tkwił jeszcze w swoim kolczastym ubranku, choć już lekko pękniętym. Zważył go w dłoni – ciężki. Rozłupał delikatnie skorupkę i zaskoczony stwierdził, że zamiast jednego dużego trzyma w dłoni dwa mniejsze kasztany przylegające do siebie płaskimi brzuszkami. A może to były plecki? Chuchnął na nie i potarł o spodnie – błyszcząły i mieniły się jak atlas. Uśmiechnął się i schował je do kieszeni.

Nie spodziewała się go. Poznał to po jej zarumienionych z zadowolenia policzkach i uśmiechu pełnym radosnego zdumienia.

– Lubię takie niespodzianki – zawołała do niego i pomachała mu ręką. Ostatnie kilkanaście metrów pokonała biegiem.

– Na co masz dzisiaj ochotę? – zapytał cicho, gdy na powitanie przytuliła się do niego i pocałowała w brodę, do której mogła dosięgnąć bez wspinania się na palce.

– Nie wiem. Może na coś wariackiego – wymruczała w zagłębienie jego szyi, a on, czując jej ciepły oddech, zamienił delikatny pocałunek w coś o wiele mniej niewinnego.

– Proponuję kochanie się na tamtej ławce. – Wskazał nieznacznie głową w kierunku ławki stojącej na uboczu. Przed ciekawskimi spojrzeniami zasłaniał ją krzak jaśminu wyjątkowo dzielnie trzymający się drżącej resztki swoich liści. – Co ty na to? – wyszeptał prosto w jej lekko rozchylone usta i pogłaskał pieszczotliwie po opiętym zamszowymi spodniami pośladku.

– To by już było zupełne szaleństwo! – jęknęła i przycisnęła się do niego, wplatając ręce w ciemne włosy.

– Yhm... – Tylko na tyle potrafił się zdobyć, czując jej chłodne palce na swoim karku i wilgotne usta bawiące się jego uchem. W końcu prawie siłą przytulił jej głowę do swojej piersi.

– Przestań! Bo zaciągnę cię za włosy na tę ławkę i wykorzystam, nie oglądając się na nic! – zagroził, opierając brodę o czubek jej głowy.

– Obiecanki cacanki. – Ten szept, który bardziej poczuł, niż usłyszał, prawie wypalił mu dziurę w koszuli.

– A może wybierzemy się wreszcie na tę wyprawę do lunaparku? – zapytał z dużym trudem, gdyż był bardzo zajęty badaniem kształtu jej piersi ukrytych pod kurtką.

– Lunaparku? – Westchnęła.

– No wiesz, to takie miejsce, gdzie główną atrakcją stanowi pewne narzędzie tortur przez dzieciarnię całego świata nazywane karuzelą.

– Aha. Chyba coś mi świta. – Wtuliła się w niego tak mocno, że mógł ją całą

objąć i okryć połami płaszcza.

Kołysali się lekko przez chwilę, wsłuchani w swoje przyspieszone oddechy.

– Mam coś dla ciebie – powiedział już w wozie i spojrzał na nią badawczo, próbując odgadnąć reakcję na prezent, jaki zamierzał jej ofiarować. Nigdy jeszcze nie dał żadnej kobiecie rzeczy wartej mniej niż średnia krajowa pensja.

– Tak? – Podziwiała jego ręce, które pewnie trzymały kierownicę. Trzeba przyznać, że potrzebowali całej siły i determinacji tych rąk, by wreszcie oderwać się od siebie i dotrzeć do samochodu.

– Sięgnij do prawej kieszeni mojego płaszcza – powiedział.

– Który jest dla mnie? – zapytała, przyglądając się z lekkim uśmiechem dwóm kasztanom połyskującym na jej wyciągniętej dłoni.

– A który wolisz?

„Zrozumiała” – pomyślał z radością i ulgą.

– Ten większy – odparła pewnie, obracając go w palcach, by po chwili ukryć go w zaciśniętej dłoni; drugi kasztan schowała z powrotem do kieszeni Kena. Kiedy pochylała się w jego stronę, spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się porozumiewawczo.

– Ale tłum... – stwierdziła Julia z podziwem; zafascynowana obserwowała barwną rozentuzjasmowaną masę oblegającą najbardziej wymyślne urządzenia służące kręceniu, wirowaniu, huśtaniu i kołysaniu.

– Niedziela... – odpowiedział Ken, rozciągając leniwie sylaby, jednak w jego pobłażliwym tonie Julia dostrzegła ledwie uchwytną nutę zazdrości. Stali przez chwilę w milczeniu, po prostu wchłaniając w siebie tę hałaśliwą, rodzinną atmosferę wesołego miasteczka. Wszystko wokół nich tętniło śmiechem i kolorowym światłem.

– Od czego zaczynamy? – Ken objął dziewczynę w pasie, przygarniając ją bliżej siebie.

– O raju! Nie mam pojęcia! – jęknęła niezdecydowana.

– To wysił wyobraźnię. Jest tu wszystko, o czym mogą marzyć takie przerośnięte dzieciaki jak my: karuzela... diabelski młyn... łódki... huśtawki... salon luster... strzelnica... – Ken obracał się razem z nią, pokazując Julii kolejne, coraz bardziej zwariowane jarmarczne cuda – ...wirujące filiżanki... fala... samoloty... autodrom... kolejka i... proszę bardzo, jest nawet wróżka. – Jeżeli tak jak Julia był oszołomiony czy przerażony ilością wszystkiego wokół, wyjątkowo dobrze to ukrywał.

I spróbowali, dokładnie wszystkiego, korzystając z okazji najlepiej, jak umieli. Całowali się na szczycie diabelskiego młyna, wykrzywiali się do krzywych luster, objali boki w zbyt ciasnym jak na dwoje dorosłych ludzi samochodziku, krzyczeli i piszczełi, wczepiając się kurczowo w siebie i oparcia kolejki, która wspinała się jak żółw, by potem z dziką prędkością zjeżdżać w dół. Ken ustrzelił nawet dla Julii lalkę, która zamykała oczy i mówiła „mama”, a Julia, rzucając piłeczką do ustawionych w piramidkę puszek, wygrała dla Kena dwa papierosy i bukiet kwiatów z kolorowej gąbki. Zjedli tonę waty cukrowej i w końcu wymęczeni, czując lekki niepokój w żołądku, wylądowali u wróżki.

Weszli do czegoś, co przypominało skrzyżowanie wozu cygańskiego z wozem, w jakim amerykańscy osadnicy wyruszali na podbój Dzikiego Zachodu. Żadna tam przyczepa kempingowa, ale autentyczny drewniany wóz z dyszlem i płóciennymi ścianami. Brakowało tylko konia – może zresztą pasł się na trawniku w pobliskim ogrodzie. Usiedli naprzeciw siebie na wąskich drewnianych ławeczkach, prawie dotykając się kolanami. Patrzyli na siebie, ciężko dysząc, od czasu do czasu parszcząc śmiechem na wspomnienie jakiegoś wyjątkowo szalonego wyczynu. Wóz w połowie przedzielony był czerwoną aksamitną kotarą; nawet nie wiedzieli, czy ktoś jest w środku, gdyż zza zasłony nie dobiegały żadne dźwięki. Nieco już spokojniejsi wsłuchiwali się uważnie, ale... nic – najlżejszego szelestu, szumienia, nawet odgłosy z zewnątrz docierały tutaj przytłumione, pozbawione ostrej, metalicznie brzmiącej rzeczywistości. Spojrzeli sobie w oczy i jak na komendę wykrzywili usta w grymasie zdziwienia, wzruszając przy tym ramionami. Odpoczęli trochę – nie musieli już z trudem łapać oddechu pomiędzy napadami śmiechu, karuzela w głowie i żołądku przestała się kręcić. Właściwie mogli już iść. Wtedy kotara uchylła się bezszelestnie i stanęła przed nim wysoka czarnowłosa kobieta; patrzyła na nich z chłodną zawodową ciekawością.

– Przyszliście po wróżbę? – zapytała niskim melodyjnym głosem.

– Chyba tak... – Ken spoglądał na Julię, unosząc pytająco brwi.

– „Chyba” to nie jest żadna odpowiedź. Albo chcecie wróżbę, albo nie. – Wyglądała, jakby miała zamiar wycofać się za zasłonę. Zdecydowali się natychmiast.

– Oczywiście chcemy – odparli zgodnie.

– Ty pierwszy, młody człowieku. – Smagłą dłonią wskazała mu drogę przed sobą. Już prawie zakryła ich kotara, gdy Julia pod wpływem impulsu chwyciła wróżkę za ramię.

– Czy nie mogłabym pójść z nim? Mogę poczekać tam. – Wskazała odgrodzoną część wozu.

– Nie – odparła zdecydowanie kobieta; rzuciła przelotne spojrzenie na zaniepokojoną twarz Julii, a potem jej wzrok spoczął wymownie na jasnej dłoni ściskającej karminową suknię. Julia spuściła głowę i schowała ręce do kieszeni kurtki. Wróżka odwróciła się i dziewczyna była przekonana, że nie usłyszy nic więcej prócz tej krótkiej odmowy.

– Jeżeli chce się wspólnej wróżby, trzeba przyjść razem, a nie osobno. – Cyganka stała tyłem do niej i bokiem do Kena, nie patrzyła na żadne z nich, ale Julia nie miała wątpliwości, że to bezosobowe stwierdzenie odnosiło się do nich. Nie rozumiała go, podobnie jak Ken, sądząc po jego gwałtownym westchnieniu. Chciała zapytać, zaprzeczyć, przekonać... ale obok niej nikogo już nie było. Ken i wróżka zniknęli za dokładnie zasuniętą kotarą z czerwonego aksamitu.

Mężczyzna wzruszył ramionami; mógł być pierwszy, nie przeszkadzało mu nawet, że kobieta wyglądająca na młodszą niż on zwraca się do niego per „młody człowieku”. Nie zamierzał się spierać, ale jedna sprawa nie dawała mu spokoju. Siedział na twardym stołku za okrągłym stolikiem, na którym wróżka położyła już płasko obie dłonie. Lecz on swoje ręce uparcie trzymał na kolanach – najpierw sobie wszystko wyjaśnił albo nici z wróżenia.

– Nie rozumiem – powiedział tylko.

– Ale zrozumiesz, prędzej czy później. Pomylisz się, ale w końcu zrozumiesz, ona też. – Cyganka zmierzyła go spojrzeniem. Jej czarne oczy wcale

nie były młode. – Daj rękę.

– Nie. – Ken potrafił być równie stanowczy jak wróżka. Przez twarz kobiety nie przebiegł najłżejszy grymas zniecierpliwienia. Pokiwała tylko głową, jakby właśnie potwierdziły się jej domysły, a jeden kącik jej ust uniósł się w delikatnym półuśmiechu.

– Dobrze. Nie muszę widzieć waszych dłoni, by wiedzieć, co jest, a raczej czego nie ma między wami. Po co przyszliście do lunaparku? – zapytała zniecka. Zaskoczony Ken zamrugał powiekami i zupełnie bezwiednie oparł dłonie o rant stolika.

– Chcieliśmy być razem. – Sarkazm tych słów nie był zamierzony.

– Nie. – Znów to krótkie, nic niemówiące słowo. – Przyszliście się bawić. Ale na czyim śmiechu bardziej ci zależało: twoim czy jej?

– A czy to nie wszystko jedno? Jej śmiech, mój śmiech... po prostu nasz śmiech. – Spojrzał na Cygankę. Chciał ją przekonać, nie wiedział dlaczego, ale czuł, że to ważne; jej spokojne, neutralne, może nawet obojętne milczenie wyzwoliło potrzebę zwierzeń. – Przy niej do niczego nie muszę się zmuszać, nikogo udawać, nie muszę ciągle się pilnować i uważać na każde słowo. Jestem sobą. Przy nikim innym tego nie czuję. Tylko przy niej. Jest takim moim własnym cudem. – Uśmiechnął się trochę nieśmiało, trochę wyzywająco.

– Nie, Ken, a może raczej Kenneth. – Wolał nie pytać, skąd wie, jak ma na imię. – Poznała twoją twarz, tę, której nikt przedtem nie widział, nawet ty sam, ale co jest pod spodem, tego nie wie, tego jej nie pokazałeś. A ty? Co ty wiesz o niej, kim była, czego pragnie, jakie skrywa tajemnice?

– To nieważne, liczy się teraźniejszość, a nie to, co było przedtem. – Oparł się na dłoniach i pochylił mocno w stronę wróżki, jakby zamierzał wydrzeć z niej pożądaną odpowiedź.

– Nie oszukuj się. Przecież chcesz to wiedzieć. – Nie oskarżała go, ale poczuł się winny. – Daj mi rękę. – Spojrzał na swoje dłonie leżące teraz tak blisko rąk wróżki. Wolno odwrócił prawą dłoń, potem lewą.

Poczuł delikatny dotyk. Gładziła wolno wnętrze jego dłoni, zawahała się lekko przy nasadzie kciuka, na koniec musnęła opuszki jego palców.

– Jesteś uparty – zaczęła – ale nie trzeba być wróżką, żeby to wiedzieć. Jesteś dumny i nieufny. Nie umiesz przebaczać. Jeżeli się tego nie nauczysz, ukarzesz przede wszystkim siebie – mówiła monotonna, wpatrzona w jego ręce, których już nie dotykała. – Była w twoim życiu kobieta, bardzo zła kobieta... Zraniła cię. I jest w twoim życiu kobieta, którą... – słowo „kochasz” pojawiło się i zaraz umknęło – która jest ci bliska. Ale na jak długo? To, co jest między wami, to za mało i za dużo. Nie mogę zobaczyć tego, co jest przed wami, skoro wy sami odcięliście się od tego, co zostało za wami. Jestem wróżką, nie Bogiem. Mogę odczytywać, ale nie tworzyć. Wszystko może się zdarzyć, a to wszystko zależy od was, od ciebie, od niej, macie to w swoich rękach... – Ken gwałtownie zacisnął pięści i cofnął dłonie. – Nie jesteś zły, ale dobro chowasz głęboko. Poczujesz smak bólu i nienawiści, które będą tym samym... – Zamknął oczy. – Jeżeli nie zaczniesz wierzyć, nigdy nie zrozumiesz i nie poznasz miłości.

– Przestań! Nie chcę nic więcej wiedzieć, nie chcę... – wydusił przez zaciśnięte zęby.

– Wiem, nikt nie chce. Przychodzą tu i pytają, ale wcale nie chcą odpowiedzi, nie tych prawdziwych, tak jest prościej. Łatwiej udawać, niż się zmienić, łatwiej nie słyszeć, niż zrozumieć. Odejdź. – Oparła łokcie na stole i ukryła czoło w splecionych dłoniach. W jej cichym rozkazującym głosie słyszał rezygnację, jakby właśnie tego się spodziewała, ale także rozczarowanie, że nie okazał się inny niż wszyscy. – I zawołaj Julię.

Chciał odmówić, ale czuł, że nie ma prawa.

Zajmując miejsce Kena, Julia była niepewna i przestraszona. Wyszedł stamtąd taki nieprzystępny i zamknięty w sobie...

– Nie bój się i daj mi rękę. – Julia podała jej dłoń, drugą kurczowo trzymając się za przedramię. Wróżka tak naprawdę nawet jej nie dotknęła. Przyjrzała się tylko krótko otwartej dłoni, potem zamknęła ją, lekko popychając ku górze drżące palce Julii.

– To niepotrzebne. Twoje oczy i tak mówią zbyt wiele. – Julia usłyszała w jej głosie smutek, ale nie współczucie.

– Zburzyłaś mury, ale odbudujesz je od nowa. Jesteś zagubiona, lecz masz nadzieję. Unikasz słów, wolisz bajki od prawdy, to chyba twoja największa wina. – Julia była bliska ucieczki. Wolą milczenie Kena od takich słów. – Masz w sobie cierpienie, z którym się pogodziłaś, ale nie wiem, czy dasz radę temu, które jeszcze przyjdzie. Będziesz płakać bez łez i krzyczeć bez głosu. – Ciemnowłosa kobieta, która nie mówiła jak prosta Cyganka, zamknęła oczy i pochyliła głowę. – Jeżeli uczucie jest prawdziwe, może się udać. Powtórz mu to. A teraz idź – odesłała ją. – Jestem zmęczona.

Przytulili się do siebie. Pragnęli nie wierzyć w to, co usłyszeli.

– Cyganka prawdę ci powie... – szepnęła Julia, wtulając policzek w koszulę Kena, która przeniknęła ciepłem jego ciała.

– To tylko wróżby. A kto dzisiaj wierzy we wróżby? – pocieszył ich oboje Ken.

– Jeżeli wasze uczucie jest prawdziwe... – powróciły słowa, które zapamiętał. Julia zapomniała mu o nich powiedzieć, ale cichy głos Cyganki dotarł również do niego.

„A nie było...” – pomyślał z bólem tak bardzo przypominającym nienawiść.

W nocy obudził ją płacz i słowa rozmowy nadal dźwięczące w ciemnym pokoju obok, powracające jak zacinająca się płyta.

– Jestem w ciąży, Ken. – Oczy, które na nią patrzyły, były szare i takie puste.

– Kiedy? – zapytał tylko.

– Za pierwszym razem – odpowiedziała, z pewnością, którą zdobyła w ciągu ostatniego tygodnia i kilku bezsennych nocy skrupulatnego obliczania. Mężczyzna pocierał czoło jednostajnym, zmęczonym ruchem, w końcu zacisnął dłonie w pięści.

– Przecież... brałaś pigułki – usłyszała niewyraźne słowa.

– Wtedy zapomniałam... – „Jak to wytłumaczyć? Jak go przekonać, że to był przypadek?”. – Nie wiedziałam... nie myślałam, że to będzie miało znaczenie.

– Ale miało – odpowiedział, nie patrząc na kobietę.

Wszystko zawsze ma znaczenie, nawet jeżeli początkowo wydaje się tylko nieistotnym drobiazgiem. Na przykład fakt, że gdy się kochali po raz pierwszy, Kenneth był zły, a ona potwornie zmieszana. To znaczy, Ken wściekł się, zanim zaczęli się kochać, a potem rozzłościł się znowu, ale już w inny sposób i z innych powodów. Niemniej ta złość oraz gwałtowna ulga, jaką odczuł, gdy okazało się, że niesłusznie ją podejrzewał, osłabiły jego samokontrolę. Nie, żeby Kenneth przez cały czas się przy niej pilnował. Zawsze wydawał się rozluźniony i bardzo pewny siebie, ale okazało się, że był także bardzo czujny. Wtedy zrozumiała, jak niewiele brakuje, by przestał jej ufać. Jeden mały drobiazg, a cały ich związek stanął pod znakiem zapytania.

Znali się dopiero od tygodnia. Już od tygodnia... Bowiem przez te siedem dni Ken stał się dla niej tak ważny i bliski, jakby właśnie na niego czekała od chwili, gdy z podlotka zmieniła się w kobietę. Jakby właśnie on był tym wymarzonym mężczyzną, o którym śni każda dorastająca dziewczyna. Wyobrażała sobie uściski i pocałunki, i... Otóż to, nie było już żadnego „i”. Jej wyobraźnia nie umiała się wtedy posunąć dalej – poza uściski i pocałunki. Teraz także miała z tym pewne kłopoty, choć niewątpliwie zrobiła duże postępy. Przeczynała, że Ken jest namiętny oraz doświadczony, ale był również bardzo szarmancki i staroświecki, w każdym razie przy niej; dotąd nie wyszli poza te nieszczęsne uściski i pocałunki. Traktował ją z rozbijającym szacunkiem i delikatnością, jakie jego zdaniem należało okazywać dziewczycy. Nie wiedziała, czy się za to gniewać, czy czuć wdzięczność.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jej pragnie – nie była aż tak niewinna. Ken też miał oczy i widział, jak z kolei ona reaguje na niego. Wystarczyło przecież, że jej dotknął, a cała pokrywała się gorączkowym rumieńcem. Łatwo się domyślił, że nawet te delikatne pieszczoty były dla niej absolutną nowością, a o grze wstępnej wiedziała tyle, ile wyczytała z książek. Może więc miał rację, że nie należał, że pozostawiał sprawy własnemu biegowi. Co ma być, to będzie. Po co się śpieszyć.

Tak więc spędzali wspólne wieczory w sposób równie niewinny, co denerwujący. Zazwyczaj rozmawiali albo oglądali filmy na DVD. Potem jeszcze czuły pocałunek na dobranoc i tyle, nic więcej – czasami to naprawdę było wielce frustrujące.

Tamtego wieczoru wrócili wyjątkowo wcześniej z ulubionej restauracji. Ken był zmęczony i przygnębiony – zapewne dlatego okazał się bardziej podatny na gwałtowne uczucia, nad którymi zwykle starannie panował. Miał jakieś problemy w pracy, o których oczywiście nic nie mówił, ale Julia wiedziała swoje. Domyślała się także, że bardziej niż o filmach, rozmowach przy świecach czy drażniąco powściągliwych pieszczotach, marzył teraz o solidnym drinku. Nie zamierzała zabawiać go na siłę, przekonana, że w końcu sam sobie poradzi z tym, co go gnębi. Najważniejsze, że zły humor Kena nie miał nic wspólnego z nią.

Przyłapała go, jak niecierpliwie szperał w barku.

– Wino, likier, jeszcze jedno wino... Nie masz czegoś mocniejszego? Czegoś, co ucieszy męskie oczy bardziej niż... nalewka z wiśni według przepisu stryjka?

– Mam. Zobacz z tyłu. Ja co prawda wolę nalewkę stryjka... – roześmiała się, gdy skrzywił się z obrzydzeniem – ale Sunny przytaszczyła kiedyś butelkę whisky. – Z ożywieniem podjął przerwane poszukiwania. – Była wtedy w równie podłym nastroju co ty, ale musiało coś zostać. Nieźle się wówczas ululała, lecz nie przypuszczam, by zdołała wszystko wypić.

– Jest! – krzyknął i z triumfem wyciągnął przed siebie opróżnioną do połowy butelkę. – Oho! – mruknął z podziwem. – Dobra jest. Chyba przemyślę mój niechętny stosunek do twojej rudej przyjaciółki. – Nalał do szklanki alkoholu na dwa palce i pociągnął spory łyk. Uśmiechnął się i westchnął z zadowoleniem, gdy poczuł, jak palący płyn wolno rozgrzewa go od środka. – Nieźle. – Mlasnął językiem i podniósł wyżej butelkę, by przeczytać nalepkę. – Taa... – Dolał sobie jeszcze raz na kolejne dwa palce i odstawił whisky na miejsce.

– Proponuję, żebyś usiadł. – Julia spojrzała znacząco na szklaneczkę, stopy Kena i skraj dywanu, na którym stał. – Nie ryzykowałabym na twoim miejscu potknięcia... – Ken podejrzliwie spojrzał w dół.

– Tak, tak... – Usiadł na kanapie i wyciągnął długie nogi bezpiecznie pod stołem.

– Jesteś głodny? Mogę coś przyszykować... – Nic nie odpowiadał, zaczęła więc się tłumaczyć. – Nic nie jadłeś w restauracji. Pomyślałam, że może teraz... Taki duży mężczyzna powinien się dobrze odżywiać – zażartowała.

– Nie mam ochoty. Na razie – uniósł szklanekę – to mi wystarczy. Może później. Ale wziąłbym prysznic. Muszę zmyć z siebie zmęczenie i ten, jak go określiłaś, podły nastrój. – Dostrzegł wypieki, który zdradzały jej zmieszanie, więc dodał: – Chyba że masz coś przeciwko temu? Może nie życzysz sobie żadnego samca w swojej panińskiej łazience? – Bawiła go i rozczulała jednocześnie, gdy tak stała, nerwowo splatając i rozplatając palce.

– Ależ nie! Oczywiście, że możesz wziąć prysznic. Świeże ręczniki są w szafce. – Odwróciła się, a po chwili niemal biegła, chcąc jak najszybciej ukryć się w kuchni. „Nagi mężczyzna... Nagi Ken w mojej wannie! Dopiero będę miała o czym myśleć po nocach!”.

Postanowiła przygotować lekką przekąskę. Liczyła, że jak Ken poczuje smakowite zapachy, zrobi się głodny. „Troszczę się o niego jak matka albo... żona”.

Prawie kończyła, gdy do kuchni wparował Kenneth.

Był mokry i nieubrany, jeżeli nie liczyć okręconego wokół bioder ręcznika, który przytrzymał jedną ręką.

– Co to jest? – zapytał. Był zdenerwowany i śmiertelnie poważny.

– Ken...? – Julia patrzyła na niego zdumiona i zafascynowana.

– Jakie gierki ze mną prowadzisz?! Byłem pewien, że jesteś dziewicą? – W jego głosie usłyszała złość i rozczarowanie.

– Bo jestem, nie rozumiem... – Chciała go uspokoić i powstrzymać kolejny rumieniec wypływający na policzki. Niestety bezskutecznie.

– Muszę przyznać, że rumienisz się pokazowo – zakpił. – Ale nie musisz udawać. To w końcu nie jest takie ważne, że miałaś kogoś przede mną, choć przyznaję, schlebiało mi, że będę pierwszy. Ale po co udawałaś?! Co chciałaś osiągnąć? W końcu i tak bym się dowiedział. Chyba że... – Niemiły grymas wykrzywił jego wargi, gdy w umyśle pojawiło się nagłe podejrzenie. – Chyba że

w ogóle nie zamierzałaś się ze mną kochać? Podpuszczałaś mnie tylko. Wodziłaś za nos i czekałaś. Taki był twój plan? Czekalaś, aż przyparty do muru twoją skromnością, niezłomnymi zasadami oraz swoją niepohamowaną żądzą, oświadczyć ci się?

Pogarda w głosie, zjadliwy uśmiech – nie znała takiego Kena.

– Co ty mówisz? – Czula niepokój, ale nie dlatego nie mogła się skupić. Była zbyt zajęta obserwowaniem, jak kropelki wody błyszczą na jego włosach i nagiej skórze, jak spływają po szerokim torsie, silnych ramionach i łydkach, jak znikają za ręcznikiem. Gdy podszedł do niej, ostrożnie, czujnie niczym kot na łowach, i nagle przyciągnął do siebie, nie zaprotestowała. Choć zmoczył jej sukienkę, a jedyna osłona, która chroniła go przed zupełną nagością, leżała opuszczona i zapomniana na podłodze. Nie zaoponowała, gdy złapał ją brutalnie za włosy, unieruchomił głowę, potem wolno odchylił, nie zważając, że sprawia jej ból tym nienaturalnym wygięciem szyi. I pocałował. Nie tkliwie, na pewno nie delikatnie, ale mocno, gwałtownie, agresywnie. Gryzł wargi, wdzierał się językiem do wnętrza ust i wymagał, żądał absolutnej uległości. Gorące dreszcze przebiegały po niej jeden za drugim, goniły się od nasady włosów po koniuszki palców i piersi. Nie bała się, lecz poddała i poczuła ciepłą, miękką wilgoć niemającą nic wspólnego z kropelkami wody i potu na jego skórze. Jęknęła i złapała go za ramiona. Uczepiła się go, by nie upaść. Drżała. Zadrżała mocniej, gdy odsunął ją od siebie. Zabrał ciepło. Objęła się ramionami, dygocząc z zimna.

– Miałem rację – stwierdził z satysfakcją. – Dziewica nie zareagowałaby tak... tak entuzjastycznie. Ktoś już musiał całować cię w ten sposób! – rzucił z furią prosto w jej rozpaloną twarz.

– Dlaczego? Ufam ci... nie boję się. Przecież wiem, że mnie nie skrzywdzisz... – wyszeptala i spróbowała przyciągnąć go z powrotem. Chciała, by znów ją pocałował; tak dziwnie, dziko, inaczej niż zwykle, jakby nie mógł się powstrzymać, jakby miał dość niewinnych buziaków i przytulanek. Mężczyzna, który tak całuje, nie zatrzyma się w pół drogi, nie powie jej dobranoc i nie zostawi samej, z tęsknotą i pragnieniem, z którymi nie wiedziała, co zrobić.

– Przestań! – Wściekły strząsnął z siebie jej rękę. – Rzucam się na ciebie jak maniak seksualny. Całuję tak, jakbym miał ochotę na o wiele więcej. A ty?! Zamiast protestować, jeszcze mnie zachęcasz!

Był zły, że go zwodzi, dlatego postanowił pokazać jej, na co się porywa. Co

może spotkać małe grzeczne dziewczynki, gdy bawią się z dużymi złymi chłopcami. Miała się wyrywać, odwracać głowę, może nawet krzyczeć, a tymczasem była uległa, otwarta i... zupełnie go zaskoczyła. Teraz to on musiał się wyrwać, by nie zrobić czegoś, czego będzie potem żałować.

– Kiedy zamierzałaś mnie powstrzymać? Jakbym cię zaniósł do łóżka i zaczął rozbierać? Nie, moja droga, wtedy już byś mnie nie powstrzymała.

– Nie zrobiłabym tego – szepnęła uwodzicielsko. – Przecież nigdy cię nie powstrzymywałam. To ty zawsze wyznaczałaś granice, dokąd możemy się posunąć. – Nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o dotykaniu, całowaniu, kochaniu, a on... wolał udawać, że niczego nie widzi. Nie krępować go własna nagość, a wytrącało z równowagi jej jawnie okazywane pragnienie? Dziwne...

– Co to jest, do diabła? – Postanowił, że najpierw wyjaśni sobie to, od czego zaczęli. Wyciągnął przed siebie rękę i wreszcie zwrócił uwagę Julii na listek tabletek, który trzymał w dłoni.

– No, odpowiedz, do cholery! Co to jest?! – wrzasnęła.

– To? To... – zawahała się. Mając pięść Kennetha tuż przed swoim nosem, niezbyt dokładnie widziała przedmiot, o który pytał. Może to była aspiryna, a może pastylki przeciwbólowe. Ale chyba nie zirytowałyby go tak głupia aspiryna? Julia odchyliła głowę, przymknęła jedno oko, by móc uważniej przyjrzeć się tajemniczemu tabletkom. Cała ta groźna sytuacja zaczynała się robić po prostu śmieszna, istna czarna komedia: rozwścieczony nagi mężczyzna wymachuje jej przed nosem pięścią, a ona, idiotycznie zezując, próbuje zgadnąć, co on tak kurczowo zaciska w dłoni. Zachichotała nerwowo.

– To moje pigułki antykoncepcyjne – odpowiedziała w końcu, a podniecenie, którym jeszcze niedawno tak się cieszyła, zaczęło powoli zniknąć. Jego miejsce zajęła obawa. Coś zrobiła źle, ale nie miała pojęcia co.

– Wiem, co to jest – wycedził. – Pytam, co to robi na półce w twojej łazience? – Znowu pomachał jej ręką przed nosem. – Bierzesz to regularnie?

– Tak. Lekarz mi przepisał.

– Lekarz?! Pewnie. Jak długo je bierzesz, Julio? – Paraliżowała ją ta mieszanina spokoju, groźby i pogardy w jego głosie, napiętych rysach twarzy. – Ilu

ich było, Julio? Ilu?! Chcę wiedzieć. – Krążył wokół niej. Polował: na najmniejsze kłamstwo, najłżejsze wahanie.

– Ken! Nikogo! Nikogo nie było. Te pigułki... – Krępowano ją, że musi tłumaczyć mu takie rzeczy. W końcu nie był ani lekarzem, ani jej stryjem, tylko mężczyzną, zwykłym obcym mężczyzną. Spuściła wzrok, ale zaraz odwróciła głowę w bok. Mimo złości, Ken nadal był podniecony i nie miał pod czym tego ukryć. Czuli się zmieszana, skrępowana i przerażona, ale wiedziała, że musi przewyciężyć swój wstyd i lęk, musi wszystko wyjaśnić, zanim będzie za późno. Nie rozumiała, czemu ją atakował, czemu jej nie ufał, dlaczego wyobrażał sobie najgorsze. Czy dała mu jakiś powód? Ale winna czy niewinna, jeżeli zaraz nie spróbuje mu tego wytłumaczyć, nie otrzyma drugiej takiej szansy; potem nie będzie już miała komu tłumaczyć.

– Te pigułki... one są, no wiesz, na uregulowanie... och!... Na takie kobiece sprawy.

– Co ty chcesz mi powiedzieć, Julio? – Zastygł. Niepostrzeżenie ta wymyślona, podstępna Julia, która się pojawiła, gdy znalazł tabletki, zaczęła ustępować miejsca tej prawdziwej, tak dobrze znanej. Jednak nie patrzył na nią, nie chcąc wymuszać odpowiedzi, która nie będzie prawdą. Zaciśnął powieki i pięści i błagał w duchu, by okazało się, że jest idiotą.

– One są... – przełknęła ślinę i wreszcie wyrzuciła to z siebie – na uregulowanie miesiączki. – Nawet nie zauważyła, jak nagle, bez ostrzeżenia, znalazła się w objęciach Praytona.

– Boże, maleńka! – wyjęczał w jej włosy. – Czy ty wiesz, co ze mną robisz?

– Nie, nie wiem. – Była roztrzęsiona, bliska płaczu i niewiarygodnie szczęśliwa, że to już koniec, że Ken, jakiego znała, do niej wrócił. – Ale dlaczego? – chlupała we włosy na jego piersi – dlaczego? Co ja takiego zrobiłam, że przestałeś mi wierzyć?

– Przepraszam, kochanie. Ja sam siebie nie rozumiem. To było jak amok. Wszystkiemu winien ten mój... podły nastrój. – Uśmiechnął się przepraszająco, ale odniosła niejasne wrażenie, że nie powiedział jej całej prawdy, że zły humor nie wyjaśniał, dlaczego tak łatwo przyszło mu ją oskarżyć, a potem równie bez trudu przeprosić. Ale pomyślała, że to bez znaczenia, skoro już wszystko było w porządku. Słowa Kena zdawały się to potwierdzać.

– Najważniejsze, moja słodka, że w końcu uwierzyłem.

Jego ręce błądziły po plecach Julii, zsunęły się na biodra, potem na uda, by po chwili powrócić i objąć krągłe pośladki. Przycisnął ją do siebie. Czuła, jaki jest twardy, napięty i niecierpliwy. Jednocześnie uświadomiła sobie, do czego się przytula. Szorstkie sprężyste włosy drażniły jej gładki policzek, a mocny korzenny zapach podnieconego mężczyzny uderzał do głowy. Do tej głowy, którą czule obejmowały silne duże dłonie. Ciemnoniebieskie oczy próbowały się przebić przez zieloną mgłę jej spojrzenia, ale daremnie. Dotknął jej ust. Powiódł po nich kciukiem – delikatnie, leciutko. Odpowiedziała westchnieniem i rozchyliła wargi. Całował ją mocno i głęboko, ale nie było w nim już tamtej złości. Przepelniało go natomiast pragnienie wymazania wcześniejszej brutalności i obiecywał sobie, że nie będzie to ostatni pocałunek przed snem.

– Miało być inaczej. Ale teraz... nie ma już dla mnie odwrotu.

– Dla nas – poprawiła go.

– Tak! – krzyknął i wziął ją na ręce.

Zaniósł Julię do sypialni, położył na łóżku i zapalił lampkę na nocnym stoliku.

– Chcę cię widzieć, moja śliczna, każdy najmniejszy dołeczek, każdą najdrobniejszą wypukłość. – Rozczesywał palcami rozrzucone na poduszce włosy, głąskał zaczerwienione policzki, drżące ramiona. Z lekkim wahaniem położył dłoń na przodzie sukienki.

– Lubisz tę sukienkę? – zapytał nieoczekiwanie.

– Tak. To znaczy dosyć. Jest wygodna. Przebrałam się, gdy brałeś prysznic. Nic specjalnego, zwykła domowa sukienka...

– Cicho... – Uciszył wargami jej chaotyczne tłumaczenia i ukoił nerwowe myśli. – Nie bój się. Przecież wiesz, że nie zrobię ci krzywdy. Pytam, bo... – Nie dokończył, tylko złapał za skraj sukienki i mocno pociągnął. Rozerwała się, odkrywając Julię od brody do pasa. Krzyknęła, chociaż nie ze strachu. – Kupię ci

inną... – przesunął policzkiem po jej szyi – dwie... – łaskotał oddechem jej dekolt – dziesięć... – dotarł ustami do drobnych wzniesień – kupię ci wszystko, co będziesz chciała. Boże, są takie piękne...

– Są za małe – poskarżyła się.

– Są akurat, dla mnie idealne... – Różowe koniuszki wyprężyły się, pragnąc mocniejszego dotyku.

– Jesteś niecierpliwa. Ja też. Ale nie poganiaj mnie, bo...

– Chcę cię poganiać. Tak długo czekałam – jęknęła, poruszyła niespokojnie głową po poduszce i wygięła się do niego.

– Dobrze. Potrzebuję cię tak bardzo...

– Ken, trzymaj mnie – poprosiła.

– Na pewno cię nie wypuszczę. Już nie.

Przesunął dłoń na jej biodro i chwycił cienki skrawek materiału. Zaczął go ściągać; powoli, nieznacznie powoli, przedłużając ten moment w nieskończoność. Jak bardzo kontrastowało to ze sposobem, w jaki wcześniej pozbył się sukienki! Uniosła biodra – chciała mu pomóc, ponaglić... Niezdarnie wyplątywała się z resztek sukni krępującej jej ręce. Pragnęła, by czuł ją tak samo, jak ona czuła jego.

Trzymał ją w talii, podczas gdy językiem badał kotlinkę pępka. Nic już ich nie oddzielało od siebie. Pocierał nosem jej brzuch, okręzał go i nieuchronnie przesunął się coraz niżej. Gdy poczuła jego usta na wewnętrznej stronie uda, gwałtownie drgnęła. Jego język torował sobie drogę wśród jasnych kręconych włosów. Przyciągał go do siebie nieodparcie ten mały pulsujący punkt, którego istnienia do tej pory Julia sobie nawet nie uświadamiała. Czuła gorący oddech na udach i giętki język, który stawał się coraz bardziej zaborczy, coraz bardziej ciekawy jej...

Zareagowała instynktownie – zacisnęła nogi, uwięziła między nimi jego głowę i wczepiła palce w czarne włosy.

– Pozwól mi... – Nie poznawała jego zachrypniętego głosu. – Chcę cię

posmakować, chcę poczuć, jaka jesteś ciepła i wilgotna... dla mnie – przekonywał ją i jednocześnie wolno, delikatnie rozchyłał napięte uda. Teraz on wzięił jej ręce, przyciskając je do prześcieradła swoimi palcami oplecionymi wokół wąskich nadgarstków dziewczyny. Rozpoczął wędrówkę od początku, przez jasny brzuch, jedwabiste włosy i ukryte wśród nich pulsujące ziarenko, aż do miękkiego, intensywnie kobiecego wnętrza. Wsunął język do środka – delikatnie i ostrożnie.

Był smakoszem, który zamierzał rozkoszować się ucztą, sycić swój głód tak długo, na ile starczy mu cierpliwości i silnej woli. Cofnął się. Boże, właśnie tym kwiaty nęcą pszczoły, a kobiety tym zapachem i smakiem wabią mężczyzn od tysięcy! A to wydawało się nektarem przyrządzonym specjalnie dla niego. Musiał spróbować go jeszcze raz – głębiej... mocniej... śmieiej. Zapomniał o powściągliwości, stał się zachłanny. Jego opanowanie i wola były jak napięta do granic wytrzymałości struna. A ona szarpała nią niechcący, ale nieustannie, delikatnie i bezlitośnie. Reagowała na najlżejszy ruch jego ust i języka, naturalnie i już bez wstydu, choć musiały ją dziwić i może nawet przerażać uczucia, których dotąd nie знаła. Ale nie uciekała i nie broniła się, choć uda drżały jej tak mocno, jakby nie mogły zrozumieć, czemu pozwalają tej ciemnej głowie rozchylać się bez sprzeciwu, tak poddańczo, tak ufnie...

Otoczała ich coraz bardziej intensywna, coraz bardziej aromatyczna, zmysłowa chmura. Dotknięcia języka przechodzące w lekkie ugryzienia i nienasycone ssanie; spazmatyczne oddechy, muśnięcia, niby przypadkowe potarcie policzka o smukłe udo. Palce kurczowo zaciśnięte na prześcieradle, coraz ciaśniejsza obręcz wokół jasnych nadgarstków, poruszenia głowy rozpaczliwie wtulającej się w poduszkę. Twarde, małe tętniące centrum, które było jak kamyczek rzucony do jeziora. Kręgi rozchodziły się jeden za drugim, po powierzchni ciała i w głębi uczuć... fala za falą. Gonila za nimi, biegła... choć nie wiedziała za czym... i dokąd. Już prawie sama stała się falą, gdy nagle wszystko umilkło.

Ken uniósł głowę i ciężko dysząc, przyglądał się Julii. Głęboko wciągnięty brzuch drgał lekko, wygięta szyja błagała o pocałunki. Położył się na niej, przyciskając jej biodra swoimi, jakby mimo wszystko bał się, że mu ucieknie. Chciała wyswobodzić ręce, ale on uniósł je i przytrzymał po obu stronach jej głowy.

– Puść mnie. Chcę cię przytulić. – Objęła go za szyję i zaczęła całować po powiekach, brwiach, policzkach, brodzie. Gorączka, którą uspiły na moment jej szczupłe ramiona, powróciła silniejsza niż kiedykolwiek. Byli osobno, a po chwili już razem. Tak naturalnie, prosto, choć nie bez zdziwienia i małego oporu z jej

strony. Wchłonął jej ból i okrzyk, który wydarł się z zaciśniętego gardła. To nie było lepsze czy gorsze, ale inne. Może pełniejsze, bardziej rzeczywiste. Teraz to ona była kamykiem rzuconym w środek oceanu. Była falami, które on poruszał... rozbudzał coraz bardziej każdym kolejnym pchnięciem. Płynęła... coraz mocniej... coraz szybciej. Ponaglał ją... wyprzedzał... czekał... by po chwili płynąć znów tuż obok. Pragnęli się nawzajem i szukali bez wytchnienia niewidzialnej przystani.

Wspólnie upadli na brzeg bezludnej wyspy, którą właśnie odkryli.

Nie wiedział, czy istnieją odpowiednie słowa, by nazwać to, co się stało. Nadal ją przytulał i nie wypuszczał z uścisku najintymniejszego z możliwych. Byli jak łódź i przystań jednocześnie. Nie wiedział, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Mościła się w jego ramionach niczym ptak w gnieździe. Oplatały ich sny na jawie i piękne wizje.

Julia ocknęła się nagle. Coś ją wyrwało ze snu. Słuchała równego oddechu Kena i powoli ponownie ogarniała ją senność. „O czym zapomniałam? Co to było? Ach, pigułki. Nie wzięłam wczoraj, a dziś rano tak się spieszyłam. Muszę wstać...”.

Ken przełożył nogę przez jej uda i przygarnął mocniej do siebie. „Muszę...”. Powieki same opadły. Pigułka – taki mały drobiazg bez znaczenia.

Zapomniała. Zasnęła.

Miłość i szczęście – czy były prawdziwe, czy znaczyły tylko tyle co puste słowa przeczytane w brukowcu przy porannej kawie? Czy mieli je w zasięgu ręki? Czy bawili się nimi i przegrali, oboje...?

Wspomnienia. Nie mogły być złe, mimo wszystko, skoro były zarazem takie piękne. Nie chciała zapominać. Niczego. Wspomnienia – to wszystko, co jej zostało. Liczyła je, dotykała, przesuwiała między palcami jak koraliki różańca.

Ich pierwsza randka była tak romantyczna jak to tylko możliwe. Tak wspaniała, jak tylko mogła sobie wymarzyć młoda dziewczyna, która nigdy nie chodziła na randki. Była więc urocza, zaciszna restauracyjka – elegancka i bardzo droga – otoczona ogrodem i wypełniona nastrojową muzyką (później często tu

przychodzili); był taniec pełen erotycznych niedomówień – leniwa samba i nieporadne, choć ogniste tango; był spacer przy świetle księżyca i milczenie przesycone oczekiwaniem; były też komplementy, delikatne pocałunki i czule obejmujące ją ramiona. Ale najważniejsze, że było tam również to coś – niemożliwe do nazwania – co ratowało ten wieczór przed kiczem i banalnością.

Jednak Julia musiała uczciwie przyznać, że na początku ich randka nie zapowiadała się tak różowo. Po pierwsze nie spodziewała się wizyty Praytona, a w każdym razie nie tak szybko. Kiedy więc zobaczyła go przed galerią już następnego dnia po przyjęciu, poczuła zaskoczenie, nawet zmieszanie i zaczęła zadawać sobie naturalne w tej sytuacji pytanie: „Czego ten facet ode mnie chce?”. Co więcej, zaskoczona była również Sunny. Zaskoczona i niezadowolona, czemu zresztą dała wyraz prawie natychmiast. Stała nad nimi jak żandarm, wsłuchując się w każde słowo i wyłapując każde pozornie niewinne spojrzenie. W końcu Prayton nie wytrzymał – złapał Julię za rękę i odciągnął do okna. Teraz Sunny musiałyby im wejść na głowę, żeby cokolwiek usłyszeć.

– Przyjadę po ciebie wieczorem. Zamykacie o siódmej? – Julia przytaknęła bez słowa, tym samym przyjmując to dość nietypowe zaproszenie.

– Doskonale. Tak więc do wieczora. – Uśmiechnął się zadowolony i pocałował ją w policzek na pożegnanie. Zdawkowo kiwnął głową w stronę Kate; Julia nie wątpiła, że ten niechętny gest był wszystkim, do czego mogły go zmusić dobre maniery. Nie lubili się z Sunny, oj nie! Kiedy Prayton wyszedł, mogła przekonać się o tym na własnej skórze. Przez kolejne kilka godzin Sunny obrzucała ją uroczymi określeniami w stylu: „kretynka, która nie słucha dobrych rad swojej najlepszej, jedynej zresztą, przyjaciółki”, „stuknięta mysz rzucająca się na kota”, „idiotka, której celibat uderzył do głowy” i tak dalej. Julia puszczała to wszystko mimo uszu, uważając, że najlepszy sposób na Sunny to dać się jej wygadać. Ale pod koniec dnia nawet ona była już zmęczona wysłuchiwaniami „dobrych rad”, którymi Kate niezmordowanie sypała jak z rękawa. Z dużym uczuciem ulgi wsiadła wreszcie do wnętrza luksusowego mercedesa, którym przyjechał po nią Prayton. Tym bardziej że jeszcze przed wyjściem Sunny zdążyła jej wykrzyknąć przeraźliwym szeptem wprost do ucha:

– Ja ci radzę, rób jak uważasz, ale pretensje miej później tylko do siebie i nie mów, że cię nie ostrzegałam. – Zapowiadało się na kolejny długi wykład.

– Sunny, proszę cię... Zamknij się. – Julia dojrnęła do kresu wytrzymałości.

– Jeżeli już musisz iść – kontynuowała niezrażona Kate, przybierając ton starej, zręczliwej ciotki – to posłuchaj. Niech łapy trzyma przy sobie. Nie zapraszaj go do domu, żadnych pożegnalnych kaw czy drinków! Nie zgadzaj się na żaden nocny klub, dyskotekę czy coś w tym stylu, nie przypuszczam, żeby Prayton był miłośnikiem takich miejsc, ale mówię o tym tak na wszelki wypadek. Nie pozwól, żeby przysiadali się do was jacyś jego koledzy, broń Boże klienci i absolutnie, pod żadnym pozorem, żadne jego przyjaciółki. Co jeszcze? Aha, nie gadaj za dużo, nie musi wszystkiego wiedzieć, poza tym...

– Sunny! Wychodzę! – Co do gadania, to Sunny swoją elokwencją mogła doprowadzić do szału każdego.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam?! – Dziewczyna wydawała się być szczerze oburzona zachowaniem przyjaciółki.

– Ależ nie przeszkadzaj sobie. – Julia bez trudu zdobyła się na złośliwość. – Jak się pośpieszysz, może zdążysz powiedzieć wszystko, zanim będziemy musiały otworzyć jutro galerię. – Pełna osłupienia cisza, która zapadła, podziałała niczym balsam na obolałe uszy Julii, zalewane potokami słów, którymi Sunny tryskała od samego rana. Nie bez satysfakcji, że udało jej się zaskoczyć, a co ważniejsze uciszyć przyjaciółkę, Julia odwróciła się i dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

Ale teraz, gdy już wreszcie jechała z poznanym zaledwie wczoraj mężczyzną na prawdziwą randkę, gdy z własnej woli oddawała się w ręce tej, jak określiła Sunny, „bestii w ludzkim, choć trzeba przyznać atrakcyjnym, ciele”, pojawił się jeszcze jeden problem. Prayton oprócz krótkiego „cześć” nie powiedział słowa więcej. Od co najmniej dziesięciu minut milczał, całą uwagę skupiając na prowadzeniu samochodu.

Na początku Julia była nawet dość zadowolona, że Kenneth nie bierze jej za wygadaną pannicę i nie oczekuje od niej błyskotliwych uwag tudzież dowcipnych dygresji. Jednak wkrótce to wymuszone milczenie zaczęło jej ciążyć. Poza tym co właściwie wiedziała o tym mężczyźnie? – oprócz tego, że jest przystojny, łatwo wpada w gniew, że się go już nie boi, no może troszeczkę, i że całowanie się z nim jest czymś, co trudno zapomnieć. Dlaczego umówił się właśnie z nią, czemu milczy i dokąd właściwie ją wiezie? Zaczęła się obawiać, że wszystkie okropne przewidywania Sunny się sprawdzą, a on zabierze ją do miejsca pełnego wydekoltowanych kobiet i znacząco uśmiechających się mężczyzn. Albo co gorsza – Julia poczuła autentyczny dreszcz strachu – jadą do jakiejś francuskiej snobistycznej restauracji, w której na stołach leży tyle sztućców, talerzy i misek,

że nawet królowa angielska miałaby problemy w połapaniu się, co do czego służy.

– Dokąd... hm... – chrząknęła zdenerwowana, czując, że jej głos zardzewiał, jakby nie używała go od pół wieku. – Dokąd jedziemy? – zapytała prawie szeptem.

– Niespodzianka – odpowiedział, nawet na nią nie patrząc.

Julia westchnęła i odwróciła głowę do okna, próbując – bezskutecznie, sądząc po jego szybkim zaintrygowanym spojrzeniu – ukryć nagłe rozbawienie. „Jak na mój gust to wszystko za bardzo przypomina komedię z czasów kina niemego – pomyślała, a zdradliwy uśmiech na jej twarzy stał się jeszcze szerszy. – Niedługo w ogóle przestaniemy cokolwiek mówić, wystarczy, że będziemy sobie pokazywać kartki z odpowiednią kwestią”. Próbowała przełknąć śmiech, który choć wydawał się zupełnie nie na miejscu, to jednak uparcie łaskotał ją w gardle i rozciągał drgające policzki. W końcu zrezygnowała. Przecież obiecała sobie, że dość udawania i ukrywania się za fasadą powagi. Uwolniony śmiech poszybował beztrąsko, bez cienia żalu dając się wchłonąć miękko obitym ścianom wozu.

– Można wiedzieć, co cię tak śmieszy? – Julię mało obchodziło, czy wyraz jego oczu oznacza ironię, czy podejrzliwość.

– Ty... ja... to wszystko. – Lekko wzruszyła ramionami, a jej rozbawienie zdawało się rosnąć.

Patrząc na nią, Kenneth poczuł dobrze mu już znany skurcz w żołądku. Szybko odwrócił głowę, ponownie koncentrując się wyłącznie na drodze. Ale w szybie nadal odbijał się jej uśmiech, który obejmował całą twarz, oczy... Miał wrażenie, że nawet lekko falujące włosy Julii się uśmiechają. „To naprawdę cudowna dziewczyna. Tylko co ja mam teraz zrobić z tym cudem?” – rozmyślał. „Poddać się mu...” – zasugerował jakiś złośliwy głosik. Prayton miał już ochotę głośno zaprotestować, ale w takim razie po co w ogóle się z nią umówił? Czy właśnie nie po to, by sprawdzić, co się kryje za jej innością, intrygującą niewinnością? Żywił podświadomą nadzieję, że nic, absolutnie nic się nie kryje. Dla własnego spokoju łudził się, że Julia okaże się nudną, nieśmiałą panienką, podskakującą nerwowo na dźwięk jego głosu; że będzie bąkała jakieś bzdury albo raczyła go banałami takim tonem, jakby zdradzała tajemnice wagi państwowej. Dlatego sam czując się niepewnie, celowo milczał, próbując ją speszyć i odstraszyć. A ona co? Roześmiała mu się w nos i znowu nie wiedział, co o niej myśleć. Przecież wtedy w parku nie udawała – naprawdę ją przeraził. Ani wczoraj u Blackwellów – choć nie uciekła, jednak niewątpliwie była onieśmielona

i zawstydzona, ale... pozwoliła się pocałować. Zacisnął palce na kierownicy. Te sekrety, zagadki! Nic już nie rozumiał. Miał ochotę mocno potrząsnąć tą siedzącą spokojnie obok niego dziewczyną, żeby wreszcie przestała się tak tajemniczo uśmiechać. „A może okaże się gadułą? W ciągu godziny opowie ci o sobie dokładnie wszystko, a potem zarzuci cię pytaniami o pracę i dzieciństwo, czego oczywiście nie cierpisz. – Nie wiadomo kiedy minął jego ponury nastrój, a powróciło poczucie humoru i zdolność do autoironii. – Wtedy będziesz mógł ją odwiedzić do domu i z czystym sumieniem spisać na straty. Bo przyznaj się, stary, od samego początku o to ci właśnie chodziło”.

– Głupek – burknął na tyle głośno, by wyrwać Julię z zamyślenia. Drgnęła. Jego stwierdzenie wprawiło ją w lekką konsternację. – Mówię o sobie – wyjaśnił, nie odwracając wzroku od drogi. Julia nic nie odpowiedziała, tylko kiwnęła głową, jakby w pełni się z nim zgadzała.

Spojrzeli na siebie, a właściwie na swoje odbicia w przedniej szybie. Prawie słyszał jej myśli: „Dobrze mi z tobą i chyba cię lubię”. Ich niewyraźne odbicia uśmiechały się do siebie. „Poddaję się temu, cokolwiek to jest” – pomyślał i odczuł ogromną ulgę. Pomimo wewnętrznego protestu naprawdę chciał odrzucić wszystkie pytania i obawy; skończyć wreszcie z tymi testami na inteligencję i sprawdzianami umiejętności, które jej ubliżały, a jego tylko ośmieszały.

– Trafiony, zatopiony – wymamrotał w odpowiedzi na pytającą uniesione brwi dziewczyny. Patrzył na jej jasną, szczerą twarz i widział, że choć Julia nadal nie rozumie ani jego milczenia, ani enigmatycznych wypowiedzi, to zupełnie się tym nie przejmuje.

– Dobra, zacznijmy jeszcze raz. – Poruszył barkami, rozluźniając napięte mięśnie. Pojął, że ten wieczór spędzony razem z Julią może być naprawdę miły, że może się bawić równie dobrze jak ona, o ile tylko sobie na to pozwoli. Obrócił się w jej stronę i – po prostu nie mógł się powstrzymać – dotknął palcami jej uśmiechu. Pragnął go zatrzymać choć przez chwilę wyłącznie dla siebie.

– Dobrze, zacznijmy jeszcze raz... – Wstrzymał oddech, gdy poczuł delikatny ruch warg pod opuszkami. Zabrał rękę i nieświadomy intymności tego gestu, przesunął językiem po czubkach palców oparzonych ciepłem jej oddechu.

Julia przełknęła ślinę, czując nagłą suchość w gardle. Intensywność tego, co się działo w szarym mercedesie, przekraczała jej zdolności rozumienia; najpierw przyniatające milczenie, potem nieoczekiwane odprężenie, teraz to paraliżujące

uczucie wzajemnej bliskości. Trochę za dużo tych wrażeń, a przecież to dopiero początek. Co będzie dalej? Już nie mogła się doczekać.

Ken znowu całą uwagę skupił na drodze i prowadzeniu samochodu. Jeżeli chce ich dowieźć cało, to musi ręce trzymać przy sobie. Od tej pory obowiązuje bezwarunkowy zakaz dotykania pasażerów.

Nieco fałszywie pogwizdywał jakąś popularną melodię, którą ostatnio słychać było na każdym kroku. Powoli dojeżdżali na miejsce.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego tak się stało, niemniej fakt pozostawał faktem – przeskakujące między nimi iskry wpłynęły na Kena rozluźniająco. Jakby nagle sytuacja stała się jasna i oczywista, jakby wszystko wróciło na swoje miejsce, może nieco zmienione, ale nadal znajome. Dla niej nic się nie wyjaśniało, wręcz przeciwnie, wszystko było jedną wielką niewiadomą. Miała mętlik w głowie, ale taki wspaniały, zupełnie jak po wypiciu całej butelki szampana.

To dziwne, że po trzech miesiącach potrafiła przywołać w pamięci najdrobniejszy szczegół miejsca, do którego przywiózł ją wtedy Ken. Dziwne tym bardziej, że tylko przez pierwszych kilka minut oczarowana Julia mogła podziwiać romantyczny pałacyk, z dużym wyczuciem i smakiem przerobiony na nie mniej romantyczną restaurację. Potem, kiedy usiedli przy ustronnym stoliku, wszystko odpłynęło, stając się tylko tłem dla nich i rozmowy, którą bez wysiłku i skrzepowania prowadzili przez dwie cudowne godziny. Żadne z nich zdawało się nie zwracać uwagi na wystrój sali, dyskrecję kelnerów i wyszukane potrawy, profesjonalizm pianisty czy nawet ciepły, jesienny wieczór wkradający się przez lekko uchylone drzwi prowadzące na taras. A najdziwniejsze było to, że ani podczas kolacji, ani w trakcie tańca, ani nawet podczas wspólnej przechadzki po ogrodzie nie rozmawiali o sobie – o wszystkim, ale nie o sobie, w każdym razie w tym najbardziej istotnym sensie. Jakby za sprawą niepisanej umowy pomijali milczeniem wszystko to, co było w ich życiu złe, przykre i bolesne. Woleli ciszę niż słowa skargi czy choćby żalu za tym co było i minęło, i z czym, jak sądzili, zdołali już sobie sami poradzić. Oni – tu i teraz, to, co się między nimi działo – to była już nowa historia, niemająca nic wspólnego z przeszłością.

Ten wieczór w pewien naturalny sposób wyznaczył ramy ich przyszłego związku. Reguły, których bez upominania i pilnowania się nawzajem ściśle przestrzegali. Zgodnie podtrzymywali ową ochronną ciszę, bo w niej bezpiecznie

mogli budować swój baśniowy świat. Milczenie zamykało ich w bańce mydlanej, pięknej, ale nietrwałej, o ścianach zbyt tęczyowych, by można było przez nie dojrzeć cokolwiek na zewnątrz. Teraz, kiedy bańka prysła, Julia nie wiedziała, czy uda im się zatrzymać choć odrobinę jej magii. A jeżeli spróbuje pochwycić kilka kropeł z tej rozproszonej mgiełki, co zamknie w dłoni: skrawek tęczy czy tylko wodę i mydło?

Przywitała świt niemal z radością. Nie przyniósł ulgi ani nie wymazał smutku, ale przynajmniej zapełnił odgłosami dnia ciszę, która ciężkim powietrzem przylepiała się do każdej myśli.

Czekała. Czekała bardzo długo: godzinę, popołudnie, noc, niespokojny ranek. Nie mogła już dłużej. Wiedziała, że jest mu to winna, ale... musiała kogoś dotknąć, usłyszeć czyjś głos, uwierzyć, że koniec świata, który przeżyła, był tylko jej własny, prywatny, że inni nadal mają nadzieję.

Kilka chwil trzymała rękę na klamce, zanim zdecydowała się wejść do galerii. Sunny przywitała ją szerokim uśmiechem i hałaśliwym „dzień dobry”.

– Witam, witam! Czyż nie piękne lato mamy tej zimy? Uwielbiam te słoneczne mroźne poranki. – Dla Sunny każdy nowy dzień był źródłem nieustającej radości. Julia zawsze jej tego zazdrościła.

– No a jak tam nasze zakochane pszczołki? Co słyhać u Jego Wysokości Praytona i jego jasnowłosego pazia? – Mimo doskonałego humoru Sunny w końcu zauważyła opuszczoną głowę Julii i jej podejrzenie drżące ramiona. – Hej, mała, co się stało? Nie wyspałaś się, pokłóciłaś z Kennethem czy spędziłaś bezsenłą noc tak sobie, dla sportu? – Udręczone spojrzenie zielonych oczu spotkało się w pół drogi ze zmartwionym spojrzeniem niebieskich.

– Powiedziałaś mu. W końcu mu powiedziałam... – wyszeptała.

– Co powiedziałaś i komu? Praytonowi? Co takiego mogłaś mu powiedzieć? Jakie grzechy wyznać? Twoje sumienie jest czyste jak łza, a o tym, że jesteś lub raczej byłaś dziewicą, sam się dowiedział i to już chyba jakiś czas temu. – Sunny próbowała bagatelizować niepokój Julii, choć rozpacz, jaką ta roztaczała wokół siebie, powoli zaczęła także ją paraliżować.

– Ty nic nie rozumiesz! Nic... – wyjęczała.

– No pewnie, że nic. Mówisz zagadkami – mruknęła zdenerwowana Sunny.

– Powiedziałam Kenowi, że jestem w ciąży.

Gdyby nie stało w pobliżu krzesło, Kate usiadłaby na podłodze. Z wrażenia niemal odebrało jej mowę.

– Co?! – Tylko Sunny umiała krzyczeć szeptem.

– Jestem w ciąży – powtórzyła. – Jestem w ciąży, jestem w ciąży, jestem...

– Dobra! Słyszałam! – przerwała jej gwałtownie Kate, wyczuwając zbliżającą się histerię. – Jesteś w ciąży. To chyba świetnie. Zostaniesz mamusią, a nasz szanowny Prayton tatusiem. Chyba chcesz tego dziecka? – zapytała niepewnie.

– Tak, oczywiście, że chcę. Zawsze chciałam, marzyłam o tym. – Mówiąc to, nagle zrozumiała, jak prawdziwe i silne jest owo pragnienie, jak bardzo chce tego dziecka. – Ale nie w ten sposób. – Potrząsnęła głową. – Ken...

– Nie w ten sposób? A w jaki, do diabła?! O ile się orientuję, dzieci od tysiącleci robi się w dokładnie taki sam sposób. – Musiała kpić, bo inaczej już dawno by się rozplakała. Ale Julia jakby jej nie słyszała.

– Ken... On nie był zadowolony – mówiła jakby do siebie. – Był zły i rozczarowany.

– A czego, u licha, oczekiwałaś?! – Teraz Kate się wściekła. Podbiegła do przyjaciółki, pociągnęła za sobą i siłą posadziła na krześle. – Bukietu róż i oświadczyn? Na jakim ty świecie żyjesz?! Facet przeżył prawdziwy szok i trudno się dziwić, że nie zachował się jak na dżentelmena przystało. – Chcąc nie chcąc, Sunny zaczęła bronić Praytona, choć nie miała takiego zamiaru.

Julia tak mocno ścisnęła kolana, że aż cała się trzęsła. Położyła na nich dłonie, by uspokoić nerwowe drżenie.

– Nie o to chodzi... Nie o to. – Zaczęła się monotonicznie kiwać: w przód i w tył, w przód i w tył; Sunny musiała mocno pochylić się w jej stronę, by

cokolwiek usłyszeć. – Gdyby był zaskoczony, niezadowolony czy tylko zły, zrozumiałabym, starałabym się zrozumieć, ale... – Miarowemu kołysaniu w przód i w tył towarzyszyły rytmiczne skrzypnięcia drewnianego krzesła. Nagle wszystko umilkło. – Julia siedziała sztywna, wyprostowana, wpatrując się w ciemniejszą smugę na podłodze. – On się po prostu bał. Bał się! – Zamknęła oczy. Nie chciała znowu widzieć tego strachu, tego cienia, który pojawił się w jego spojrzeniu i który był niczym innym jak podejrzliwością. – Nie ufa mi – powiedziała spokojnie. – Nie ufa mi – powtórzyła głośniejsz. – Nie-u-fa-mi! – wyskandowała, jakby wypowiedzenie tych słów na głos mogło pomóc jej zrozumieć to, z czym wciąż nie umiała się pogodzić. Łzy, które przez całą noc nie chciały schłodzić rozpalonej twarzy, wreszcie popłynęły, kojąc kielkujące szaleństwo i łagodząc ból. Choć przez chwilę, choć przez jedną chwilę nie bolało tak bardzo.

Sunny czuła, że musi poruszać się bardzo delikatnie, bardzo ostrożnie. Kiedyś czytała książkę, której treść dawno już zapomniała, ale tytuł dobrze utkwiał w jej pamięci: „Cienka czerwona linia” – zresztą głównie ze względu na ten tytuł ją przeczytała. Właśnie teraz czuła się tak, jakby stała na takiej cienkiej czerwonej linii; jeden nierozważny ruch, nieodpowiedni krok i spadną obie.

– Posłuchaj, mała. – Sunny powolnymi ruchami odgarniała włosy z policzków i czoła Julii. – Każdy problem wydaje się trudny, dopóki się go nie rozwiąże. Bez względu na to, co mówi czy myśli Prayton...

– On uważa, że ja to zrobiłam specjalnie, że celowo go oszukałam, że przez cały czas udawałam. Nie ufa mi. – Jej twarz była blada, a oczy martwe.

– Bez względu na to, co mówi czy myśli Prayton, do tego potrzeba dwojga. Jesteście w równym stopniu odpowiedzialni za to, co się stało. Nieważne, co on zrobi...

– Kazał mi czekać, ale już nie mogłam. To trwało tak długo.

– Nieważne, co on robi. – Sunny twardo postanowiła, że dokończy myśl, nawet jeżeli Julia będzie jej przerywała po każdym słowie. – To ty musisz podjąć decyzję. Zresztą już to zrobiłaś, bo przecież chcesz mieć to dziecko. Musisz się więc przygotować, zaplanować wszystko. Będziesz miała dziecko, Julio!

Sunny czuła odpowiedzialność, której nie pragnęła, choć jej oczekiwała od momentu, w którym Prayton pojawił się w życiu Julii. „Powinnam jej była lepiej pilnować” – pomyślała bezradnie.

– Będę miała dziecko. – Po raz pierwszy tego dnia Julia uśmiechnęła się i spojrzała na Sunny nieco przytomniejszym wzrokiem. – Tak bym chciała, żeby Ken był przy mnie, pomagał mi, powiedział, że... – zawahała się – ale jeżeli nie... to sama dam sobie radę. – Julia poczuła siłę, która kazała jej jedną dłonią otrzeć oczy, a drugą dotknąć płaskiego jeszcze brzucha.

– Damy sobie radę – poprawiła ją Sunny i posłała jej buńczuczny uśmiech.

Prayton patrzył na oryginalny, ręcznie wykonany szyld Crazy Gallery, będący czymś w rodzaju miedziorytu, i czuł się równie idiotycznie jak trzy miesiące temu. Ale wtedy niepewność mieszała się w nim z ciekawością i jakimś niespokojnym oczekiwaniem. Teraz zaś pełen był gniewu i zwierzęcej wręcz czujności; do strachu i poczucia straty nie przyznawał się nawet przed sobą. Zmieniło się również to, że dzisiaj dokładnie wiedział, czego tutaj szuka.

Pragnął zemsty. Za to, że po raz pierwszy w życiu pozwolił zrobić z siebie głupca. I to komu? Amatorce, nowicjusze! Dał się złapać na najstarszy numer świata. Boże! Jak napalony uczeń, niedoświadczony smarkacz! On, który zawsze był taki ostrożny, taki przewidujący! Nie znajdował dla siebie żadnego wytłumaczenia. Tym bardziej że przez cały czas kiedy był z Julią, czuł obecność natarczywego głosu, który pulsował mu w głowie nieustającym mamrotaniem. Ten głos, choć się go wypierał i próbował ukryć w najdalszym zakamarku umysłu, nie pozwalał uśpić się na długo. A jeżeli opuszczał go na kilka chwil, to potem wracał jeszcze mocniejszy i łomotał, walił w zamknięte drzwi świadomości. Szeptał i krzyczał, że to nie może być prawda, że to zbyt piękne... Ale on nie chciał słuchać, nie chciał doszukiwać się podwójnych znaczeń w czułych słowach, dopatrywać się podstępów w serdecznych gestach. Czy ktoś mógł go za to winić? Że chciał choć raz poczuć deszcz na nagiej skórze i promienie słońca na twarzy zwykle schowanej pod maską? Kto mógł mieć o to do niego pretensję? Kto?! On sam! Opuścił gardę, przestał się pilnować i... otrzymał cios w samo serce. Sam się o to prosił. Cynizm, o którym prawie udało mu się zapomnieć, odezwał się znowu – silniej niż kiedykolwiek.

Jakże on jej za to nienawidził! Nienawiścią, która go rozsadzała, nienawiścią tak podobną do rozpacz, że trudno je było odróżnić. Ale on wołał nienawiść – wygodniejszą, bezpieczniejszą, łatwiejszą do zrozumienia; pielęgnował ją i nie pozwalał odejść czy choćby osłabnąć. „Uważaj, czego pragniesz, bo możesz to

dostać – ostrzegł towarzyszącą mu dziewczęcą postać, ten milczący cień rozplywający się w dziennym świetle, od którego nawet nie próbował się uwolnić. – Zapłacisz mi za wszystko – obiecał. – Za zranioną dumę, upokorzone męskie ego, za rozwianie głupich nadziei”. Wiedział, że brzmi melodramatycznie i banalnie, ale nic sobie z tego nie robił. Był banalny, jego wściekłość była trywialna, jego chęć odwetu była pospolita, jego kara... O nie, kara wymierzona przez niego nie będzie banalna.

– Dostanie, czego chciała, i jeszcze trochę – mruknął przez zaciśnięte zęby. – I będzie tego żałować do końca życia. – Wciągnął ze świstem powietrze i wstrzymał oddech. Wciąż powtarzane groźby pozwoliły mu w końcu zebrać dość siły, by otworzyć drzwi galerii.

Gorące powietrze jego uwolnionego oddechu osiadło ledwie widoczną mgiełką na powoli uchylającej się przed nim szybie.

– Prayton – oschłym tonem przywitała go Sunny. – Czego chcesz? – Uznał to za dalszy ciąg uprzejmego powitania.

– Zostaw nas – rzucił krótko, nawet na nią nie patrząc.

– Ani mi się śni! – odparowała i stanęła między nim a Julią. Musiał przyznać, że rudzielec był dzisiaj wyjątkowo zwięzły w wypowiedziach.

– Jak chcesz – stwierdził i przestał się nią zajmować, jakby w ogóle jej tu nie było.

– Miałaś na mnie czekać – zaatakował, zwracając się bezpośrednio do Julii.

– Czekałam – odpowiedziała spokojnie.

Irytował go ten spokój. Nie wiedział, czego się może spodziewać, ale na pewno nie oczekiwał takiego chłodu i ostentacyjnej obojętności.

– I co? Znudziło ci się? – Zerknął na nią spod oka, ale nie doczekał się reakcji, żadnego oburzenia, zawstydzenia czy choćby wzruszenia ramion.

Sprawiała wrażenie osoby, której cała ta sytuacja w ogóle nie dotyczy; stała

spokojnie, patrząc mu prosto w oczy, nie uciekała spojrzeniem na boki, nie garbiła się, nie wierciła nerwowo. „Co ona sobie wyobraża?”. Z trudem panował nad ogarniającym go gniewem. I nagle z rosnącym zdumieniem stwierdził, że stoi przed nim zupełnie obca kobieta – opanowana, enigmatyczna, daleka. Nic o niej nie wiedział, prócz tego, że z pewnością już podjęła decyzję i teraz tylko przez grzeczność czeka na to, co on ma do powiedzenia. Czekwała spokojnie, bez cienia strachu, pewna, że żadne jego słowa nie są w stanie zmienić jej postanowień. Przyszedł tu po zadośćuczynienie, przywiodła go tu chęć wymierzenia kary – ale komu? Słodkiej, pełnej ciepła Julii, która go oszukała, tutaj nie było. Nie znał tej zamkniętej w sobie dziewczyny, nie rozumiał jej. Jak miał ukarać kogoś, kto patrzył na niego jak na przedmiot bez znaczenia?

„Zaczynam wariować, wierzyć w duchy, widzieć coś tam, gdzie nic nie ma”. Bezskutecznie usiłował zebrać myśli. Słowa i uczucia wirowały w nim, walcząc i wypierając się nawzajem. W głowie miał oślepiający mętlik obrazów, ogłuszający jazgot wspomnień. To było nie do zniesienia. „Nie mogę dać się znowu nabrać, nie wolno mi uwierzyć, że...” – Poszukał jej wzroku, gotów walczyć do upadłego, mimo że wiedział, jak łatwo mógłby teraz przegrać.

I wtedy... Julia się uśmiechnęła. Tak jak pamiętał, uśmiechem, który rozpoznał natychmiast, choć przecież zawsze towarzyszył ciemności. Delikatny uśmiech spełnionej obietnicy, który pojawiał się na nieświadomych jego wzroku ustach dziewczyny tuż przed zaśnięciem. Odebrał go jak policzek. Wirowanie ustało, zniknęła niepewność. Ze zdwojoną siłą powróciły złość i chęć zemsty.

– Widzę, że mało cię to wszystko obeszło – powiedział. – Tym lepiej. Nie będzie problemów.

– O jakich problemach mówisz, Prayton? – wtrąciła się Sunny. – Moim zdaniem tylko ty stanowisz tu jakikolwiek problem. – Wyglądała, jakby miała zamiar wyzwać go na pojedynek.

– Zostaw nas – warknął.

– On ma rację, musimy załatwić to sami. – Julia powiedziała to prawie pogodnym głosem, ale Sunny nie dała się zwieść. „Chryste! Ten sztuczny grymas na jej twarzy w niczym nie przypominał tamtego uśmiechu”.

Pomimo całej swojej niechęci do Praytona, Sunny miała nadzieję, że się pogodzą, że kiedy Kenneth ochłonie, sam zrozumie jak bezpodstawne,

bezsensowne, po prostu bzdurne są jego oskarżenia wobec Julii. Ale kiedy wpadł do galerii i pod maską cywilizowanego człowieka Kate zobaczyła obnażone kły i żądzę mordy w oczach, zrezygnowana machnęła ręką. Teraz zależało jej tylko na tym, by chronić przyjaciółkę. No i wtedy Julia się uśmiechnęła. Sunny nie miała pojęcia, co może oznaczać ten uśmiech, zresztą nigdy wcześniej nie widziała go na twarzy Julii, ale był taki... zachęcający, że ponownie z całych sił zacisnęła kciuki. Prayton też na początku wyglądał jak rażony gromem z jasnego nieba, zupełnie jakby zobaczył ducha, ale potem... „Ech, lepiej nie mówić! Jego Wysokość Kenneth Cristobal Prayton w wersji dla ubogich. Obrażony mężczyzna w całej okazałości pokazał, na co go stać. Bubek, palant i hipokryta! – Sunny miała ochotę mu przyłożyć. – Ach, walnąć prosto w tę przystojną, oburzoną twarz porządnego faceta. Oj, Prayton, Prayton... Czy ty nie widzisz, że niszczysz właśnie to, nad czym tak się napracowałam przez kilka ostatnich lat? Boże, mury, w których teraz zamyka się Julia, zapowiadają się na naprawdę solidną robotę, ale na razie są jeszcze bardzo kruche... Oczywiście ty, jak ostatni kretyn, niczego nie widzisz. Nie widzisz, jak sztuczny jest jej spokój, jak przeraźliwie nienaturalna jest ta jej obojętność. Już nie wiem, które z was bardziej oszukuje i które mocniej na tym ucierpi. A co z dzieckiem, Prayton? Zapomniałeś o nim? A teraz Julia mówi, że mam ją zostawić samą na pastwę takiego drania jak ty!”.

– Julio... – Sunny rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Dam sobie radę. – Znów ten nieznośnie pogodny ton w jej głosie.

– Jak chcesz! Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mruknęła niedowierzająco. – W razie czego jestem w pobliżu – zaznaczyła i zniknęła na zapleczu.

Trzasnęły drzwi; cisza, która zapadła, wydała się przez to jeszcze bardziej przenikliwa.

Siłowali się, przeciągali między sobą linię milczenia w najważniejszej grze ich życia. „A więc tak to zamierza rozegrać – pomyślał, poddając się, i wbrew samemu sobie poczuł uznanie dla siły, o jaką jej nie podejrzewał. – Żadnych łez, prośb, zapewnień o niewinności? Doskonale”.

– Pobierzemy się. – Prayton od razu przeszedł do konkretów.

– Chyba żartujesz – odpowiedziała szybko i bez wahania.

Akurat tej groźby nie zamierzała potraktować poważnie.

– Bynajmniej. Możesz mi wierzyć, stanowczo nie mam ochoty na żarty. Zresztą po rozmowie z twoim stryjem śmiem przypuszczać, że ty również uznasz to w końcu za najlepsze rozwiązanie. – Z satysfakcją zauważył, że drgnęła. Oho, a więc i ona miała swój czuły punkt. – Tak, moja droga, byłem u niego i muszę przyznać, że okazał się wyjątkowo rozmowny – zadrwił celowo, choć nie przyniosło mu to oczekiwanej ulgi.

Spotkał się z Clayem MacAlisterem, ale nie po to, by potwierdzić swoje podejrzenia, wręcz przeciwnie. Nie chciał oskarżać Julii bez powodu, obrazić czy nawet zranić niesłusznym gniewem. Czyż można być większym naiwniakiem? Szukał dowodu, najdrobniejszego choćby świadectwa, że to jakaś kosmiczna pomyłka, fatalny zbieg okoliczności, przypadek... Słowem, szukał czegokolwiek, co pozwoliłoby mu wierzyć, że Julia jest równie niewinna jak tuż po urodzeniu. No i znalazł, czego nie szukał ani nie pragnął. Ale nie żałował. Może to zbyt wiele, chcieć wierzyć, że zielone cuda jednak się zdarzają. Teraz przynajmniej już wiedział. Przekonał się raz na zawsze, że cudów nie ma. Żadnych, bez względu na kolor.

Clay MacAlister wziął go na początku za swojego nowego pacjenta. Trochę czasu zajęło Kenowi przekonanie doktora, że się myli, tym bardziej że sam czuł się, jakby tracił zmysły. W końcu doszedł do wniosku, że najlepsza, choć może pozbawiona finezji, będzie najkrótsza droga.

– Julia, pańska bratanica, jest ze mną w ciąży – udało mu się wtrącić, podczas gdy doktor uparcie próbował umówić go na kiedy indziej, bo teraz nie za bardzo ma czas. Prayton odniósł wrażenie, iż jego słowa utonęły w panującym na biurku i wokół niego rozgardiaszu: skrzypiący jęk fotela, szuranie odsuwanej szuflady, szelest przewracanych kartek, pomrukiwania niezadowolonego starszego mężczyzny...

– Tak, tak. Już panu mówiłem, że... – MacAlister zamarł z palcem utkwionym w jednym z niewielu wolnych miejsc, które zdołały się uchować w jego grubym notatniku. Podniósł wolno głowę, spojrział na niecodziennego gościa, jakby dopiero teraz go zauważył, i dokończył już chyba tylko siłą rozpędu – ...mogę pana

przyjąć dopiero za tydzień... Proszę, niech pana siada.

Ta niespodziewana propozycja poparta zapraszającym gestem i nagłą zmianą, jaka zaszła w doktorze, w pewnym sensie wstrząsnęły Praytonem (o ile jeszcze cokolwiek mogło nim wstrząsnąć). Nie miał już przed sobą roztargnionego profesora wprost ze studenckich anegdot, ale doświadczonego, bystrego mężczyznę patrzącego na niego z chytrym uśmiechem na inteligentnej twarzy.

– Czy mógłby pan powtórzyć staremu, głuchemu człowiekowi, bo może coś źle usłyszał? – Płatny błysk w jego starczych oczach i kurcze łapki na skroniach przywodziły na myśl wiekowego chochlika, równie skłonnego do psot jak przed laty, tyle że bardziej złośliwego. Prayton czuł, że gdyby dano mu choć minimalną szansę, z łatwością polubiłby stryja Julii.

– Dobrze pan usłyszał. Julia będzie mieć dziecko – odpowiedział beznamiętnie, choć spoglądał na MacAlistera z jawną podejrzliwością, nie do końca pewny, czego się spodziewać. Ostatecznie mógł zostać oskarżony o uwiedzenie, pozbawienie czci, splamienie honoru, nadszarpnięcie dobrego imienia i o wiele innych rzeczy, w które nikt już nie wierzył, ale o których ciągle głośno i z dużą emfazą rozprawiano.

– Dziecko z panem, jeżeli dobrze zrozumiałem? – Podstarzały chochlik bawił się swoim chytrym uśmieszkiem, zupełnie tak samo jak piórem, które trzymał w dłoni.

– Doskonale pan rozumiał. – Natomiast Kenneth nie rozumiał, dokąd zmierza cała ta rozmowa. – Będzie miała dziecko ze mną – wydusił z siebie, mając nadzieję, że powtarza to po raz ostatni. Swoją drogą to zastanawiające, że oskarżając Julię o tyle różnych rzeczy, Prayton ani przez chwilę nie wątpił, że dziecko jest jego.

– A kim pan jest, jeżeli wolno zapytać?

„No, to jesteśmy w domu” – pomyślał Kenneth. Przez cały czas podświadomie czekał na to właśnie pytanie; zdumiała go tylko wyraźna kpina, z jaką zostało zadane, i długie taksujące spojrzenie, które je poprzedziło.

– Kim jestem? – powtórzył na głos; często, zwłaszcza ostatnio, sam się nad tym zastanawiał. – Myślę, że nie rozczaruję pana, gdy...

– Proszę się nie obrażać, że pytam – nie pozwolił mu dokończyć doktor – ale nie bez powodu wziąłem pana za mojego pacjenta. Jest pan, jakby to powiedzieć, nie urażając pana, nieco... rozmemłany. – Delektował się tym słowem jak najlepszą whisky.

Prayton nie wiedział, czy MacAlister kpi, żartuje, czy mówi najzupełniej poważnie. Zresztą nie miało to większego znaczenia, gdyż sam doskonale zdawał sobie sprawę ze swojego wyglądu. Wychodząc z mieszkania Julii, nie zabrał ze sobą niczego prócz płaszcza, którego w ciągu całonocnej wędrówki po mieście nawet nie zapiął. Był zmarznięty, piekielnie zmęczony i oczy piekły go z niewyspania. Wiele godzin chodził bez celu po ulicach i odkrywał wątpliwe uroki jazdy pustym autobusem po nieznanach dzielnicach. Nie wiedział, jak w końcu trafił do parku naprzeciw domu MacAlistera i co ostatecznie skłoniło go do tej porannej rozmowy ze stryjem Julii. Gdzie znalazł siły, by pokonać kilka niewysokich schodków i zadzwonić do zamkniętych drzwi.

Przejechał ręką ciągle jeszcze wilgotne włosy i potarł czubkami palców szorstkie, pociemniałe od zarostu policzki. Marzył o prysznicu i ciepłym łóżku, choć nie przypuszczał, by mógł zasnąć. „Co ja tu robię? To wszystko jest bez sensu” – pomyślał znużony.

Przedłużające się milczenie przerwał gwałtowny wybuch szczerego śmiechu.

– Niech pan nie robi takiej miny, drogi chłopcze. Nie mam najmniejszego zamiaru postawić cię przed sądem. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja naprawdę jestem zachwycony tym, co się stało. Moje modlitwy wreszcie zostały wysłuchane. – Chochlik miał dzisiaj swój dzień; chichotał i zacierał ręce, a swoją wesołością mógłby zarazić każdego; może z wyjątkiem Praytona, który po prostu nie rozumiał, co się dzieje. Nastawił się na długą przemowę pełną upomnień, truizmów i apeli do jego sumienia, honoru i poczucia obowiązku. Ale to? To było zupełnie bez sensu!

– Już co najmniej od trzech lat próbuję wbić co nieco do upartej głowy mojej bratanicy. Myślałem, że mi się nigdy nie uda, a tu proszę! Cicha woda brzegi rwie! Posłuchała w końcu rad starego stryjaszka. Tłumaczyłem, że dla jej własnego dobra i zdrowia, ma się rozumieć, najlepiej będzie, jak zafunduje sobie dzidziusia. I co?! Ni z tego, ni z owego po zaledwie – zaraz, kiedy to było? – chyba jakieś trzy, cztery miesiące temu... No właśnie, nagle po paru miesiącach dzidzius wyskakuje jak królik z kapelusza. Udało jej się, nie ma co! Złapała i usidliła nie byle kogo, samego Kennetha Praytona! – Ściągnął usta i cmoknął nimi kilka razy z wyraźnym zadowoleniem. Duma wprost go rozpierała. – Tak, tak, drogi chłopcze, nawet ja

czasami czytuję kroniki towarzyskie: spadkobierca Praytonów, bogaty, przedsiębiorczy, doskonała partia i zaprzysięgły kawaler. Mnie tu już ręce opadają z bezsilności, a ona namierzyła i przyskrzypiła takiego ptaszka jak ty. No, no, kto by pomyślał. Co prawda nie mam pojęcia, jak jej się to udało, ale widocznie miała swoje sposoby... – Chochlik mrugnął porozumiewawczo, a chytry uśmieszek obejmował całą jego twarz.

Prayton czuł się jak ogłuszony. Zrobiło mu się niedobrze i niczego więcej nie pragnął, jak odwrócić się na pięcie, wyjść bez słowa i już nigdy więcej nie spotkać nikogo o nazwisku MacAlister. Cała wcześniejsza sympatia, jaką odczuwał do tego diabliska w ludzkim ciele, prysła niczym bańka mydlana. Wszyscy w tej przeklętej rodzinie byli tacy sami – pozornie mili, a pod spodem obłudni intryganci. Zmusił się do pozostania na miejscu. Nie zamierzał przepuścić ani jednej odsłony z tej farsy; nie daruje sobie żadnej uszczypliwości, jaką z pewnością poczęstuje go jeszcze ten złośliwy gnom rodem z bajek dla niegrzecznych dzieci.

Brak choćby drobnej reakcji ze strony przybysza nie zakłócił wywodów MacAlistera.

– Wiesz, zaproponowałbym ci łyk czegoś mocniejszego, ale pić tak wcześnie po prostu nie wypada, więc ze świętowaniem będziemy musieli poczekać na jakąś mniej barbarzyńską porę. A wracając do poprzedniego tematu, nie zrozum mnie źle, kocham Julię, to dobre dziecko, tylko czasami zachowuje się jak jakaś ofiara losu.

„Ofiara losu...” – myślał gorączkowo Prayton, próbując dopasować do tego określenia roześmianą, pełną życia i tajemnic istotę, którą poznał.

– Istna góra lodowa, oto jaka jest, czy raczej była, skoro ty tu teraz jesteś, a jeśli przesadzam, to tylko troszkę. – Poruszył znacząco brwiami i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu, na którego widok znowu Kennethowi zrobiło się słabo.

„Góra lodowa?! Ta uległa, mruczająca pod najłżejszym dotknięciem kotka?” Przynajmniej to nie mogło być kłamstwem. Żadna, nawet najbardziej doświadczona kobieta nie potrafiłaby aż tak udawać. Ale co z resztą? Co było prawdą? Czy w ogóle cokolwiek było prawdziwe? Cokolwiek między nimi – prócz seksu? Nie mówili o miłości, nie próbowali tłumaczyć swoich uczuć, ale nigdy przedtem nie uważał kochania się z Julią za zwykły seks. Nawet teraz, mimo odgradzającej ich od siebie nieufności, nadal czuł tę drgającą rozżarzoną nić, pętającą ich wolę. Na wspomnienie jej bierności, która tak łatwo przerodziła się

w namiętność, równie gwałtowną jak jego własna, znów poczuł podniecenie. Pragnął, ciągle jej pragnął. Jak to możliwe?

Nie! To nie było możliwe. W pragnieniu kryje się delikatność, czułość, a ona rzuciła mu to wszystko w twarz, żądę nazywając kochaniem. Czy na kłamstwo można odpowiedzieć prawdą? Nie wolno. Nie zamierzał jak jego ojciec pozostać uczciwym, gdy partner oszukuje. Teraz więc zamiast partnera był przeciwnik, zamiast pragnienia – pożądanie. To rozumiał – pożądanie, zwykły seks bez żadnych czarów. Nic więcej. Ale nienawidził jej za to jeszcze bardziej.

– No więc, drogi chłopcze, kiedy ślub?

Prayton był pewien, że się przesłyszał.

– Ślub? – zapytał zdumiony.

– Co, nie rozmawialiście jeszcze o tym? A od kiedy wiecie o dziecku?

– Ja od wczoraj – wycedził, mając nadzieję, że to powstrzyma zapędy starego chochlika.

Nic z tego.

– Aha, to tłumaczy twój... hmm... dzisiejszy wygląd. Jeszcze nie doszedłeś do siebie. Rozumiem, przeżyłeś coś w rodzaju szoku.

„Szoku...? Na pewno” – potaknął w myślach Kenneth.

– Jednak, wiesz, nie jestem może zbyt konserwatywny, ale skoro pojawiło się już dziecko, to chyba wcześniej czy później powinien być też ślub. Małżeństwo to chyba odpowiednia kara dla takiego, jakby to powiedzieć, pośpiechu w działaniach. – Klepnął się po kolanach i parsknął rozbawiony, zupełnie jakby powiedział świetny dowcip.

– Odpowiednia kara... – powtórzył Prayton powoli. – Nie wiem tylko, czy Julia się zgodzi – dodał ostrożnie.

– Czy się zgodzi?! Będzie zachwycona! Czego więcej może chcieć kobieta, zwłaszcza jeżeli jest w ciąży? Niczym się nie przejmuj. Ustalcie wszystko jak najszybciej. A tak na marginesie, cieszę się, że to właśnie ciebie wybrała. Masz

odpowiednią pozycję i majątek, by mogła nareszcie rozkwitnąć, rozwinąć skrzydła. Wydaje mi się, że przez te cztery lata, gdy mieszkała z rodzicami, zdążyła zrozumieć, co dają duże pieniądze. Steven i Maria nie przywiązywali do tego wagi i przepuścili prawie wszystko; a ona jest delikatna i choć się do tego nie przyznaje, potrzebuje luksusu. Naprawdę niczym się nie przejmuj. Macie moje błogosławieństwo.

Tak, tylko tego potrzebował, błogosławieństwa groteskowego chochlika. Ale MacAlister w jednym miał rację – małżeństwo będzie odpowiednią karą.

– **Rozmowny?** Co masz na myśli? Skąd znasz mojego stryja? – Jej spłoszona mina poprawiła mu nieco humor.

– Powiedzmy, że poznaliśmy się dzisiaj. Twierdził, że będziesz zachwycona małżeństwem ze mną.

– Zachwycona?! Nie ufasz mi. Jak mogę być zachwycona małżeństwem z tobą.

Czuł, że mu się wymyka. Nie tylko on był podejrzliwy – ona również.

– A co do tego wszystkiego ma zaufanie? Małżeństwo to umowa między dwiema stronami. Ty potrzebujesz męża i ojca dla swojego dziecka, ja jestem już w tym wieku, że zacząłem poważnie myśleć o założeniu rodziny. Skoro zaś rodzina w pewnym sensie założyła się sama, no cóż... nie ma co się długo zastanawiać.

„Muszę być bardzo ostrożny. Nie wolno mi jej spłoszyć. Jeżeli się przestraszy, mimo całej swojej misternej intrygi gotowa się wycofać. Poza tym jej zdenerwowanie może zaszkodzić dziecku – zaniepokoił się nieoczekiwanie – a to przecież też i moje dziecko. Dziecko? Czemu nie, wszak cel uświęca środki”.

– Musimy myśleć przede wszystkim o dobru dziecka – powiedział spokojnie, lecz stanowczo. – Ono będzie potrzebować i matki, i ojca, normalnej rodziny. Chcesz je tego pozbawić? Posłuchaj, co się stało, już się nie odstanie. Teraz po prostu musimy być rozsądni.

– Nie odstanie... – powtórzyła bezwiednie.

– Nawet o tym nie myśl! – prawie krzyknął.

– O czym? – nie zrozumiała.

– Zabraniam ci! Słyszysz?! Nie masz prawa, nie wolno ci tego zrobić! – Opanowanie zniknęło, po wymyślnych strategiach nie zostało ani śladu.

– Czego? O czym ty mówisz? – wyszeptła Julia przez zbiegające wargi.

Zagalopował się, zdecydowanie przesadził. Julia to nie jego matka. Mimo wszystko nie potrafiłaby być aż tak podła jak ona.

Nie wiedział, jakich potworów bały się inne dzieci, co straszło je zza niedomkniętych drzwi szafy, co wyzierało w ciemności spod łóżka... On bał się Pameli – swojej matki, kiedy przychodziła do niego pachnąca męskimi perfumami, alkoholem i papierosami; kiedy przypominała sobie, że ma syna, którego czasami wypada pocałować na dobranoc.

Jak chyba niczego w swoim życiu żałował, że podsłuchiwał tamtą rozmowę rodziców.

Wrócili z przyjęcia – ojciec zmęczony, matka niezadowolona. On sam nie mógł zasnąć i zszedł właśnie do kuchni, żeby napić się mleka. Domyślił się, że matka nalega, upiera się przy czymś, coraz bardziej zła, że tym razem ojciec nie ma zamiaru jej ustąpić.

– Mówię ci, że teraz możemy pojechać. Nic już nie stoi na przeszkodzie – oświadczyła w końcu Pamela, patrząc zimno na męża.

– Kochanie, rozumiem, jesteś poirytowana. Podróż po Europie obiecałem ci dawno temu, ale sama wiesz, teraz to po prostu niemożliwe. Taka wyprawa jest bardzo uciążliwa, może ci... – obrzucił ją czułym spojrzeniem – wam zaszkodzić. Przecież rozmawialiśmy o tym już tyle razy. Myślałem...

– Usunęłam to. Teraz możemy pojechać. – Do Kennetha, jeszcze po wielu latach, wracało nocami okrucieństwo, które usłyszał wtedy w jej głosie.

– Usunęłaś? O czym ty mówisz?! – Twarz Johna była szara jak marmur

schodów w Prayton House.

– Zrobiłam zabieg. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą to i tak nie było twoje dziecko. Powinieneś być mi wdzięczny. W pewnym sensie zrobiłam to dla twojego dobra. – Roześmiała się i choć zaraz potem odeszła, nucąc coś beztrąsko, jej śmiech nadal odbijał się twardymi, ciężkimi piłeczkami od wszystkiego wokół nich. Ken długo go słyszał, nawet teraz... w innym świecie, przy Julii, czuł jego dotkliwe uderzenia.

Nie zdziwił się, gdy trzy dni później ojciec dostał ataku serca, którego nie przeżył. Trzy dni... w ciągu których nie wychodził ze swojego pokoju, nic nie jadł, z nikim się nie widywał i nie rozmawiał, oprócz Terrence'a Pattersona – od przeszło trzydziestu lat najbliższego przyjaciela i zarazem adwokata. Czego dotyczyło ich spotkanie, nigdy się nie dowiedział, mógł jedynie przypuszczać – Patterson nie chciał zdradzić żadnych szczegółów, chociaż gdy wychodził od Johna, wiele mówiły jego zaciśnięte usta i ponura mina. Wtedy właśnie przez uchylone drzwi, zanim stary adwokat cicho i dokładnie zamknął je za sobą, Kenneth zobaczył swojego ojca po raz ostatni. Ukryty w ciemnym załomie korytarza, przyglądał się jego sylwetce na tle okna. Stał tam, w ramie futryny, milczący i jakby już nieobecny. Opierał ciężko ręce o parapet i patrzył na ziemię otaczającą Prayton House. Czy przeczuwał, że jutro już go tu nie będzie? Czy żegnał się w ten sposób? A jeżeli tak? Jeżeli pożegnał się z każdym drzewem, kamieniem, z każdym najmniejszym zielononiebieskim skrawkiem przestrzeni dookoła, czemu nie pożegnał się z własnym synem...?

– Wybacz – mruknął Kenneth. Jego przeprosiny były równie niechętne, jak nieszczerą była jego skrucha. – Wiem, że chcesz tego dziecka – powiedział to bez złości. Kąciki jego ust drgnęły; może czaił się w nich uśmiech, może ironia. – Gdybyś nie chciała, nie byłoby mnie tutaj, w ogóle nie byłoby problemu.

Poczuła smutek, mimo chłodu, który tłumził wszystko. Otworzyła dłoń. Woda i mydło – tyle zostało z jej tęczowej bańki.

ROZDZIAŁ 6

Julia cały tydzień podejmowała decyzję. Musiała wszystko dokładnie przemyśleć, nie mogła kierować się wyłącznie intuicją czy instynktem samozachowawczym. Wówczas bowiem musiałyby, jak radziła jej Sunny, z miejsca odesłać Kennetha do wszystkich diabłów.

Zdanie stryja już poznała, co prawda pośrednio, ale nie przypuszczała, by Kenneth skłamał, mówiąc o entuzjazmie, z jakim MacAlister przyjął wiadomość o dziecku. „Ot, cały stryjasek” – westchnęła i mimo woli się uśmiechnęła; stryj zawsze najlepiej wiedział, co jest dobre dla bliźnich, i oczywiście nie zamierzał tej wiedzy zachowywać wyłącznie dla siebie. Domyślała się, co stryj Clay naopowiadał Kennethowi. Swoimi niewybrednymi żartami i docinkami musiał zdrowo namieszać, ale nie umiała się na niego gniewać. Przypuszczalnie wyświadczył jej niedźwiedzią przysługę, lecz przecież Ken już wcześniej oskarżył ją i osądził; rozmowa ze stryjem po prostu ostatecznie potwierdziła jej winę. „Oj stryjku, stryjku, żebyś ty wiedział, co się porobiło... I co ja teraz mam zrobić?”

W ciągu ostatniego tygodnia chyba z tysiąc razy zadawała sobie to pytanie, ale nie mogła od nikogo przyjąć gotowej odpowiedzi – sama musiała ją znaleźć. Małżeństwo? Sunny widziała tylko minusy, stryj – same plusy, a Kenneth uważał, że po prostu nie ma innego wyjścia. A ona musiała wziąć wszystko pod uwagę. Ken w jednym na pewno się nie mylił: najważniejsze jest dobro dziecka. Chciała dla niego rodziny, jakiej sama nie miała, takiej prawdziwej – z mamą i tatą. Czy mogła pozbawić swoje dziecko ojca tylko dlatego, że okoliczności, w których zaproponowano jej małżeństwo, były raczej mało romantyczne? Przecież idylla i tak się skończyła, gdy okazało się, że zapamiętała budowała zamki na piasku i rzeźbiła w lodzie.

Może więc teraz, pozbawiona złudzeń, zdoła stworzyć coś bardziej solidnego; nie będzie to już tak piękne, ale przynajmniej trwałe. Wydawało się, że Kenneth właśnie tego od niej oczekuje – małżeństwa z rozsądku, które zaspokoi jej „ambicje”, a jemu da potomka. Chciał się ustatkować; Julia nie widziała w tym niczego złego, wręcz przeciwnie, ale bała się związku pozbawionego miłości i zaufania. Po prostu nie wiedziała, czy macierzyństwo, które już raz pozwoliło jej opanować histerię, pomoże również później, gdy będzie musiała na co dzień stawiać czoła złości i podejrzliwości Kennetha. Był ojcem jej dziecka, chciał zostać jej mężem, ale czy to wystarczy, by rodzina stała się rodziną? Jeżeli nie ma już mowy o uczuciu między nimi, to czy istniała szansa na wzajemny szacunek,

przywiązanie i przyjaźń? Czy troska o wspólne dziecko okaże się dostateczną więzią? A jeżeli nie? Wolałaby zostać samotną matką, niż wychowywać dziecko w atmosferze zakłamania i obłudy. Jednak bez względu na własny strach i motywy, jakimi kierował się Kenneth, Julia miała cień nadziei, że uda im się pokonać dzielące ich bariery.

„Czy ja go kocham? – pytanie, które odsuwała od siebie tak długo, teraz nie pozwalało jej myśleć o niczym innym. – Nie wiem. Boże! Nie wiem. Może przedtem... prawie, ale teraz po tym wszystkim... w ogóle go nie znam. Nie wiem, sama nie wiem”.

Ostatecznie zdecydowało poczucie obowiązku i uczciwości względem nienarodzonego dziecka, ale nie tylko. Były jeszcze wspomnienia i... ta odrobina nadziei.

Tydzień pełen rozmyślań, wahań i obaw skończył się. Julia podjęła decyzję.

Carla Barlow nie miała najmniejszego zamiaru ustąpić kobiecie, która cichym, spokojnym głosem prosiła o połączenie z Kennethem Praytonem.

– Pan prezes jest zajęty i absolutnie nie może podejść w tej chwili do telefonu.

– Mogę poczekać albo zadzwonię później. – Kobieta nie była ani nieuprzejma, ani natarczywa, ale bez wątpienia nie brakowało jej wytrwałości; za to Carla zdecydowanie traciła cierpliwość.

– Już pani mówiłam, że nie mogę łączyć rozmowy za każdym razem, gdy ktoś do niego dzwoni, zwłaszcza – dodała złośliwie – jeżeli ten ktoś nie był umówiony.

– Nie byłam umówiona, to prawda, ale... – głos w słuchawce lekko się zawahał – myślę, że to ważna sprawa, również dla pana prezesa.

– Jest pani jego klientką? – Carla postanowiła zachować ostrożność. Od kilku lat była asystentką Praytona, i to kompetentną, dlatego doskonale wiedziała, że jeżeli popsuje pryncypałowi szyki, to nie będzie mogła liczyć na taryfę ulgową. Poza tym zbyt lubiła swoją pracę i... Kennetha, by niepotrzebnie ryzykować.

– Nie. To sprawa osobista.

W tym momencie opory Carli przysły.

– Nie wiem, skąd pani ma ten numer, ale lepiej niech pani jak najszybciej o nim zapomni. Pan prezes nie lubi, gdy jego, hm, dziewczyny przeszkadzają mu w pracy. Niezbyt dobrze go pani zna, co? – Carla nie mogła sobie odmówić przyjemności utarcia nosa jednej z tych ciągle kręcących się wokół Kennetha kobiet; poznała kilka i wszystkie uważała za głupie, próżne i leniwe. – Inaczej wiedziałyby pani, że Kenneth Prayton zawsze na pierwszym miejscu stawia pracę i grubą kreską oddziela ją od swoich romansów. Więc nawet jeżeli ta sprawa jest tak niecierpiąca zwłoki, to będzie musiała pani z nią poczekać do wieczora albo, jeszcze lepiej, do nocy. – Carla wyrzuciła to z siebie ze zjadliwością, która ją samą zadziwiła. Chciała natychmiast odłożyć słuchawkę, ale powstrzymało ją błagalne:

– Proszę!

Nie miała wyrzutów sumienia, ale czuła, że się zagalopowała. Jeżeli ta... osoba powtórzy wszystko Praytonowi, może mieć przez nią nieprzyjemności. W końcu nie należało do jej obowiązków ocenianie gustu szefa w doborze partnerek. Nawet jeżeli uważała, że Kenneth zasługuje na kogoś lepszego niż jakaś słodka idiotka, kogoś takiego jak na przykład... „Ach! A co ja tu w gruncie rzeczy mam do gadania”.

– Tak? – spytała niechętnie.

– Na pewno ma pani rację. – Carla usłyszała rezygnację w głosie nieznajomej, prawie zobaczyła, jak kobieta po drugiej stronie wzruszyła bezradnie ramionami. – Nie powinnam dzwonić, ale... chyba myślałam, że tak będzie łatwiej. Nieważne. Proszę mu tylko powiedzieć, że się zgadzam.

– Że co? – Carla zeszywniała, wyostrozając wszystkie zmysły. Zupełnie nieoczekiwanie wyczuła niebezpieczeństwo. – Nie rozumiem. Mam mu powtórzyć, że się pani zgadza? – powiedziała, wolno odmierzając słowa.

– Tak, tylko tyle. Nic więcej.

Carla zaczęła żałować, że odebrała ten telefon. Co gorsza nie zapamiętała nazwiska, o ile jej rozmówczyni w ogóle się przedstawiła, a czuła, po prostu

wiedziała, że to jest bardzo ważne.

– A kto mówi? Kto się zgadza? I na co?

Słyszając ciężkie westchnienie po drugiej stronie, Carla nerwowo przełknęła ślinę.

– Julia MacAlister. Proszę mu powiedzieć, że zgadzam się wyjść za niego.

Oszołomiona Carla odłożyła słuchawkę – wolno i dokładnie. Nie chciała, by cokolwiek uniemożliwiło ponowne połączenie. Wpatrywała się w telefon i czekała. Aż ta Julia MacAlister zadzwoni znowu i powie, że żartowała, że to był tylko kawał, kara za jej złośliwości. „Dzwoń! Nie rób mi tego. Dzwoń!”.

Julia – słyszała już to imię. Julia to, Julia tamto... Kenneth chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że gdy wymawiał imię tej kobiety, w jego głosie pojawiała się ciepła nuta. Początkowo łudziła się, że to jego cudem odnaleziona siostra, choć wiedziała, że Kenneth jest jedynakiem. Potem – że to jakaś daleka kuzynka, choć doskonale pamiętała, jak trzy lata temu po powrocie z pogrzebu matki powiedział, że teraz dzięki Bogu nie ma już żadnej rodziny. Zaszokowało ją to stwierdzenie. Co prawda nigdy nie rozmawiał z nią o swojej matce, przypuszczała, że z nikim o niej nie rozmawiał; słyszała tylko niezbyt miłe plotki. Zresztą o śmierci Pamelii Prayton dowiedziała się tylko dlatego, że przypadkowo odebrała telefon od jej adwokata. Chciał poinformować Praytona o dacie pogrzebu i odczytania testamentu. Ponieważ Kenneth wyjechał i nie spodziewała się go wcześniej niż za dwa dni, poproszono ją o przekazanie tych informacji szefowi, gdy tylko wróci. Kim więc była Julia? Tajemniczą kochanką, przyjaciółką z dzieciństwa, dobrą znajomą? Kim?

Nawet nie zauważyła, kiedy do jej pokoju wszedł Prayton.

– Carlo, chciałbym, żebyś sprawdziła dla mnie te dane... – Przerwał, gdy zauważył, że jego asystentka w ogóle go nie słucha. – Carlo, o co chodzi? Modlisz się do telefonu? Aha, rozumiem. Prosisz go, żeby już nigdy nie zadzwonił... – Pokiwał współczująco głową. Musiał przyznać, że Carla broniła dostępu do niego niczym lwica swoich małych. Widocznie przed chwilą z dużym trudem udało jej się kogoś spławić i to wytrąciło z równowagi jego tak zazwyczaj opanowaną asystentkę.

Carla drgnęła i przeniosła zrozpaczone spojrzenie na swojego szefa.

Pracowała dla niego od pięciu lat, podziwiała go i szanowała od samego początku, kochała od co najmniej dwóch lat. I czy teraz, za sprawą jednego telefonu, miała pożegnać się ze wszystkimi marzeniami i nadziejami? Może nie była piękna i seksowna, ale za to inteligentna, kompetentna i zadbana, a gdyby dano jej szansę, byłaby wierna i kochająca. Może jeszcze nie wszystko stracone, jeżeli nie powie o telefonie, o Julii, może wszystko dobrze się ułoży i nikt jej nie odbierze Kennetha? Przecież go kochała, należał do niej!

Kenneth zaniepokoił się. Carla zachowywała się dziwnie. W jej oczach zobaczył rozpacz, ale też pragnienie i zachłanność. Pokpił sprawę. Nie wiedział, co ją zdenerwowało, ale domyślał się, że to w jakiś sposób musi być związane z nim. Już jakiś czas temu zauważył, że Carla posuwa się trochę za daleko w swoich obowiązkach. Do tej pory mu to nie przeszkadzało, nawet bawiła go ta jej zaborczość; przynajmniej jeżeli Carla znajdowała się w pobliżu, miał pewność, że nikt nie będzie mu zawracać niepotrzebnie głowy. W swojej pracy była niezastąpiona; potrzebował jej umiejętności i tej niesamowitej wręcz lojalności. Jednak teraz, widząc napięcie i determinację ściągającą rysy jej twarzy, zaczął się wahać. Może bezpieczniej dla niego i dla samej Carli byłoby, gdyby nie pracowali razem, nie tak blisko siebie.

Kenneth głęboko odetchnął. Prayton Enterprise było jego ukochanym dzieckiem. Wtajemniczeni nazywali je z przekąsem „agencją promocyjną Praytona”, bo na dobrą sprawę to właśnie robili. Nikt ich co prawda nie wynajmował do przeprowadzenia akcji promocyjnej jakiegoś nowego produktu czy nowej twarzy, raczej to oni sami się wynajmowali. A potem – inwestując, dokonując zmian i wyluskując to, co najważniejsze – w pewnym sensie promowali firmę lub nawet całe przedsiębiorstwo, które wszyscy inni spisali już na straty. I co? Okazywało się, że sam fakt zainteresowania się przez Prayton Enterprise jakimś biznesem powodował, iż jego sytuacja się poprawiała, a notowania rosły. A potem, wolniej lub szybciej, firma wychodziła na prostą i po odpowiednich ustaleniach mogła uwolnić się spod opiekuńczych skrzydeł „agencji promocyjnej”. A wtedy Prayton szukał kolejnej sierotki.

„Muszę znaleźć rozwiązanie tego problemu. – Spojrzał poirytowany na Carle, dla której nadal telefon zdawał się być centrum wszechświata. – Czy kobiety zawsze muszą stanowić źródło samych kłopotów?” – pomyślał z niechęcią. Nawet Carla, którą traktował jak partnera, a nie przeciwnika, zawiodła go. Była jednym z najcenniejszych, by nie powiedzieć najważniejszych elementów, które składały się na Prayton Enterprise.

W przeciwieństwie do banków, które musiały zatrudniać całą armię pracowników, żeby odpowiednio funkcjonować, trzon agencji stanowiła zgrana grupa kilkunastu osób. Współdziałali, nie wchodząc sobie w paradę, lubili swoją pracę, każdy z pasją i pełnym zaangażowaniem robił, co do niego należało; byli zdolni, nie partaczyli roboty, a swoje problemy osobiste zostawiali za drzwiami agencji. A Carla wyłamała się z tego układu. Póki panowała nad sobą, nie obchodziło go, co o nim myśli prywatnie. Jej uczucia nie interesowały go, jeżeli nie kolidowały z wykonywaną pracą. I niby nie kolidowały, ale jak miał ufać kobiecie, która miała w stosunku do niego jakieś zamiary? Nie chciał tracić tak cennego pracownika, ale...

„Może przesunę ją do jednego z banków?”. Nie wątpił, że sprawdziłaby się tam równie dobrze jak tutaj. W końcu Carla nie tylko odbierała telefony. Przed wszystkim to ona robiła pierwsze, podstawowe rozpoznanie w firmach, którymi byli zainteresowani. Wyszukiwała ich mocne strony i równie bezbłędnie potrafiła odkryć wszystkie słabe punkty. Miała do tego nosa. Ale podwładny, który swojego przełożonego, bez zachęty z jego strony, zaczyna traktować zbyt osobiście, staje się problemem. A w tym przypadku wręcz zagrożeniem dla sprawnego działania organizmu, jakim był ich mały zespół. Nie mógł sobie pozwolić na to, by cokolwiek psuło dobrą atmosferę, dzięki której tak wydajnie pracowali. Jego życie prywatne było wystarczająco skomplikowane, by miał jeszcze tolerować dwuznaczne sytuacje w pracy. Ale zanim podejmie decyzję, musi się dowiedzieć, o co chodzi.

– Carlo, powiedz mi wreszcie, co się stało. Ktoś dzwonił? – Jego surowa mina wskazywała, że nie pozwoli na żadne wykręty.

Kobieta nie zamierzała mówić niczego istotnego. Ale oddanie i szczerść, za które ją cenił i dzięki którym jej ufał, wbrew własnej woli zmusiły ją do odpowiedzi.

– Jakaś kobieta. Kazała ci powiedzieć, że się zgadza. – Wyduszając z siebie te słowa, przez cały czas obserwowała szefa. Milczał, nawet na nią nie patrzył, ale kiedy gwałtownie drgnął i odwrócił twarz do ściany, zrozumiała, że miała rację. To był ważny telefon. Jego sztywne plecy i przedłużające się milczenie oznaczały wyrok. Dla niej.

– Powiedziała coś więcej? – zapytał w końcu.

– Tak! – krzyknęła. – Powiedziała, że nazywa się Julia MacAlister i że

zgadza się wyjść za ciebie za mąż! Czy to prawda? Kenneth?! Masz zamiar się ożenić? Przecież to absurd. – Zerwała się z krzesła i stanęła tuż za nim. Z lekkim wahaniem położyła dłonie na jego ramionach; nigdy nie była tak blisko niego, nigdy nie dotykała go w taki sposób. Ściszyła głos. Teraz mówiła łagodnie, ale stanowczo, jak do upartego dziecka.

– Kenneth, to tylko kaprys, chwilowe zauroczenie. Przejdzie ci. Jeżeli się zastanowisz, sam dojdiesz do wniosku, że to wygląda na kiepski żart. Ty i małżeństwo?! Nie masz na to czasu. Chcesz zmarnować sobie życie? Kenneth, proszę, powiedz, że to nieprawda.

– Wiem jedno. To nie twoja sprawa – warknął, strząsając jej ręce ze swoich ramion. – Czemu nie połączyłaś jej ze mną?

– Bo nie uznałam tego za konieczne. – Znowu spojrzała na aparat, powtarzając w duchu wcześniejszą modlitwę.

– Intuicja cię zawodzi, Carlo. Trzeba było to zrobić. Czekałem na ten telefon. – Mówił spokojnie, ale wiedziała, że nie zamierza jej wybaczyć. – Nie powinnaś wtrącać się do mojego życia. – Była zbrodnia, teraz przyszła pora na karę. Wiedziała, co jej powie. – Nie możemy już razem pracować. Stało się to zbyt krępujące. Załatwię ci posadę w jednym z banków, możesz sobie wybrać... – Czuł, że postępuje bezwzględnie, ale odtąd nikt nie będzie układał mu życia za plecami, a już na pewno nie bezkarnie.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. – Gdy wreszcie to, co miało być powiedziane, zostało powiedziane, Carla się uspokoiła. Zrozumiała, że pewien etap jej życia właśnie się skończył. – Nie chcę już dla ciebie pracować, ani bezpośrednio, ani pośrednio, w jednym z twoich banków. Byłoby to zbyt upokarzające.

– Ależ, Carlo, to bez sensu...

– Myślałam, że jesteś za równouprawnieniem. – Kiedy w milczeniu skinął głową, ciągnęła dalej: – W takim razie ja również mam prawo do własnego życia i własnych decyzji. Zbyt długo byłam od ciebie uzależniona. Nigdy nie uważałam się za osobę szczególnie przewrażliwioną na własnym punkcie, ale okazało się, że nawet ja mam swoją dumę. Muszę się od ciebie uwolnić raz na zawsze. Nie chcę twojej jałmużny ani litości, nie zamierzam również przeproszać cię za swoje uczucia. – Nieproszone łzy zabłyśły w kącikach oczu. Zamrugowała powiekami.

Powstrzymała się, by nie otrzeć ukradkiem policzków.

Kenneth przyglądał się jej zażenowany. Płakała przez niego. Nie wypierała się łez i był także pewien, że nie próbowała w ten sposób na niego wpłynąć.

– Zaskoczyłaś mnie. Nie wiem, co powiedzieć.

– To nic nie mów. Po prostu rozstańmy się, jak to mówią, bez żalu. – Spojrzała w stronę drzwi. To dumne opanowanie wiele ją kosztowało. Zaczęła tęsknić do poduszki, w którą mogłaby się w spokoju i bez przeszkód wyplakać.

W momencie, w którym zaczął się wahać, zrozumiał, że musi wziąć się w garść.

– Posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj...

– Carlo, po prostu musisz zrozumieć... – przerywali sobie nawzajem, w końcu Carla miała tego dosyć.

– Ależ ja wszystko rozumiem! Nie chcesz mnie w swoim życiu. Jestem kłopotem, komplikacją, wyskakuję z szufladki, do której mnie włożyłeś, a ty tego nie lubisz. Tracisz kontrolę, więc usuwasz to, co przeszkadza. Trudno, przeżyję to jakoś. Ale ty też musisz zrozumieć, że w takim razie i ja nie chcę ciebie w moim życiu. Pożegnajmy się tu i teraz.

Kenneth patrzył na nią i czuł żal. „Dlaczego tak jest? Ożenię się z kobietą, która mnie oszukała, której nie ufam i na której chcę się zemścić, ale to właśnie ona urodzi moje dziecko i właśnie jej chcę. A kobiecie, którą cenię, która ma dumę i zmusiła mnie do okazania sobie szacunku, pozwalam odejść. Dlaczego?”.

Była już przy drzwiach, gdy z ręką na klamce odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie powiem: zostaniemy przyjaciółmi, bo mam nadzieję, że cię już nigdy nie zobaczę. Nie powiem: życzę ci szczęścia, bo zabrzmiałoby to fałszywie. Ale powiem, że nie życzę ci źle. Żegnaj, Kenneth.

Wyszła.

Prayton przyglądał się w zamyśleniu zamkniętym drzwiom. Nie wiedział, że z drugiej strony Carla przytulała się do framugi, próbując opanować szloch. Wyczerpała ją ta wielka scena wyjścia. W końcu, opierając się o ścianę, pobiegła niepewnie do łazienki. Tam zerwała z wieszaka ręcznik i zmoczyła go pod strumieniem lodowatej wody; mogła wreszcie ukryć rozpaloną twarz w łagodzącym chłodzie mokrej bawełny.

Skłamał, kiedy powiedział, że czekał na ten telefon. Prawdą było natomiast, że od tygodnia czekał, aż Julia w ten czy inny sposób się z nim skontaktuje. Nie przypuszczał, że tydzień może trwać tak długo. Zawsze brakowało mu czasu, a teraz nie mógł sobie znaleźć na tyle ekscytującego zajęcia, żeby skupić się na nim trochę dłużej niż pół godziny. Był pewny na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że Julia mu nie odmówi, pozostawał jednak ten ułamek niepewności. W tym jednym procencie mieściło się tak wiele możliwości! Od przypuszczenia, że wystraszona Julia wycofa się, aż po podejrzenie, że dziewczyna woli być matką nieślubnego dziecka Kennetha Praytona niż jego legalną żoną. Najbardziej jednak prawdopodobne wydawało się, że Julia z premedytacją zmusiła go do czekania – może w odwecie, bo nie tak dawno to on kazał jej trenować cierpliwość. Duma i przebiegłość nie pozwalały mu wpływać na jej decyzję, przynajmniej na razie.

Za to do woli, przez siedem długich dni, mógł się zastanawiać, co zrobi, jeżeli Julia powie: nie. I nawet jeżeli odpowiedzi negatywnej nie zamierzał brać poważnie pod uwagę, to jednak musiał obmyślić ewentualny plan dalszego postępowania. Bo rozumiał, że bez względu na wszystko Julia wyjdzie za niego – przekona ją albo zmusi do tego. Będzie jego żoną, urodzi jego dziecko, będzie jego – bez niedomówień i złudzeń! Będzie w jego łóżku i przy jego stole. Każdy jej krok, każda myśl będzie należała do niego. „To odpowiednia kara za zdradę marzeń – zadrwił z siebie. – Tym będzie nasze małżeństwo: zadośćuczynieniem dla mnie i pokutą dla niej”. Zamierzał być bezlitosny, ale wolał nie zgłębiać przyczyn, dla których spędzał bezsenne noce, pełen obaw, że Julia mu się wymknie. Podejrzenie, że może nie chce jego dziecka, wstrząsnęło nim, ale dlaczego reagował równie mocno na myśl, że mogłaby odejść? Dlaczego nie chciał skorzystać z tej wygodnej drogi wycofania się ze wszystkiego z honorem i czystym sumieniem? Nie chce go? Wspaniale! Nie będzie nalegać.

Ale wiedział, że będzie nalegać, że nigdy nie pozwoli jej odejść, nie uwolni jej od siebie, tak jak on nie mógł uwolnić się od niej. Chciałby wierzyć, że to chęć zemsty albo jakieś altruistyczne pragnienie uchronienia reszty rodu męskiego przed podłością tej akurat kobiety popychała go małżeństwa. Może to nienormalne,

pozbawione sensu, a on był masochistą, ale zaczynał rozumieć swojego ojca – można nienawidzić i pożądać, gardzić i pragnąć jednocześnie. Tylko Kenneth nigdy nie nazwałby tego miłością – raczej przeznaczeniem, ślepym losem, na który nikt nie ma wpływu. No i dziecko. Musiał pilnować Julii, chronić przed nią swojego syna. Bo to będzie syn! Nie zniósłby... kolejnej Julii.

Czy to tłumaczyło, dlaczego wiadomość od niej nie przyniosła mu ulgi? Zamiast odprężenia poczuł podniecenie, jak przed walką. Niepokój zastąpiła chłodna determinacja. Carla miała po prostu pecha, że znalazła się w pobliżu. Potraktował ją jak posłańca przynoszącego złe wieści. Uświadomiła mu, że od tej chwili wszystko się zmieni, że jego przyszłość właśnie została przesądzona. I choć to on był sędzią, choć to on będzie wymierzał karę, wiedział, że również sam siebie zamknie w więzieniu, które budował dla Julii. Sąsiednia cela już czekała...

– Julio, czy ty wiesz, co robisz?! – Sunny próbowała już wszystkiego: grózb, próśb, tłumaczeń, ale niczym nie potrafiła odwieść przyjaciółki od raz powziętej decyzji.

– Tak, wiem. Wiem doskonale. Ryzykuję. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że ryzykuję swoim życiem. Ale chcę z czystym sumieniem patrzeć na moje dziecko, wiedząc, że zrobiłam wszystko co możliwe, by zapewnić mu normalną rodzinę. – Zabrzmiało to jak wyuczona na pamięć lekcja.

– Normalną rodzinę?! Zwariowałaś? Ty jesteś stuknięta, Prayton niebezpieczny, jak możecie stworzyć normalną rodzinę?! – Rozłożyła ręce i rozejrzała się ostentacyjnie po wnętrzu galerii, jakby szukała pomocy wśród nieobecnych klientów.

– Spróbujemy. Ja spróbuję. Nikt mi nie zarzuci, że się nie starałam.

Sunny, czując, że przegrała, wzruszyła ramionami i poszła odebrać telefon, który dzwonił od jakiegoś czasu.

„Gdyby Sunny wiedziała, jak bardzo się boję, zamknęłaby mnie na dziesięć spustów i chroniła przede mną samą. – Uśmiechnęła się krzywo. – Chyba nie jest tak źle, skoro mogę jeszcze z tego żartować”.

Ponura mina Sunny nie wróżyła niczego dobrego.

– To Prayton. Powiedział, że czeka na ciebie w tej swojej agencji. Mam nadzieję, że się nie doczeka. – Kiedy patrzyła, jak Julia bez słowa, unikając jej spojrzenia, zaczęła zbierać się do wyjścia, mruknęła tylko:

– Pan każe, sługa musi. Oto, w co się pakujesz.

Julia udała, że nie słyszy jej złowieszczych przepowiedni.

Trafiła na miejsce bez trudu, nawet dość łatwo udało się jej wcisnąć swojego garbusa między ciemnozielone volvo a czarne BMW. Kiedyś razem przejeżdżali tędy samochodem. Zatrzymali się na chwilę i Ken z wyraźną dumą pokazał jej, gdzie mieści się siedziba Prayton Enterprise. Zrozumiała wówczas, jak wiele ono dla niego znaczy. Idea ratowania firm, a właściwie ludzi, którzy nie zasługiwali na to, by przegrać, wydała jej się wspaniała. „Ty jesteś wspaniały” – powiedziała. A on chyba lekko się zarumienił i chcąc to ukryć, ucałował wnętrze jej dłoni. Wtedy dowiedziała się, czym właściwie zajmuje się Kenneth. A biorąc pod uwagę jego niechęć do rozprawiania o pracy, tamtego dnia był wyjątkowo rozmowny.

Ale nie oczekiwała, że oprowadzi ją teraz po swoim królestwie, a napotkanym pracownikom przedstawi jako swoją narzeczoną. Nic już nie było takie proste. Musieli wszystko określić i nazwać od nowa. Mieli razem tańczyć, a nie znali jeszcze kroków, nie wiedzieli nawet, czy do grającej im muzyki w ogóle da się tańczyć.

Prayton Enterprise zajmowało całe ostatnie piętro budynku stojącego w samym centrum City. Nie potrzebowali aż tyle miejsca w tak prestiżowej lokalizacji – był to rodzaj szlacheckiego snobizmu, który robił wrażenie i dobrze wpływał na samopoczucie klientów. Pastelowe ściany i wykładziny, nieliczne żywe akcenty zieleni, białe pionowe żaluzje – komfort w połączeniu z pewną surowością. Typowe miejsce przeznaczone do pracy, koncentracji i intensywnego myślenia. A skupiać się można było, siedząc albo chodząc po pokoju, czy nawet biegając, gdyż liczbę równie wygodnych, jak funkcjonalnych sprzętów ograniczono do niezbędnego minimum.

Julia szła długim korytarzem. Na odległym końcu znajdował się gabinet Kennetha połączony z pokojem jego asystentki. Minęła kilkanaście zamkniętych bądź otwartych drzwi, zza których wyłaniali się lub za którymi znikali zaafetowani

ludzie, niezwracający na nią najmniejszej uwagi. „Jest piątek, późne popołudnie, a wszyscy tutaj jakby zapomnieli, że właśnie zaczyna się weekend. Niesamowite. Chociaż skoro szefem jest Kenneth... nie powinnam się dziwić”. Każdy pracownik miał tu własny pokój, ale wszystkie pomieszczenia połączono systemem wewnętrznych drzwi i telefonów. Jeżeli nawet ktoś się zamknął i odłączył telefon, zawsze pozostawało przesłanie informacji poprzez sieć komputerową albo własne nogi. Na komunikację wewnątrzagencyjną nie mogli narzekać. Posiadali tu również pokój konferencyjny i salę bankietową, kuchnię i dwie łazienki. Nie dziwiła się, że Ken chciał mieć całe piętro dla siebie, nawet jeżeli część pomieszczeń stałaby pusta. Przecież zawsze można w nich było urządzić pokoje mieszkalno-wypoczynkowe dla gości i klientów spoza miasta.

Kiedy stanęła wreszcie przed drzwiami gabinetu Kennetha, czuła się, jakby przekraczała Rubikon. Zapukała.

Nie oczekiwała miłej przyjacielskiej pogawędki na odpowiednim poziomie, ale też nie spodziewała się takiego bezsensownego ataku od progu. Nawet nie wstał zza biurka.

– Przez ciebie musiałem zwolnić asystentkę. – Temu nagłemu zarzutowi towarzyszył nerwowy galop palców po ciemnym blacie. – Była dobra. Jest dobra! – Palce zwinęły się w pięść i podkreśliły stuknięciem tę oczywistą prawdę. – A przez ciebie odeszła. – Niecierpliwe palce rozpostarły się i wspierając silnie o dębowe podłoże biurka, szykowały się do podjęcia przerwanej gonitwy.

– Przeze mnie? – Julia nie wiedziała, co było bardziej niesamowite: ten zwarty szereg palców, które paznokiec w paznokiec pędziły wciąż w tym samym miejscu, nie wiadomo dokąd, czy to najzupełniej absurdalne oskarżenie.

– Widzę, że masz opanowane do perfekcji robienie z siebie niewiniątka. Oczywiście, że przez ciebie! – krzyknął. – Jesteś chodzącą, choć w tym przypadku raczej dzwoniącą, katastrofą. – Chciał wszystko załatwić na spokojnie, na zimno, a teraz szukał ucieczki w drwinach, by nie zacząć wrzeszczeć i rzucać, czym popadnie. – Carla nie wiedziała, że sam dałem ci numer telefonu do agencji. Więc cię spławiła. Nie miała do tego prawa, do cholery! Moje prywatne sprawy to nie jej interes! A ona poczuła się urażona i zmuszona do odejścia. Takie właśnie są kobiety: nielogiczne i działające pod wpływem impulsu. – Z każdym słowem robił się coraz bardziej zły. Czepiał się i świadomość tego jeszcze bardziej go rozwścieczała. – Ty to samo. Oświadczasz, że poinformujesz mnie o swojej decyzji, później nie kontaktujesz się ze mną przez tydzień, a na koniec dzwonisz do

mnie do pracy i oznajmiasz mojej asystentce, że wychodzisz za mnie za mąż. Potem rozpętuje się tu piekło. Więc to wszystko twoja wina! Do diabła, nie mogłaś tego załatwić jakoś inaczej?! Nie wiem, na przykład...

Zamilkł. Musiał się powstrzymać, by za samo spojrzenie, jakim go obdarzyła, zwyczajnie nie wyrzucić jej za drzwi.

– No właśnie. Na przykład... jak? – Julia otrząsnęła się w końcu z oszołomienia, w jakie wprawiła ją ta nieskładna przemowa.

„Co się ze mną dzieje?! Teraz mógłbym ją zniechęcić już za sam fakt, że wychodzę przy niej na durnia, że wciąż pozwalałam wyprowadzać się z równowagi. Spokój, Prayton, bo przegrasz i niczego nie osiągniesz. Zamiast gadać, jakbyś nie umiał zliczyć do trzech i plątać się jak szczeniak, myśl, planuj i działaj”. Spuścił wzrok na swoją zmęczoną dłoń; na dodatkę jeszcze bolały go palce od tego bezsensownego przebierania.

– Zapomnijmy o tym. Już się stało – mruknął. – Powiedz mi tylko, dlaczego to tak długo trwało. Domyślam się, że miałaś w tym swój cel, ale trzy dni w zupełności by wystarczyły. Nieco przeholowałaś.

– Trwało tyle, ile musiało – odparła stanowczo. Czowała, że jej zdecydowanie i odwaga zostaną wystawione na ciężką próbę. – Mogę usiąść? – zapytała nonszalancko i nie spiesząc się, zajęła fotel naprzeciw biurka, który wskazał jej zniecierpliwionym gestem.

Kiedy wreszcie poczuła oparcie za plecami, rozluźniła napięte mięśnie i nawet pozwoliła sobie na nieśmiały uśmiech.

– Ken, wiem, że wszystko się poplątało, ale przecież nie jesteśmy wrogami...
– Zawiesiła głos w nadziei, że coś odpowie.

„Akurat! Łudź się, łudź” – pomyślał mściwie.

– ...za to będziemy rodzicami i to jest najważniejsze. Musimy myśleć o naszym dziecku. Oboje go chcemy, więc z pewnością uda nam się porozumieć. Dlatego tu jestem. Rozważyłam to starannie i jeżeli oboje się postaramy, spróbujemy wybaczyć sobie nawzajem, to... – No właśnie, co wtedy? Julia sama nie bardzo wiedziała, na co mają szansę. Czy będzie tak jak dawniej, czy zupełnie inaczej? Dobre małżeństwo, dobrzy rodzice. Czy tylko na tyle mogli liczyć?

A może na aż tyle...

– W porządku – przerwał jej niegrzecznie. – Daruj sobie dalszą część tego wzruszającego przedstawienia. Wybacz, ale w tej chwili trudno mi docenić twoją pełną dramatyzmu rolę czulej i gotowej do wszelkich poświęceń matki, w której postanowiłaś się obsadzić. Zgodziłaś się i tylko to mnie interesuje. Powody, jakimi się kierowałaś, możesz zachować dla siebie. – Wstał, gwałtownie odsuwając krzesło. – Przejdźmy do szczegółów. Ile czasu zajmie ci...

Julia bezwiednie przybrała taką samą pozycję jak wtedy, gdy powiedziała Sunny o swojej ciąży. Skuliła się, zgarbiła i wbiła ręce w kurczowo zaciśnięte kolana. Krążył wokół niej. Przymknęła powieki, nie widziała go, nie słuchała, nie słyszała jego kroków stłumionych miękkim dywanem, ale wiedziała, że gdzieś tam krąży. Może tuż przed nią, a może za jej plecami... „Jesteś w ciąży. Będziesz miała dziecko” – przywołała słowa, które już kiedyś jej pomogły.

Prayton zauważył wreszcie, że dziewczyna go nie słucha. Obserwował jej drżące ramiona, których nie chroniło już wygodne oparcie fotela.

– O co znowu chodzi? – Zirykowało go jej roztargnienie i spłoszona mina.

– Czy tak ma wyglądać nasze małżeństwo? – szepnęła. – Nie wydaje mi się, żebym mogła wytrzymać taką atmosferę, żebyśmy wszyscy troje mogli tak żyć.

Pomyślał, że gdyby miała dość siły, aby wyjść, już dawno by wyfrunęła na zewnątrz, na wolność. „Przyhamuj. Jeszcze nie ma na palcu twojej obrączki. Jeszcze trochę wytrzymaj, a potem koniec z udawaniem!”. To było jednak o wiele trudniejsze, niż przypuszczał. Kiedy siedziała taka przygnębiona i zagubiona, chciał podejść do niej, przytulić i obiecać, że wszystko będzie dobrze. Łamał się! Boże, mało nie uklęknął przed nią, by prosić o wybaczenie. Naprawdę była niezła. Niewiele brakowało, a znowu dałby się nabrać.

– Przepraszam. – Jak na mistrza negocjacji przystało, przełknął gładko te wymuszone koniecznością przeprosiny. – Tydzień oczekiwania nie wpłynął na mnie zbyt dobrze. Uwierz, mnie także zależy, aby wszystko ułożyło się jak najlepiej. – Nawet się nie zająknął przy tych słowach. – Po prostu chcę już mieć to za sobą. Myślę, że ty również. – Naciskał, ale delikatnie. – Nie ma co zwlekać. Ja nalegam, twój stryj mnie popiera, ty się zgadzasz, więc... Ile czasu zajmie ci załatwienie niezbędnych dokumentów? Wiesz, metryka, badania lekarskie...

– Nie wiem...

– Daję ci tydzień. – Wychodziło na to, że tydzień stanie się ich prywatną miarą czasu. – Pobierzemy się w przyszłą sobotę – zdecydował.

– Ale...

Zagadał ją, otumaniał, zbijając po kolei wszystkie argumenty.

– Ja to załatwię. Na pewno. Przyjmą nas w Urzędzie z otwartymi ramionami. Kto będzie twoim świadkiem? Hm... no tak, Sunny. Wpadnę w piątek po papiery i powiem ci, na którą macie się przyszykować w sobotę. Ja zawiadomię twojego stryja. Masz jeszcze jakieś pytania? Nie...? Żadnego „ale”! No więc? Nie masz. Doskonale. To do piątku. Do widzenia. Julio! Przestań się martwić. Do widzenia.

Prayton zjawił się u Julii w piątek wieczorem. Cóż, nie śpieszyło mu się. Jednak ostatecznie Julia nawet go nie widziała. Od rana była tak bliska obgryzania paznokci, że w końcu Sunny, która jak dzielna kawaleria przybyła na odsiecz, wyгнаła ją do łazienki. Miała się odprężyć w pianie i zrobić wszystko, by na jutro być świeżą i wypoczętą.

– Nie daj satysfakcji temu swojemu niewydarzonemu narzeczonemu widokiem sińców pod oczami – rozkazała Kate.

Chyba od godziny leżała w stygnącej wodzie, gdy przyszedł Prayton. Sądząc po braku odgłosów walki, Sunny zrezygnowała z pomysłu zastrzelenia go zaraz po wejściu. Odkręciła kurek, by dolać gorącej wody. Postanowiła nie zastanawiać się, czy zawieszenie broni między jej najlepszą, jedyną zresztą, przyjaciółką a przyszłym mężem jest trwałe czy tylko chwilowe. „Poleżę jeszcze trochę – pomyślała. Woda miała na nią zbawienny wpływ. Wręcz czuła, jak rozpływają się jej wątpliwości i zdenerwowanie. – Może w poprzednim wcieleniu byłam rybą? Gdybym tak mogła zabrać jutro wannę ze sobą...” – rozmarzyła się.

Ręcznik na głowie i gruby włochaty szlafrok okazały się dobrym okryciem rozgrzanego ciała i uśpionej kąpielą niepewności.

– No, moja mała, wiemy już, na czym stoimy. Godzina X przypada jutro w samo południe. – Mina Sunny sugerowała, że pojedynkę rozegra się między

zawodowym rewolwerowcem a pacyfistą amatorem.

– Dobrze... – Język Julii stał się równie rozleniwiony, jak błędzące jeszcze wśród piany myśli.

– Dobrze? Tylko tyle?! – Widocznie Sunny tak się przejęła obowiązkami druhny, że wzięła na siebie zdenerwowanie przynależne pannie młodej. – Nie jesteś ciekawa, czy pytał o ciebie? Czy się tłumaczył? Czy powiedział coś więcej prócz przekazania suchej informacji o godzinie rozpoczęcia ceremonii zaślubin? – Skąd Sunny brała takie sformułowania, pozostanie na zawsze jej słodką tajemnicą.

– Pewnie nie... – Julia nie zamierzała zgłębiać niczyich tajemnic.

– Jakbyś zgadła! – fuknęła Sunny. – Już to mówiłam, prawda? Żebyś zrezygnowała z całej tej jutrzejszej szopki, wyjechała w podróż dookoła świata, a dziecko urodziła w jakimś dzikim plemieniu, w którym nadal jeszcze panuje matriarchat? Mówiłam. Więc nie będę się powtarzać.

– Tak, lepiej się nie powtarzaj. – „Może kieliszek wina przed snem?” – pomyślała Julia, zerkając na przyjaciółkę, która przyrzadzała sobie właśnie sporego drinka.

– No to nie będę. – Sunny wypięła łyk, skrzywiła się i dołała nieco toniku do szklanki. – Ale po co komu faceci, mężowie, śluby i... druhny?

Sobotni poranek obudził Julię mgłą za oknem i deszczem bębniącym w parapet.

– To ma być zima? – mruknęła z niesmakiem. Kalendarz zapewniał, że to już styczeń, a tymczasem natura kpiła sobie z niego w najlepsze. „To już styczeń! – pomyślała oszołomiona. – Boże, a kiedy była Gwiazdka, Nowy Rok...? – W całym tym zamieszaniu z ciążą, Kenem, ślubem... zgubiła gdzieś święta. – Czy ja już nawet nie zasługuję na Boże Narodzenie? – Wzdrygnęła się i znowu spojrzała za okno, wracając do rzeczywistości styczniowej pluchy. – Na dworze leje, na termometrze plus pięć stopni, a zapowiadają ocieplenie i przelotne opady z możliwością wystąpienia burzy. Ładna zima, nie ma co”. Przez noc zdążyła zapomnieć, że woda to jej żywioł. Natrętne kapanie za bardzo kojarzyło się jej dzisiaj z miarowym tykaniem zegara. Szósta trzydzieści. Zostało pięć i pół

godziny. Trzysta trzydzieści minut nerwów i... wolności.

Sunny wpadła jak zapowiadana burza około dziesiątej.

– Jeszcze nie jesteś gotowa?! – wrzasnęła od progu i pobiegła do kuchni. Stała nad ekspresem z puszką kawy w jednej, a filtrem w drugiej ręce. – Nie znam tego modelu – mruzczała do siebie – ale ekspres to ekspres, kawa to kawa, a filtr to filtr. To... wsadza się do tego, tamto wsypuje... do tamtego, tu się pstryka i proszę, pyrkoczesz, jakbyśmy się znali od czasów twojej gwarancji. Boże, jaka ja jestem genialna! Genialna i spragniona kofeiny jak... hmm... jak nie wiem! – Julia jednym uchem słuchała tych filozoficznych wywodów i czuła, że... Sunny to Sunny, a jej samej jest jakby troszeczkę lżej na duszy.

– Wiesz! – Sunny dalej wrzeszczała, choć już wyszła z kuchni, niosąc przed sobą niczym trofeum wojenne wielki kubek pełen kawy. – Byłam już dzisiaj u fryzjera, w kwiaciarni, musiałam ich trochę pogonić, bo dopiero zaczęli robić bukiet, no powiedzmy bukietek, ale wyszedł całkiem, całkiem. Chcesz kawy? Choć ja nie przepadam tak za fiołkami szwajcarskimi jak ty...

– Alpejskimi – poprawiła odruchowo Julia, która chyba jako jedyna spośród rozlicznych znajomych Sunny w pełni rozumiała jej mowę. – Nie chcę.

– To nie, będzie więcej dla mnie. Aha. Wpadłam też do galerii. Napisałam i zainstalowałam nową wywieszkę – oznajmiła z dumą – „Zamknięte z powodu nieszczęścia w rodzinie”.

– Przecież w soboty i tak mamy zamknięte. – Julia odchyliła głowę na oparcie fotela i przyknęła oczy; kłótnia z katarynką była z góry skazana na niepowodzenie.

– A ty, jak widzę, jesteś jeszcze w lesie? – Kate pochyliła się nad kubkiem, który tuliła do siebie, i głęboko wciągnęła powietrze przez nos.

– Yhm. Na kanapie i w pidżamie... w zupełnym lesie. – Julia nie zamierzała się spierać.

– Mm... małmazja – westchnęła z rozkoszą Sunny. – Boże, jak mnie się chciało kawy! Jeden, nie... dwa, no, trzy łyki i czuję, że odżywam. Nie rozumiem, tyle hałasu o jeden głupi ślub, tyle miałam zawracania głowy, że nawet nie zdążyłam wypić kawy. – Z wyraźną niechęcią i tęsknotą w oczach odstawiła kubek

i wreszcie całą swoją uwagę skupiła na Julii.

Kubek stał na stoliku między nimi. Kawa parowała, roztaczając wokół mocny aromatyczny zapach...

– Niedobrze mi – jęknęła Julia. – Chyba nie dam rady.

– Co ty powiesz? Myślałam, że od siódmej rano będziesz czekała wyszykowana jak na ślub! – Roześmiała się trochę za głośno. – A może się rozmyśliłaś? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Na to też nie mam siły. A może zrobisz to za mnie? – poprosiła cichutko.

– Co?! Ubiorę cię czy wyjdę za Praytona? Co do pierwszego, może da się coś zrobić, ale co do drugiej propozycji, to jeszcze nie upadłam na głowę.

– Wychodzi, że ja tak – rozczuliła się nad sobą Julia.

– No dalej, jeżeli nie chcesz zostać oskarżona o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, to musimy się zabierać do roboty. – Sunny zerwała się z fotela, złapała kubek i na stojąco, niemal parząc sobie przelyk, wlała w siebie resztę życiodajnej kawy. – Starszy szeregowiec Kate Sweetheart melduje się na rozkaz. – Stanęła na baczność i zasalutowała do grzywki. – Ręczę swoim żołnierskim honorem, panie kapitanie, że zrobię szeregowca Julię MacAlister na bóstwo.

– Kapitan powiedział, że możecie spocząć, starszy szeregowcu... – Julia ziewnęła i przeciągnęła się. „Tak, tak. Trzeba się w końcu ruszyć. Nie potrzeba mi żadnych więcej oskarżeń, nawet o taki drobiazg jak niewywiązanie się z obietnicy małżeństwa”.

Kiedy kwadrans po dziesiątej zjawił się Prayton, Julia znowu była w łazience; tym razem wspólnie z Sunny, która biedziła się nad jej makijażem.

– Na szczęście to już prawie koniec. Muszę przyznać, że makijaż, którego ma nie być widać, jest strasznie pracochłonny. – Sunny wierciła się i gadała jak nakręcona, Julia siedziała spokojnie, milczała i słuchała piąte przez dziesiąte; zachowywały się jak małżeństwo z dwudziestoletnim stażem. – Dobra, skończyłam. Teraz pójdę pozabawiać naszego pana młodego inteligentną, kulturalną rozmową. – Już prawie zamknęła za sobą drzwi, gdy wsunęła jeszcze głowę przez szparę i konspiracyjnie wyszeptwała: – Tylko się pospiesz, nie wiem,

jak długo wytrzymam to słodkie *tête-à-tête*.

Julia przyglądała się sobie chłodnym okiem artysty rzemieślnika. Zupełnie jakby oceniała efekty swojej pracy nad przygotowaniem nowej wystawy w galerii. Miała na sobie klasyczny kostium w kolorze *écru*: żakiet lekko dopasowany w talii i nieznacznie poszerzający ramiona oraz wąską spódnicę odsłaniającą delikatne kolana i zgrabne łydki, podkreślone dodatkowo przez kremowe szpilki. Strzepnęła niewidzialny pyłek ze spódnicy i poprawiła grzecznie leżące klapy żakietu. Nie cofnęła od razu ręki. Przytrzymała ją chwilę, czując pod palcami miękki materiał. Był wspaniały; miły w dotyku – to mało powiedziane. Jakiś zdumiewający splot kaszmiru, lnu i czegoś tam jeszcze – piękna mieszanina i bardzo droga. Miała wyrzuty sumienia, że kupiła sobie tak kosztowną kreację. Ten ciuch był droższy niż wszystko, co kiedykolwiek wieszala w swojej szafie. Ale nie mogła się powstrzymać. Po prostu podobał jej się i co ważniejsze pasował jak ulał. Nie miała czasu, żeby iść do krawca. Musiała zdać się na sklepy, choć obawiała się, że będzie biegać od jednego do drugiego i w końcu kupi byle co. Ale nie. W pierwszym salonie, do którego się wybrała, poleconym zresztą przez Sunny, znalazła właśnie to cudo. Zwykły kostium, niby nic nadzwyczajnego, ale sprawiał, że Julia czuła się jak panna młoda. Poza tym był uniwersalny, praktyczny – pasował na różne okazje, nie tylko na ślub; będzie go mogła założyć jeszcze wiele razy. Kupiła sobie praktyczną suknię ślubną... No cóż, jakie małżeństwo, taka suknia.

Julia chciała spać włosy, ale Sunny się nie zgodziła.

– Rozpuszczone... łagodnie opadają na ramiona, niczym złoty wodospad... Na tle kremowego nieba twojego kostiumu będą jak błysk słońca... – zaczęła z dużym patosem, ale widząc sceptyczną minę Julii, dokończyła bardziej rzeczowo: – Przedziałek z boku, tu nad uchem wczepimy ci we włosy kwiatki, takie jak w bukiecie, a z tej strony zostawimy je w spokoju, tak żeby mogły opadać tajemniczo na czoło i twarz...

– Tajemniczo? Każdy pomyśli, że ukrywam pod nimi brak jednego oka. Poza tym nie lubię, gdy włosy wchodzą mi do nosa. – Obiekt fryzjerskich eksperymentów Sunny miał wiele wątpliwości.

– Zamknij się i nie przeszkadzaj mi, kiedy tworzę. Zastanawiam się teraz... – Niezrażona Sunny cofnęła się dwa kroki, przekrzywiła głowę i spod przymrużonych powiek przyglądała się Julii. – Jeszcze podwinimy je na końcach i będzie doskonale.

Jednak Kate musiała się zdrowo namęczyć nad tą, zdawałoby się, mało skomplikowaną fryzurą. Żonglując grzebieniem i lokówką, próbowała upiąć niesfornie wysuwający się z miękkich włosów bukiet, jednocześnie starała się nie skrzywić włosów za bardzo i na koniec nie przypalić lokówką coraz bardziej zniecierpliwionej Julii. Ale efekt wart był tych wszystkich poświęceń.

Julia odgarnęła opadające pasmo świeżo wyuczonym gestem i musnęła palcem perełkę w kolczyku. Elegancko, pastelowo, spokojnie. Tak wyglądała, tak się czuła. Uśmiechnęła się do siebie w lustrze.

Prayton przyglądał się uważnie, lustrował Julię od stóp aż do głowy, z wyrachowaniem odwlekając moment wydania werdyktu.

– Nieźle.

Była piękna i odległa. Nieosiągalna jak gwiazdka z nieba. Chciał zetrzeć z jej twarzy każdy uśmiech nie dla niego; stracić z nieba tę chłodną piękność zdającą się go nie dostrzegać.

– Cieszę się, że zrezygnowałaś z białej sukni, welonu i tak dalej – zauważył.

– Przecież to ślub cywilny. – Niepewność w jej głosie ucieszyła Praytona. Była zaskoczona i nie wiedziała, czy to wstęp do drwiny, czy zwykła uwaga. – Poza tym myślę, że biała suknia i tak dalej nie bardzo...

– Nie bardzo wypada ci ją zakładać w tej sytuacji. A jeszcze może welon i wianek. Czulałabyś się dziwnie, to takie symboliczne... – Julia zastygła w bezruchu. Jego „troska” przytłaczała ją, więziła w ramach taksującego spojrzenia. Delikatne, lecz dumne linie jej postaci, kreślone ręką mistrza, zamazały się, a gdy wróciły na swoje miejsce, były kruche i blade jak pierwszy, niewprawny rysunek młodego ucznia.

– Prayton! Przymknij się! O co ci, do diabła, chodzi? Chcesz ją zdenerwować? Tak?! – „Tak. Kiedy ona się denerwuje, ja mogę w końcu się uspokoić”. – Teraz, gdy wszystko jest gotowe, gdy przewyciężyła panięńskie lęki, gdy nie siedzi już w łazience, chcesz, żeby teraz się rozmyśliła? Tak?!

Sunny krzyczała na niego i miała rację.

– Nie, oczywiście, że nie.

Dlaczego to robił? Dlaczego ciągle musiał udowodniać Julii i sobie, kto jest górą? Jakby sprawdzał, na ile może sobie pozwolić, do którego miejsca może się posunąć, zanim ona powie: „mam dość” i odejdzie. Przecież tego nie chciał.

– Nie?! Więc po co to robisz? Czy ty w ogóle nie myślisz?

– Sunny, Ken, przestańcie... – Julia patrzyła na nich bezradnie.

– Ja nie przestanę! – Sunny potrząsnęła energicznie czupryną i podeszła do Kennetha tak blisko, że musiała zadzierać głowę, by patrzeć mu prosto w oczy. – Może on nie myśli, ale mnie się czasami zdarza i mam zamiar powiedzieć, muszę powiedzieć, bo inaczej chyba szlag mnie trafi...

– Byłoby miło... – W szermierkach słownych Kenneth stanowił godnego przeciwnika.

– ...co o nim – dźgnęła go palcem w pierś – myślę, kiedy już nie mam niczego lepszego do roboty. – Zamilkła na chwilę dla nabrania oddechu. – Nie cierpię cię, nie znoszę zupełnie tak samo jak mleka i pajaków. Mleka nie pijam, pajaków unikam, a ciebie muszę tolerować. Ale... – oczy Sunny wwiercały się w jego myśli jak dwa małe świderki – gdybym nie uważała cię mimo wszystko za uczciwego faceta, który celowo nigdy nie skrzywdziłby Julii, gdybym nie wierzyła, że w końcu pukniesz się w łeb i zrozumiesz, jakim byłeś idiotą, nigdy, słyszysz, nigdy nie dopuściłabym do tego małżeństwa. Po moim trupie ożeniłbyś się z Julią! – Wzięła się pod boki i uniosła zadziornie brodę, oczekując riposty, ale Ken milczał. – Julia coś w tobie widzi, choć Bóg mi świadkiem, nie wiem co, a ja ci ufam, choć nie wiem czemu, ale to wystarczy, na razie to wystarczy.

Kenneth unikał spojrzenia Sunny. Udawał, że nie widzi, jak dwa niebieskie sumienia wpatrują się w jego twarz, szukając tam potwierdzenia i tropiąc choćby najmniejszą oznakę fałszu. Nie czuł satysfakcji, że nawet taka spryciara jak Sunny nie połapała się w jego grze. Ufała mu. Czyż to nie zabawne? Czemu więc wcale nie było mu do śmiechu? Czemu czuł się tak podle? Wiedział, że to on ma rację, a Sunny się myli; wcale nie zna swojej przyjaciółki tak dobrze, jak jej się zdaje, a o nim wie jeszcze mniej. Ale dlaczego nie potrafił znieść szczerości brzmiącej w jej głosie?

Czasami nie mógł się wprost doczekać chwili, gdy zacznie się delectować swoją zemstą. Już czuł jej słodki smak. Żadnej przemocy, tylko delikatne, prawie niezauważalne drażnienia. I choć takim jednym schowanym w zanadru pazurkiem zamierzał osiągnąć Julię na minutę przed ślubem, to jednak teraz nie był taki pewny, czy zemsta zawsze bywa słodka. Mężczyzna nie powinien odgrywać się na kobiecie, nawet jeżeli sobie na to zasłużyła. Powinien usunąć ją ze swojego życia i swoich myśli. Tylko że on nie potrafił tego zrobić. W tym właśnie tkwił problem – nie potrafił, nie umiał zapomnieć. I wiedział, że tylko raniąc ją i upokarzając, zniesie ból, który sam odczuwał.

„Ale teraz – pomyślał – poudawajmy przez jakiś czas, że nie boli”.

– Przepraszam, Julio. Nie powinienem. – Słowa same odnajdywały drogę. – Ale ja również jestem zdenerwowany. To deprymujące, zwłaszcza dla mnie.

Przyciągała go. Podeszedł bliżej; nawet nie zauważył, że Sunny wycofała się do kuchni. Dotknął palców Julii; sunął wolno tym dotknięciem przez wierzch dłoni, wąskie nadgarstki, miękki jak jej skóra materiał rękawów.

– Trudno mi się pogodzić ze świadomością, że zostanę mężem, a niedługo także ojcem, właściwie już nim jestem... To trudne. Rozumiesz? – Zacisnął palce na jej ramionach i przyciągnął dziewczynę bliżej. – Prawda? – Patrzył na nią, na delikatny nos, duże oczy, jasną cerę, nieśmiało rozchylone usta i lekko drżący podbródek. Jedną ręką, jakby poruszana własną wołą, puściła jej ramię i uniosła się ku górze – palce chciały podążyć śladem wzroku. Położył dłoń na jej policzku, a ona wtuliła się w nią. Jak łatwo było udawać! Jej oczy, takie niewiarygodnie zielone, jak młoda trawa. Co lśniło na delikatnych źdźbłach – rosa? może łzy? Słyszał błaganie: „pomóż mi, pomóż...”. Ulegał. Ogarniało go zielone morze tej prośby. Była taka piękna, tak bardzo chciał ją kochać, pocałować znowu ten pierwszy raz, spotkać na nowo i zatrzymać tylko dla siebie. Prosiła o to. Tak łatwo byłoby... Zamknął oczy i opuścił ręce. „Nie mogę jej dotykać! Nie umiem uwierzyć, że naprawdę mnie potrzebuje”.

Gdy w końcu odważył się spojrzeć na Julię, z jej oczu zniknęło zielone wołanie. Odepchnięte, schroniło się tak dobrze, jakby go nigdy nie było. „Wydawało mi się” – pomyślał i odczuł coś na kształt ulgi. Sunny nie myliła się tak zupełnie – był uczciwym facetem i nigdy nie skrzywdziłby Julii... gdyby była niewinna. Zresztą kara to nie krzywda, raczej zwykła sprawiedliwość.

Państwo młodzi milczeli jak zakłęci. Od chwili gdy wsiedli do samochodu, nie odezwali się do siebie ani słowem. Każde z nich, wpatrzony w okno po swojej stronie, pilnowało się, by nie dotknąć drugiego. Za to świadkowie gadali jak najęci. Dowcipkowali i szczebiotali jak papużki nierozłączki.

Wyjątkowo dzisiaj Ken pozwolił Mike'owi prowadzić swojego ukochanego mercedesa. Co prawda Blackwell proponował, żeby po prostu wynajęli taksówkę, ale Kenneth się nie zgodził, twierdząc, że zaraz po ślubie zabiera Julię do Prayton House. „Tak więc przez jakiś tydzień nie będzie mnie w City” – dodał. Swoje wątpliwości Mike zachował dla siebie. Widział, że Julia ma przy sobie tylko bukiet i mikroskopijną torebkę; żadnego bagażu, choćby małego nesesera, żadnych walizek, toreb, niczego. Czy zamierzała przez bite trzy godziny jechać do siedziby rodowej męża, by spędzić tam miodowy „tydzień”, bez choćby jednej zmiany bielizny? Nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Sunny być może orientowała się w sytuacji lepiej niż on, ale bał się zapytać; jedna nieodpowiednia uwaga czy pytanie, a wybuchnie awantura. Ilekroć bowiem piegowata drużyna patrzyła na poważną pannę młodą lub na ponurego pana młodego, jej twarz przybierała zacięty wyraz.

Dlatego Mike wolał plotkować z nią o znajomych, opowiadać najnowsze dowcipy, unikając przy tym słów takich jak: ślub, małżeństwo, błąd, pochopna decyzja... Sunny zdecydowanie była przeciwna wiązaniu się Julii z Praytonem. On też nie uważał tego ślubu za dobry pomysł, choć sądząc z pośpiechu, w jakim to wszystko przebiegało, domyślał się powodu. Tak, to by wiele tłumaczyło. Zнали Kennetha od lat, byli z Benem jego przyjaciółmi, jedynymi. Wiedzieli o nim sporo, również to, że Ken pewne sprawy zachowywał wyłącznie dla siebie, że lubił mieć swoje tajemnice. Jego związek z Julią należał właśnie do takich spraw, podobnie jak to zawierane w błyskawicznym tempie małżeństwo.

Kenneth był tradycjonalistą i dżentelmenem, który miewał romanse, jednak tylko z jedną kobietą naraz. Twardy w interesach i nie tylko, swoje rachunki i długi zawsze płacił w terminie. Nie znosił przymusu, choć nigdy nie zapomniał o zasadach dobrego wychowania i przenigdy nie zostawiłby na lodzie kobiety, której zrobił dziecko. Ale czy od razu musiał się żenić? Mike nie wierzył w intuicję i tym podobne bzdury, lecz teraz nie opuszczało go przeczucie, że stanie się coś złego, że nie powinno być tego ślubu, a w każdym razie nie tak szybko, bo wynikną z tego same kłopoty. Nie miał nic przeciwko Julii. Lubiał ją i uważał za miłą, ładną dziewczynę, ale... No właśnie, to małe „ale”. Miła, urocza, niestety, również nieśmiała i łagodna Julia po prostu nie była dość twarda i pewna siebie, by

poradzić sobie z kimś takim jak Prayton.

Co innego na przykład ta, jak jej tam... Carla! Asystentka Praytona nie była może tak ładna jak Julia, a do Sunny nawet się nie umywała, i niespecjalnie ją lubił, jednak bez dwóch zdań miała w sobie dość ikry, by utrzymać w ryzach każdego, obojętne: klienta czy prezesa. Jednak Prayton wybrał Julię i Mike się martwił. Chociaż nie, martwił się trzy miesiące temu, gdy Ken wypytywał go o Julię. Teraz się bał o przyszłą żonę Kennetha Praytona. Tylko co z tego? Skoro nawet Sunny, znana z ciętego języka i braku skrupułów, dała za wygraną, cóż on, skromny przyjaciel pana młodego i nie mniej skromny wielbiciel przyjaciółki panny młodej, mógł na ten niestosowny mariaż poradzić?

– Co się tak zamyśliłeś? – Sunny wyraźnie niezadowolona szturchnęła go w bok. – Nie dość, że tych dwoje z tyłu zachowuje się, jakby złożyli śluby milczenia, na dokładkę jeszcze ty bujasz w obłokach – wysapała ze złością. – Powinniśmy się wspierać, a ty... ech! – zachnęła się.

– Oczywiście, złościco. – Uśmiechnął się przekornie na widok jej oburzonej miny. – Czy słyszałaś, że Donaldsonowie przeprowadzają się z tej olbrzymiej hacjendy do jeszcze większej...

Mike i Sunny spoglądali na siebie zdezorientowani.

– Co jest grane? – zapytała bezgłośnie Kate, zabawnie marszcząc nos i przesadnie poruszając ustami.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział w ten sam sposób, a widząc, że Sunny szykuje się, by znowu go szturchnąć, nieco się odsunął. – Wiem tyle co i ty. – Wzruszył ramionami i potrząsnął w zdumieniu głową. Sunny bezwiednie powtórzyła jego gesty.

Przyjechali piętnaście minut temu. Mike zakładał, że od razu staną przed urzędnikiem i w pół godziny będzie po wszystkim. Tymczasem zostali zaprowadzeni do pokoju, który pełnił tu chyba rolę „urzędniczej zakrystii”. Czekają w nim dwóch mężczyzn. Starszy, dystyngowany, uśmiechał się z pewną wyższością i pobłażaniem, jakby nie bardzo pochwalał to, co się dzieje, ale jednocześnie miał świadomość, że ludzie czasami zachowują się dziwnie; drugi, młodszy, w ogóle się nie uśmiechał, za to roztaczał wokół siebie aurę kompetencji

i przebiegłości. W pierwszym domyślili się „cywilnego księdza”, w drugim Mike rozpoznał adwokata Praytona, Taylora Pattersona. Jego ojciec przez wiele lat był zaufanym adwokatem starego Praytona, teraz te same obowiązki względem Kennetha przejął jego syn.

Patterson wskazał Julii krzesło, a gdy usiadła, podsunął jej jakieś pismo. Dał jej trochę czasu na zaznajomienie się z jego treścią. Teraz, uprzejmie pochyłony, czekał z piórem w ręku, pewien, że dziewczyna podpisze wszystko, co jej każe.

Julia wpatrywała się w dokument z rosnącym przerażeniem. Nie rozumiała z niego ani słowa. Czego chce ten obcy człowiek? Czy pracuje dla Kennetha? Czy to na jego polecenie dręczył ją teraz? Spróbowała się skupić. Zmusiła się, by jeszcze raz przeczytać trzymane w wilgotnych dłoniach kartki. Czytała uważnie i dokładnie. W pewnym momencie gwałtownie zbladła. Wolno odłożyła kartki na biurko i odsunęła je samymi czubkami palców, ostrożnie, jakby były nasączone trucizną.

– Nie podpiszę tego – powiedziała tylko.

– Mogłem się domyślić – parsknął Ken.

– Co to jest? – zapytali jednocześnie Mike i Sunny; byli jak zgrany duet.

– Intercyza przedmałżeńska – odpowiedział za Praytona jego adwokat.

– Nie przypuszczałem, że jesteś taki małosłowny? – Mike był autentycznie zdumiony.

– Nie jestem. Po prostu dbam o swoje interesy – stwierdził chłodno Prayton.

– To po co w ogóle się żenisz, ty hipokryto?! – krzyknęła Sunny, której nerwy zaczęły odmawiać posłuszeństwa.

– Muszę.

To krótkie stwierdzenie doprowadziło Kate do szału.

– Musisz?! – wysyczała. – Ty sukinsynu! – Rzuciła się na niego z pięściami; w ostatniej chwili Mike złapał ją za ramię.

– To sprawa między nimi – wyjaśnił szamocząc się z nim dziewczynie i odprowadził Sunny na bok, choć i jemu to wszystko zaczynało się coraz mniej podobać.

Prayton zbliżył się do Julii i stanął nad nią.

– Nie podpiszę tego – powtórzyła, czując jego wyczekującą obecność. Szok powoli mijał, choć spokój był nadal bardzo odległy.

– Ależ dlaczego? – zadrwił. – Wydawało mi się, że nie zależy ci na moich pieniądzach?

– Bo nie zależy. Ale... tu jest napisane, że w razie rozwodu opiekę nad wspólnymi dziećmi przejmuje mąż... ty...

– To czysta formalność. Nie będzie żadnego rozwodu – przerwało jej kategoryczne stwierdzenie. Patrzył na nią. Czowała jego wzrok na swojej pochylonej głowie. Na zimno tego spojrzenia odpowiedziała dreszczem i jeszcze mocniej skłoniła głowę. Ukryła się za zasłoną jasnych włosów. Nie widziała ani rosnącej irytacji Kena, ani coraz większego zaskoczenia i coraz już wyraźniejszej dezaprobaty Mike'a, ani też zacieklej miny Sunny. Nie dostrzegała ostentacyjnej dyskrecji zde gustowanego całą sytuacją siwego urzędnika ani zawodowej obojętności przysłuchującego się im adwokata.

Jej niemy upór zaczął Kennetha drażnić.

– Mówiłem ci, to zwykła formalność, jednak Taylor nalega, a ja się z nim zgadzam. To zresztą najzupełniej naturalne. Jestem bogaty, Julio. Nic na to nie poradzę. Zresztą ten dokument broni także twoich interesów. W razie rozwodu, o którym oczywiście nie ma mowy, nie będziesz się musiała o nic martwić. Otrzymasz pensję, nie zostaniesz bez grosza przy duszy...

– Moich interesów? Nie będę się musiała o nic martwić? Ken! – Spojrzała na niego poprzez kaskadę złocistych pasm. – Chcesz, żebym wyrzekła się moich dzieci... Dziecka – położyła dłonie na brzuchu – którego nie znam, lecz ono jest! I już je kocham. Nigdy tego nie zrobię, nawet na papierze. Nie możesz tego ode mnie żądać.

Jej strach i determinacja były prosto w niego. Poczul do siebie wstręt za ten strach, za desperacką obronę, do której ją zmusił. Nie przypuszczał... nigdy nie

przyszłoby mu do głowy, że aż tak jej zależy na jego... na ich dziecku. Może udawała, a może nie znał jej tak dobrze, jak myślał.

Pochylił się i przyklęknął przed nią. Przykrył jej dłonie swoimi. Teraz razem czuli tę na razie niewielką, tajemną wypukłość. Nigdy jeszcze nie był tak blisko dziecka, które razem stworzyli. Zdecydował się w jednej chwili. Może pożałuje tej chwili słabości, ale po prostu nie miał wyboru.

– Czy jeżeli wykreślimy ten fragment o dzieciach, podpiszesz? – Chciał, by zaprzeczyła, by lustro, w którym ją widział i oceniał, nie okazało się krzywe choćby w jednej linii. Ale nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Łzy płynęły po jej policzkach, gdy wolno skinęła głową. Uniósł rękę. Opuszkami palców zacierał ślady wilgotnych ścieżek. Kciuk odnalazł łezkę zaplątaną w kąciку ust. Uniósł ją i scałował jej słony żal.

– Wszystko będzie dobrze. Nie będzie żadnego rozwodu, Julio. Nigdy cię nie zostawię. – Poglaskał ją po policzku. – Nie skrzywdzę, wierzysz mi? – Dziwne, ale mówiąc to, nie czuł, że kłamie.

– Tak, wierzę ci. – Uśmiechnęła się i nagle wokół nich zrobiło się zielono od tego uśmiechu pełnego nadziei.

Sama ceremonia przebiegła szybko i bez problemów. Tak... tak... Przymierzam... Przymierzam... Nie ma żadnych przeszkód... Ogłaszam was mężem i żoną. Potem były uściski, gratulacje... Ktoś, może stryj, powiedział: „Dobrze się spisałaś, Julio...”. Ktoś, może Mike, może Sunny, szepnął: „Trzymaj się, mała”. Ktoś... jej mąż... zaprowadził ją do samochodu.

Kiedy jechali do domu rodzinnego Kena, wszystko to zdawało się odległe i nierzeczywiste. Zostali małżeństwem – to również było takie nierealne.

Nalegał, by natychmiast, zaraz po wyjściu z urzędu, jechać do Prayton House. Nie wiedziała, czemu tak mu na tym zależy. Może szykował jakąś niespodziankę, może miał tam sprawy do załatwienia... Nieważne. Skoro tego właśnie chciał, gotowa była z nim jechać, dokądkolwiek. Pocieszył ją i dał nadzieję. Skąd wiedział, jakich słów użyć? „Nigdy cię nie zostawię” – obiecał, a ona mu uwierzyła. Ta opuszczona mała dziewczynka, która wciąż w niej tkwiła, uśmiechnęła się radośnie i uwierzyła, że od tej pory nigdy już nie będzie samotna. To więcej niż oczekiwała.

– Dziękuję ci – powiedziała cicho. Patrzyła na nieliczne domy, które szybko mijali, na uciekające w tył drzewa, na pola, szare i uśpione. – Za to, co zrobiłeś, że mnie zrozumiałeś... to wiele dla mnie znaczy.

– Nieważne – burknął, mocniej zaciskając palce na kierownicy. Widział czarny asfalt autostrady przed sobą i własną głupotę, która kazała mu ustąpić, i na moment jeszcze raz jej zaufać. Trudno, stało się. Coś ostatnio za często to powtarzał. Ale gra się dopiero zaczęła.

– Nieprawda. To bardzo ważne. Dla mnie – zapewniła go gorąco i nieśmiało dotknęła dłonią jego uda. Spojrzał na jej rękę z taką nienawiścią, że natychmiast ją cofnęła.

– Ustalmy coś. Miałaś zostać moją żoną i zostałam nią. Ustąpiłem ci, zrezygnowałem z czegoś, co było dla mnie istotne, ale to nie znaczy, że między nami coś się zmieniło. Nie zrobiłem tego dla ciebie. Po prostu chciałem uniknąć hysterii i niepotrzebnego opóźnienia.

Słowa są jak kamienie – zaczynała to rozumieć aż za dobrze. Jej ręce, szukając ukojenia, przytuliły się do ciepłego wybrzuszenia pod żakietem.

– A co do rozwodu, który tak cię niepokoi... Ja nie łamię raz danego słowa. A ty lepiej dobrze się zastanów, zanim zrobisz coś głupiego. Jeszcze będziesz mnie błagać, bym pozwolił ci odejść. Ale pamiętaj! Mój syn zostanie ze mną! Ten fragment, który ci się nie podobał, w razie czego ułatwiłby sprawę, ale w gruncie rzeczy nie ma żadnego znaczenia, wygram z tobą w każdym sądzie.

– Ken, przecież? Ja... – Coś w niej umierało, nadzieja, marzenia... Musiała zagryzać wargi, by nie krzyczeć.

– Ty? – Rzucił jej krótkie ostre spojrzenie, potem znów miał przed oczami tylko czerń drogi. – Ty, moja żono, jesteś małą krętaczką i podłą żmijką, która nie wie jeszcze, jaki świat potrafi być zły, podstępny i mściwy. Ale ja cię tego nauczę. Od tej pory jesteś moją żoną, moją! I nosisz w sobie mojego syna. Nie zapomnij o tym. Nigdy!

– A jeżeli to będzie córka? – Musiała zadać to ostatnie pytanie.

– Wtedy będę ją chronił przed tobą. Dobrze ci radzę, lepiej pilnuj każdego swojego słowa, każdej myśli, bo jak zaczniesz czegoś próbować, odseparuję cię od

niej. Nie pozwolę ci się zbliżyć do mojej córki na krok! Więc, mamusiu? Jeżeli tak ci zależy na moim dziecku, to będziesz uważać, bardzo uważać.

„Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę...!” – powtarzał w myślach chłopiec, który bał się kochać; a może tylko nie umiał tego robić.

„Dlaczego, dlaczego, dlaczego...?” – pytała dziewczynka, która przestała się uśmiechać; a może tylko zapomniała, jak to się robi.

Milczenie towarzyszyło im już do końca podróży.

ROZDZIAŁ 7

– To Manuel. Najlepszy lokaj, jakiego kiedykolwiek spotkałem, i najwspanialszy kompan z dzieciństwa. – Poorana zmarszczkami twarz niskiego szczupłego mężczyzny aż pokraśniała z zadowolenia na te słowa. – Gdyby nie on, pewnie do tej pory nie umiałbym dobrze zawiązać krawata, a jako siedmiolatek z nudów zostałbym podpalaczem. Gdyby nie zaczął mnie zabierać ze sobą na ryby i nie nauczył grać w karty, to kto wie, może ten dom byłby teraz tylko wspomnieniem...

– Pan raczy żartować. Proszę go nie słuchać, to zwykłe kpiny ze starego sługi... – Manuel pokiwał ze smutkiem głową, użalając się nad sobą i nad niesprawiedliwością losu, jaki go spotykał.

– Manuelu, przestań. Ile lat się znamy? Zbyt wiele, żebyś odgrywał teraz skromnego służącego, którym zresztą nigdy nie byłeś. Witaj, stary druhu. – Ken wyciągnął rękę, którą natychmiast pochwyciły spracowane dłonie Manuela.

– Witaj, Kenneth. Długo cię nie było w domu. Jakies pięć lat, co? Wiem, że jesteś już dorosły, ale mogłeś pisać listy albo choć zadzwonić od czasu do czasu. Czy o tym, że żyjesz i masz się dobrze, musieliśmy dowiadywać się z gazet? Katarzyna czyta i przechowuje wszystkie, w których pojawiają się jakieś wzmianki o tobie. – W głosie starego lokaja nie było słycać złości; dźwięczał w nim tylko ton łagodnej wymówki. – A potem nagle, ni z tego, ni z owego, telefonujesz i mówisz, że mamy przygotować dom na przyjazd twój i twojej żony! – Spojrzał z wyrzutem na Praytona i z ciekawością na stojącą za nim kobietę. – Ożeniłeś się? Jak? Kiedy? – Te dobroduszne połajanki i sposób, w jaki stary służący podkręcał węża, świadczyły, jak bardzo jest wzruszony i uradowany widokiem Kennetha oraz jego młodej żony. – Należy mi się w końcu jakiś szacunek z twojej strony. Śmiem zauważyć, że zmieniałem ci pieluchy, paniczku Kenneth!

Ken wybuchnął szczerym śmiechem i mocno uściskał dogadującego mu Manuela.

– Już dobrze. Obiecuję poprawę. Zacznę od tego, że to jest moja żona, Julia.

Starszy mężczyzna ujął wyciągniętą dłoń i potrząsnął nią delikatnie, jakby się obawiał, że może zgnieść smukłe palce.

– Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Naprawdę. To dla mnie zaszczyt. Co prawda nie mogę powiedzieć, że Kenneth dużo mi o pani opowiadał, ale i tak...

– To nie wszystko, ty złośliwy diable! Julia... – Ken zawiesił znacząco głos, by po chwili dokończyć – spodziewa się dziecka.

– O Boże! To cudownie, wspaniale. Ja... jestem szczęśliwy. Nareszcie po tylu latach w Prayton House znowu będzie słychać dziecięcy głos.

Julia spuściła głowę i zaczerwieniła się.

– Przepraszam... – Manuel zmieszał się. – Powiedziałem coś niewłaściwego?

– Skąd! – Ken objął Julię zaborczo. Był dumny, że może się pochwalić przed człowiekiem, który tyle dla niego znaczył. Nie pozwoli, by fanaberie Julii zepsuły mu ten mały moment chwały. – Moja żona jest zmęczona. Rozumiesz, w tym stanie, musi się oszczędzać.

– Oczywiście! Ależ ze mnie głupiec! Chodźmy, zaprowadzę panią do jej pokoju. A ty może przywitasz się z Katarzyną? Czeka od rana.

Szli za nim długim, obszernym holem. Z korytarza, który mijali, dobiegły do nich przytłumione krzyki i hałasy.

– Co się dzieje? Katarzyna nie ma humoru? – Ken z rozrzewnieniem uśmiechnął się na wspomnienie hałaśliwej, wiecznie zabieganej gospodyni o sercu równie wielkim jak szczodrym.

– Niezupełnie. Tylko od wczoraj pucuje cały dom, czy raczej dozoruje pucowania, i szykuje najbardziej wymyślne potrawy. No i martwi się, czy dogodzi tobie i twojej pani.

– Na pewno. Twoja żona to najlepsza kucharka pod słońcem. – To była szczerą prawdą. Od kiedy dwadzieścia siedem lat temu panna Macloud przyjęła posadę gospodyni w Prayton House, mały Ken zaczął doceniać rozkosze podniebienia. Katarzyna dogadzała mu jak mogła. Dbała o niego jak o własne dziecko, a rozpieszczała może nawet bardziej.

Nagle wypadła, a raczej wytoczyła się na nich tęga kobieta koło pięćdziesiątki, o krótko przyciętych siwiejących włosach.

– Kenneth! Mój chłopcze, nareszcie jesteś! Już nie mogłam się doczekać! – Matczynym gestem przytuliła Kennetha do obfitej piersi. Nawet gdyby chciał, nie dałby rady wyswobodzić się z jej pulchnych ramion. – A to twoja żona! Ładna... tylko taka bledziutka i chudziutka. Trzeba ją będzie trochę podtuczyć. – Teraz Julia tonęła w uścisku. Dotarł do niej zapach majeranku i wanilii. Chłonąc tak niecodzienny aromatyczny mariaż, poczuła się dziwnie bezpiecznie w ciepłych rękach tej jowialnej, sympatycznej kobiety.

– Ta dziewczyna doprowadza mnie do szału! – wybuchnęła niespodziewanie Katarzyna; zza jej pleców dobiegały stłumione zawodzenia, pociąganie nosem i brzęk naczyń.

– To Marta, nowa pomoc kuchenna. Jest zupełnie zielona, a Katarzyna... no wiesz, jaka jest Katarzyna. Pyskuje, złości się i wymaga... – wyjaśnił szeptem Manuel.

– Katarzyno, przestań się awanturować. – Ken objął krągłą postać i ucałował rumiany policzek. – Lepiej powiedz, co dobrego przygotowałaś.

– Wszystko! Wszystko, co lubisz. O niczym nie zapomniałam! – wykrzyknęła radośnie.

– Naprawdę?! A karmelki? – zapytał podstępnie, zastanawiając się, czy energiczna gospodyni pamiętała, że mając sześć lat, żywił się prawie wyłącznie tymi ciemnymi, przeraźliwie słodkimi cukierkami.

– A karmelki... to zrobiłam na samym początku! – oznajmiła bardzo z siebie zadowolona. – A teraz przestań mnie już sprawdzać. Chodźmy do kuchni. Na pewno zgłodnieliście... Tyle godzin w drodze! Coś wam szybko przyszykuję, bo kolacja będzie dopiero za półtorej godziny. Oczywiście, o ile Marta czegoś nie wywinie. Ta dziewczyna potrzebuje instrukcji obsługi, żeby zagotować wodę i nie spalić przy okazji czajnika – mruzczała pod nosem, jednocześnie przyspieszając kroku. – Miała pozmywać naczynia. Już się boję o całość talerzy. Jeżeli będzie tłukła wszystko w takim tempie, nie zostanie mi żaden cały komplet. O, Boże! Porcelanowa zastawa! Sama chciałam ją umyć, była taka zakurzona; ostatni raz używałam jej, gdy poprzednio przyjechałeś do domu. Mówiłam, żeby nie odważyła się jej dotykać, ale... – Teraz prawie biegła w stronę drzwi, które oddzielały ich od kuchni, choć tusza i długa, obszerna spódnica nieco jej to utrudniały.

Ken popatrzył za nią, potem przeniósł wzrok na Manuela i po raz drugi w ciągu dziesięciu minut, które upłynęły od momentu, gdy wszedł do Prayton House, wybuchnął szczerym śmiechem.

– Katarzyna jest taka jak zawsze! Nic się nie zmieniła!

Manuel przygryzał wąsa, próbując ukryć rozbawienie. Może nie chciał narazić się żonie, ale w końcu nie wytrzymał i cichym chichotem zawtórował młodszemu mężczyźnie.

– Tak! Była złośnicą, gdy miała dwadzieścia lat, i jest nią teraz! Przez trzydzieści lat ją poskrwiam i, jak widzisz, nic mi z tego nie wychodzi.

Ken położył mu rękę na ramieniu i uściskał.

– Ty też nic się nie zmieniłeś, stary przyjacielu. Cieszę się. Naprawdę się cieszę. Ty i Katarzyna byliście zawsze moją rodziną. Jedyńą, jaką miałem i jakiej pragnąłem. – Nerwowym ruchem przeczesał włosy palcami. – Powinienem przyjechać wcześniej... Nie zasłużyliście sobie na to, by o was zapomnieć. Wybacz, Manuelu...

Stary służący poczuł się nieswojo. Pracował dla Praytonów od czterdziestu z górą lat i choć nie znał się ani na polityce, ani na wielkich interesach, o jakie często się ocierał w tym domu, chociaż spędził całe swoje życie właśnie tu, w tym niewielkim sennym miasteczku, które przysiadło pod bokiem posiadłości Praytonów, to jednak wiele widział, na wiele się napatrzył i nie przypuszczał, by cokolwiek mogło go jeszcze zdziwić czy wzruszyć. A teraz miał łzy w oczach, gdy ten dumny, dzielny chłopiec chylił przed nim głowę i prosił o wybaczenie. Przykrył drżącymi dłońmi silną rękę na swoim ramieniu.

– Ken, nie trzeba... – Przerwał. Ściśnięte gardło nie pozwalało mu mówić dalej. Zerknął na Julię. Stała za nimi, opierając się o ścianę. Miała zamknięte oczy i była bardzo blada. Nie wiedział, czy ich słucha. Na jej twarzy nie malowała się ani troska, ani ciekawość. Może już to wszystko słyszała? Może nie chciała im przeszkadzać? Może miała własne problemy?

– Wiesz... – Ken czuł, że musi wyrzucić z siebie to, co dręczyło go od tak dawna. Czuł potrzebę wypowiedzenia się przed człowiekiem, którego uważał za ojca. – Ten dom... – Obrzucił roztargnionym spojrzeniem ściany wokół nich. – Nienawidziłem go tak długo. Prześladował mnie, ale to nie wasza wina! – zapewnił

gwałtownie. – To właśnie dzięki wam znalazłem dość siły, by stąd wyjechać i spróbować uwolnić się od niego. Ale nie udało się, nie do końca. Ten dom... Wciąż mnie przyciągał. Wróciłem tu dla was i... do niego. Nie chcę już dłużej mu się opierać. Ale czy dom może być winny duchom, które w nim straszą? Powiedz, Manuelu? To ludzie napełniają swoje domy szczęściem lub goryczą, życiem lub śmiercią. Lecz tamci odeszli, a ja... Ja wróciłem i zostanę. – Ken puścił Manuela. – To moje dziedzictwo... – przyłożył dłonie do ściany – moje miejsce. Pora się z tym pogodzić, przyjąć to jak dar, a nie przekleństwo. To moje przeznaczenie. Teraz przyszła moja kolej napełnić ten dom szczęściem lub goryczą. Jak myślisz, uda mi się? Pomożesz mi, Manuelu?

– Tak, Ken, oczywiście. Wszyscy ci pomożemy. – Stary człowiek nie wstydził się łez, które spływały po pomarszczonych policzkach i zatrzymywały się na srebrzystych włosach.

Biedny, biedny chłopak! Nienawidził domu, bo kogo miał nienawidzić? Matki, która go niszczyła, ojca, który go nie zauważał? Jakie dziecko poradzi sobie z takimi uczuciami, z takim dzieciństwem? „Przynajmniej miał Katarzynę i mnie” – pomyślał Manuel z ulgą. Kochali go jak syna. Pierwszego, najstarszego, najbardziej samotnego. Nie miał rówieśników do zabawy; ich dwaj synowie byli jeszcze bardzo mali. Gdy Pamela wysłała Kennetha do internatu, mieli dopiero cztery i dwa lata. Już wtedy Travisowie wiedzieli, że Ken nie wróci, w każdym razie nie za szybko. Bali się o niego, ale co mogli zrobić? Byli prostymi ludźmi. Cóż mogli mu ofiarować prócz miłości? I tej nigdy mu nie szczędzili. Pisali listy, wysyłali paczki, urządzali święta i czekali, gdy przyjeżdżał na wakacje. Katarzyna odwiedziła go nawet kilka razy w internacie, ale Manuel jakoś nie mógł się na to zdobyć. Zbuntowany Ken podporządkowany sztywnym regułom? Nieszczęśliwy chłopiec zamknięty w murach ponurej szkoły? Nie chciał tego oglądać.

I tak trwali przy nim, choć z daleka. Jednak ostatecznie Ken musiał sam sobie radzić, sam dorastać. Rozumieli, gdy przestał przyjeżdżać, pisać, nawet dzwonić. Ale w końcu, po tylu latach, wrócił! Może, tak jak mówi, nareszcie znalazł swoje miejsce. Pogodził w sobie przeszłość z przyszłością. Dałby Bóg! Zasługiwał na to i na odrobinę szczęścia jak nikt inny. Oby los się w końcu do niego uśmiechnął. Oby przy tej smutnej, delikatnej kobiecie i dziecku, które mu da, odnalazł spokój.

– Ale się rozgadałem. Mam nadzieję, że cię nie zanudziłem. – Ken poruszył barkami, pozbywając się bólu zbyt długo i zbyt mocno napiętych mięśni.

– Kpisz sobie ze mnie. Znowu! A więc wszystko w normie. – Manuel również otrząsnął się z zamyślenia i z ochotą powrócił do tak dobrze zapowiadającej się rzeczywistości.

– No, stary, pora wkroczyć na pole bitwy. Może uda nam się uratować parę szklanek i jedną zrotpaczoną biedaczkę. – Ken poklepał Manuela po plecach. Uśmiechając się do siebie porozumiewawczo, ruszyli razem, aby zdążyć choć na ostatni akt rozgrywającego się w kuchni dramatu. Zapomnieli o Julii. Nie zauważyli, że została z tyłu.

Nie mogli się zdecydować, czy przed ich oczami rozgrywa się tragedia, czy komedia. Pośrodku kuchni stały naprzeciw siebie rozjuszona Katarzyna i jakieś nieszczęsne stworzenie; wokół unosił się zapaszek spalenizny. Dziewczyna miała najwyżej siedemnaście lat, warkocze, pyzate policzki i piegi. Miętosła w palcach swój dość już wygnieciony oraz zdecydowanie na nią za duży fartuch, chlipiąc rozpaczliwie i głośno pociągając nosem. Za to Katarzyna, z miną godną rzymskiej furii, przytulała do siebie porcelanową wazę, jakby to było dziecko cudem wydarte śmierci.

– Ty głupia dziewucho! – krzychała. – Masz tyle rozumu co kura! – Marta zaniósła się jeszcze większym szlochem. – I przestań się mazać! To jeszcze bardziej mnie denerwuje! – Łzy wielkości grochu biedne dziewczę wycierało wierzchem dłoni i rękawem bluzki. – Czy ty się nigdy niczego nie nauczysz?! Zobacz, co narobiłaś, niezdar! Przypaliłaś makaron i stłukłaś ulubiony kubek pana Praytona. – Ken rozpoznał w skorupach leżących u stóp Marty swój stary fajansowy kubek, w którym swego czasu pijał co rano kakao. Dostał go na ósme urodziny i szczerze nie znosił – był za ciężki i nie miał ucha. Nareszcie się od niego uwolnił! Katarzyna mogła narzekać, on miał zamiar Marcie podziękować, ale nie zdążył. Kiedy bowiem przerażone spojrzenie dziewczyny spoczęło na Kennecie, najpierw szeroko otworzyła usta, potem wydała z siebie zduszony pisk, wreszcie rzuciła się do ucieczki.

– Marto! Jeszcze z tobą nie skończyłam! – krzychała za nią Katarzyna, ale Marty już nie było.

– Ciekawe, co ja mam w sobie takiego, że młode panienki uciekają na mój widok? – zastanawiał się rozbawiony Kenneth.

– Ona tak zawsze! Jest zupełnie do niczego – prychała, wzruszała ramionami i kręciła głową mocno rozeźlona Katarzyna. – Nie wiem, po co w ogóle zawracam sobie nią głowę.

– Bo tylko ona na tyle potrzebuje pieniędzy, że zgodziła się pracować pod twoim dowództwem. Gdybyś bez przerwy na nią nie wrzeszczała, nie byłaby taka nerwowa i niezdarna – zauważył rozsądnie Manuel. – Ona się ciebie po prostu boi.

– Głupstwa gadasz! – naskoczyła na niego, ale zmarszczyła brwi i spojrzała podejrzliwie na drzwi, za którymi zniknęła Marta. – Przejdzie jej – stwierdziła autorytatywnie i chciała machnąć ręką, ale w porę przypomniała sobie, że ma obie ręce zajęte. Ostrożnie, z szacunkiem, odstawiła wazę na stół. – Dalej, siadajcie! – Wskazała im drewniane wyściełane stołki. – Coście się tak guzdrali?! No Ken, na co masz ochotę? Może pajdę chleba z powidłami i kubek gorącego mleka? Co ty na to?

Nie czekając na odpowiedź, położyła na stole duży okrągły bochenek chleba o lekko spieczonej skórce. Ken był pewien, że sama go upiekła. Obok chleba postawiła słoik złocistobrazowych powideł śliwkowych. Sięgnęła po nóż. Oparła bochen o swoje piersi i zaczęła kroić. Wokół rozszedł się zawsze tak samo cudowny, tak samo smakowity pod każdą szerokością geograficzną, zapach świeżego chleba. Do Kena, przyglądającego się tym prawie automatycznym i tak dobrze mu znanym czynnościom, wróciły wspomnienia.

– Pamiętam, jak szykowałam prowiant na te wasze, pozał się Boże, połowy. Jak wam się udało złowić trzy „dorosłe” ryby, to było prawdziwe święto! Za to jedzenia zabieraliście jak na wojnę. Termos gorącego mleka i co najmniej dziesięć kanapek z powidłami. Manuel skarżył mi się kiedyś, że przeważnie udawało mu się załapać tylko na jedną. Gdzieś ty to wszystko mieścił, Kenneth, nie mam pojęcia. Co do Manuela, to też sobie nie żałował. Doskonale wiem, że do swojego mleka dolewał brandy. – Manuel wtulił głowę w ramiona i udawał, że go tu w ogóle nie ma, a Ken zaśmiał się cicho i sięgnął po odkrojoną kromkę. – A pamiętasz, jak stałeś nade mną, jak mnie pilnowałeś, żeby wszystko było jak należy. Skibki miały być grube, grubo posmarowane masłem, a powidła musiały po prostu ściekać na palce. No i obowiązkowo piętka była dla ciebie; w końcu należało sprawdzić, czy chleb jest dobry, a powidła niezepsute. Widzę, że nic się nie zmieniło... – Teraz Manuel zachichotał i trącił w bok Kennetha, który na moment zamarł zawstydzony z pierwszym odgryzionym kęsem w ustach. Jego kanapka idealnie pasowała do opisu Katarzyny; Ken nawet zdążył już ubrudzić sobie palce spływającymi z chleba powidłami. – A swoją drogą, muszę ci powiedzieć, że powidła w tym roku udały

mi się wspaniale. Zgadzasz się? – Ken wymamrotał coś niezrozumiałego z pełnymi ustami, gdyż pochłaniał swoją kromkę, jakby nie jadł od tygodnia. – Czy twoja żona lubi powidła? Może jej zrobię kanapki z czymś innym? Julio, jeżeli nie... Kenneth, gdzie jest twoja żona?!

Ken i Manuel spojrzeli na siebie zdumieni. Wydawało im się, że Julia weszła razem z nimi. Kenneth był wręcz przekonany, że nieoswojona jeszcze z nową sytuacją siedzi po prostu gdzieś z boku i przysłuchuje się rozmowie.

– Może poszła do łazienki? – zasugerował nieśmiało Manuel.

– A czy ona wie, gdzie jest łazienka? Może się zgubić. Sama, w dużym nieznanym domu! – Katarzyna zaniepokoiła się nie na żarty.

– Ty jeszcze nie wiesz wszystkiego – szepnął przejęty Manuel. – Julia jest w ciąży.

– Co?! – Oczy Katarzyny zrobiły się okrągłe jak spodki. – I dopiero teraz mi o tym mówisz! Zostawiliście ją tam samą i przyszliście się obżerać do kuchni?! A może coś jej się stało? Może zrobiło jej się niedobrze? Te wszystkie rozmowy o jedzeniu, te kuchenne zapachy... Może zasłabła? Ach, ci mężczyźni! Myślicie tylko o sobie. Macie tyle rozumu co kury.

– Przy tobie każdy ma tyle rozumu co kura – stwierdził z przekąsem Manuel, ale poszedł za Katarzyną, która śpiesznie podreptała szukać Julii. Czuł wyrzuty sumienia, w końcu miał zaprowadzić dziewczynę na górę, ale... jakoś tak się złożyło...

Ken został w kuchni sam. „To jej kolejna sztuczka – pomyślał. – Chce zwrócić na siebie uwagę”. Stłumił niepokój i zaczął smarować masłem następną skibkę chleba.

Julia opierała się plecami o ścianę. Gdyby otworzyła oczy, patrzyłaby wprost na czubki swoich kremowych szpilek. Ale oczy miała zamknięte... Każda kolejna sekunda w tym domu udowadniała, że w ogóle nie знаła mężczyzny, który został jej mężem. Stawał się coraz bardziej obcy, coraz bardziej tajemniczy.

Miał nieszczęśliwe dzieciństwo...? Chyba tak, skoro służących uważał za

swoich jedynych rodziców. Służących? Byli jego rodziną – tak powiedział i tak ich traktował: z czułością, życzliwością i szacunkiem. Inaczej niż ją. A przecież jeszcze nie tak dawno przy niej też był swobodny i roześmiany. A teraz? Kim była dla niego: żoną, matką jego dziecka, jego własnością? Powiedział, że tu zostaną. Na stałe? A co z nią? Nie wzięła ze sobą żadnych ubrań, pieniędzy, pamiątek. Co z jej pracą, mieszkaniem, jej życiem? Wszystko drobiazgi bez znaczenia? Wcześniej niewiele mówili o sobie, niewiele tak naprawdę o sobie wiedzieli, ale wtedy nie wydawało się to ważne. Teraz jej mąż celowo wykreślał ją ze swojego życia. Miała istnieć niezauważalnie, nieistotnie, gdzieś z boku. Z góry wykluczył ją z tej małej wspólnoty, którą tworzyli on, Manuel i Katarzyna. Ona nie należała do rodziny. A chciała.

Polubiła ich natychmiast. Katarzyna tak bardzo przypominała jej Annę, gospodynię stryja. Obie łączyły w sobie cechy starej niani, dobrej wróżki i zręczliwej ciotki. A Manuel? Był cudownym starszym panem, równie uroczym, jak złośliwym, równie dowcipnym, jak troskliwym. Ale Ken jej nie chciał i nie potrzebował. Wiedziała, że będzie ją separował od ludzi, którzy tak wiele dla niego znaczą. Była nikim. Dla niego i powoli dla samej siebie.

A ten dom? Nie dziwiła się, że mógł go nienawidzić, obawiać się... Ją ten dom przytłaczał. Nie rozumiała go. Nie miała do niego klucza. I choć nie zdążyła mu się przyjrzeć z zewnątrz, a w środku widziała tylko hol i ten mały korytarz prowadzący do kuchni – wystarczyło. Lustra, marmury, olbrzymie schody, kryształowy żyrandol. Jak się rozmawia z takim domem? Czy to w ogóle możliwe? Obawiała się, że znajduje się tu tylko jedno zwyczajne, normalne miejsce – kuchnia, królestwo Katarzyny. Gdzie jest to ciepłe, bezpieczne miejsce? „Katarzyno, Manuelu pomóżcie mi. Zgubiłam się. Nauczcie mnie rozmawiać z domem Kena. Te chłodne marmury, kryształy... oślepiające światła, refleksy... lustra i lzy... czyje...? Wszystko mi się miesza, kręci, wiruje jak na karuzeli...”

– Julio, drogie dziecko, co się z tobą dzieje? – Katarzyna podtrzymała słaniającą się na nogach dziewczynę. Dotknęła niespokojnie jej wilgotnego policzka. – Ty nie jesteś blada, tylko zielona, i spocona... i masz dreszcze. Dostyc tego! – oświadczyła kategorycznie. – Ktoś się musi tobą wreszcie porządnie zająć. Marsz do łóżka! Manuel cię zaprowadzi – zakomenderowała. – Odśwież się, wypocznij, najlepiej pośpij. Wezwiemy lekarza. Musi cię zbadać. To pewnie nic poważnego, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Przyślę ci na górę Kena z czymś do picia; zanim się położysz, powinnaś...

– Nie... – zaprotestowała słabo, łapiąc Katarzynę za łokieć.

– Ależ musisz wypić coś ciepłego. Skoro źle się czujesz, to nie będę cię namawiać na jedzenie, ale...

– Dobrze. Położę się i napiję, ale może weźmy to picie ze sobą – tłumaczyła nieskładnie. Jak im powiedzieć, że nie chce, by Ken widział ją w tej chwili, by naigrawał się z jej słabości, w którą po prostu nie uwierzy. Przecież nie przyszedł za Manuelem i Katarzyną. – Ken też jest zmęczony, w końcu to on prowadził, też powinien coś zjeść, napić się, nie zawracajmy mu głowy. – Julia ufnie oddawała się w ręce pomocnej pary służących, tylko jeszcze to jedno nie dawało jej spokoju.

– A co to dla niego za problem? – Gospodyni aż sapała z oburzenia. – Jaki wysiłek podskoczyć kilka stopni na górę, by zanieść żonie coś do picia i zapytać, jak się czuje? Co on sobie wyobraża, bezczelny chłopak?! – Kolejna fala oburzenia wstrząsnęła Katarzyną. – Nawet się tu nie pofatygował. Już ja mu powiem! Jako mąż i przyszły ojciec... nie podoba mi się, wcale mi się nie podoba.

– Proszę... – Julia uśmiechnęła się z goryczą; myśl, że Ken z przejęciem i troską miałby ją holować na górę, była tak niedorzeczna, że aż śmieszna.

– Rozumiem. – Katarzyna źle odczytała jej uśmiech. – Nie pochwalam, ale rozumiem. Krępujesz się. Zawsze chciałabyś być dla niego piękna i w formie, ale dobry mąż jest przy żonie, gdy ta się śmieje i gdy wymiotuje – uświadomiła ją starsza kobieta. – Inaczej to wszystko nie ma sensu. W dodatku to przez niego jesteś teraz w tym stanie. Nie może więc mieć pretensji, że... – Julia zachwiała się na nogach i mocniej oparła o Katarzynę. – Manuelu! Pomóż mi! – Mężczyzna z przerażeniem patrzył na bladozieloną twarz Julii, na głębokie cienie pod jej oczami, na pełne zmęczenia bruzdy wokół ust. – Manuelu! Rusz się! Nie stój jak słup soli. Zamiast się gapić, złap ją z drugiej strony. – Niecierpliwe okrzyki wyrwały go wreszcie z odrętwienia. Podszedł i delikatnie objął Julię w pasie. Katarzyna przekazała mu dziewczynę jak drogocenny pakunek, z którym trzeba obchodzić się bardzo ostrożnie. – Idź z Manuelem, Julio, i o nic się nie martw. Sama przyniosę ci kubek gorącego mleka z miodem i... odrobiną brandy – dodała ciszej i mrugnęła figlarnie okiem. – To na wzmocnienie i na lepszy sen. A teraz idźcie, zaraz was dogonię. – Obróciła się, ale nie odchodziła, tak jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale wciąż się wahała. – Przygotowaliśmy dla Julii czerwony pokój, ale teraz... sama nie wiem. Od samego początku nie podobał mi się ten pomysł, a teraz uważam, że jest zupełnie bez sensu. Czerwone ściany nie są odpowiednim otoczeniem dla kobiety w ciąży. Może umieścimy ją gdzie indziej, jak myślisz? – Katarzyna szukała pomocy u męża. Cała ta rozmowa toczyła się

jakby ponad Julią, jakby wcale jej nie dotyczyła.

– Kenneth wyraźnie zaznaczył, że dla jego żony ma być gotowy czerwony pokój – zaczął z namysłem Manuel, w którym obudził się kompetentny, godny zaufania lokaj. – Dlatego myślę, że położymy ją właśnie tam, skoro ten pokój jest już przyszykowany. – Mówiąc to, powoli prowadził Julię w stronę schodów. – Julia sama może zdecydować, czy podoba jej się tam, czy nie, i sama może powiedzieć o tym Kenowi. – Katarzyna słuchała uważnie, nie ruszając się z miejsca. – Poza tym chodzi o to, żeby Julia się położyła i dobrze wypoczęła, a co by nie mówić, czerwony pokój jest ciepły i jednocześnie przewiewny, i ma szerokie, wygodne łóżko.

– Może masz rację. – Jego żona kiwnęła głową, choć do wchodzącej właśnie po schodach pary dobiegły po chwili jej zirytowane pomrukiwania: – Nadal jednak nie rozumiem, czemu ten chłopak uparł się właśnie na niego. To najobrzydliwszy pokój, jaki w życiu widziałam, na dokładkę to pokój Pameli i jest dokładnie taki sam jak ona: wulgarny i przerażający.

Kiedy jednak Julia przykładła głowę do miękkiej poduszki i otulała się ciepłą kołdrą, było jej dokładnie wszystko jedno, w jakim pokoju się znajduje. Leżała skulona w kłębek, otumaniona zmęczeniem, napięciem ostatnich godzin i brandy, której gorliwa gospodyni najwidoczniej dolała do mleka nieco więcej niż odrobinę. Chciała odgrodzić się snem i ciemnością od całego tego zgiełku i zamętu, jaki zdawał się panować wokół. Chciała uciec choć na chwilę od wrogości Kena, od tego domu, którego nie rozumiała, nawet od wzruszającej dobroci starego małżeństwa, któremu jeszcze za nią nie podziękowała. Pragnęła tego tak bardzo, że zasnęła, zanim za Katarzyną i Manuelem zamknęły się drzwi.

– I co? – zapytał obojętnie Kenneth w dwie godziny później.

– Śpi – odparła Katarzyna, odruchowo ścisząc głos.

– Czemu jej nie obudziłaś? Kolacja gotowa...

– Sen jest jej teraz bardziej potrzebny niż kolacja. Była kompletnie wyczerpana i osłabiona. Ken – Katarzyna spojrzała na niego z uwagą – naprawdę nie rozumiem twojej bez troski. Ona jest w ciąży! Potrzebny jej spokój i wypoczynek. Nie zapominaj o tym. Musi dbać o siebie i o dziecko.

– To niech dba – stwierdził zimno.

– Ken?! – Małżeństwo Travisów było zaszokowane szorstkością jego głosu.

– A co będzie, gdy się obudzi w środku nocy? Co wtedy? Sama w dużym, nieznanym domu... – Ze złośliwą satysfakcją Prayton przypomniał Katarzynie jej własne słowa.

– To nie to samo! – obruszyła się. – Wie, gdzie jest kuchnia, wie, gdzie mnie znaleźć, a ja nie położę się spać przed północą. Jeżeli do tej pory się nie obudzi, to pewnie nie wstanie aż do rana. A nawet gdyby, to przecież ty będziesz w pobliżu. Chyba w razie czego zajmiesz się swoją żoną? Przygotujesz jej coś do jedzenia, pocieszysz, uspokoisz... – Ken skrzywił się niechętnie. Katarzyna w jawny sposób go prowokowała, przyglądając mu się podejrzliwie. – O co chodzi? Co jest między tobą a Julią? – Wyczuwał ślad zwykłej kobiecej ciekawości w pytaniach Katarzyny, ale przede wszystkim gospodyni była zaniepokojona i zmartwiona.

– Nic. Nic istotnego – zbył ją, choć wiedział, że na niewiele się to zda.

– Nie zbywaj mnie, Cristobalu! – Podskoczył na krześle, jakby ukłuła go szpilką. Nie znosił tego imienia wybranego mu przez matkę. Katarzyna doskonale to wiedziała i wykorzystywała bez skrępowań. Zawsze gdy zrobił coś, czego nie pochwałała, gdy się jej sprzeciwiał, wykręcał od odpowiedzi lub próbował oszukać, przywoływała go do porządku, nazywając Cristobalem. – Przecież widzę, że coś jest nie tak. Mam wrażenie, że uczestniczę w przedstawieniu, i to raczej miernym. Przez cały czas odgrywacie jakieś role. Po co? Dla nas czy na własny użytek? Wytlumacz mi, dlaczego ona twój chłód i obojętność traktuje jak coś normalnego, a ty odnosisz się do niej, jakby była twoim wrogiem, a nie... żoną – zawahała się i zamilkła.

Ken westchnął w duchu. Myślał, że tu, w domu, na „swoim terenie”, nie będzie już musiał niczego udawać, że bez przeszkód przeprowadzi swoje plany. Jednak nie wziął pod uwagę bezkompromisowości Katarzyny w niektórych sprawach. Nie, żeby wszystko widziała w odcieniach czerni i bieli, ale jednak w pewnych kwestiach była uczciwa i wielce zasadnicza. Albo coś jest złe, albo dobre, słuszne lub niesłuszne, a małżeństwo, zdaniem Katarzyny, zaliczało się do takich właśnie spraw niepodlegających dyskusji. Wszelkie wykręty były więc równie bezcelowe jak jego nerwowe, jałowe chodzenie po kuchni. Westchnął ponownie, tym razem głośno, i usiadł za stołem. Odchylił się, szukając oparcia dla

napiętych pleców, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że siedzi na taborecie, a nie na krześle. Musiał im powiedzieć chociaż część prawdy; szkopuł w tym, że wciąż nie wiedział którą. Oparł łokcie na wyłożonym kafelkami blacie i ukrył twarz w dłoniach. Czubkami palców uciskał czoło u nasady włosów i skronie, które budziły się do życia powoli narastającym bólem.

Ponad jego głową małżeństwo Travisów wymieniło zatroskane spojrzenia. Manuel wzruszył bezradnie ramionami, a potem kiwnął potakująco głową. Zgadzał się z Katarzyną – pewne pytania trzeba zadać, żeby uniknąć później niedomówień lub niezręcznych sytuacji.

– A może to nie jest twoja żona? – Zaskoczony Ken nie zdążył odpowiedzieć, gdy Katarzyna wystrzeliła z kolejnym pytaniem. – A może nie ma żadnego dziecka? Albo co gorsza jest, ale nie chcesz się żenić, albo to nie twoje dziecko? – Ken nie wiedział: śmiać się czy płakać. Był tak oszołomiony, że nawet głowa przestała go boleć. Choć właściwie mógł się spodziewać, że Katarzyna, nie wiedząc, co się dzieje, zacznie snuć najdziwaczniejsze domysły i podejrzewać nie wiadomo co. Wstał i patrzył długo najpierw na Katarzynę, potem na Manuela, potem znowu na Katarzynę. Nie spieszyli się ani jego uważnym spojrzeniem, ani przeciągającym się brakiem odpowiedzi. Gospodyni czekała cierpliwie, patrząc mu prosto w oczy. Chciała znać prawdę. I choć doskonale wiedział, jak zraniłby oboje, gdyby wyszło na jaw, że ich okłamał, to oni po prostu... chcieli znać prawdę. Ujął ich ręce, podkreślając w ten sposób wagę ich niepokoju i własnych słów, które zabrzmiały jak jeszcze jedna przysięga małżeńska:

– Zapewniam was, że Julia jest moją żoną i że spodziewa się mojego dziecka.

Usłyszał dwa głośnie westchnienia ulgi. Odczuł, jak napięcie ucieka z kuchni niczym powietrze z przekłutego balonika; umyka przez małą szczelinę jego wyznania.

– Tak się cieszę! Boże, nawet nie wiesz, jak się martwiłam. – Przytuliła się do jego prawego ramienia, a Manuel, chrząkając i zawzięcie podkręcając wąża, klepał go przyjaźnie po lewym.

– Myślałem, że Bóg wie wszystko – szepnął Kenneth z przekorą, a czując, że obruszona Katarzyna chce się od niego odsunąć, przyciągnął ją i uwięził przy sobie w mocnym uścisku.

– Puść mnie, ty drabie! – Walczyła z nim kilka chwil, ale nie miała szans. – Czy ty zawsze musisz mnie denerwować?

– Muszę! – stwierdził bez wahania i pocałował ją w czubek głowy. – Gdy się złościś, jesteś po prostu wspaniała!

Katarzyna – Manuel nie mógł w to uwierzyć! – aż po końcu krótkich siwych włosów oblała się rumieńcem niczym młoda panienska.

– Nadymasz się, pierś ci faluje, z oczu biją gromy... – ciągnął Ken. – Wyglądasz jak rzymska bogini płonąca świętym oburzeniem. Mam wtedy ochotę uklęknąć u twych stóp i wyznać, że ja, marny robak, pragnę być twym niewolnikiem. – Jednak zamiast tego zrobił coś zupełnie innego: okręcił ją wokół siebie, aż jej długa spódnica zafalowała z cichym furkotem.

– No wiesz... – burknęła na pół obrażona, na pół zawstydzona Katarzyna. Natomiast jej mąż, który w trakcie tych wzruszających wyznań Praytona wydawał z siebie jakieś dziwaczne dźwięki – pomrukiwał, chrząkał, nawet raz się zakrztusił – teraz z kolei parsknął, chichotał, łapał się za bok, klepał po udach, w końcu wybuchnął głośnym niepohamowanym śmiechem.

– Wiecie co? – warknęła Katarzyna.

– Spójrz na nią, Manuelu! Teraz! Czy nie miałem racji? – Na twarzy Kena malowały się powaga i uniesienie. To dobiło Travisa, który tylko cicho zakwilił i opadł na najbliższy stół. Ocierał rękawem strumyki łez, z trudem łapiąc powietrze.

– Przestań, Ken! Już... już nie mogę... Bogini, robak... To ponad moje siły... – Schylił głowę, a ramiona znów mu zaczęły drgać od tłumionego śmiechu.

– Wy...! Wy obaj jesteście robaki! Wynocha mi z kuchni! – Zamachnęła się ścierką; Ken uskoczył, a Manuel zerwał się z miejsca i schował za jego plecami.

– Katarzyno, uspokój się. A co z kolacją? – mitygował Manuel, kukając zza szerokich barków Kennetha.

– Kolacja! Jaka kolacja? Nic nie wiem o żadnej kolacji. Wynocha mi stąd! – Ścierka znów poszła w ruch.

– A jeżeli cię przeproszę i obiecuję poprawę, dostaniemy kolację? – zapytał Ken z podejrzaną poważną miną. Jakby groźba pójścia spać bez kolacji wydała mu się nagle całkiem prawdopodobna.

– Wynocha... – zawołała jeszcze z rozpędu, ale ręka z niebezpieczną ścierką już opadała. – No, jeżeli ładnie mnie przeprosisz, to może się zastanowię. – W gruncie rzeczy wcale nie była zła. Ken tak rzadko śmiał się w tym domu. Zresztą niewiele miał ku temu powodów. Skoro więc niegroźne pokpiwanie z niej wprawiało go w dobry humor, to niech kpi, ile wlezie.

Ken przyklęknął i położył rękę na sercu.

– Wybacz mi, Katarzyno. To było niegodne dżentelmena. Postąpiłem źle i proszę cię o wybaczenie. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

– Akurat! – mruknęła nieco zmieszana. – A teraz wstawaj! Krępuje mnie, gdy taki młodzik klęka przede mną. Co mój mąż na to powie? – Manuel chrząknął i przygryzł wargi, kryjąc uśmiech, zaś Katarzyna odwróciła się, by ukryć kolejny rumieniec.

– Siadajcie do stołu! – To był rozkaz i przebaczenie zarazem.

Ken, odprężony, najedzony i bardzo zadowolony, wręcz szczęśliwy, nareszcie poczuł się jak w domu. Z niezwykłą jasnością dotarło również do niego, jak bardzo kocha tę parę nie służących, a najdroższych opiekunów.

– Wracając do naszej poprzedniej rozmowy, to nie powiedziałeś nam wszystkiego. – Katarzyna sprzątała naczynia ze stołu, ale jej bez troski ton nie zmylił Praytona. Domyślał się, że ma jeszcze setki pytań, a on zastanawiał się gorączkowo, jak by ich uniknąć. Nie chciał jej urazić wykrętami, ale nie zamierzał również mówić więcej niż potrzeba. Biorąc jednak pod uwagę ich troskę o niego, a także własne uczucia względem nich, chciał zakończyć to śledztwo bezboleśnie, choć ostatecznie. Wybrał szczerość – w przypadku małżeństwa Travisów była to najlepsza metoda. Otarł usta serwetką, potem starannie ją złożył i przytrzymał niepewnie w palcach, jakby zapomniał, co chciał z nią zrobić. Łokieć wsparty o blat stołu, sztywne przedramię, dłoń z serwetką kołysząca się luźno w nadgarstku... Wyprostował palce – jak w zwolnionym tempie biały len opadł na talerz.

– Co prawda, nie znamy Julii zbyt dobrze – Manuel wypowiadał się w imieniu swoim i Katarzyny – ale wydaje się miłą dziewczyną, a ty traktujesz ją w taki niegrzeczny sposób. – Lokaj dość taktownie określił zachowanie Praytona. – To nie w twoim stylu. – Zasepił się, wyrażając tym uczucia obojga.

– Masz rację, nie znacie jej, ale ja znam. Nie jest taka, jak sądzicie. To zimna, wyrachowana... kobieta, która wie, czego chce. A chciała właśnie tego dziecka, nie jakiegoś tam dziecka, ale mojego! – Uśmiechnął się cynicznie. – Więc nie dziwcie się, że nie zamierzam ubolewać razem z wami nad jej złym samopoczuciem. Wiedziała, co ją czeka. Cięża i małżeństwo to nie sielanka!

– Ken! Co ty mówisz?! To... – Katarzyna oparła się ciężko o krawędź stołu i bardzo powoli usiadła na taborecie.

– To straszne? Okrutne? Niemożliwe? Tak... Ja też tak myślałem. Kiedyś.

– Kenneth, musisz się mylić. – W głosie Manuela pojawił się ostry ton. – Wiem, co widziałem! To zagubiona, przestraszona dziewczyna i naprawdę nie jestem pewien, czego się bardziej boi: sytuacji, w jakiej się znalazła, czy ciebie.

– Już was oczarowała, co? Ona to potrafi... Jesteście gotowi jeść jej z ręki. Byłem taki sam. Ale przejrzałem na oczy! Was też to czeka. W końcu się zdradzi! Nie uda jej się oszukiwać was bez końca! – Wiedział, że jego słowa brzmią histerycznie. „Popadam w obłąd. To przez nią! Niszczy wszystko wokół siebie. Muszę ich ochronić! Muszę! Spokój... potrzebny mi spokój”. Chaos w myślach tylko mu przeszkadzał.

– Skoro tak myślisz, to dlaczego się z nią ożeniłeś? – Szept Katarzyny był tak cichy, że Ken nic by nie usłyszał, gdyby nie przeraźliwa cisza, która zapadła po jego wybuchu.

– Dla was wszystko jest takie proste... – mruknął bardziej do siebie niż do nich, ale nagle zrozumiał, jak prawdziwe są te słowa. Byli ludźmi starej daty: uczciwymi, staroświeckimi i na swój sposób niewinnymi. „Wprowadziłem zamęt do ich uporządkowanego świata” – pomyślał i odczuł gorzki ciężar tej winy. Dla nich faktycznie wszystko było bardzo proste. Mężczyzna nie szedł do łóżka z kobietą, która nie była jego żoną, a małżeństwo równało się wyznaniu miłości. Zdrada, intryga, zemsta – nie posiadali takich pojęć w słowniku swojego sumienia. A on? Wiedział, że ich rani: tym co mówi, co robi, nawet tym, co myśli. Nie tego

go uczyli. Nie tego cynizmu posuniętego prawie do chamstwa. Nie... Tego nauczył się dawno temu od kogoś zupełnie innego. Teraz odświeżał tylko tamte lekcje. Najgorsze, że próbując im to jakoś wyjaśnić, chcąc ich ochronić, ponownie zrani. „Ale to dla ich dobra” – przekonywał sam siebie.

– To, co powiem, zabrzmie pewnie brutalnie i bezdusznie, ale wysłuchajcie mnie, proszę. – Jego palce bawiły się bezwiednie widelcem, który pozostał na stole. – Julia nie ciągnęła mnie do łóżka na siłę. Okazała się bardziej wyrafinowana. Była dziewicą. – Przymknął powieki i potarł palcami kąciki oczu; wszystko po to, by nie widzieć wyrazu ich twarzy. Ta rozmowa stawała się coraz trudniejsza. – Ale bardzo sprytną... Wpakowałem się w to z otwartymi oczami i musiałem ponieść konsekwencje. Złapała mnie w pułapkę. Nie miałem wyboru. Ożeniłem się. Moje pragnienie zem... – Jednak nie potrafił być szczery do końca, nawet wobec Travisów, zwłaszcza wobec nich. – Moje poczucie obowiązku zwyciężyło.

Manuel otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale Ken powstrzymał go gestem dłoni.

– Pozwólcie mi dokończyć. To, co jest, czy raczej to, czego nie ma między mną a Julią, to wyłącznie nasza sprawa. Nie próbujcie niczego łagodzić, naprawiać, nie próbujcie godzić nas na siłę. To nic nie da, tylko wplącze was niepotrzebnie w spór między nami. A gdyby Julia was wypytywała, naciskała... odsyłajcie ją do mnie. Nie dajcie się wciągnąć w żadne brudne gierki. Zostawcie nam tę naszą małą prywatną wojnę. Po prostu nie wtrącajcie się, tylko o to was proszę.

– Ken... – Katarzyna miała łzy w oczach. – Tak mi przykro. Myślałam, że... – Jej współczucie niewiele mogło pomóc, ale czuł wdzięczność. Nawet takie okruchy były teraz dla niego na wagę złota.

– Wiem, Katarzyno. Ja też żałuję, że tak się stało. Ale już za późno, by cokolwiek zmienić. Wiem też, że proszę o zbyt wiele, ale choć spróbujcie udawać, tak jak ja i Julia, że wszystko jest w porządku.

Manuel milczał, Katarzyna cicho popłakiwała; ale gdy wychodził z kuchni, czując na plecach ich smutne, rozczarowane spojrzenia, wiedział, że go posłuchają. Byli lojalni i kochali go. Potrzebował tego, by mieć się na czym oprzeć, by mieć na czym dalej budować fikcję swojego małżeństwa, gdy zemsta przestanie wystarczać.

– On jej nienawidzi! Jest jego żoną, urodzi mu dziecko, a on jej nienawidzi. To mnie przeraża. – Manuel podszedł do żony chwiejnym, niepewnym krokiem, jakby nagle stał się bardzo starym człowiekiem.

– On ją kocha. I to go przeraża. – Katarzyna oparła głowę na ramieniu męża i pogłaskała go czule po plecach.

– Myślę, Kasiu, że oboje możemy mieć rację. – Objął ją i przytulił. – Tylko co zwycięży?

– Wszystko się ułoży... – uspokajała i siebie, i jego.

– Chciałbym w to wierzyć, kochanie, chciałbym w to wierzyć... – Pocałował ją delikatnie i pomyślał, jak wielkim był szczęściarzem, że spotkał tę właściwą kobietę i że nigdy nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Obudziła się nagle i utkwiała wzrok w ciemności nad sobą, w obcej ciemności, której nie znała, nie pamiętała. To nie był ciepły mrok domu stryja ani rozświetlona neonami czerń jej małej sypialni.

Przypomniała sobie. Ale to nie ciemności się bała. To ta cisza. Absolutna. Żadnych dźwięków, przytłumionych hałasów. Nawet noc za oknem milczała uparcie. Nawet deszcz przestał padać.

Ten dom nie trzeszczał. Dlaczego? Dlaczego nawet dom Kennetha był przeciwko niej? Gdyby trzeszczał, mogłaby zamknąć oczy i udawać, że znowu jest u stryja, w swoim pokoiku na piętrze. A wtedy wystarczyłoby krzyknąć albo mocniej zastukać w podłogę, by stryj przyszedł ją pocieszyć, głośno narzekając na wysokie schody i na to, że jest nieznośna.

Wiedziała już, co ją obudziło – cichy odgłos kroków na korytarzu, które zatrzymały się pod drzwiami jej nowego pokoju.

Kiedy otworzyły się lekko, domyśliła się, że to Kenneth. Zapalił światło. Zamarła pod kołdrą. Zacisnęła powieki, modląc się w duchu, by chociaż dzisiaj wieczorem dał jej spokój. „Proszę – błagała – niech uwierzy, że śpię”. Nie zniosłaby kolejnej porcji drwin. Pokonał ją – czy to nie wystarczy? Czuła ból

i strach – czy to nie wystarczająca kara za winę, w którą sama zaczynała wierzyć? Czego innego mógłby od niej chcieć? Oczyszczającej rozmowy, zrozumienia? Może miłości? Nie! Nie miała już żadnych marzeń prócz tego, by zasnąć, by przespać swoją noc poślubną aż do rana.

Prayton bardzo długo stał w progu. Kiedy wychodził, zgasił światło i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Zagryzała wargi prawie do krwi i siłą powstrzymywała się, by go nie zawołać. Po co? Żeby potrzymał ją za rękę, posiedział przy niej? I tak by tego nie zrobił. Śmiałyby się i kpił jeszcze bardziej. Gdyby chociaż zostawił zapalone światło...

Nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, nie mogąc sobie znaleźć miejsca w wygodnym łóżku. W końcu wtuliła twarz w poduszkę, by stłumić łkanie, które drapało w gardle i ścisnęło serce. Poddała się. Uwolnione, gorące łzy popłynęły gwałtownie, paląc twarz i bezradnie wsiąkając w poduszkę. Jej szczupłym ciałem wstrząsały dreszcze.

Musiała jednak zasnąć, bo coś jej się śniło. Może nawet zasypiała i budziła się kilka razy, dygocząc z zimna, które niewiele miało wspólnego z chłodem zimowej nocy. Nie przypominała sobie szczegółów, ale pamiętała grozę tych snów i czuła strach, który nie chciał pozostać po drugiej stronie powiek. Nie odchodził. Nie odpędzała go jawa otwartych oczu wpatrujących się w nieznaną ciemność.

Znowu zapadła w nerwową drzemkę. Nie zauważyła, kiedy nadszedł świt.

Pierwsze promienie słońca wpadały przez uchylone zasłony, znacząc jej twarz nieśmiałym, ciepłym pocałunkiem. Nie mogła uwierzyć w to, co wydobyła z mroku świetlista niewinność poranka. To było jak dalszy ciąg sennej grozy. Ukryła się pod kołdrą. Ale wtedy dotarło do niej coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. Poczowała zmysłowy, zadziwiająco chłodny dotyk materiału, który nie był ani bawełną, ani lnem. Leżała w atlasowej pościeli, która barwiła przebijające się przez nią światło na czerwono. Świat pod kołdrą był karminowy, tak jak pościel. Wyskoczyła z łóżka.

Zrozumiała, co miała na myśli Katarzyna, mówiąc, że ten pokój jest przerażający. Czy także wulgarny, nie mogła ocenić. Nigdy nie spotkała się z czymś podobnym. Wystrój wnętrza z pewnością balansował na granicy dobrego gustu, ale urządzony był z jakimś przewrotnym wyczuciem smaku i niesamowitym

wdziękiem kojarzącym się z polującą panterą.

Wszystko wokół pulsowało, tętniło własnym życiem, opowiadało własną historię. Co widziały, co mówiły szkarłatne ściany, jaskrawoczerwony puszysty dywan i purpurowe, prawie fioletowe zasłony? Co miały znaczyć, co podkreślały czarne akcenty mebli – hebanowe łóżko z baldachimem, hebanowa bielizniarka i toaletka do kompletu? Co kryło się za powierzchnią powiększającego lustra, co zawierała szkatułka z laki? Dokąd prowadziły wyłożone czerwonym pluszem drzwi? Czy tylko do garderoby? Gdyby powiedziano jej, że w tym miejscu dokonano zbrodni – uwierzyłaby z łatwością. Gdyby powiedziano, że w tym pokoju rozpustę i wyuzdanie wyniesiono do poziomu sztuki – zgodziłaby się bez wahania. Gdyby powiedziano, że pomieszczenie to urządziła kobieta równie namiętna jak szalona, równie inteligentna jak niebezpieczna – nie mogłaby zaprzeczyć. To był jednocześnie buduar wyrafinowanej damy i kosztownej kurtyzany.

Szkarłatne ściany stanowiły wyłącznie tło dla mrocznej fantazji poprzedniej właścicielki. Strój hiszpańskiego toreadora, obok którego, kpiąc z własnej śmierci, tkwiła dumnie głowa byka – na ostrym rogu wisiała niepotrzebna już muleta; suknia tancerki flamenco z falbaną uniesioną przez szpadę tak lśniąca, jakby nadal używaną; kastaniety, gitara, czarne malowane kwiaty, bardziej drapieżne niż piękne, pejcz, siodło amazonki... To wszystko było niesamowite, ale jeszcze normalne czy raczej dające się wytłumaczyć. Ale skąd tutaj afrykańskie maski? Te szczerzące się w dzikim uśmiechu twarze, przypalone dymem i ogniem, ściemniałe przez lata, których nikt już nie pamiętał.

Julia ostrożnie podeszła do bielizniarki. Wysunęła z wahaniem szufladę. Obok kompletów jedwabnej bielizny leżały tu, ułożone w dwa porządne stosiki, bawełniane majtki i biustonosze, jakich z pewnością nie włożyłaby na siebie kobieta, która tu niegdyś mieszkała. Wszystko było nowe, nieskazitelne białe i w rozmiarze, jaki nosiła Julia. „To niemożliwe, żeby Ken... – myślała w popłochu. – Nie! To Katarzyna. Ken ją musiał uprzedzić, że nie będę miała nawet bielizny na zmianę. Tak, to na pewno Katarzyna”. Zwłaszcza skromna biel zdawała się to potwierdzać; była jawnym wyrazem wrogości wobec wszechwładnie panującej w pokoju czerwieni, wyrazem pogardy wobec kobiety, która dawno temu opuściła to miejsce. Niestety jej obecność wciąż się wyczuwało – była realna jak heban łóżka i szkarłat ścian.

W następnych szufladach znalazła także kilka starannie złożonych swetrów i spódnic, dwie pary wełnianych spodni, jeden ciepły dres, dwie koszule nocne,

kilka par rajstop i skarpet – wszystko bijące w oczy uczciwą, prostolinijną bielą. Wybrała dres, bawełniane majtki i grube wełniane skarpety, które miały jej zastąpić pantofle. O tym jednym szczególe Katarzyna zapomniała.

Przycisnęła ubranie do piersi i rozejrzała się niepewnie po pokoju. Gdzieś tu chyba powinna być łazienka, ale... gdzie? Wczoraj była tak zmęczona, że nie miała siły nawet na prysznic, ale teraz czuła się nieprzyjemnie brudna, nieświeża i jakaś wygnieciona. Wybite czerwonym pluszem drzwi prowadziły, tak jak przypuszczała, do garderoby – czerwonej i pustej. O ile tu w ogóle mieściła się łazienka, to mogła być tylko w jednym miejscu, za łóżkiem. Tam bowiem znajdował się jedyny fragment ściany, którego dokładnie nie obejrzała – skutecznie zasłaniał go baldachim.

Istotnie kryły się tu zaskakująco niewielkie drzwi. Otworzyła je z wahaniem, podobnie jak wcześniej szuflady bieliźniarki, ale także z osobliwą ciekawością. Przywitała ją głucha, absolutna ciemność. Cofnęła się zmieszana. Przyjrzała się uważnie framudze – tkwił tam mały, niepozorny guzik. Gdy go nacisnęła, ciemność nie zniknęła, rozproszyła się tylko; jednak to, co zobaczyła, wystarczyło, by wydrzeć z jej ust zduszony okrzyk zdumienia. Łazienka stanowiła negatyw sąsiadującego z nią pokoju. Była czarna, porażająco czarna, a dziesiątki maleńkich lampek w kształcie świeczek zdawało się tę czerń pogłębiać. Elektryczne, czerwone płomyki przywodziły na myśl błędne ogniki na moczarach – rozrzucone bezładnie wśród czerni ścian rozświeślały tylko najbliższy im krąg mroku i donikąd nie mogły zaprowadzić. Co powodowało, że ta niecodzienna łazienka wydała jej się jeszcze bardziej przerażająca niż krwista sypialnia? Może fakt, że wczoraj zasnęła nieświadoma tego, co ją otacza, a teraz z własnej woli miała wejść do miejsca rodem z koszmarów lub filmów porno.

Przede wszystkim nie spodziewała się, że łazienka będzie taka duża, prawie tak duża jak pokój obok. No i te kolory, czy raczej brak kolorów – tylko czerń i zaledwie jeden czerwony element, pomijając światełka lampek i ognisty blask, który dawały. Czarne kafelki na ścianach i podłodze, w którą pośrodku wpuszczono czarną okrągłą wannę, przechodziły opodal kominka w czarne drewno boazerii i parkietu. Kominek był czarny, tak samo jak leżąca przed nim skóra bliżej nieokreślonego zwierzęcia oraz stojące w pobliżu dwa ciężkie skórzane fotele i niewysoki hebanowy stolik; znajdował się tu także hebanowy barek, ze szklankami z przydymionego szkła i kieliszkami z czarnego kryształu, a nad tym wszystkim zwieszał się z sufitu szesnastoramienny czarny kandelabr z ogarkami czarnych świeczek. Sufit... Dopiero teraz oswoiła się z tym ledwie tłącym się tutaj czerwonym światłem i stwierdziła, że sufit to jedno wielkie lustro; srebrzyste,

podobnie jak okucia kominka, pogrzebacz, bateria przy wannie i spojenia między kafelkami. Czyżby to było prawdziwe srebro? Przecież ono chyba śniedzieje... Nieważne. Równie dobrze to mogło być białe złoto lub platyna – nic już nie było w stanie jej zdziwić. Po tym jak doszła do wniosku, że ta łazienka odgrywała także rolę prywatnego salonu, wszystko wydawało się możliwe.

Poruszała się z trudem, z oporem, jakby brnęła po kolana w wodzie. Najchętniej by stąd uciekła – z tej łazienki, sypialni, z tego domu – zatrzasnęła za sobą drzwi i udawała, że nigdy tu nie była. I nie chodziło o strach, jaki czuła na początku, wynikający głównie z zaskoczenia; on już minął, pozostawiając niesmak i jakąś perwersyjną chęć poznania osoby, która to wszystko wymyśliła. Dużo bardziej męczyło ją potworne poczucie obcości. To po prostu nie było jej miejsce. Nie pasowała tu zupełnie, czuła się intruzem, osobą wepchniętą tutaj na siłę. Kenneth musiał to wiedzieć, musiał przewidzieć, jak wstrząśnie nią pokój tak daleki jej psychice i upodobaniom. Lubiła wszystko co pastelowe – pastelowe kolory, miękkie materiały, delikatne linie. Ona sama była stonowana w wyglądzie i zachowaniu. Ken musiał to zrobić specjalnie i dlatego nie mogła się poddać. Jeżeli stąd teraz wyjdzie, już nigdy tu nie wróci. Nie mogła sobie na to pozwolić. Na to, by zdominował ją irracjonalny lęk, który Ken chciał w niej wywołać. Już i tak zbyt wiele osiągnęła. Zabrał jej złudzenia, naiwne marzenia o wiecznym szczęściu, beztrojski śmiech i spokojny sen. A co dał w zamian? Małżeństwo, które nie było małżeństwem, męża, który stał się wrogim sędzią, winę, do której się nie poczuwała, choć czuła już cierpki smak kary, pokój nieżyjącej kobiety, który na zawsze pozostanie wyłącznie jej pokojem, kobiety, której... „Czyżby nienawidził swojej matki tak jak mnie...? Nie myśl o tym! – upomniała się zaraz. – Jeżeli teraz uciekniesz, cóż ci pozostanie? Ciągłe krycie się w kącie, chowanie głowy pod kołdrą?”. Nie wolno do tego dopuścić. Nikt jej nie nauczył walczyć, ale teraz musiała być silna. Dla dziecka. Tak, jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla niego.

Ten jeden jedyny czerwony element przyciągał ją. Odsunęła krwistoczerwony parawan; ukrywał właściwą łazienkę – czerwony sedes, umywalkę i bidet. Pryszeń stanowił część parawanu. Osłonięty czerwoną przezroczystą folią był swoistymi drzwiami między „łazienką” a „salonem”. Na czerwonym wieszaku tkwił samotny biały ręcznik. Poczwała taką ulgę, jakby ten dumny, niepokonany skrawek bieli był pogrzebającym przesłaniem, pocieszającym uśmiechem Katarzyny.

O dziwo, owa krzykliwa czerwień w jakiś absurdalny, ostentacyjny sposób zapewniała, tu za parawanem, absolutną intymność, gwarantowała całkowite odosobnienia tego specyficznego zakątka. Nagle czerwień stała się swojska...

znajoma, prawie zwyczajna.

Wzięcie prysznic, wytarcie się i ubranie zajęło Julii dokładnie pięć minut – ani sekundy więcej.

Udowodniła sobie, że jest twarda, i prawie uwierzyła, że duchów nie ma. Teraz jednak nie zamierzała zostawać ani chwili dłużej w tych pomieszczeniach, które przypadkowo stały się jej sypialnią i łazienką na jedną, i jak sobie obiecała, ostatnią noc. Musiała się stąd wyrwać jak najszybciej. Zgłodniała i zamierzała porozmawiać z Katarzyną na temat tej koszmarnej, okrutnej pomyłki, którą był jej nowy pokój. W nowym ubraniu, z nową determinacją wyruszyła na poszukiwanie kuchni.

Trafiła do niej bez trudu. Tylko raz się pomyliła, skręcając o jeden korytarz za wcześnie. Cofnęła się, ale zapamiętała drogę prowadzącą na ocienione patio, a stamtąd do ogrodu.

Kuchnia okazała się dokładnie taka, jak sobie wyobrażała – duża, jasna i ciepła. Kontrast między nią a apartamentem Pameli był ogromny. Tutaj każdy czuł się jak u siebie. To było miejsce stare jak ludzkość, dobre jak wspomnienia z dzieciństwa, kiedy to zasypiało się z głową na kolanach babci, słuchając z otwartymi ustami bajek o smokach i dzielnych rycerzach. Miejsce plotek, nostalgicznych opowieści, uspokajającego pyrkotania gotujących się potraw i bezpiecznego ciepła migoczącego ognia. Odwieczne miejsce zawieszenia broni, w którym wrogowie stają się tylko rywalami i podając sobie ręce, zasiadają do wspólnego stołu.

Tutaj piec, przyjaźnie buzując, grzał zimą zmarznięte dłonie, a latem czekała szklanka zmrożonego soku owocowego. Tutaj podkładało się świeżo upieczone ciastka, zaś na półce stała czarodziejska puszka zawsze pełna ulubionych cukierków.

I nagle Julia pomyślała, że w tym domu może znajdować się więcej takich miejsc, że pokój Pameli jest tylko jakimś wybrykiem natury, wyrodnym dzieckiem, które ma niewiele wspólnego z resztą pokojowej rodziny. „Będę musiała to sprawdzić. Może jednak ten dom da się lubić? Muszę tylko znaleźć odpowiedni klucz i zrozumieć, co do mnie mówi”.

Julia już teraz wiedziała, że poranki w tej kuchni staną się najmiłszymi chwilami nadchodzących dni; dającymi siłę, by przetrwać smutne, niekończące się

godziny.

W kuchni nikogo nie było, ale Julia chyba nie wstała pierwsza. Na kuchence właśnie zaczynało się gotować... mleko! Rzuciła się, żeby wyłączyć gaz, ale pomyliła kurki i złośliwa ciecz wykopiała, brudząc białym kożuchem zewnętrzne ściany pomarańczowego garnka. Westchnęła. W ekspresie, na szerokim blacie pod oknem, stała świeżo zaparzona kawa. Pośrodku kuchni królował szeroki prostokątny stół. Podobnie jak piec i ściany, jego blat wyłożony był rudymi kafelkami, o ton jaśniejszymi niż te, które leżały na podłodze. Na stole czekały bułki, masło i szynka, niecierpliwily się puste kubki i rozstawione w pośpiechu talerzyki. Przełknęła ślinę, czując, jak bardzo jest głodna. Usiadła za stołem, sięgnęła po nóż. Smarowała masłem chrupiącą połówkę bułki, gdy do kuchni weszła młoda dziewczyna. Julia uśmiechnęła się do niej.

– Dzień dobry. Właśnie robię sobie śniadanie. – Uśmiechnęła się ponownie, ale tym razem raczej do bułki, na którą położyła plasterek szynki. – Mhm, wspaniale – stwierdziła po chwili. – Dawno nie jadłam czegoś równie dobrego. Czy coś się stało? – zapytała, widząc, że dziewczyna stoi bez ruchu i nie może wydusić z siebie ani słowa.

– Nie! – krzyknęła nagle, odzyskując głos. – Przepraszam... Byłam w spiżarni. – Spojrzała na trzymaną w ręce suchą kielbasę. – Nie spodziewałam się pani. Dzień dobry – wyjąkała i spuściła głowę zawstydzona. – Jestem Marta, pomagam w kuchni – dodała szybko, jakby się bała, że ta obca pani może ją stąd wyrzucić.

– Miło mi cię poznać, Marto. Ja jestem Julia. Nikogo nie było, a to – wskazała ręką na stół – wyglądało tak apetycznie, że skorzystałam z okazji. – Teraz swój przyjazny uśmiech przeznaczyła tylko dla Marty. Zrobiło jej się żal dziewczyny, która nadal stała w miejscu, przestępując z nogi na nogę, i wyraźnie nie wiedziała, co ze sobą począć. Ona sama niespecjalnie czuła się skrupowana sytuacją. Zbyt pochłonęło ją jedzenie. Zresztą nie widziała niczego nadzwyczajnego w tym, że świeżo upieczona żona robi sobie śniadanie w domu swojego męża, w jego kuchni, a teraz także – jakby na to nie patrzeć – w jej domu i w jej kuchni. Julii nawet do głowy nie przyszło, że musi kogokolwiek prosić o pozwolenie. Zamierzała iść za ciosem: gdy skończy jeść, naleje sobie kawy.

Ze zdumieniem i pewnym rozbawieniem przyglądała się chaotycznym ruchom Marty, która w końcu zdołała pokonać paraliżujące ją do tej pory onieśmienie. Położyła kielbasę na skraju stołu, a po chwili, przepraszając,

przysunęła ją bliżej Julii. Wyjęła kubki, talerze i sztućce, by zaraz potem talerze i kubki schować z powrotem. Przecierała nerwowo blat pod oknem i szafki nad zlewem, które wyglądały na idealnie czyste. Julia rozumiała to aż za dobrze; Marta była bardzo młoda i bardzo nieśmiała, a sytuacja, w której się znalazła, niby zwyczajna, zdawała się ją przerastać. Julia jakoś nie potrafiła pocieszyć się myślą, że w tym domu istnieje ktoś bardziej przerażony od niej. Postanowiła trochę rozładować atmosferę.

– Wiesz, Marto, taka ze mnie niezdara – zaczęła. – Kiedy próbowałam się połapać, który kurek jest od którego palnika, mleko, zupełnie się mną nie przejmując, spokojnie sobie wykipiało. – Liczyła na jakiś lekki uśmiech, nieśmiałe zerknięcie w swoją stronę, ale z pewnością nie spodziewała się takiej histerycznej reakcji.

– O Boże! Mleko...! Na śmierć zapomniałam! – Dziewczyna podbiegła do kuchenki i zestawiła garnek, jakby te mocno spóźnione czynności mogły jeszcze w czymś pomóc. – Katarzyna będzie krzyczeć... i znowu będzie mnie wyzywać! Boże, Boże, co ja teraz zrobię?! – zawodziła.

– Uspokój się, Marto! – Julia musiała krzyknąć, żeby nastolatka w ogóle zwróciła na nią uwagę. – Wy tłumaczę cię przed Katarzyną. Nie przejmuj się.

– Co? – W oczach Marty pojawił się cień nadziei. – Zrobi to pani? Naprawdę?! Ona mówi, że jestem do niczego. Jeżeli zobaczy to mleko, to... – W jej głosie znowu pojawiły się płaczliwe nuty.

– Powiem, że to moja wina, że cię zagadałam. A ty? Masz jeszcze coś do zrobienia? – Uznała, że gdy dziewczyna się czymś zajmie, nie będzie miała czasu na rozmyślanie o tym, co jej powie czy zrobi Katarzyna.

– Tak. Gospodyni kazała mi jeszcze wycisnąć sok z pomarańczy i...

– No to dalej. Jak trzeba będzie udobruchać Katarzynę, pokażesz jej dzbanek soku i wtedy na pewno zapomni o mleku – przekonywała ją Julia.

– Pani jej nie zna – powiedziała zrezygnowanym tonem Marta, ale jednak wyciągnęła z szafki ręczną wyciskarkę do soku, a z lodówki zdjęła dużą, dwukilogramową torbę z pomarańczami.

– Czemu nie skorzystasz z sokowirówki, przecież stoi tam, koło ekspresu?

Jest zepsuta?

– Nie... – odparła z ociąganiem. – Tylko Katarzyna zabroniła mi jej używać. Powiedziała, że nam nie ufa: maszynie, bo robi za dużo hałasu, a mnie, bo za często zdarzają mi się różne wypadki.

– Aha. – Cóż więcej mogła powiedzieć. Zajęła się swoją bułką, a Marta zabrała się za pomarańcze.

Julia nie przeszkadzała dziewczynie. W końcu nigdy nie wiadomo – jedno nieopatrne słowo czy gest, a cały sok wylądował na podłodze. Zresztą wcale jej nie ciążyło to ich zgodne milczenie; mogła w spokoju przyjrzeć się temu sympatycznemu miejscu, w którym bezkonfliktowo tradycja mieszała się z nowoczesnością, a przeszłość łączyła się z teraźniejszością.

Obok kaflowego pieca z obowiązkowym zapiekiem stała jak najbardziej współczesna kuchenka gazowa. Na piecu może już nie gotowano, ale Julia założyłaby się, że Katarzyna jeszcze piekła w nim chleb. Był tu piękny emaliowany zlew, wspaniała duża lodówka, nie mniejsza zamrażarka, olbrzymi robot – szczyt najnowszej techniki, hałaśliwa sokowirówka... Domyślała się tylko, jakie praktyczne elektryczne cuda kryły się jeszcze po szafkach. Ale to można by znaleźć w prawie każdej kuchni. Natomiast tutaj w rogu stała stara drewniana maselnica, a obok rozpiekał się w wiklinowym koszu pękaty gąsior domowego wina. Szafki i wspaniały wielki kredens wyglądały na ręcznie robione, a już na pewno ręcznie zdobione – pięknie stylizowanym motywem winorośli, która pięła się wzdłuż drzwiczek i półek, oplatała małe bursztynowe szybki. Na ścianach, na haczykach i kołkach, na półkach i półeczkach leżały, stały bądź wisiały najrozmaitsze starodawne przyrządy służące do ucierania, mieszania, wyciskania i gotowania. Ręczny młyn do kawy i drugi, mniejszy, do pieprzu, okopcone żeliwne dzbanuszki do parzenia kawy po turecku, dziadek do orzechów, móżdziej do goździków, na zamrażarce – maszynka do kręcenia lodów, na piecu – najdziwniejszych kształtów formy do ciast, puddingów i sufletów... Niektórych przedmiotów Julia nie tylko nie umiała nazwać, nie potrafiła się nawet domyślić, do czego służyły.

Aromatyczne warkocze czosnku i cebuli, pęczki suszonego majeranku, mięty i lubczyku, bukiety suszonych kwiatów towarzyszyły istnemu bogactwu pojemniczków, szkatulek, buteleczek, dzbanków, wazoników, puszek i pudełek zajmujących prawie każde wolne miejsce. Może kryły się w nich tylko przyprawy i kuchenne produkty, a może jakieś czarodziejskie mikstury? Julia podziwiała tę

różnorodność kształtów i rozmiarów, ciepłą aurę otaczających ją kolorów. Ile lat, ile wieków zostało zamkniętych w tej kuchni, ile ludzkich marzeń i pragnień przylgnęło do załomów ścian, wyłobilo rysy na bukowych meblach? Tutaj będzie zawsze tak samo i zawsze inaczej, jednocześnie znajomo i tajemniczo, zawsze znajdzie się puzderko, do którego się jeszcze nie zajrzało, amfora, której się jeszcze nie otworzyło. Każdy dzień witał tu gościa nową niespodzianką i obiecywał, że jutro też go nie zawiedzie.

Julia naląła sobie kawy do połowy kubka, resztę dopełniła gorącym mlekiem. Delektowała się właśnie pierwszym łykiem, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtargnęła Katarzyna. Kuchnia ta sama co wcześniej, niby nic się nie zmieniło, a jednak było zupełnie inaczej. Katarzyna ta sama, a jednak...

– Ci dostawcy! Co to za ludzie... Zwykli sklepikarze, ot co! Gdyby im pozwolić, każdego puściliby z torbami – wykrzykiwała, wymachując rękami. Julia pomyślała znieca, że Sunny jest taką młodszą, odchudzoną wersją Katarzyny. – Podnieśli ceny! Wyobrażasz sobie?! – Julia nie wiedziała, od kogo rozzłoszczona kobieta oczekuje odpowiedzi na tak postawione pytanie: od niej, od Marty, a może sama zamierzała na nie odpowiedzieć. – Nie! Tego nie może sobie wyobrazić żaden uczciwy człowiek. To granda w biały dzień! Dowiedzieli się, że w Prayton House będzie teraz więcej osób i zamiast obniżyć, oni podnieśli ceny. Ale przeliczyli się! Cha, cha! – zaśmiała się szyderczo. – Powiedziałam, że nie zapłacę; mam dość zapasów, więc na razie z głodu nie umrzemy, a jak będzie trzeba, to zaczniemy kupować u kogoś innego. – Wsparła się pod boki; jej oburzenie nie malało, zacierzewienie rosło. Julia szczerze się obawiała o los chytrych dostawców. – Powiedzieli, że aktualnie w najbliższej okolicy są jedynymi hurtownikami, że jak zwrócę się do kogoś innego, to dodatkowy transport wyniesie więcej, niżbym musiała im zapłacić, nawet z podwyżką.

– I co? – nie wytrzymała Julia, choć nie wątpiła, kto wyszedł zwycięsko z tej potyczki.

– Julia? – Katarzyna spojrzała na dziewczynę, marszcząc brwi, jakby dopiero teraz ją zauważyła. – Co to ja mówiłam? Aha! – Zadarła dumnie głowę i odpowiedziała z jawną satysfakcją: – Oświadczyłam im, że wolę zapłacić nawet dwa razy więcej, niż dać zarobić takim zwykłym oszustom jak oni. Ha! – Powiodła triumfującym spojrzeniem od Marty do Julii. – Oczywiście ustąpili, nawet zaczęli coś bredzić o jakichś rabatach przy dużych zamówieniach. – Pogarda była z jej oczu. – Ale i tak zastanawiam się, czy nie poszu... – Umilkła i czujnie obracając głowę na boki, wciągnęła głęboko powietrze przez nos. – A co to za zapach?

Mleko ci wykipiało! – Wymierzyła oskarżycielski palec prosto w Martę, która skuliła się jak przed uderzeniem. – Ile razy mam ci powtarzać, że...

– To nie jej wina. – Tak jak obiecała, Julia ujęła się za dziewczyną. – Nie krzycz na nią. Zagadałam ją i po prostu się stało. W końcu to nic wielkiego. Nie ma potrzeby zaraz tak się denerwować.

– Nie musisz kłamać, Julio! Wiem, jaka jest Marta. Gdzieś wyszła i zwyczajnie zapomniała o mleku. Nie musisz mnie też pouczać, co może, a co nie może przypalać się w mojej kuchni, ani kiedy mogę krzyczeć na moją pomoc kuchenną. – Julii udało się odwrócić gniew Katarzyny od Marty i teraz cały skupił się na niej. – A w ogóle co tu robisz? Czemu nie poszłaś do jadalni? Ken już od świtu jest na nogach. Zaraz podam wam śniadanie.

– To Ken już wstał? – zapytała zaskoczona. Nawet do niej nie zajrzał, nie oprowadził po domu. Może nie byli idealnym małżeństwem, ale żeby aż tak?

– A co, nie wiedziałaś? Wstał bardzo wcześnie, chciał porozmawiać z zarządcą.

– Ja już jadłam – powiedziała cicho. Postanowiła nie zwracać uwagi na ironiczne docinki gospodyni. Dopiero teraz poczuła skrępowanie. To nie była ta sama Katarzyna co wczoraj. Zniknęły jowialność i opiekuńczość. Pojawiły się podejrzliwość i dystans. – Zrobiłam sobie bułkę. Teraz tylko wypiję kawę.

– Kawę wypijesz w jadalni z Kennethem – oświadczyła twardo Katarzyna.

– Nie mogę tutaj? Nawet nie wiem, gdzie jest jadalnia – zaprotestowała nieśmiało Julia. Łudziła się, że może gospodyni trochę zmięknie, że spróbuje ją zrozumieć.

– Nie, nie możesz, mamy dużo pracy, będziesz tylko przeszkadzać. Poza tym, czy nie uważasz, że powinnaś przywitać się z mężem? – Kobieta zastanawiała się, jak długo jeszcze Julia pozwoli tak sobą komenderować. Jeżeli miała w tym jakiś ukryty cel, to jej zdaniem był on ukryty bardzo głęboko.

– Tak, chyba tak. Katarzyno... – Julia zdobyła się na odwagę. – Co się stało? Zrobiłam coś nie tak? Uraziłam cię? Jeżeli tak, to przepraszam. Chciałam też wam podziękować, tobie i Manuelowi, za waszą wczorajszą pomoc. Byliście dla mnie tacy dobrzy... – Sądząc po minie gospodyni, nawet te przeprosiny jej nie

ułagodziły.

– Nie ma za co dziękować. To nic wielkiego – zbagatelizowała sprawę. – I nic się nie stało, w niczym mnie nie uraziłaś. Taka po prostu jestem, złoścę się bez powodu. Pewnie Marta zdążyła cię już uprzedzić. A teraz weź swoją kawę i idź do jadalni, Marta cię zaprowadzi.

– Katarzyno... – Nie poddawała się jeszcze. – Czy mogę cię o coś poprosić?

– O co? – Katarzyna miała się na baczności.

– Chciałabym inny pokój. Nie myliłaś się, to nie jest odpowiedni pokój dla mnie, nie czuję się tam najlepiej, więc...

– Porozmawiaj z Kennethem.

– Ale myślałam...

– To źle myślałaś. – Katarzyna miała dość tej rozmowy i smutnych, zawiedzionych oczu młodej kobiety. Nie wiedziała, co myśleć o Julii; jeszcze jej nie rozgryzła, ale sama możliwość, że skrzywdziła jej chłopca, a teraz udaje niewiniątko, doprowadzała ją do szewskiej pasji. Nie zamierzała się wtrącać ani też niczego z góry przesądzać, jednak instynktownie brała stronę Kena. – Twój mąż uznał, że ten pokój jest dla ciebie odpowiedni. Może ma rację, może nie. Ale to jego dom i jeżeli coś ci się nie podoba, musisz pójść z tym do niego.

Katarzyna twierdziła, że nic się nie stało, ale Julia nie miała złudzeń. Ken przedstawił już swoją wersję wydarzeń, a oni, w każdym razie Katarzyna, lojalnie stanęli po jego stronie. Nie mogła ich za to winić. Sunny zachowywała się dokładnie tak samo. Tylko że Sunny teraz tutaj nie było, Julii nie miał kto bronić, prócz niej samej. Ale czy ktokolwiek zechce jej wysłuchać?

– On się nie zgodzi... Wie, że tam nie pasuję, że to nigdy nie będzie mój pokój, ale mimo to się nie zgodzi. I co wtedy? – zapytała bardziej siebie niż Katarzynę.

– Co ty opowiadasz? Nie rób z niego jakiegoś potwora. Czemu miałby się nie zgodzić?

– Nie wiem. Może ty wiesz...? – Zostawiła Katarzynę z tym pytaniem

dźwięczącym w powietrzu.

Nie, Katarzyna też nie wiedziała. Ale obiecała sobie, że się dowie. Wszystkiego. Najszybciej jak się da. Musiała mieć jasność. Już teraz, choć ranek jeszcze nie minął, była zmęczona i zdenerwowana tą nienormalną, nieokreśloną sytuacją. A jak będzie musiała ją znosić całe takie dni, miesiące, lata? O nie! Wóz albo przewóz. Albo się kogoś kocha, albo nienawidzi, lubi się kogoś albo nie cierpi. Może Cristobal to potrafił, ale ona nie mogła bez przerwy wahać się między jednym a drugim.

– Idź za nią – szturchnęła Martę. – Jeszcze tego brakuje, żeby się zgubiła.

Ken oczywiście się nie zgodził.

W ciągu kolejnych kilku dni ustalił się pewien schemat ich wzajemnych stosunków. Ona codziennie rano uprzejmie prosiła Kennetha o to, by dał jej inny pokój, a on równie uprzejmie jej odmawiał. Pytania o dom, rodzinę, dzieciństwo, aktualne obowiązki w posiadłości, o to, jak radzą sobie w banku i agencji bez niego, jednym słowem o wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio z jej potrzebami dotyczącymi jedzenia bądź ubrania, po prostu zbywał. Gdy zaś niepokoila się o swoje mieszkanie i pracę, martwiła o stryja, tęskniła do Sunny, odpowiadał ironicznie, że obecnie tu jest jej dom i rodzina.

– Chcę ci przypomnieć, że teraz nazywasz się Prayton. Jesteś, przynajmniej z nazwiska, panią tego domu. Jeżeli się nudzisz, porozmawiaj z Katarzyną; na pewno znajdzie ci jakieś zajęcie, ale do pracy w galerii nie wrócisz. Mieszkanie możesz sprzedać. Otworzyłem ci konto: świat sklepów i zakupów stoi przed tobą otworem! Zapraszaj panie z sąsiedztwa na popołudniowe herbatki i ploteczki. Możemy nawet urządzić przyjęcie. Rozejrzyj się po domu: może coś wymaga poprawy, kobiecej ręki? Wykorzystaj swoje artystyczne zdolności. Tylko niczego nie rób i nie zmieniaj bez porozumienia ze mną! A co do twojego stryja i Sunny... Przypuszczam, że nie zrezygnujesz z kontaktów z nimi, choć tak by było najlepiej. Domyślam się, że musisz mieć kogoś, przed kim będziesz się mogła wyżalić i poskarżyć na okropnego męża. Jednak nie mam zamiaru ich tutaj zapraszać, a i tobie zabraniam. Nie życzę sobie obecności tych ludzi w moim domu, a ty nie będziesz do nich jeździć; jesteś w ciąży, poza tym... nie pozwalam. Więc zostają ci listy i telefon. To i tak za wiele. Jeszcze coś? To wszystko? Doskonale. Śpieszę się trochę.

Tak, to było wszystko lub prawie wszystko. Kenneth ustalił zasady, a ona miała się ich trzymać. W trakcie takich przemów, będących niczym innym jak zbiorem nakazów i zakazów wymyślonych specjalnie dla niej, z reguły nie odzywała się ani słowem. Jednak poranna kawa, którą tak lubiła, nagle przestawała jej smakować. W końcu zrezygnowała z zadawania pytań, co Ken przyjął z zadowoleniem, choć czasami kwitował jej niemy opór sarkastyczną uwagą. Przestała też prosić o cokolwiek, prócz tej jednej, niezmiennie zresztą odrzucanej prośby o inny pokój.

Ich wspólne posiłki przebiegały z monotonną regularnością. Oboje ze spokojną rezygnacją pogodzili się z ciszą i samotnością oddzielającego ich od siebie długiego stołu. Tylko czasami to nieco wymuszone milczenie zdawało się ciążyć Praytonowi za bardzo. Wówczas wysoka, obszerna jadalnia stawała się miejscem sztucznie ożywionej i dość jednostronnej konwersacji. Ken pytał ją, co porabia, jak sobie daje radę z Katarzyną, jak jej się podobają dom i okolica, co nowego sobie kupiła, kogo nowego poznała... Wiele dziwnych pytań wynikających z jakiejś wydumanej troskliwości, której się obawiała. Nie chciała awantur i odpowiadała monosylabami, więc on i tak się denerwował. Gdy nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny entuzjazmu dla jego nienaturalnego zainteresowania, zaczynał być złośliwy, atakował ją kpina, prowokował ironią. Nie rozumiała go. Czy nie wystarczyło mu zwycięstwo, które już odniósł? Czy nie tego chciał – jej bierności i ustępliwości? Czy to było za mało, czy za dużo? Wolałby protesty, krzyki, kłótnie? O co mu chodziło tak naprawdę, czego od niej chciał? Czy chociaż on sam to wiedział? Ale właściwie... czemu się tu dziwić. Przecież już wtedy, gdy spotkała go po raz pierwszy, w parku, wiedziała, że należy do tych skomplikowanych mężczyzn, których nigdy nie można zrozumieć, po których nie wiadomo, czego się spodziewać. Tak, bała się go; jego niekontrolowanych wybuchów, jego mocnych rąk czasami tak bliskich uderzenia, słów raniących coraz silniej, coraz sprawniej...

Potem wszystko mijало i do jasnej, dystyngowanej jadalni wracały spokój i cisza. Znowu przez kilka dni jedynym mocniejszym akcentem było światło słońca wpadające przez okna zajmujące prawie całą południową ścianę pokoju, a jedyne źródło złości stanowił stylowy kredens, który brzęczeniem protestował, gdy wyciągano z niego porcelanowy serwis i srebrne sztuce.

A co do zasad, Ken je ustalał, więc sam nie musiał się ich trzymać. Wyjeżdżał, kiedy chciał, i nie opowiadał się przed nią, po co i do kogo jedzie. Nie uprzedzał, kiedy wróci, podobnie jak bez ostrzeżenia zapraszał swoich znajomych,

klientów, sąsiadów... Zwykle tylko na drinka, z rzadka na kolację, a parę razy zdarzyło się, że urządził coś w stylu improwizowanego na szybko przyjęcia. Improwizowanego specjalnie dla niej, bo zawsze dowiadywała się o nim ostatnia. W czasie tych „spontanicznych” przyjęć Kenneth zazwyczaj uporczywie ją ignorował, co zresztą nie było niczym nowym – prawie zawsze tak się właśnie zachowywał. Jednak w większym towarzystwie wywoływało to komentarze na temat „jej” damskich fochów, „jej” fanaberii, „jej” męczących dla każdego mężczyzny humorów kobiety ciężarnej. Bo oczywiście jej ciąża była powszechnie znaną tajemnicą, a sama Julia stanowiła główną atrakcję takich wieczorów. Zarzucano jej rozrzutność, bezbarwność, brak inteligencji. Mówiono: „ho, ho, pierwsze koty za płoty”, „kto się czubi, ten się lubi” oraz „nie ma dymu bez ognia”. Widocznie uważano, że Kenneth zdążył już przejrzeć na oczy i teraz gorzko żałuje swojego pochopnego ożenku z tak nieodpowiednią osobą. Nie szczędzono jej więc niczego.

Ale najgorzej się czuła, gdy Kenneth nagle stawał się niezwykle opiekuńczy, a przy tym nieznośnie protekcyjny. Traktował ją wtedy jak małe, niezbyt rozgarnięte dziecko, które w każdej chwili może sobie zrobić krzywdę, lub – co gorsza – jak kobietę, która zaraz zemdleje albo w najmniej odpowiednim momencie urodzi dziecko. Jej ciąża służyła mu za pretekst, by odnosić się do własnej żony jak do osoby chorej, a nawet w pewnym sensie niepoczytalnej. Znajomi Praytona patrzyli na Julię z wyższością i politowaniem. Niespecjalnie im się dziwiła. Sama by tak na siebie patrzyła na ich miejscu. Ale pozostawało faktem, że młodej pani Prayton raczej trudno było znaleźć jakąś przyjazną duszę wśród tak „życzliwie” nastawionych do siebie ludzi.

Skąd brał się ten cynizm? Wcześniej bywała zakompleksiona, sztywna, nieśmiała, ponura, nudna... ale cyniczna? Nigdy. A teraz odkrywała w sobie niezgłębione pokłady tego twardego kruszcu. Chowała się za wykutą z niego tarczą. Może tylko dzięki temu nie kulila się jeszcze, zahukana i pokonana, w kącie własnego lęku i niepewności. Ken stał się jej mistrzem – on wiedział wszystko o walce na drwiny. Tyle że on korzystał głównie z miecza, nie z tarczy. Znał wszystkie chwyt, podstęp, ironiczne pchnięcia i ciał mocno, boleśnie, tylko czemu... na oślep?

Czuła się jak odkrywca na nieznanym lądzie, na dwóch nieznanym lądach połączonych-rozdzielonych zwodzonym mostem pewnej formalnej umowy, świstkiem papieru, na mocy którego stała się prawną żoną Kena. Co tu znajdzie? Na tym nieodkrytym dotąd terenie – więcej strachu, jeszcze więcej gniewu, może szaleństwo...? Może odpowiedź na kilka pytań. A czy odkryje

choć jeden zielony skrawek tam, gdzie kiedyś rosła bujna puszcza?

A dni mijały...

Chodziła spać bardzo późno, wstawiała wcześniej, unikając pokoju Pameli, jak tylko mogła, bo kiedy już tam była, czuła się zawsze jak nieproszony, niechętnie tolerowany gość. Zasypiała wyłącznie dzięki sile woli i zmęczeniu; potem budziła się w środku nocy i z latarką oraz w grubym frotowym szlafroku wyruszała na poszukiwania bardziej przyjaznego miejsca do snu.

Latarkę pożyczyła od Manuela, który się jakoś o nią nie upominał. Szlafrok dała jej Katarzyna – prezent od jednego z synów okazał się „ciut” za ciasny. Na Julię był z kolei za duży, ale i tak przyjęła go z wdzięcznością. Własnych rzeczy nie miała wszak zbyt wiele, a na wyprawę do „stojącego przed nią otworem świata sklepów i zakupów” jakoś nie miała ochoty. Co zresztą było jednym z licznych powodów złości jej męża; jeden mniej, jeden więcej, co za różnica. To Katarzyna zaciągnęła ją wreszcie do miasteczka, twierdząc, że ma po dziurki w nosie jej białych strojów, chociaż to ona sama je wybierała. Narzekała, że Julia ją denerwuje, gdy tak snuje się po domu niczym duch zamordowanej zakonnicy. Marudziła tak długo i głośno, że dziewczyna w końcu ustąpiła, ale i tak wolała swoje nocne wyprawy po uśpionym domu.

To była pierwsza rzecz, którą odkryła, pierwsza poznana tajemnica – ten dom w nocy spał. Dlatego nic nie słyszała, gdy budziła się otoczona ciemnością. Nawet pokój Pameli musiał przestrzegać tej surowej ciszy nocnej. Może był wyrodnym dzieckiem dostojnego domostwa, ale przynajmniej w tym jednym przypadku – dzieckiem posłusznym.

W tak ogromnym domu łatwo się zgubić, ale Julia szybko nauczyła się zapamiętywać drogę; zostawiała za sobą ślad niepokoju, coś jakby ciche westchnięcie przewracającego się na drugi bok kolosa – to była jej nitka Ariadny, po niej zawsze mogła wrócić.

Prayton House nie posiadał strychu; po co strych w trzypiętrowej rezydencji, gdzie niepotrzebne rzeczy oddaje się na cele dobroczynne albo po prostu wyrzuca. Ale miał za to olbrzymią piwnicę, poprzedzianą rzędami ciągnących się całymi metrami półek, wypełnionych butelkami wina, szampana, koniaku. Przechowywano tu także zapasy żywności wymagające chłodu, lecz niepsujące się od wilgoci.

Jednak największe wrażenie robiła część wydzielona w rogu piwnicy, zajmująca około jednej czwartej całej powierzchni. Tylko tutaj odważyła się zapalić górne światło – nie przypuszczała, by ktokolwiek przyszedł tu w środku nocy, poza tym niewiele by zobaczyła przy latarce. Zwisające na długich sznurach lampy oświetliły dwa stoły bilardowe stojące pośrodku. Ciemne deski przecinały ściany z czerwonej cegły. Przy jednej znajdował się duży kominek i ciężkie drewniane ławy przykryte skórą. Przy drugiej – profesjonalny barek z długą ladą i wysokimi stołkami. Czyżby prywatny pub? Możliwe, to było bardzo męskie miejsce. Kojarzyło się z zapachem cygar, whisky i rywalizacją. Tej nocy, gdy odkryła ów „klub”, po raz pierwszy spróbowała gry w bilard, otworzyła sobie nawet i wypła przy barze butelkę ciemnego piwa; pustej butelki pozbyła się ukradkiem następnego dnia.

Julia nie umiałaby dokładnie określić, ile czasu zajmowały jej nocne eskapady. Godzinę, czasami więcej. Jednak rano nigdy nie czuła się śpiąca – te wyprawy dawały jej tak wiele. Znowu była małą dziewczynką sprzed dwudziestu lat, szukającą skarbów w domu stryjka Claya. Wtedy wyruszała w nieznane, tuląc do siebie Miśka; teraz ścisnęła szlafrok, ale dreszczyk emocji pozostał ten sam. Nieświadomość tego, co się kryje za zamkniętymi drzwiami (może inny świat, może stary, zapomniany i znudzony swoją beczynnością duch), strach, że wszystko się wyda – to tylko dodawało jej wyprawom uroku. Tyle było rzeczy do zbadania, tyle pokoi do zwiedzenia, tyle sekretów do odkrycia...

Ostatnie piętro zajmowały pokoje dla służby – skromne, ładne, funkcjonalne. Tylko na końcu korytarza znajdowała się duża, niestety pusta, mansarda z oszklonym fragmentem dachu i olbrzymim oknem na całą ścianę, wychodzącym na wschód. Gdyby jej pozwolono i gdyby umiała malować, urządziłaby tu sobie pracownię.

Drugie piętro okazało się jedną wielką salą balową z lśniąca posadzką, kryształowymi żyrandolami i lustrami. Przylegały do niej gustowne przebieralnie, łazienki i pokoje wypoczynkowe. Chociaż w porównaniu z ogromem i przepychem sali wypadały blado i niepozornie.

Parter został przedzielony holem na dwie części: północną i południową, gospodarczą i oficjalną. W północnej mieściły się kuchnia ze spiżarnią, różne pomieszczenia gospodarcze niezbędne w tak wielkim domu: pralnia, suszarnia, prasownia z magłem, a także duża łazienka i garderoba dla gości, którzy przechodzili stąd do części południowej. Hol był linią demarkacyjną. Z jednej strony swojska, rozgadana, czasami wręcz rubaszna atmosfera części „robotniczej”, z drugiej dystygowana, wizytowa wyniosłość części „pokazowej”. Goście

z pewnością nie czuli się zawiedzeni spokojną elegancją jadalni, bogato urządzonym salonem połączonym z salonikiem dla pań i gabinetem dla panów.

Jednak najciekawsze było pierwsze piętro. Tu urządzono pokoje gościnne – każdy inaczej pod względem koloru i charakteru. Tu znajdowały się pokoje domowników – tych dawnych sprzed wielu lat, których portrety wisały na ścianach korytarza, i tych obecnych. Stąd Julia rozpoczynała swoje wędrówki i tu wracała. Stąd wyganiał ją pokój Pameli, a przyciągało tyle innych. Tu w końcu znalazł się zawsze jakiś koc czy stary pled – zwykle trochę zakurzony, ale wystarczająco mocny, by dać schronienie przed chłodem – i miejsce, które przytulało ją na resztę nocy. Czasami był to skórzany fotel w ciemnej bibliotece, której podłogę pokrywał gruby wełniany dywan, a ściany podpierały rzędy dębowych półek wypełnionych tysiącami książek. Kiedy indziej – żelazne łóżko z twardym materacem w dawnym pokoju dzieciennym jakiegoś chłopca z przeszłości. Pokój wydawał się dość surowy i staroświecki, lecz podwieszane u sufitu na cienkich żyłkach modele samolotów, głównie dwupłatowców, dodawały mu dziecięcej lekkości, a płynące po szafie i wśród półek pięknie wykonane modele żaglowców nadal łąpały w swoje małe żagle wiatr chłopięcych marzeń.

Po drugiej stronie korytarza, dokładnie naprzeciw dzieciennej sypialni, znajdowało się miejsce, do którego Julia wracała najczęściej. Oczarował ją pastelowy pokój, utrzymany w cichych, łagodnych kolorach. Lniane kremowe zasłony, seledynowe firanki, łososiowa wykładzina w takim samym odcieniu co drobny wzorek na kremowej tapecie dodawały uroku delikatnym liniom mebli z jasnego drewna. Niezbyt duża szafa, komoda, jej mniejsza siostra toaletka z ruchomym lustrem i szufladami po bokach, proste wygodne łóżko, które w całości przykrywała narzuta z owczej wełny – wszystko to zdawało się zajmować niewiele miejsca – i chociaż ten pokój był zdecydowanie mniejszy niż apartament Pameli, to gdyby dano jej wybór, nie wahałaby się ani chwili. Tutaj mogła swobodnie oddychać, a tam się dusiła; tu mogła spać, a tam budziły ją złe sny. Ten pokój już teraz mogła nazwać „swoim”, a tamten na zawsze pozostanie cudzym. Tutaj jedynym zaskoczeniem, i to przyjemnym, był stojący pod oknem sekretarzyk, różniący się od pozostałych sprzętów ciemnym drewnem i sędziwym wiekiem; nie wyglądał na cenny antyk, ale palce aż swędziały, by go otworzyć i sprawdzić, czy nie schowano w nim kałamarza i gęsiego pióra. A tam, u Pameli, wszystko było dziwne, pokrętne i fascynujące w jakiś okrutny sposób. Czasami się zdarza, że we śnie jesteśmy złymi ludźmi i robimy złe rzeczy, ale jaki człowiek przenosi scenerię takich snów do prawdziwego życia? Może taki, który tylko we śnie potrafi być dobry...

Budziła się o świcie i cicho wracała do czerwonego pokoju, by wziąć prysznic i się przebrać. Musiała bardzo uważać. Dom budził się z pierwszymi promieniami słońca. Przystawał być milczącym, uspionym kolosem; stawał się czujny, więc musiała zachować ostrożność. Mógł ją zdradzić cieniem przemykającym po ścianach i podłodze, złotym błyskiem na włosach, świetlistym obramowaniem sylwetki na tle okna. Wraz z nadejściem świtu dom stawał się nadzwyczaj rozmowny. Rozbrzmiewał kakofonią blasków i półcieni. Coś sobie nucił półtonami lustrzanych odbić. Jakże często chichotał śmieszkiem jasnych plamek goniących się po suficie. Ten dom, brzdąkając na migotliwych strunach światła, rozmawiał z każdym, kto chciał go słuchać. A Julia nie tylko chciała, zaczęła się z nim całkiem nieźle dogadywać.

Nie zrezygnowała ze swoich porannych wycieczek do kuchni. Tylko w trakcie nocnych wędrówek i właśnie rano – w kuchni – udawało jej się zapomnieć, że jest „żoną na próbę”. Dożywotni okres próbny... Wcześniej nawet nie przypuszczała, że może istnieć coś takiego.

Po dość niefortunnym początku udało jej się szybko zaprzyjaźnić z Martą; dziewczyna wręcz lgnęła do niej – dzieliła je niewielka różnica wieku, poza tym obie były tu nowe. Co prawda Julia podejrzewała, że strach Marty przed gospodynią wynikał bardziej z nieśmiałości niż autentycznej obawy, ale nie zmieniło to faktu, że z dnia na dzień Julia stała się kimś w rodzaju starszej siostry, takiej, która przytuli, poradzi, a i skarci, kiedy trzeba. Pod bokiem Katarzyny Marta istotnie przechodziła twardą szkołę życia, za którą zapewne kiedyś podziękuje swojej surowej nauczycielce. Nieśmiały jest trudniej na świecie; takim, co wiecznie przepraszają za to, że żyją – jeszcze gorzej. A Marta miała wielkie plany, chciała zostać krawcową, otworzyć własną pracownię, może nawet zająć się projektowaniem. Ale by to osiągnąć, musiała się jeszcze wiele nauczyć – sam talent do szycia nie wystarczy. Dziewczyna marzyła o szkole krawieckiej. Jej ojciec, rzeźnik z dziada pradziada, powiedział, że owszem, pomoże jej otworzyć własny zakład, gdy już skończy tę swoją szkołę, ale na chesne, przynajmniej na pierwsze wpłaty, musi zarobić sama. Musi mu udowodnić, że naprawdę chce szyć kiecki dla jakichś bogatych damulek, że naprawdę woli takie fiu bździo od tradycji rodzinnej z jej sekretnym przepisem na kielbasę jałowcową.

W ten sposób Marta trafiła do Prayton House. Możliwe, iż drastyczne metody Katarzyny służące wyplenieniu z dziewczyny gapiostwa i skłonności do bujania w obłokach najbardziej przypominały musztrę w wojsku; ale chociaż gospodyni pokrzykiwała i wymagała, to również płaciła najwięcej.

I tak wszystko zaczęło się toczyć ustalonym rytmem. Marta, chlipiąc po kątach, zarabiała na swoją szkołę, Julia co rano, pełna energii po nocnych odkryciach, przychodziła do kuchni, siadała z boczku, nie chcąc nikomu przeszkadzać, i uśmiechała się na dzień dobry: nieśmiało do Katarzyny, pocieszająco do Marty. Katarzyna nie próbowała już wyrzucać Julii ze swojego królestwa – mamrocząc pod nosem, że Julia jest stanowczo za chuda, stawiała przed nią na stole lub po prostu wciskała jej do rąk a to talerzyk z chrupiącą bułeczką czy świeżo upieczonymi ciastkami, a to kubek mleka czy dojrzałe jabłko. Zawsze się coś znalazło. Jednak nadal uparcie zanosila jej kawę do jadalni. To był znak dla Julii, że pora stawić czoło długim, pustym godzinom nadchodzącego dnia.

Katarzyna obserwowała Julię i naprawdę nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Coraz trudniej przychodziło jej zachowywać neutralność, ale starała się dotrzymać obietnicy i się nie wtrącała. Jeżeli zaś Ken obawiał się, że ulegną czarowi jego żony, no... cóż, obawy te były jak najbardziej uzasadnione.

Marta wręcz uwielbiała Julię, ona sama polubiła ją nie wiedzieć kiedy, nawet Manuel uśmiechał się, gdy na nią patrzył. Nie dostrzegala w młodej kobiecie cienia fałszu i wyrachowania, o które oskarżał ją Kenneth. Albo więc Julia była aktorką doskonałą, a Katarzyna w ogóle nie znała się na ludziach, choć zawsze uważała się w tej dziedzinie za eksperta, albo Ken robił poważny błąd, którego jeszcze gorzko pożałuje. Zresztą z nich dwojga to właśnie on zachowywał się bardziej podejrzanie – wciąż ich ciągnął za język, niecierpliwiąc się przy tym i złoścąc bez powodu. Chciał wiedzieć, co Julia robi, co mówi, jak się zachowuje. Katarzyna powiedziała mu kiedyś, że jeżeli tak go to interesuje, niech sam ją zapyta, bo ona nie najęła się tu na strażnika. Obraził się wtedy i przez jakiś czas nie przychodził do kuchni. Ale właściwie co miała mu powiedzieć? Jak wytłumaczyć...

To były drobiazgi – sposób w jaki się uśmiechała, gdy kładła rękę na swoim brzuchu, jej uciekające w bok smutne spojrzenie, gdy ktoś przy niej wspomniał o Kenie... Poza tym lubiła siedzieć w jej kuchni i nigdy się nie skarżyła. Jak mu miała powiedzieć, że chciałaby mieć taką córkę jak Julia? Już po tygodniu Katarzyna nabrała wątpliwości, a po miesiącu była absolutnie pewna, że Julia nigdy niczym się nie zdradzi, bo zwyczajnie niczego nie ukrywa.

Ale co ta dziewczyna robiła całymi dniami...? Nie miała pojęcia. A jeżeli Kena tak to ciekawiło, to czemu sam wciąż gdzieś znikał? Załatwiał jakieś swoje ważne sprawy, a Julia zostawała sama.

Widziała ją parę razy na spacerze, dwa, trzy razy pojechały razem do miasteczka, aha, czasami niosła ze sobą jakieś książki, no i raz ją znalazła, gdy przysnęła przed telewizorem w salonie na dole. Katarzyna nie miała niestety czasu, żeby się nią zajmować, ani ochoty, by jej pilnować. Była zbyt zajęta organizowaniem życia w Prayton House. Od chwili gdy Kenneth wrócił do domu, nie uskarżała się na brak zajęć. Właściwie to Julia mogłaby przejąć choć część tych spraw. Była teraz panią Prayton, ale po pierwsze, wcale się do tego nie paliła, a po drugie, obie doskonale wiedziały, że zupełnie się nie orientuje, jak funkcjonuje taki olbrzymi dom. Jeżeli już o coś pytała, to na przykład o jakiś portret z galerii na korytarzu pierwszego piętra, o gatunek drzewa w ogrodzie, którego nie mogła rozpoznać, albo o rasę koni w stajni. Ale to wystarczało, żeby Marta zaczynała opowiadać całą historię rodu Praytonów, powstania domu i rozbudowy posiadłości.

Nie zdradzała żadnych rodzinnych sekretów, bo ich po prostu nie znała, ale to od niej Julia dowiedziała się, że uroczy domek przy ogrodzie należy do Katarzyny i Manuela i że dostali go od Johna Praytona w prezencie ślubnym. To Marta uświadomiła jej, że dom, ogród, oranżeria, stajnie i park, które zdążyła częściowo obejrzeć, należały do posiadłości obejmującej swoim zasięgiem tysiące akrów pól uprawnych, łąk i pastwisk. Wyjaśniła także zaskoczonej Julii, że tym wszystkim musi zajmować się przez cały czas całkiem spora gromada ludzi – poczynając od administratora, dzierżawców, a na stajennych, ogrodnikach i pokojówkach kończąc. To od niej dowiedziała się o protoplaście rodu, a w każdym razie pierwszym Praytonie, którego nazwisko można było znaleźć w zapisach historycznych tych terenów. William Maurycy Prayton – ubogi szlachcic i hazardzista – nie przejmując się swoim ubóstwem, żył ponad stan, utrzymując się dzięki szczęściu w grze i pomocy bogatych przyjaciół. Był awanturnikiem uwielbiającym podróże, kobiety i dobrą zabawę. Wszystko zmieniło się, gdy od jakiegoś nieszczęśnika, który zresztą potem strzelił sobie w łeb, wygrał cały jego majątek. Wybudował dom, zaczął prowadzić interesy, kupił niewielki bank, który w szybkim tempie umacniał swoją pozycję. Ożenił się z córką bogatego kupca, zapuścił korzenie, stał się statecznym, praworządnym obywatelem i przykładnym ojcem rodziny. Ku wielkiemu zdziwieniu Julii okazało się, że Ken w pewnym sensie poszedł w ślady swojego przodka, gdyż jako chłopiec ogrywał w pokera każdego, kto odważył się z nim zagrać. Został nawet zawieszony w prawach ucznia za uprawianie hazardu w szkole.

Swoje informacje Marta czerpała oczywiście od małżeństwa Travisów, ale Katarzyna nie miała nic przeciwko temu, że przekazywała je Julii; wręcz przeciwnie – skrupulatnie i systematycznie uzupełniała jej wiedzę, czasami nawet

sama dorzucała to i owo do chaotycznych opowieści Marty. Miała w tym swój cel. Julia nie zamierzała na razie przejmować z rąk Katarzyny steru rządów, zupełnie bez żalu i wyrzutów sumienia zrzucając na jej barki obowiązek zarządzania domem. Wszystko było na głowie Katarzyny: dyskusje z dostawcami i zamawianie nowych zapasów żywności, rozmowy z ogrodnikiem, który zimą nie miał wiele roboty na zewnątrz, ale pozostawiała oranżeria. To korpulentna gospodyni kierowała służbą, której liczba z chwilą przyjazdu Praytonów znacznie się powiększyła – potrzebna była przecież dodatkowa pomoc do kuchni, ktoś musiał sprzątać, prac, podawać do stołu w trakcie przyjęć i dbać o potrzeby gości. Julia zupełnie się tym nie interesowała i Katarzyna właściwie nie mogła mieć jej tego za złe. Nawet gdyby chciała coś robić – po prostu nie wiedziała jak, a Ken, choć nie zabraniał, to również do niczego jej nie zachęcał, w niczym nie pomagał. Dlatego Katarzyna, wychodząc z założenia, że co nie jest zakazane, jest dozwolone, postanowiła pośrednio – korzystając z gadatliwości Marty – wprowadzić Julię w domowe sprawy. Chciała jej pokazać, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, i choć prowadzenie rezydencji wielkości Prayton House nie przypomina przejażdżki rowerem, jednak może sprawić mnóstwo satysfakcji. Uznała, że dzięki temu Julia poczuje się pełnoprawną panią tego domu, a nie tylko gościem i to bez żadnych specjalnych względów.

Katarzyna, nie zdając sobie z tego sprawy, przestała być w tym momencie postronnym widzem w grze, jaką prowadził Kenneth. W grze, w której Julia tylko statystowała, będąc jednocześnie główną negatywną postacią.

A burza wisiała w powietrzu i gdy w końcu nadeszła, Katarzyna nie mogła dalej udawać, że słońce na jej niebie świeci jak gdyby nigdy nic. Musiała wybrać i okazało się, że Ken w roli Zeusa miotającego piorunami gniewu zupełnie jej nie odpowiada.

ROZDZIAŁ 8

To musiało się tak skończyć. Już raz niewiele brakowało, by jej potajemne spacerki zostały wykryte. Sama nie wiedziała, co ją wtedy ostrzegło, przecucie, szósty zmysł, kobieca intuicja...

Stała niepewnie przed zamkniętymi drzwiami i coś jej mówiło, że nie powinna ich otwierać. W końcu ciekawość zwyciężyła i Julia nie tyle otworzyła, co lekko uchyliła intrygujące drzwi. Przez niewielką szparę zobaczyła niewątpliwie męski pokój, poczuła zapach skóry i papierosów. Przyzwyczajona do ciemności korytarzy, mogła się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć, ale... nie była tu sama. Jej uwagę przyciągnął żółty krąg światła padający na rozrzucone bezładnie po biurku papiery i na samo biurko. Figurka dziewczyny, która patrzyła równie smutno jak kiedyś z okna wystawy... Przyciśnięty przez podstawę rzeźby bukiet kwiatów z kolorowej gąbki... Kartka papieru przytłoczona ciężarem niewielkiego kasztana wahała się na brzegu blatu: spaść – nie spaść, spaść – nie... Ktoś tu niedawno pracował, czy raczej próbował pracować; przewrócone krzesło, niezdecydowana kartka papieru i złamany ołówek plotkowały między sobą, że nic z tych prób nie wyszło.

Nie, to nie to... Przesunęła wzrokiem po ścianie za biurkiem ku ciemnemu przejściu prowadzącemu z gabinetu do drugiego pokoju. Tu jednak niewiele by zobaczyła, gdyby nie księżyc, który prawie że wchodził do środka sypialni przez szeroko otwarte okno. Srebrzył się, spływając w dół po odsuniętej na bok zasłonie, rozlewał się migotliwie po dywanie, opływał róg łóżka... Zatrzymał się na postaci, która nagle stanęła w przejściu i przesłoniła Julii cały widok. Kontur postaci był ciemny, tym ciemniejszy, że obrysowany srebrną kreską księżycowego pióra. Poczwała dreszcze – mroźne powietrze i strach przegoniły z jej myśli wszelką ciekawość i dziecięcą chęć przygód.

Mężczyzna. Tak, tylko zmęczony, przygnębiony mężczyzna może wyglądać jak gruda ciemności drwiąca ze swojej srebrnej oprawy. Szron zimowej nocy znieczulał pędzące na oślep myśli. Księżyc wyglądał obolałe skronie, a jego chłodne palce pozostawiały za sobą delikatny, na razie niewidoczny, siwy ślad.

Czy na nią patrzył, czy ją widział?! Okrzyk przerażenia zamarł jej na ustach – przygryzła dłoń, mocno, aż przyszedł ból, a za nim przebiegł kolejny dreszcz. Mężczyzna opuścił rękę. Jasny refleks błysnął na trzymanej niedbale szklance z rżniętego kryształu. Jak zahipnotyzowana obserwowała mały rozżarzony

punkcik, który wolno uniósł się do góry... zniknął... a po chwili nad ciemną głową para oddechu mieszała się ze smugą niebieskawego dymu. A więc stał tyłem do niej! Ulga była jak słabość nagle uginająca kolana. Mocniej złapała się framugi i przytuliła do niej blady policzek. Czerwonawy punkcik powrócił na swoje miejsce przy boku ciemnej postaci – tylko po to by po sekundzie wytchnienia znowu powędrować w górę. Podążyła za nim bezwiednym, zafascynowanym spojrzeniem.

Zaciągając się głęboko, mężczyzna odchylił głowę do tyłu. Zamarł w bezruchu. Co go ostrzegło, skąd wiedział, że jest obserwowany? Przeczucie, szósty zmysł...? Zerwała hipnotyczne więzy. Zanim się cofnęła, profil jego twarzy był już bardzo wyraźny. Kenneth! Czemu nie spał? Dlaczego nie mógł pracować? Nie wiedziała, że palił... Zamknęła cicho drzwi, nim mężczyzna odwrócił się do końca w oparach wypuszczanego z płuc dymu i oddechu.

Może powinna wtedy zrezygnować? Jednak nie mogła. Pomijając wszystko inne, nocne wyprawy to był jej sposób na bezsenność. Dlatego też nigdy nie kontynuowała swoich poszukiwań za dnia, zostawiając sobie nowe odkrycia na bezsenne godziny, które jeszcze przyjdą, które zawsze przychodziły. Oczywiście, wracała do pokoi poznanych w środku nocy, tylko przy latarce, czasem z niewielką pomocą księżycy. Chciała im się ponownie przyjrzeć, ciekawa, jak wyglądają w świetle dziennym. Gdy zaś znalazła bibliotekę, wracała do niej regularnie. Czerpiąc z nieprzebranego bogactwa książek, jakie się tu znajdowały, mogła walczyć z nudą i poczuciem własnej bezużyteczności, a także dowiedzieć się o tym domu i jego mieszkańcach jeszcze więcej niż z opowieści Marty.

Stare zakurzone pamiętniki, pergaminowe dokumenty, czasopisma sprzed wielu lat były równie ciekawe co stojąca w równych rzędach beletrystyka. Rozprawy filozoficzne i historyczne, słowniki, albumy, biografie, książki o uprawie roli i hodowli bydła, stare podręczniki, Biblia, prawo cywilne i karne, książki techniczne z zakresu wyższej fizyki i matematyki, podstawy bankowości, klasyka prozy, poezji i dramatu, literatura współczesna, kryminały, horrory, romanse, thrillery polityczne... Powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś? Tutaj to nie było wcale takie proste.

Czasami w ciągu dnia zakradała się do pastelowego pokoju. Ale nie zostawała w nim długo – tylko tyle, żeby głębiej odetchnąć, przez moment nie myśleć o niczym, przez chwilę odpocząć od samotności i ciągłej podejrzliwości. Z żalem stąd wychodziła, ale ten pokój był dla niej zbyt ważny, by odważyła się ryzykować jego utratę. Biblioteka była bezpieczniejsza – przecież nikt chyba nie

mógł mieć pretensji o to, że lubi czytać.

Kenneth czekał na nią. Tyle było nocnych godzin, w czasie których mijali się w ciszy, tyle różnych miejsc, w których mogli się spotkać przypadkiem w ciemności... A on czekał na nią o świetle, w krzyczącym czerwieniu pokoju Pameli. Stał przy oknie i palił papierosa.

– Nareszcie wróciłaś...

– Chciałam zobaczyć, czy Katarzyna już wstała. – Instynktowne kłamstwo, beznadziejna obrona; Ken nie zwrócił na to uwagi.

– Czekałem bardzo długo... Gdzie byłaś? – Dopiero teraz na nią spojrzął. Zauważył potargane włosy i zaspane oczy. Zgasił papierosa, jednego z wielu, w popielniczce, którą musiał przynieść ze sobą.

– Gdzie chodzisz nocami, Julio? – zapytał z lekkim uśmiechem. – Nie wiedziałem, że jesteś lunaticzką.

– Nie jestem...

– Nie? To mogłoby wiele wyjaśnić, ale teraz to i tak nieważne. To już się skończyło... Wiesz o tym. – Podeszedł do niej. Wyciągnął rękę, zawahał się, ale uśmiechnął się znowu i wygładził splecione, opadające na jasną twarz włosy.

– Ken, ja...

– Tak, ty. Teraz już wiem, że to byłaś ty. Wtedy myślałem, że mi się wydaje, ale teraz jestem pewien, że to ty zaglądałaś tamtej nocy do mojego pokoju. – Odgarnął jedwabne pasmo, odsłaniając drobne ucho; obrysował je kciukiem. – Dlaczego mnie szpiegujesz?

– Nie szpieguję cię, ja tylko... – Poczwała mrowienie rozchodzące się od musniętego ucha, przez szyję, ramiona... Zadrzała pod szlafrokiem. Od dawna jej nie dotykał. Nawet nie wiedziała, że tak za tym tęskniła. Od chwili gdy zostali małżeństwem, od kiedy tu przyjechali, ani razu jej nie przytulił, nie pocałował, choć tak często, na pokaz, robił to przy innych. Ale teraz bała się tego delikatnego dotyku – był zbyt czuły, zbyt groźny.

– Czego szukałaś? Czego chciałaś się dowiedzieć? Jakie tajemnice odkryłaś?

– Ken... proszę, nie rób tego. Spróbuj mnie zrozumieć. Ja po prostu... – Trzymał ją w pułapce swoich dłoni. Smagłe palce i złociste włosy tworzyły razem przedziwny jasno-ciemny warkocz, wplatając w niego pragnienie i żal.

– Ty po prostu nie wiesz, kiedy przestać, kiedy się poddać. Uciekanie stąd niczego nie zmieni. Musisz się z tym pogodzić. Chodź tu. – Spojrzała na niego. Wciąż nie wiedziała, czego... Przynęła się odrobinę... Czego od niej chciał?

Przygarnął ją do siebie, a ona wtuliła się w niego, obejmując go mocno ramionami w pasie. Przymknęła powieki. Tuż za rogiem, w mroku opuszczonych powiek, czekały wspomnienia; wspólne niespieszne, zawieszony w czasie wieczory, ciepło bijące od mrugających beztróskim płomieniem sosnowych szczap, noce żarzące się dłużej niż gasnący z wolna ogień w kominku...

Ale nic już nie było takie samo. Tak dobrze jej znany korzenny zapach zmieszał się z obcą wonią papierosów, znajomy uścisk tylko oszukiwał czułością. Jednak przyłgnęła do niego jeszcze mocniej, jeszcze rozpaczliwiej.

– Ken, ten pokój mnie nienawidzi – wyszeptała, próbując znaleźć drogę do mężczyzny, którego kiedyś poznała i nie potrafiła zapomnieć. – On mnie nie chce... ja go nie chcę. Proszę, zrozum... Boję się go!

– Julio... – Poblążliwy ton uspokajał i karmił zarazem. – Julio, nienawidzisz go, bo mówi rzeczy, których nie chcesz słyszeć. Nie chcesz, bo... mówi o tobie. Nie musisz udawać, nie przed samą sobą, a już na pewno nie przede mną. Ja to już wiem, od dawna, wiedziałem, zanim się z tobą ożeniłem. Pora, żebyś i ty przestała udawać kogoś innego, niż jesteś. Niewinna dziewczyna, którą poznałem, nie istnieje, choć wygodniej ci myśleć, że jest inaczej... Ale ona nigdy nie istniała. Stworzyłaś ją wyłącznie dla mnie. Ale teraz możesz już być sobą. Uwolnij się. Nie męcz dłużej ani siebie, ani mnie... – szeptał jej cicho do ucha, tłumaczył spokojnie, głaskał po plecach i głowie. – Nie walcz ze sobą. Nie walcz ze mną...

– Ken, ja nie walczę z tobą. Zgodziłam się na wszystko! Przecież zamieszkałam w twoim domu, zrezygnowałam z pracy w galerii, nie widuję stryja ani Sunny. Pozwalam, byś odsuwał mnie od siebie coraz bardziej. Jesteś niesprawiedliwy, ranisz mnie, oskarżasz, a ja się nie bronię! – Patrzyła na niego intensywnie.

„Wysłuchaj mnie, choć raz wysłuchaj mnie do końca!”.

– Nie walczysz? Nie bronisz się...? – Na moment jego głos załamał się, na jedną małą chwilę zgubił swoją zdradliwą, uwodzicielską nutę. – Nie protestujesz, ale milczysz. Ustępujesz, ignorując jednocześnie. Co to jest, jak nie walka? Chyba wolałbym otwartą wojnę od takiego poddania.

– Myślałam, że tego chciałeś... – Dostrzegła cień nadziei, liny obiecującej ratunek. Złapała się jej kurczowo.

– Ja też tak myślałem. Także walczyłem ze sobą. Nie mogłem spać, pracować... Nie mogłem stąd wyjechać, zacząłem znowu palić... Odmawiałem sobie ciebie, Julio.

Poruszyły ją te zwierzenia. Miał rację, ostatnio niewiele odczuwała; jakby wszystko wokół niej nagle przygasło, straciło barwy i wyraźne kształty. Była cicha i obojętna. A teraz nieoczekiwanie zrobiło jej się żal i Kena, i siebie, i tęczowego świata, który stracili.

– Myślałem, że zabrałaś mi już wszystko, że nic nie zostało, ale nie miałem racji. – Ujął jej twarz w dłonie i przyglądał się badawczo. – To nadal istnieje. Twoje oczy są tak samo zielone, twoje włosy tak samo jasne. Magia działa. Choć wiem, co się pod nią kryje, ona ciągle działa, nie dając mi spokoju. Ale inaczej nie byłaby przecież magią. Na tym to polega.

Żal umknął. Lina kruszyła się jej w palcach, strach wiązał na niej supły.

– Chciałem cię ukarać, ale ty się wymykałaś. Nie chciałem cię dotykać, bo bałem się, że nie będę umiał się powstrzymać. Bałem się, że dam ci władzę nad sobą, ale... przecież ja też mam taką samą władzę nad tobą. To jedyne, co nam zostało. To wiąże nas już na zawsze. Jesteś moja, nie chcę żadnej innej. Pogardzam sobą za to, ale nic nie mogę poradzić. – Przysunął usta do jej ucha. – Pragnę cię, bez przerwy. Nawet nie wiesz, ile razy byłem bliski przyjścia tu w nocy. Gotów byłem wziąć wszystko, co masz do zaoferowania, nawet siłą. – Potarł policzkiem o jej skroń, musnął wargami czoło. – Ale ty przecież jesteś sprytna... obróciłabyś to przeciwko mnie, a ja wycofałbym się ze strachu i obrzydzenia do samego siebie. Punkt dla ciebie. Dlatego wolałem siedzieć w swoim pokoju, licząc minuty do świtu, paląc papierosa za papierosem, nie mając odwagi postawić nogi na korytarzu. Zostawiałem cię samą, mając nadzieję, że cię złamię, ale ty schroniłaś

się pod opiekuńcze skrzydła Katarzyny i wymyśliłaś te swoje nocne spacerunki. Znowu mnie oszukałaś, wyprowadziłaś w pole. Ale to się już skończyło. Przyszedłem tu, bo muszę wreszcie przyznać, że cię potrzebuję. Nigdy nie myślałem, że to powiem, że będę prosić... ale potrzebuję cię i proszę, daj mi to... co błyszczysz w ciemności... – Zwilżył jej wargi swoim językiem, pocałował ją z taką czcią i hamowanym pożądaniem, że aż się przelękała. Paliło ją podniecenie, ale przeraźliwy chłód złego przeczucia chłodził ten żar. Nigdy tak do niej nie mówił, nigdy tak jej nie całował: z największą finezją, z zamierzoną perwersją. Włożył w ten pocałunek wszystkie swoje umiejętności, całe swoje doświadczenie.

Kłamał...! Kłamał każdym dotknięciem – perfekcyjnym muśnięciem rąk, czułością odmierzoną i wyważoną, tylko słowa dokładnie przemyślane bolały prawdziwie. Lina, która miała być ratunkiem, spętała ją i pociągnęła w dół.

– To fałsz, złoto głupców... taka jest ta nasza magia, Julio, zwykła sztuczka, ale działa... jak narkotyk, bez którego nie umiem się już obejść.

Była jak rozdarte drzewo – trzymała go mocno, by nie rozpaść się do końca, piła wilgoć jego warg, by nie wyschnąć na wiór. Ale to on był burzą, która ją powaliła. Kaleczył ją gorzko-słodkim pocałunkiem, rozdzierał słowami, niszczył pieśczętą rąk. Był taki łagodny. Chciał ją zniszczyć i robił to tak łagodnie...

Podprowadził ją do brzegu łóżka, stanął za Julią i wolno zsunął z niej szlafrok... koszulę... Poczowała gorące palce na nagich plecach, przesunął nimi wzdłuż ramion... łokci... splótł z jej palcami. Uwięził ją, oplątał swoimi i jej rękami. Przycisnął do siebie, wgarniając jej pośladki w kolebkę swoich ud. Jego miękki sweter stał się taki szorstki, sprany džins spodni – taki sztywny, a jej naga skóra była taka wrażliwa.

Językiem poznawał kształt jasnego ucha, znaczył mokre, gorące ścieżki na szyi, obojczyku... Lekkie ugryzienie w ramię było jak przystanek, niewinny czerwony ślad – palące piętno własności. Uwolnił jej ręce, uwięził piersi, a potem przykrył dłońmi widoczną już wypukłość brzucha...

– Nie skrzywdzę naszego dziecka, obiecuję. Ale nie walcz już ze mną. Nigdy... – gorący oddech i cichy szept we włosach przeszyły jej kark – ...nigdy więcej.

Chwycił jej biodra i lekko popchnął. Opadła na łóżko. Wspierając się na wyprostowanych rękach, zacisnęła palce na atłasowej pościeli. Pochylił się nad nią.

Przesunął ustami nad linią delikatnych kręgów. Usłyszała zgrzyt zamka. Perwersyjny dźwięk, perwersyjne dotknięcia. Ciężka duszna atmosfera czerwonego pokoju otoczyła ich, paraliżując zdolność rozumienia czegokolwiek prócz ogarniającej ich gorączki, zabiła wszystko, co nie było tą nieuleczalną zmysłową chorobą. Wdarła się do krwi i myśli, splamiła uczucia purpurą bolesnej rozkoszy. Nic już nie miało znaczenia prócz powolnego kołysania, pulsującego niespiesznego opadania i wznoszenia... w górę... gdzie jedwab włosów ocierał się o wełnę swetra... w dół... gdzie aksamit skóry pieścił szorstki dżins.

Nie było początku, nie było kresu, tylko zatracone w swoim rytmie fale. Dążyły bez celu, biegły w dal bez nadziei na wyzwolenie, bez nadziei na wspólny pełen radości i triumfu okrzyk: „Ziemia!”.

Spełnienie – zaledwie dreszcz lżejszy od szeptu, gorszy od zimna.

Opadli zmęczeni na łóżko, uczeplieni każdy swojej samotnej skały. Fale uspokajały się... oddalały się obojętne na wszystko... w końcu odeszły.

Nie patrzyli na siebie.

Zmywała z siebie tę miłość. Długo, dokładnie. Lodowate strugi miały splukać namiętność, której uległa, miały zalać żar, który wypalił ją za bardzo, pozaczył siateczką drobnych pęknięć. Stała się kruchym naczyniem dla życia, które w niej spało, bo tylko ono, maleńka iskra ciepła, nie pozwalało jej rozpaść się na miliony bezużytecznych części. Błędne ogniki lampek kuszące ją ze ścian łazienki nie mogły zmylić jej drogi. Ona już się zgubiła, zatraciła wśród mokradeł czerwieni...

„Znowu to samo – pomyślał niechętnie i odsunął talerz. Właściwie i tak nie miał apetytu. – Zachowuje się, jak gdyby nic się nie stało. Jakbyśmy nie kochali się zaledwie godzinę temu w jej pokoju, jakby nie było nam... tak...”.

Zabrakło mu słów, nawet w myślach nie potrafił opisać tego, co zdarzyło się na gorze w pokoju Pameli. Nie! W pokoju Julii. Nie mógł się pogodzić z niedosytem, jaki odczuwał. Nie tak miało być. Chciał błysku spełnienia, który wróci mu spokój, chciał dumnej radosnej satysfakcji, jaką daje kobieca uległość

i świadomość własnej przewagi, chciał zadowolenia i odprężenia, seksu, który zgasi pożądanie. Nie miało być smutku, poczucia winy i żalu, że wszystko wyszło nie tak... Niepotrzebne mu były wspomnienia, które wdzierały się do myśli, wciskały pod skórę jak natrętne drzazgi. Kłudy jego pamięć obrazem drobnych rąk wyciągających się do niego, dłoni nigdy niemających go dosyć, portretem żywej, pragnącej istoty, dającej mu w prezencie całą swoją jasność, a nie tej martwej natury biernego ciała, którego dotykał zaledwie godzinę temu.

Nie tego chciał! Ale nie chciał też miłości, uczucia, żadnych cudów! Nie chciał pamiętać pocałunków na dobranoc i uścisków na dzień dobry, beztraskich przekomarzań przy śniadaniu... Chciał zapomnieć, jak kiedyś usypiało go bijące tuż obok serce Julii, jak budził się z najgłębszego snu, gdy Julia odeszła choć na chwilę, bo brakowało mu tego uspokajającego rytmu pod dłonią. Nadal brakuje... i nadal budził się z najgłębszego snu...

Nie rozumiał tego. A Julia? Czy w ogóle się nad tym zastanawiała? Czy czuła podobnie? Na pewno nie. Jego żona znowu była taka jak zwykle. Starając się nie zwracać na niego uwagi, piła kawę małymi łydkami – milcząca i obca. Nieważne. To jeszcze mógłby znieść. Ale ona znowu grała, znowu... choć ją ostrzegał, prosił, by tego nie robiła. Nie posłuchała i... była lepsza niż kiedykolwiek przedtem. Unikała jego spojrzenia, bladła i drętwiała na sam dźwięk jego głosu; spłoszony wzrok, drżące ręce – wszystko to miało świadczyć, jak bardzo się go boi. Przestraszona, zagubiona, biedna mała Julia! Miał ochotę krzyknąć, potrząsnąć nią, uderzyć. Już wiele razy chciał to zrobić, gdy próbowała go przekonać, jakim jest podłym draniem, ale nigdy jeszcze tak bardzo jak teraz. Rozdrażnienie przemieniło się we wściekłość – zimną furię, palącą jak rozżarzony węgiel ściskany gołą dłonią. Dobrze. Jeszcze nie ma dosyć? Nie uwierzyła, że to koniec gierki? Nie zamierzał być dłużej papierowym mężem. Chciała mieć drania – to będzie go miała.

Dzień upływał w jakimś nerwowym pośpiechu; podobnie jak Julia nocy, on nie mógł się doczekać wieczoru.

Próbowała czytać, ale nie mogła się skupić. Schroniła się w oranżerii, ale nawet egzotyczne kwiaty, ich wieczna zieleń i skarbiec kolorów nie potrafiły na dłużej przyciągnąć jej uwagi. Była niespokojna. Dom też to wyczuwał. Słyszała na każdym rogu, z każdego kąta, odbijające się w każdym oknie jego niewyraźne ostrzeżenie: coś się stanie.

Musiła dać sobie radę z zamętem, jaki panował w jej myślach i uczuciach – potrzebowała pastelowego pokoju, ale bała się tam pójść.

Nie wiedziała, jak ma traktować Kennetha. Udawała, że nic się nie stało, ignorowała go, próbowała ignorować, bo coraz trudniej jej to przychodziło. Znajdowała się na krawędzi; widziała ją w kielichach kwiatów, na kartach książek, czuła, jak przecina na pół jej duszę. Z jednej strony została tylko rezygnacja, zgoda na wszystko i pragnienie, by móc się ukryć w bezpiecznym, zamkniętym świecie – w azylu własnej pocieszającej wyobraźni i bajkowych wspomnień. Z drugiej była o krok od szaleństwa, panicznej ucieczki przed siebie, od siebie, od Kena, tego domu... od wspomnień... pragnień, które nie chciały umrzeć, i marzeń, które umierały na jej rękach.

A na samej krawędzi był spokój – ulotny, złudny, ale pokrzepiająco obojętny i normalny; pozwalał oddychać, pozwalał spać.

Dzień w końcu doczekał się swojego szarego brata, a wieczór przyprowadził za rękę ich ociągającą się, kapryśną ciemną siostrę.

Julia, gdy tylko się położyła, zasnęła natychmiast, odruchowo. Po kilku godzinach koszmar obudził ją jak każdej nocy. Instynktownie sięgnęła po latarkę ukrytą pod poduszką. „Muszę iść, a on tego nie chce zrozumieć. Znowu nic sobie nie wyjaśniliśmy, znowu nie pozwolił mi niczego wytłumaczyć...” – myślała, zakładając szlafrok. Choć próbowała, starała się, Ken nie chciał jej słuchać, tylko mówił... mówił, a potem... Poszli do łóżka? Uprawiali seks? Jakkolwiek to nazwać, na pewno nie kochali się dzisiejszego poranka.

Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Jeszcze raz. Szarpnęła. Jeszcze i jeszcze! Upuściła latarkę. Obiema rękami chwyciła za oporną klamkę i zaczęła szarpać, naciskać raz za razem. Ale drzwi nie chciały się otworzyć. Pozostały głuche i odporne. To nie klamka się zacięła, to drzwi były zamknięte! Ktoś je zamknął od zewnątrz. Zamknął ją tu w środku, żeby nie mogła wyjść, żeby nie mogła się wydostać! Przyłgnęła do przegrody oddzielającej ją od uśpionego domu... od całego świata i zaczęła nasłuchiwać. Cisza. Dom spał, wszyscy spali... nie! Chyba usłyszała kroki. Znowu szarpnęła klamkę.

– Halo! – zawołała. – Jest tam kto? Proszę mnie wypuścić!

Waliła pięściami, kopała, ale obite czerwona skórą drzwi skutecznie tłumili jej gniew zrodzony z rozpacz. Nie słyszała już kroków, niczego już nie słyszała

prócz szalonego bicia swojego serca i przyspieszonego przerażeniem oddechu. Nagle odniosła wrażenie, że ktoś jej się przygląda, patrzy na nią przez skórę i drewno. Rozpostarła ramiona i przywarła całym ciałem do drzwi, jakby chciała objąć tego, który stał za nimi.

– Wypuść mnie! Wypuść... – Osunęła się na podłogę. – Chcę stąd wyjść... – Szloch, jęk dławiony jak dłoń zaciśnięta wokół szyi. Oparła głowę o drzwi. – Dlaczego mi to robisz? Nie mogę tu zostać, boję się... – Nie krzyczała. Słowa, które z siebie wyrывała, były oblepione łzami i błotem strachu: z trudem nawet szeptały.

„Światło – pochwyciła myśl, obcą, może złą, może tylko zniecierpliwioną. – Jak się boisz, zapal światło, to pomaga...”. Obróciła się i spojrzała na pokój za swoimi plecami. I tak było w nim za dużo światła. Powinna zasunąć zasłony – księżyc w pełni zawsze jest taki szczodry. „Będzie jeszcze gorzej, gdy zapalę światło. Znowu będzie tak czerwono, tak strasznie... Ona znowu będzie się ze mnie śmiała. W ciemności przynajmniej jej nie widzę”.

Myśli Julii poszybowały śladem pozostawionym przez intruza, ale... obca myśl zniknęła; umilkły oddalające się kroki, została sama. „Dlaczego?! Dlaczego, co ja takiego złego zrobiłam?! Boję się... boję!”.

Patrzyła na cienie szykujące się, by ją złapać. Krawędź – jedyna oaza spokoju – ugięła się pod nią. Trzymała się jej kurczowo, ale strach, który niosła, był zbyt ciężki. Krawędź rozmyła się i Julia wpadła w otchłań chichoczących duchów, pełną słów dawnych obietnic, wyśmiewających teraz jej rozpacz, i przedrzeźniających oszalałe myśli: „nienawidzę cię... pobierzemy się... wszystko będzie dobrze, nie skrzywdzę cię... nienawidzę cię... nie walcz ze mną... uwolnij się, nie udawaj... nie przede mną, nie przed sobą... nie męcz siebie...”.

Zapaliła światło. Spadła na nią kaskada czerwieni, czerni i wrzasku, prysnęła jej w twarz złowieszczym śmiechem. Zrobiło się jasno jak w dzień, jakby znowu było rano... Rano... świt... krawędź łóżka, dzins i wełna przy nagiej skórze... okrutne, bolesno-słodkie falowanie... Nie myśleć! Nie pamiętać! Przywołała ciemność z powrotem. Nie było ucieczki, nie było wyjścia! „Gdzie mam się schować? Gdzie się mam ukryć, by przeżyć. Chociaż po co... dla kogo?”.

Dzban, którym była – pękł. Drzewo, którym była – umarło. Rozpaczliwie przyciskała dłonie do brzucha, do dziecka, nie wiedząc, jak je teraz chronić.

To miłość kazała jej szukać gliny, by ulepić nowy dzban, rozgarniać ziemię, by znaleźć ziarno, z którego wyrośnie nowe drzewo.

Wtuliła się w róg pokoju. Tu było ciemno, bezpiecznie. Wsparła się dłońmi o ściany – były twarde i mocne – nie wciągną jej, nie pochłoną, dadzą oparcie. Skuliła się na podłodze. „Poczekamy. Poczekamy na świt. Dom się obudzi i nam pomoże, ale teraz śpi i nic nie może zrobić. My też będziemy spali. Poczekamy. Zamkniemy oczy... Księżyc jest dzisiaj niedobry, świeci tak jasno. Za jasno. Może już nas nie lubi, może się o coś gniewa... Zamkniemy oczy. Będzie ciemno, bezpiecznie, a razem będzie nam ciepło. Przekonasz się... Nie słuchaj ich, nie słuchaj! To tylko te złe maski drwią z nas... szczerzą się dziurami ust... chwalą, że z ich pustych oczu łzy nie płyną. Nie słuchaj tego! Nic nam nie mogą zrobić. Zamknij oczy. Ja zamknęłam i nie słucham... Nie bój się! Nie bój się jej. To tylko ta jej czerwona suknia śmieje się z nas, że daliśmy się złapać. Mówi, że jesteśmy głupi... tacy nudni i naiwni... i że nikt nas nie kocha... że nikt nikogo nie kocha... ale nie słuchaj jej, ona nic nie wie! Stryjek, Sunny... oni nas kochają. Ken... kiedyś... prawie mnie kochał, ale ciebie będzie kochał, na pewno! Ona nie ma racji, nie wszyscy są podli i okrutni, nie wszyscy myślą tylko o sobie. Jesteśmy razem, to się liczy. Nie słuchaj ich, nam się uda. Zaśniemy... poczekamy. O świcie dom się obudzi i nas wypuści, opowie o wszystkim Katarzynie, Manuelowi, oni są dobrzy, przyjdą po nas. Zaśpiewam ci, chcesz? Śpij, a ja nam zaśpiewam...”.

Z własnego ciała zrobiła kołyskę – z podwiniętych nóg, z ramion obejmujących kolana i wtulonej w nie głowy. Z ciemności, z cichych, monotonicznie powtarzanych zaklęć, z uspokajających wspomnień przędła kołysankę. W ciemnym rogu pokoju tworzyła nowe naczynie, niewidzialną skrzynię, w której ukryła swój skarb. Musiała go chronić przed napaścią czerwieni, przed czającym się za granicą ciemności szaleństwem.

Ken opędzał się od fal strachu i winy, które za nim goniły. To nie był jego strach, to nie była jego wina, nie jego myśli! Wmawiał sobie z szaleńczym uporem, że nic złego się nie stało, nic strasznego. Ale uciekał... uciekał przez całą noc. Najpierw pilnował... czekał, aż ona się obudzi, a potem uciekł.

Ryzykując, że skręci kark, galopował, gnał przed siebie ciemną drogą, tropem srebrzystego ściegu, który pozostawiła po sobie ręka księżycowego krawca. Świst wiatru porwał do tyłu tamten szloch, chrapliwy oddech wierzchowca zagłuszył czepiające się pamięci prośby, stukot kopyt zlewał się z rozpaczliwym

pukaniem, które zostawił za sobą.

– Ken, czy ty zupełnie oszalałeś?! – Wyraz twarzy Katarzyny wiernie oddawał zgrozę słyszalną w jej głosie. – Chcesz powiedzieć, że całą noc jeździłeś konno?

– Niczego nie chcę powiedzieć. – Nie chciał rozmawiać, słuchać, nie chciał nikogo widzieć, ale miał pecha... i trafił na Katarzynę.

– Nie, ty nic nie mówisz, tylko zjawiasz się o świcie w kuchni: przepocony, choć na dworze mróz, tylko w swetrze, bryczesach i butach do konnej jazdy. A Marta słyszała od stajennego, no wiesz, tego nowego, małego Boba, że prawie zajeździłeś swojego ulubionego ogiera.

– Chyba go zwolnię, za dużo gada – mruknął.

– Nie strasz! Służba zawsze plotkuje.

– Właśnie słyszę – wypalił, zanim zdążył pomyśleć. Był rozgoryczony, ale nie aż tak, by wyładowywać się na Katarzynie.

– Ken... Jak możesz? – Nerwowo potarła dłonie o fartuch, zamrugała szybko powiekami.

– Przepraszam. Nie to... och, do diabła! Doskonale wiesz, że nie to chciałem powiedzieć. Chyba lepiej będzie, jak już sobie pójdę. – Ale nie odchodził. Objął się ramionami i zamknął oczy.

– Już dobrze, dobrze... Przecież widzę, że coś się stało. Mało nie skręciłeś karku, a do tego mogłeś się przeziębic, złapać zapalenie płuc! Czy ty w ogóle nie myślisz! Powiedz wreszcie, co się stało?

– Nic!

– Nic?! I dlatego Julia nie przysłała wczoraj do kuchni, choć robiła to do tej pory każdego ranka, a ty jeździłeś jak wariat przez całą noc? Kogo chcesz oszukać?

– Julia nie przysłała tu wczoraj? – zainteresował się nagle i zaintrygowany

zmarszczył brwi. – Zrezygnowała z porannych plotek i opowieści? Wyjątkowo postanowiła nie uważać się nad sobą i darowała sobie twoje pocieszające uściski i smakołyki?

– Nie kpij! – Katarzynie zupełnie nie przypadły do gustu złośliwe uwagi Kennetha. – Nie, nie przyszła. Śniadania też nie jadła; wypła tylko kawę razem z tobą w jadalni. Od dwóch miesięcy, od kiedy ją tu przywiozłeś, przychodziła codziennie, a wczoraj nie! Teraz też jej jeszcze nie ma. A ty, mądralo, skąd możesz wiedzieć, o czym rozmawiamy lub co robimy tu każdego ranka? Podsluchujesz pod drzwiami?

– Nie muszę... – odparł, ale spojrzeniem umknął w stronę drzwi.

– Doprawdy? Skoro jesteś taki wszystkowiedzący, to powiedz mi, z łaski swojej, gdzie jest Julia, czemu jeszcze nie zeszła na dół?

– Czemu nie zeszła...?

I nagle sobie przypomniał. Tak usilnie starał się to wypchnąć z pamięci, że udało mu się aż za dobrze. Nie mogła zejść na dół: tkwiła w zamkniętym pokoju. On ją w nim zamknął.

– Zaraz ją wypuszczę. – Zorientował się, że powiedział to na głos, gdy było już za późno.

– Co? Wypuścisz ją? Skąd?! Ken, żądam, żebyś mi wszystko wyjaśnił! Słyszysz?! Tak dalej być nie może. To już przekracza wszelkie granice. Robicie sobie krzywdę! Czy ty tego nie widzisz? Zrozum... – Jej słowa goniły go nieustępliwie, choć już wyszedł z kuchni. – Ken... coś ty zrobił? – Katarzyna podążyła za nim. Nie wiedział, jak się jej pozbyć.

– To moja sprawa. Zostań tu, nie idź za mną!

– Nie ma mowy! Wybij to sobie z głowy! – Przyspieszyła kroku, widząc, że Ken nie zamierza na nią poczekać. – Dostyc już mam tej mojej... neutralności! – wysapała rozeźlona, łapiąc oddech. – Nie wtrącałam się, ale dostyc tego! To wszystko naprawdę posuwa się za daleko. Nie widzisz tego czy nie chcesz wiedzieć?!

Wyciągnął klucz z kieszeni spodni. Był ciepły, gorący – palił go przez całą

noc.

Cisza. Przywitała go cisza. Pomyślał z ulgą, że Julia jeszcze śpi, ale... łóżko było puste.

Katarzyna weszła tuż za nim.

– Julio...? Gdzie ona jest? – Patrzyła na niego, żądając odpowiedzi. Rozejrzał się niepewnie po pokoju i dostrzegł ją. W kącie pokoju, ukryta za bieliźniarką, tuliła się do własnych kolan.

Słońce dotknęło przeciągającej się czerwieni. Niezadowolone szukało dalej. Jest! Pogłaskało obeschłe łyzy na bladym policzku. Julia już nie spała. Słoneczne pytanie zdumiało ją. „Łzy? Nie wiem... kiedyś miałam ich tyle, teraz wszystkie gdzieś odeszły. Nie pytaj mnie. Nie wiem, gdzie są”.

– Julio... – Jakaś kobieta podeszła do niej, wyciągając ramiona. Puste oczy Julii przyglądały się jej krągłej postaci. Znała ją. „Dom się obudził. Zawołał Katarzynę, słyszysz? Przyszła po nas”.

Wstała i przytuliła się do zmartwionej gospodyni. Jakiś mężczyzna patrzył na nie. Przywarła mocniej do Katarzyny.

Gospodyni bez słowa wyprowadziła Julię z czerwonego pokoju. Obejmując ją jedną ręką, drugą wyciągnęła w jego stronę.

– Daj mi go! – Nie żądała, nie prosiła, po prostu...

Podał jej klucz. Zacisnęła go w dłoni i schowała do kieszeni fartucha.

– Pójdziemy teraz do kuchni. – Słowa wymawiała wolno i dokładnie, jakby Julia była dzieckiem, które dopiero uczy się rozumieć. – Potem zabiorę stąd twoje rzeczy i przeniosę do innego pokoju. Będziemy musiały się zastanowić do jakiego...

– Do pastelowego... – Jej cichy, chrapliwy głos sprawił, że znieruchomieli.

– Do pastelowego... – powtórzył, ale go nie usłyszała.

Katarzyna, patrząc na nią uważnie, zapytała:

– Pastelowego? Masz na myśli ten kremowy naprzeciw dawnego, dziecięcego pokoju Kena?

Julia skinęła głową.

– Tak, właśnie ten. Czy mogę...? – Nie dokończyła, jakby mowa była nadal zbyt trudna dla jej krtani i języka.

– Ależ oczywiście! – uspokoiła ją Katarzyna. – Jeżeli ci się podoba. Zresztą powinnam się domyślić, że ten pokój wybierzesz – pogłaskała ją po policzku – przypomina ciębie.

Patrzył na nie oszołomiony, na więź, jaka tworzyła się między nimi, wspólnotę wykluczającą obecność kogokolwiek obcego. A on był obcy. Znowu. Zrozumiał, że przegrał. Walczył, jeszcze walczył, i wiedział, że będzie wciąż próbować, ale... czy i tak nie był zawsze, za każdym razem skazany na przegraną?

– Katarzyno! – prawie zawył, choć więcej w tym było błagania niż ostrzeżenia.

Wyciągnął ręce w jej kierunku i zobaczył swoje rozpostarte zakrzywione palce, które drżały rozpaczliwie, drapieźnie. Przestraszony cofnął dłonie, zacisnął w pięści i uderzył nimi w ścianę za sobą.

– Czy ty naprawdę nic nie widzisz, nic nie rozumiesz? – zapytał już ciszej, choć z nie mniejszym napięciem w głosie. – Już tylko aureoli jej brakuje! Chociaż nie. Ona już świeci!

– Ken, ty chyba oszalałeś... – Katarzyna wydawała się przestraszona, ale patrzyła na niego podejrzliwie i wysunęła się przed Julię.

– Tak, oszalałem! Zobacz, nawet teraz próbujesz jej bronić! Czy ciebie nie dziwi, że ona zawsze wie, jak się zachować, że nigdy nie wychodzi z ram tego swojego świętego obrazu? Zawsze wie, co powiedzieć, a kiedy najlepiej nic nie mówić. To nienaturalne, nieprawdziwe... A ten pokój...? Czerwony znieawidziła

od razu. Dlaczego? Zastanawiałaś się nad tym? A jaki wybrała? Kremowy! Dlaczego akurat ten?! Jest tyle innych, ale zdecydowała się natychmiast, bez zastanowienia. Wiesz dlaczego? Bo on pasuje, idealnie pasuje do historii, którą zmyśliła na swój temat. Katarzyno, czy ty jesteś ślepa?! Ona gra! Gra tak dobrze, że sama w to uwierzyła, ale...

– To ty jesteś ślepy, Ken! – krzyknęła roztrzęsiona Katarzyna. Była zła i bardzo zdenerwowana. – Ślepy i chory, tylko nie wiem z czego bardziej: z nienawiści czy z miłości! – Kenneth zbladł. – Tak, Ken, tak! Kiedyś sądziłam, że nie możesz dać sobie rady z tym uczuciem, ale teraz patrzę na ciebie i myślę, że jeżeli to jest miłość, to bardzo dziwna, nie tylko ślepa, lecz także głucha i niema. – Przynęła się do niego bliżej, nadal jednak osłaniając sobą Julię. – I myślę, że jesteś bardziej podobny do swojej matki, niż byś chciał, a na pewno niż ja bym chciała. Zostawiła ci w spadku swoją nienawiść. Ona ją pochłaniała, pożerała, niszczyła i... z tobą będzie tak samo, jeżeli się nie opamiętasz. – Kenneth pochylił głowę, która opadała niżej i niżej... Była tak ciężka, taka potwornie ciężka. – Nie wierzyła w nic i w nikogo. Mówiła mi: „Katarzyno, świat jest brudny i zły, pełen małych krętaczy, a wszyscy ci głupcy myślą tylko o seksie, pieniądzu i władzy, czasami tylko zmieniają kolejność. A ja, Katarzyno, mam to wszystko! Ja mam!”. I śmiała się, pamiętasz? Tobie też to mówiła i też się śmiała. Ona również zamykała czerwony pokój, pamiętasz, Ken?

– Nie! Nie mów, nie chcę niczego więcej słyszeć! – Patrzył w jasnoniebieskie oczy wróżki: stare i młode, czarne i niebieskie... inne i takie same. Usłyszał gwar wesołego miasteczka stłumiony czasem i płóciennymi ścianami cygańskiego wozu.

– Nikt nie chce słyszeć. Pyta, żąda... ciągle szuka prawdy, a potem jej nie chce. Ale ty i tak to słyszysz, czy chcesz, czy nie... wciąż to słyszysz, wciąż pamiętasz... Pamela, ona lubiła zło i brud. Zamykała się, by móc się nim cieszyć, by się w nim pławić... I nie chciała, by cokolwiek jej przeszkadzało czy przypominało, że świat wcale nie jest taki ohydny. Twój ojciec wyjeżdżał, a ona zamykała się w czerwonym pokoju, ale od środka, Ken, od środka i nie sama. Prawda? Nie sama... Ilu ich było, Ken? Ilu? Mogła nie wychodzić przez tydzień, tylko jedzenie kazała sobie zostawiać na tacy przed drzwiami. Taka była Pamela, ale Julia to nie Pamela...

Obejrzała się za siebie, jakby chciała się upewnić albo zmusić Kennetha, żeby dokładnie przyjrzał się Julii. Jego wzrok podążył za spojrzeniem Katarzyny i dotknął nieznajomej dziewczyny, zdającej się nie zauważać ani jego, ani toczącej

się rozmowy. Nieobecna duchem, trzymała się jednak blisko osłony i wsparcia, jakie dawała jej pulchna postać gospodyni.

– Ona jest twoją żoną, a nie twojego ojca. Czemu więc karzesz Julię za to, czego nie zrobiła? Pamela sama wybrała, a ty w jej życie, w jej przerażający świat wciskasz Julię, dopasowujesz na siłę! Dlaczego zamykasz ją w cudzych koszmarach? Odciąłeś ją od wszystkiego, co znała i kochała: pracy, rodziny, przyjaciół. A co dałeś w zamian? Cudze winy, cudze grzechy. Widziałam, jak ukradkiem dzwoniła do domu. Bała się, że tego też jej zabronisz. Wiesz, co mówiła? Że wszystko w porządku i żeby się nie martwili. Co ona takiego zrobiła, ale... naprawdę, co ona zrobiła?! Wymierzasz karę, ale gdzie wina, gdzie? Powinam ją widzieć, skoro pokuta jest tak duża, a nie widzę. Dlaczego to robisz, dlaczego?

Smutek, troska, rozgoryczenie, złość – czy cokolwiek było w stanie dotrzeć do Kennetha? Katarzyna nie wiedziała, nie rozumiała go już, jakby nigdy go nie znała. Nadal był jej chłopcem, nadal go kochała, ale nie umiała już do niego dotrzeć.

Odeszły. Może powinien za nimi biec, spróbować wytłumaczyć Katarzynie... ale niczego by to nie zmieniło. Przegrani tracą prawo głosu, nikt ich nie słucha, to zwycięzcy zawsze mają rację.

– Ken...

Manuel podszedł cicho i dotknął opuszczonego ramienia młodszego mężczyzny. Prayton dopiero teraz go zauważył. Podniósł głowę i patrzył na lokaja długo, jakby nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna. Manuel prawie poczuł ból, który dla Kennetha był jak stary znajomy – ni to wróg, ni przyjaciel, taki, który każdą bezsenłą noc odkreśla na twarzy kolejną, wyżłobioną zmęczeniem zmarszczką. „Czy to jest udręka?” – pomyślał służący, ale nie znalazł odpowiedzi na swoje pytanie.

– Ja tylko chciałem zdrapać tę pozłotę z wierzchu, chciałem wam pokazać, że pod spodem nie ma żadnego arcydzieła, tylko kicz, zwykły kicz, nic więcej... Rozumiesz mnie, Manuelu? Ale nie udało się... przegrałem. – Ukrył twarz w dłoniach i zaczął rozmazywać nimi po policzkach, czole, oczach... swój żal, zmęczenie, gorycz porażki.

– Kenneth, a pomyślałeś... czy choć raz pomyślałeś, że mogłeś się pomylić, że nie masz racji? Ken, pomyślałeś...?

Rozpacz przecisnęła się przez barierę palców i w kilku łzach opadła na podłogę; ale szare oczy Kena, gdy wreszcie je odsłonił, były suche i obłąkane.

– Czy pomyślałem? Czy pomyślałem...? Czy ja pomyślałem?!

Manuel wiedział już, jak wygląda udręka.

Gdyby mógł nie wrócić... Ale wracał. Zawsze wracał; do domu, który go przywoływał, do nieznanym kobiecie, która milczała.

Musiał jeździć do City, telefon i internet nie wystarczały, czasami po prostu musiał pojechać i sam się wszystkim zająć.

Musiał jeździć do City i cieszył się na te wyjazdy jak dziecko na wakacje. Gdy tylko opuszczał granice posiadłości, czuł się wolny, bardziej swobodny, jakby zostawiał za sobą ciężar obowiązku i przymusu. Kilka dni... czekało na niego kilka dni odpoczynku, zawieszenia broni – coś takiego jak w koszykówce, bierzesz czas, by zastanowić się, co dalej. Z każdą przejechaną milą jego podniecenie rosło. Był jak uczeń na wagarach – głębiej oddychał i wiele sobie obiecywał.

Pierwszej nocy zapominał o bezsenności. Spał długo, głęboko i bez żadnych snów. Następnego dnia rzucał się w wir zajęć, jakby czas spędzony w posiadłości był stracony i jałowy nie do wytrzymania. Spotkania, narady, umowy, podpisy, negocjacje. Do wieczora załatwiał wszystko, co należało załatwić.

Druga noc mieszała się z niespokojnymi snami, dymem papierosów i zapachem whisky.

A rano wracał. Wracał ponaglany myślą, że to, co zostawił, zniknie; popędzany obawą, że milczenie pryśnie, a dom, który opuścił, nie zechce go przyjąć z powrotem.

Musiał jeździć do City. Potem, za jakiś czas, znowu musiał...

Wracał. Zawsze wracał. Wymykał się na kilka godzin, które rozciągały się często na cały dzień, by – jak to złośliwie określała Katarzyna – „popracować nad majątkiem”, ale wracał. Wracał do domu, w którym czuł się jak intruz, do nieznanym kobiecie, która była jego żoną.

Tak naprawdę tylko w stajni witano go z radością. Koni czekało kilkanaście i wszystkie potrzebowały ruchu, a on uczciwie obdzielał je rozpierającym go pragnieniem ucieczki. Razem z nim przypominały sobie polne drogi, oszronione lasy i śnieg topniejący na uliczkach miasteczka.

Co rano objeżdżał prawie całą posiadłość i zdążył się naprzykrzyć zarówno dzierżawcom, jak i zarządcy. Nie pochlebiali im bynajmniej, że Ken zdawał się sprawdzać na nich prawdziwość przysłowia: „Pańskie oko konia tuczy”. Prayton doskonale ich rozumiał; przez ostatnich pięć lat w ogóle tu nie zaglądał, a teraz zachowywał jak idealny gospodarz. Rozumiał, gdy obrzucano go podejrzliwymi, choć nie pozbawionymi niechętnego szacunku, spojrzzeniami. Rozumiał irytację Kevina Marinusa – zarządcy od dziesięciu lat, który wiedzę o posiadłości miał w małym palcu. I naprawdę nie mógł mieć mu za złe, gdy ten wreszcie wybuchnął.

– Kenneth, do licha! Znamy się nie od dzisiaj, więc powiem ci bez ogródek: albo przestaniesz, albo ja się zwalniam! – Ogorzały, silnie zbudowany mężczyzna koło czterdziestki był zły i nie blefował. Księga rachunkowa, o którą znowu poprosił Prayton, wylądowała z trzaskiem na biurku. Ken położył na niej rękę, jakby chciał uspokoić roztrzęsione kartki.

– Widzę, że się zdenerwowałeś...

– Jak diabli! Choć tak naprawdę denerwuję się bez przerwy, od czasu gdy się tu zjawileś. Przecież wiesz, na jakich warunkach zgodziłem się pracować dla ciebie, tak? – Kevin popatrywał na Praytona, jakby jednak podejrzewał go o utratę pamięci.

– Tak, wiem, wolna ręka... – odparł niechętnie Ken, potwierdzając, że to nie dziurawa pamięć jest powodem tak nienormalnego dla niego zachowania.

– No właśnie. Obiecałeś dać mi wolną rękę. Żadnego konsultowania, uzgadniania nowych inwestycji, tłumaczenia się z każdego kroku. Ja miałem podejmować decyzje i ja miałem za nie odpowiadać, wszystko jedno, czy

chodzący o zakup grabi, czy nowego ciągnika. – Wziął się pod boki i patrzył na swojego pracodawcę groźnie i z wyrzutem, uznając, że Ken po prostu złamał dane mu słowo.

– Wiem, ja to wszystko wiem, Kevinie. – Raniło dumę Praytona, że traktuje się go jak niesłownego smarkacza, ale niestety zarządca miał rację. Zgodził się na jego warunki wręcz entuzjastycznie. Kończył wtedy studia i świat stał przed nim otworem. A konkretnie świat City ze swoją wciągającą jak wir rywalizacją, odwieczną grą i podniecającym smakiem ryzyka. Powiedział wtedy Kevinowi, że nie zamierza być rolnikiem, że zdecydowanie bardziej woli karierę bankiera. Dlatego przyjął energicznego zarządcę z otwartymi ramionami. Szybko polubił młodego człowieka o nowoczesnych poglądach i szczerych oczach, posiadającego również odpowiednie wykształcenie i już wtedy niemałe doświadczenie. Zatrudnił go, zaufał mu i przez dziesięć lat Kevin ani razu go nie zawiódł. Dlatego teraz miał święte prawo kipieć złością i oburzeniem.

– Kenneth, ja po prostu nie umiem tak pracować! Mam wrażenie, że mnie pilnujesz, sprawdzasz; bez przerwy o coś pytasz, chodzisz za mną, wypytujesz moich ludzi. Wydaje mi się, że ciągle patrzysz mi na ręce. To przeszkadza. Czy ty naprawdę nie masz nic innego do roboty? Nudzisz się czy co? Przyjechałeś tu na swój miodowy miesiąc, który co prawda już się skończył, ale nadal masz ładną miłą żonę, a zamiast się nią zajmować, objeżdżasz pola i zwiedzasz obory. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – A już ostatnio przechodzisz samego siebie, wszędzie cię pełno, to naprawdę staje się nie do zniesienia! Pomijając fakt, że się na tym nie znasz, ty przecież nawet tego nie lubisz! – Westchnął głęboko. – Za to ludzie zaczynają gadać... – Pocierał i gładził nerwowo szpakowatą brodę, a w jego głosie pojawiło się rozgoryczenie.

– Gadają...? – Ken zeszywniał. Czy to możliwe, żeby jego małżeństwo stało się obiektem plotek? Może wcale nie tak trudno zauważyć, że źle się w nim dzieje? A może dowiedzieli się, że zamknął Julię... Patrzył prosto na Kevina świadom rumieńców, jakie wypłynęły na jego twarz. Ogromny wstyd palił mu policzki. Nie zamierzał zgłębiać natury tego wstydu, było mu też obojętne, czy Kevin to widzi, czy nie; po prostu musiał wiedzieć. – Gadają? – powtórzył. – Niby o czym?

– No gadają, głupio... Mówią, żeś przyjechał tu, bo mi nie ufasz, bo podejrzewasz, że cię... okradam. Patrzą na mnie jak na czarną owcę, unikają, nie ma nawet mowy o wspólnym piwie po pracy. – Marinus był silnym człowiekiem, ale niewątpliwie męczyła go sytuacja, w której znalazł się z winy pryncypała. Był uczciwy wręcz do ostentacji i niesłuszne oskarżenia bolały go przez to o wiele

bardziej.

– Wybacz, Kevin. To wszystko moja wina. Ostatnio ciągle muszę kogoś przeproszać. Nie przewidziałem konsekwencji swojego zachowania, chociaż wcale mnie to nie tłumaczy. Uwierz mi, naprawdę, uważam cię za wspaniałego zarządcę. Miałem dużo szczęścia, że trafiłeś do mnie. – Pochmurna mina Kevina rozpogodziła się nieco; w końcu każdy lubi pochwały. – Gdybym choć spróbował szarogęścić się tak w kuchni i w domu, jak to robiłem w gospodarstwie, Katarzyna chyba... – Spojrzenie Kevina było aż nadto wymowne. – No właśnie. Dlatego postaram się powstrzymać i nie wchodzić ci w paradę. Nie obiecuję, że zupełnie zejdem ci z drogi, bo ostatnio doszedłem do wniosku, że praca rolnika może być równie pasjonująca co praca w banku.

Na twarz zarządcy pojawia się uśmiech, a w głosie żartobliwa nuta.

– Pewnie, pewnie... Tylko krowa nie zmienia poglądów, a jeżeli rzeczywiście chcesz tu zostać na stałe, to nawet powinieneś dowiedzieć się czegoś o swojej ziemi. Mogę udzielić ci kilku lekcji, lecz żeby wszystko było jasne: ty możesz sobie być właścicielem tego jachtu, ale ja jestem kapitanem, a na morzu...

– Tak jest! Na morzu kapitan jest pierwszy po Bogu, a właściciel znaczy tyle co zwykły majtek. – Ken roześmiał się, choć właściwie nie miał powodów. Teraz będzie musiał znaleźć sobie inne zajęcie, nowy pretekst do ucieczek z domu.

A dom? Myślał, że znalazł tu nareszcie swoje miejsce... Ostatnio jednak jego dom zmienił się w rodzaj gigantycznego ula. Zabiegane, pełne poświęcenia robotnice – Katarzyna, Manuel, Marta i reszta służby – kręciły się i biegały wokół swojej królowej matki, którą jednogłośnie została mianowana jego żona. Jemu natomiast przypadła rola trutnia – był zbędny, już niepotrzebny, tylko zawadzał i denerwował Julię. I właśnie tak się czuł, choć przynajmniej w jednym się mylili. Nie mógł denerwować Julii, bo jej nic nie było w stanie zirytować. Była ponad tym całym zabieganiem, rozdzielając łaskawie uśmiechy, a oszczędniej słowa, jakby w jej prywatnym skarbcu zabrakło tej akurat monety. Jego nie dostrzegała – równie dobrze mógłby nie istnieć. Gdy próbował z nią rozmawiać, patrzyła na niego apatycznym i nieco zdziwionym wzrokiem. Czyżby nagle stał się niewidzialny? Czyżby nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął mówić jakimś archaicznym językiem?

Nawet stary dobry Manuel zachowywał się jak samczyk, szykujący gniazdko dla swojej samiczki. Znosił Julii prezenty i pomagał się mościć. Odnowił specjalnie dla niej bujany wiklinowy fotel i sam, bez niczyjej pomocy, wtaszczył go na górę. Podarował jej wyrzeźbioną przez siebie szkatułkę, z ukrytą w środku pozytywką, a także odszukał i oczyścił kołyskę, którą dawno temu zrobił dla swojego starszego syna. Nieoczekiwanie Manuel przypomniał sobie, że stolarstwo i ciesielka to jego hobby. Gdy Katarzyna postanowiła pokój obok pastelowego przerobić na dziecięcą sypialnię, Manuel obiecał, że się tym zajmie – zrobi mebelki, boazerię, wszystko co trzeba. Julia podziękowała mu uśmiechem, którego Ken dawno u niej nie widział i który wrócił do niego w nocy, rozpoczynając kolejne godziny długiego czuwania.

Mimo wszystko musiał przyznać, że Julia nie zmieniła za bardzo swoich obyczajów. Może była bardziej milcząca, bardziej zamknięta w sobie, może teraz zamiast wędrować po nocy po prostu spała, ale nadal czytała, odkrywała dom, chodziła na spacer, spędzała ranki w kuchni, kawę piła razem z nim... Tyle że obecnie Katarzyna zawsze pytała, czy ma na to ochotę, a ona po prostu brała swój kubek i przenosiła się do jadalni. Niby czemu nie? Przecież mogła sobie pozwolić na taki gest w stosunku do niego. Teraz, gdy w niczym już jej nie zagrażał, gdy dla wszystkich wokół najważniejsza była Julia, gdy liczyło się tylko jej zdrowie, dobre samopoczucie, jej życzenia, jej dziecko... Teraz to drobne ustępstwo z jej strony nie miało już żadnego znaczenia.

Wszystko się zmieniło. Od momentu kiedy Katarzyna objęła Julię i wyprowadziła z czerwonego pokoju, dziewczyna już się z tych objęć nie uwolniła. Czy tego chciała, czy nie, wojownicza gospodyni stała się jej zastępczą matką, bardzo zaborczą, bardzo troskliwą, która w jej imieniu wypowiedziała Kenowi wojnę. Twardą, podjazdową – na groźne spojrzenia, złośliwe uwagi, na pełne oburzenia milczenie i całe potoki gniewnych słów – nie było szansy na remis ani tym bardziej na wygraną. Katarzyna oczekiwała absolutnej, bezwarunkowej kapitulacji. Zresztą i tak już przegrał, na całej linii, nie jedną walkę, ale całą wojnę. I choć nadal walczył, to chyba tylko z przyzwyczajenia, a może po prostu nie wiedział, jak się poddać.

Nadal nie ufał Julii, nie potrafił, tak jak Katarzyna, wierzyć bez zastrzeżeń, ale nawet on zaczął dostrzegać, ile błędów popełnił. Tak bardzo chciał udowodnić sobie i Julii, że nie dał się nabrać na ten jej obraz skrzywdzonej niewinności, że przesadził. Docinki, ciągłe złośliwości, wyniosłe milczenie przechodzące w niekontrolowane przesłuchania, niespodziewane przyjęcia, na których pozwalał ją krytykować, wręcz obrażać, jego ostentacyjny chłód lub, na odwrót, wylewna

jowialność – posunął się chyba za daleko.

Najgorsze były te przyjęcia. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, gdy dotarło do niego, na co się zgadzał, co tolerował pod własnym dachem. Spraszał gości tylko po to, by mieli o czym plotkować. Specjalnie aranżował te bankiety, żeby ją upokorzyć, może nawet sprowokować wybuch. Czemu jej spokojna, niewzruszona twarz działała na niego jak bat na niepokornego konia? Nie musiał uderzyć, wystarczał sam jego widok i świadomość, że może zranić. Czemu nie mógł przestać, dlaczego wciąż obmyślał nowe kampanie zemsty i czemu wcześniej nie zastanowił się, jak to może zostać odebrane?

Przecież Julia była jego żoną! Nosiła jego nazwisko, a on pozwalał, wręcz zachęcał, by w ich wspólnym domu ją obrażano! I nie tylko ją. Jak mógł nie zdawać sobie sprawy, że to uderza również w niego? W jakim świetle stawiał się wobec tych kilku gości, których faktycznie lubił i szanował? Ryzykował dobre imię i honor, tylko po to by zemścić się na kobiecie? Co się z nim działo? Co takiego tkwiło w tej kobiecie, że przy niej tracił rozum i szacunek dla samego siebie? Jej spokój go drażnił, ale gdy mu się sprzeciwiła, to... kochał się z nią! Boże, czy właśnie o to chodziło? Czy prowokował jej bunt tylko po to, by...? Czy przez cały czas szukał wyłącznie pretekstu?! Powodu do gniewu, do miłości za karę? Za karę... dla kogo? Ciepło i czułość, które kiedyś mu obiecywała, przyciągały. Powietrze, którym oddychała, było tak blisko... a on się dusił, jakby ukradła mu cały tlen. Chciał tylko raz odetchnąć, jeden raz, głęboko, do końca, by móc dalej żyć. I oddychał, kalecząc płuca. To ona ukarała go ciepłem, które nie grzało, czułością, której mu odmówiła, i obojętną, niewzruszoną twarzą.

Czemu nie mógł zwyczajnie uwierzyć w jej łzy? Tak byłoby o wiele prościej. Jednak gdy czuł jej przerażenie, widział niepewność i lęk w oczach, miał ochotę wstać i bić brawo. Aż w końcu coś się w nim załamało i przekroczył granicę zdrowego rozsądku. Nie powinien jej zamykać...

Gdy otworzył drzwi i znalazł ją skuloną w kącie pokoju, poczuł żal tak dojmujący, tak wszechogarniający, że stanął bezradnie, nie wiedząc, co dalej robić. Kiedy w końcu wyciągnął ręce, Julii już nie było, schroniła się w objęciach Katarzyny. A potem spojrzała na niego i... nie poznała. Czuł niemal fizycznie, jak wymazuje go z pamięci, odrzuca raz na zawsze. Jak mógł się dziwić Katarzynie? Jak mógł nie rozumieć, że od tamtej pory broni Julii, a jego traktuje jak wroga, skoro sam w tamtym momencie brzydził się sobą? Wstydził się nie przed Julią czy Katarzyną, ale właśnie przed samym sobą. I nagle przestało mieć znaczenie, kto ma rację. Liczyło się tylko, że zranił Julię, jej dumę, uczucia, nieważne jakie, bo zranił

ją zbyt mocno, zbyt głęboko... Miał wrażenie, że nieodwracalnie.

ROZDZIAŁ 9

Stał na podjeździe przed Prayton House i patrzył na rezydencję. „Mój dom... – pomyślał – od trzydziestu dwóch lat... od trzech miesięcy...”.

Wrócił do domu przed niespełna trzema miesiącami i musiał się go uczyć od nowa. Choć zdawał się taki sam, jakim go zapamiętał z dzieciństwa, to jednak coś się zmieniło. Nie bał się go tak jak wtedy i może dlatego nareszcie go polubił, ale pokochać nie potrafił. Czuł, że sam dom mu na to nie pozwala. Był taki piękny w promieniach zachodzącego słońca – biały, wysoki, dumny i otwarty. Dla każdego, dla Julii, ich dziecka, tylko nie dla niego.

„To ludzie napęniają swoje domy szczęściem lub goryczą...” – sam tak powiedział. A co ofiarował swojemu domowi? Radość? Miłość? Grymas półśmiechu był gorzką odpowiedzią. Może dlatego dom go odrzucał? Czy już zawsze tak będzie? Ken miał dość, poczuł się tym wszystkim zwyczajnie zmęczony.

Otworzył drzwi. W holu wyszła mu na spotkanie cisza – znajomo natrętna. Choć rozgadane lustra i kryształki żyrandola poruszone pierwszym wiosennym wiatrem, który wpadł za nim do środka, próbowały mu opowiedzieć, co się zdarzyło w ciągu dnia, on nadal nie potrafił ich zrozumieć.

Pozostawała cisza. Zawsze pozostaje cisza. To jedyne, na co mógł liczyć.

Był sam. Dlaczego wszystko tak się pogmatwało? Nie umiał zrozumieć. I nawet jego własny żal zdawał się z niego drwić. Czasami, tak jak teraz w holu, miał ochotę krzyknąć, głośno, donośnie, i krzyczeć, wrzeszczeć, aż ktoś wreszcie zwróci na niego uwagę. Każdy miał tu własny świat, tylko dla niego brakowało miejsca. Nikt się z nim nie liczył, nikt go nie potrzebował i nikt na niego nie czekał... prócz ciszy.

Takim „krzykiem” było przyjęcie, które postanowił urządzić. Tym razem poinformował o nim nie tylko Katarzynę. Powiedział o swoim zamiarze w kuchni, bo to dobre miejsce na zwierzenia – neutralne i wprawiające każdego w dobry humor.

Julia spokojnie dopijała swoją kawę, on bez pośpiechu kończył śniadanie, a Katarzyna popatrywała na nich ostrożnie, lecz z widocznym zaintrygowaniem.

Marta natomiast stała przy kredensie, częściowo się za nim chowając, i przysłuchiwała się wszystkiemu z otwartymi ustami. Choć zazwyczaj unikała przebywania z panem Praytonem w jednym pomieszczeniu – był taki duży, wysoki, taki... męski! – to jednak teraz ciekawość wzięła górę. Mając marzycielską naturę i bogatą wyobraźnię, Marta wymyśliła sobie już jakiś czas temu, że pani Julia i pan Prayton przeżywają wielką, romantyczną, a co za tym idzie, również nieszczęśliwą miłość. Kiedyś strasznie się kochali, ale potem tragiczny splot okoliczności i źli, podstępni ludzie rozdzielili ich, niszcząc to wielkie uczucie. A teraz oboje cierpieli, nie wiedząc, jak to wszystko naprawić. Marta była bardzo dumna ze swojej historii, którą uważała za niesamowicie smutną i niezwykle piękną. Obserwowanie Praytonów, wyobrażanie sobie, co czują, co myślą, było lepsze niż kino czy serial w telewizji. Tu, na miejscu, przed jej oczami rozgrywał się prawdziwy melodramat. Każdy dzień był jak kolejny odcinek pełen dramatycznych zdarzeń. A ten odcinek i kilka następnych zapowiadało się wielce pasjonująco...

– Chcesz urządzić przyjęcie... Znowu? – Katarzyna nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć.

– Yhm – potaknął między jednym a drugim kęsem kanapki.

– Julio...? Wiesz coś o tym? – Gospodyni spojrzała na dziewczynę podejrzliwie. To byłaby prawdziwa nowość, gdyby Julia wiedziała o jakimś przyjęciu wcześniej od niej. Ta jednak tylko wzruszyła ramionami. – Strasznie jesteście dzisiaj rozmowni... – zniechęcona mruknęła pod nosem, ale drążyła dalej: – Co to ma być za przyjęcie? Takie jak poprzednie? – zakpiła i zauważyła, że Julia się wzdrygnęła. Ken natomiast ostro zaprzeczył.

– Nie! Absolutnie! Mam nadzieję, że to będzie zupełnie inne. Tamte przyjęcia po prostu wypadało urządzić. Niby Praytonowie mieszkają tu od lat, ale w pewnym sensie ja i Julia jesteśmy tu nowi. Należało się wkupić w łaski sąsiadów.

– Sąsiadów...? Co ty powiesz? Ledwie połowę tych ludzi znałam z widzenia lub choćby z nazwiska. Twoje określenie sąsiedztwa musi być bardzo pojemne. A co do wkupywania się w łaski... – Katarzyna nie dała się nabrać i szykowała się do frontalnego ataku. Ken sam nie miał pojęcia, czemu kłamie. Przecież wszyscy w tej kuchni, no może z wyjątkiem Marty (a i to nie na pewno), wiedzieli, co miały na celu tamte przyjęcia.

– Katarzyno, daj spokój! Myślałem, że chcesz się dowiedzieć czegoś więcej na temat mojego pomysłu.

– A pewnie, pewnie, wprost nie mogę się doczekać! Zobacz, cała płonę z niecierpliwości! – Uniosła fartuch, którym była przewiązana w pasie, i zaczęła się nim ostentacyjnie wachlować.

Prayton westchnął – nie mniej ostentacyjnie. Katarzyna nie zamierzała zawierać z nim rozejmu, nawet na terenie tak zdemilitaryzowanym jak jej własna kuchnia. No bo co tu dużo mówić, mógł sobie być posiadaczem ziemskim, poważnym udziałowcem wielu firm, właścicielem banku, agencji, apartamentu i domu w City, a także tego domu, ale kuchnia w Prayton House stanowiła własność prywatną Katarzyny i to z napisem na drzwiach NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. A Ken ostatnio bezustannie podpadał pod ten zakaz.

– Katarzyno, pozwolisz mi dokończyć, czy mam wyjść i spróbować jutro jeszcze raz?

– Ależ dokańczaj sobie, nie krępuj się. – Wzruszyła ramionami i uniosła ręce w zapraszającym geście. Potem podeszła do stołu i ciężko klapnęła na taboret. Teraz wszyscy troje siedzieli przy stole, jak narada to narada, Julia i on naprzeciw siebie, a Katarzyna między nimi. – Po co w ogóle mnie pytasz? Czy ktokolwiek liczy się tu z moim zdaniem? Jestem starą, prostą kobietą, a ty, wielki pan, możesz robić co chcesz... – Chlipnęła i niby ukradkiem otarła łzę, ale jej zawodząco-śpiewny sposób mówienia coś za bardzo przypominał gwarę, której podobnie jak imienia Cristobal używała zawsze wtedy, gdy chciała mu dokuczyć.

„Po prostu ręce opadają” – pomyślał znużony tą nierówną walką.

Julia położyła dłoń na ręce Katarzyny i uśmiechnęła się. Kobieta spojrzała na jasną dłoń, która głaskała ją uspokajająco, na delikatny uśmiech... i jej twarz wygładziła się, a oczy złagodniały.

– No dalej, mów, co masz do powiedzenia, tylko szybko, robota czeka, nie każdy może się obijać jak co poniektórzy... – Patrzyła na Kena znacząco, ale gotowa już była go wysłuchać.

Teraz jednak on się zawahał. Nie wiedział, nie rozumiał... Boże! Jeden uśmiech, jedno dotknięcie – i już, po złości? Czy jemu też wystarczyłoby jedno

dotknięcie, jeden uśmiech, by zapomnieć o gniewie i smutku, i zemście, i... No właśnie, za wiele miał tych „i” do zapominania.

– Kenneth! Co z tobą?! W końcu urządzasz to przyjęcie, czy nie? Robisz awantury, że nikt cię nie słucha, a potem milczysz jak grób. Czego ty chcesz? Jeżeli sam nie jesteś zdecydowany, to po co nam zawracasz głowę?

Katarzyna uraczyła go mową, jakby milczał co najmniej od kwadransa, a przecież trwało to zaledwie kilka sekund. Widocznie jednak jego gospodyni posiadała swój własny przelicznik – jedno zdanie nagany za jedną sekundę milczenia. Zastanawiał się, czy w ogóle ma jeszcze ochotę na jakieś przyjęcie. Chyba tak... Na pewno tak. Potrzebował go. Jak oczyszczającego duszę i atmosferę krzyku. Chciał w ten sposób wstrząsnąć Julią i naruszyć ochronny kokon, w którym się przed nim zamknęła.

– To nie ma być nic specjalnego ani oficjalnego – zaczął z namysłem. – Po prostu zwykłe, niezbyt duże party, spotkanie towarzyskie, w trakcie którego będę mógł przedstawić moją żonę ludziom, którzy naprawdę coś dla mnie znaczą, których cenię, szanuję lub zwyczajnie lubię; paru przyjaciół, dobrych znajomych, z pewnością też kilkoro moich bliskich współpracowników, może kilku ważnych klientów... – Zawiesił głos i utkwiał wzrok w Julii, zmuszając ją, by i ona na niego spojrzała. – Ty również możesz zaprosić, kogo chcesz. – Zauważył, że drgnęła i lekko zmarszczyła brwi; chyba dopiero teraz do niej dotarło, że Ken mówi poważnie.

– Sunny... – Wyczuł nadzieję, choć bardzo nieśmiałą.

– Oczywiście. – Prawie się uśmiechnęła, a on schował ręce za siebie. Tak bardzo chciał jej dotknąć. – Twój stryj także może...

– Stryj wyjechał na konferencję, dzwoniłam do niego. – Nie tłumaczyła już nic więcej. Nie mógł się jednak opędzić od myśli, że była z tego faktu zadowolona. W końcu nie wiadomo, co mogłoby wyniknąć z jego kolejnej rozmowy z Clayem MacAlisterem.

Katarzyna patrzyła na niego z przesadnym niedowierzaniem, by po chwili znowu zaatakować.

– Nie wierzę własnym uszom! Tym razem nie zamierzasz sprowadzić tu bandy nadętych pyszałków, plotkarzy i aroganckich głupków, którzy z lubością

nazywają siebie lepszym towarzystwem? Nie do wiary! Ale jeżeli to prawda, to z przyjemnością stwierdzam, że poprawił ci się gust. Bo tamta banda... Nie dosyć, że musiałam na nich patrzeć, to jeszcze musiałam po nich sprzątać! Mam nadzieję, że ci twoi nowi goście okażą się istotnie bardziej na poziomie.

– Katarzyno! – Zerwał się od stołu i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Co, Katarzyno? Co?! – zaperzyła się, wcale niezawstydzona.

– Posuwasz się za daleko. Jak zauważyłaś, za każdym razem są to moi goście i nie wolno ci ich obrażać!

– Nie wolno...? – Wstała i wsparła się pod boki. – Nie wolno, a to dobre! – Mimo że zadzieriała głowę, patrzyła na niego z wyższością. – A im wolno było pętać się po mojej kuchni i pouczać mnie, jak mam przyrządzać sałatę? Mnie, uwierzysz?! I jeszcze śmieli wypytywać o ciebie i Julię!

– Wypytywać...? – wyszeptali jednocześnie. Jego ręce zacisnęły się w pięści, a jej spoczęły odruchowo na brzuchu. Usiadł z powrotem. Jego oburzenie zniknęło – nie miał do niego prawa.

– Tak! Nagabywali też Manuela i Martę. Czy kogoś jeszcze, nie wiem, ale... – Mina Katarzyny świadczyła, że jeżeli chodzi o jego wcześniejszych gości, to wszystko jest możliwe. – Manuela próbowali przekupić cygarem. Wyobrażasz sobie?! Co za tupet. A Martę – wskazała palcem na dziewczynę, a raczej na kredens, bo Marty zza niego prawie nie było widać – jakiś pajac zaczął obściskować w spiżarni, twierdząc, że skoro nie chce mu nic powiedzieć, to może przynajmniej dać całuska, tak na dobry początek znajomości. Powiem ci, Ken, że to już po prostu skandal! Dziewczyna się broniła, ale on na to nie zważał. Skąd tyś wziął takich gości?!

– Nie wszyscy się tak zachowywali przecież... – zaprotestował, ale bez przekonania. Czuł się winny. Marta miała tylko siedemnaście lat, ponadto pracując w Prayton House, pozostawała pod jego opieką. Zawstydził się. Znowu. Nic dziwnego, że dom się na niego obraził. Skoro dopuścił, by pod jego dachem działy się takie rzeczy.

– Czemu nic nie powiedziałaś? – zwrócił się bezpośrednio do Marty, ale ta zastygła w bezruchu jak królik przyłapaný w kapuście.

– A co miała mówić?! – Katarzyna wyręczyła dziewczynę. – Skąd mogła wiedzieć, że cię to obejdzie? Tak byłeś zapatrzony w siebie i w te swoje teorie spiskowe...

– Katarzyno, jesteś niesprawiedliwa.

– Nie, Ken, jestem po prostu szczerą. To tobie ostatnio odmieniło się na lepsze i mam nadzieję, że również na stałe. Więc ci mówię: nareszcie, na zdrowie, wszystkiego najlepszego i oby tak dalej. Cieszę się, że w przypadku tego przyjęcia Julia także będzie miała coś do powiedzenia. A co do tamtej niesmacznej sprawy, pamiętaj, że zawsze czuwa moja ścierka. Ona już niejednemu pokazała, gdzie jego miejsce. Ten fircyk zmykał, aż się za nim kurzyło, a jak wrzeszczał...! Śmiał nawet się odgrażać, pajac!

– Masz rację, Katarzyno, i dziękuję, a ciebie, Marto, przepraszam. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Od tej pory będę bardzo uważał, kogo zapraszam do swojego domu. – Marta zrobiła się czerwona jak burak, a Katarzyna uśmiechała się, niezmiernie z siebie zadowolona.

– Doskonale! A wracając do przyjęcia, to...

– ...to pozostawiam wszystko tobie i Julii. Urządźcie je tak, jak uznacie za stosowne. Chciałbym tylko, a raczej prosiłbym, żeby moja żona była prawdziwą gospodynią tego przyjęcia. Julio, zgadzasz się? Zależy mi na tym.

Zamilkł, ale patrzył wyczekująco.

Chyba, tak jak powiedział, naprawdę mu na tym zależało. Tylko dlaczego? Czyżby to był kolejny podstęp? Ale on prosił... Czy potrafiła, czy chciała odmówić?

Ken patrzył na nią i czekał.

Katarzyna czekała, postanawiając wyjątkowo się nie wtrącać.

Marta czekała z zapartym tchem, czując, że dzieje się coś ważnego.

– Dobrze, Ken, postaram się.

Musiał przyznać, że istotnie się postarała. Był zadowolony, a nawet oczarowany. Miało być niezobowiązująco, nieoficjalnie, i tak to zorganizowała. A także dość niekonwencjonalnie – może właśnie na tym polegał urok tego przyjęcia. Artystyczna dusza Julii, której się wypierała, dała o sobie znać. Poza tym odnosił wrażenie, że jego żona w jakiś sobie wiadomy sposób dogadała się z domem i to on podpowiedział jej, jak to wszystko najlepiej urządzić. Swoboda i kameralność. Klimat przypominał atmosferę innego party, tego sprzed ponad pół roku, na którym spotkali się po raz drugi. Może Julia zrobiła to zupełnie nieświadomie, a może specjalnie odtworzyła nastrój przyjęcia u Blackwellów? Może chciała choć na parę chwil wrócić do czasów, gdy byli tylko dwojgiem nieznajomych z parku, a ich historia dopiero się zaczynała...

Natychmiast zauważył, że Julia nie zamierzała krępować gości żadnymi sztywnymi regułami *savoir-vivre*, straszyć wymuszonymi konwersacjami przy wspólnym stole ani zamykać w salonie, z którego ewentualnie mogliby pójść tylko do łazienki. Zaryzykowała więc i po pierwsze zrezygnowała z ciepłych dań, decydując się wyłącznie na zimny bufet. Po drugie wykorzystała fakt, iż salon dzieliły od jadalni rozsuwane drzwi, których z reguły nikt nie używał – ona je otworzyła i w jadalni Katarzyna przygotowała szwedzki stół, wprost uginający się od najrozmaitszych potraw. Po trzecie z salonu można było przejść oszklonym łącznikiem wprost do oranżerii. I właśnie w oranżerii podano kawę, likiery i ciasto. Ten niecodzienny pomysł spotkał się z powszechnym zachwytem. Ale to nie wszystko.

Największą atrakcją stanowiła idea przeniesienia zabawy gdzieś w okolicach północy do piwnicy. Czekwały tam na gości już gotowe do gry stoły bilardowe, za barkiem dwóch eleganckich barmanów, a przy kominku trzy garnce: z grzany miodem, winem i piwem. Panowie czuli się tu jak w swoim ulubionym pubie, panie zaś były zachwycone, że mogą wraz z partnerami przebywać w tym męskim świecie. Większość gości zamierzała zatrzymać się w Prayton House do następnego dnia – przyszykowano już pokoje gościnne – i dlatego nikt się nie przejmował możliwością przeciągnięcia się jakże udanego wieczoru aż do rana.

A gdy o świcie wprost z kominka, z ledwo tłącego się żaru, wyciągnięto pieczone ziemniaki, wprawiło to wszystkich w absolutnie doskonały humor. Gdy parząc sobie palce, obierali ziemniaki ze skórki, by zajadać je później z solą i masłem, Ken nie miał wątpliwości, że każdy zapamięta to przyjęcie na długo.

Wszystko zawdzięczał Julii. Nie posądzał jej o takie talenty, nie

przypuszczał, że mimo dystansu, jaki wciąż zachowywała, potrafi być przy tym tak uroczą gospodynią. Ale co on właściwie o niej wiedział? Zaczynał podejrzewać, że bardzo niewiele. Nie docenił jej. Był przekonany, że żeniąc się z nią, zaspokaja wyłącznie swoje nieco pokrętnie – teraz to przyznawał – poczucie sprawiedliwości i poddaje się przeznaczeniu, którego nie pojmował. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że Julia mogłaby mu się zwyczajnie przydać. Przyjęcie, na którym jego żona była faktyczną gospodynią, a nie jak poprzednio czymś w rodzaju mebla wystawionego na pokaz, rzeczywiście okazało się inne: sympatyczne, swobodne i, jakby to powiedziała Katarzyna, na poziomie.

„Proszę, proszę, kto by pomyślał, że taki skarb mi się trafi...” – zadrwił z siebie, ale niespodziewanie cynizm tej myśli wydał mu się nie na miejscu. Przecież nie o to chodziło. Może udawali oboje, może obraz idealnego małżeństwa, jaki prezentowali, kłamał, ale jakże przekonująco. Nawet on dał się uwieść.

Podobało mu się, że była przy nim, i bardzo szybko polubił tę irracjonalną pewność, że właśnie tu jest jej miejsce. Może bajka potrwa tylko jeden wieczór, ale chciał w niej trwać, choć przez kilka godzin; zwyczajnie potrzebował tego cudownego udawania, że wszystko jest dokładnie takie, jak być powinno.

Wspólnie witali goście, odprężeni i uśmiechnięci. Jej uśmiechy nie były dla niego, ale zbierał je, zamierzając zachować w pamięci na później.

Podziwiał jej spokój i opanowanie, które dotychczas tak go irytowały. Chciał jej podziękować, pochwalić ją, ale tylko przytulał dziewczynę do siebie, obejmował zaborczo, gdy przedstawiał kolejnym gościom, podchodził, gdy z kimś dłużej rozmawiała, śledził wzrokiem, gdy akurat nie mógł jej towarzyszyć. Był przy swojej żonie i czuł coraz większą radość, że nie odsuwa się od niego i nie sztywnieje, gdy jej dotyka. Wykorzystywał to – choć prócz osobliwego uczucia szczęścia, nie znajdował dla siebie żadnego usprawiedliwienia.

Gdy znikala mu z oczu na dłuższy czas, szedł jej szukać. Był zazdrosny – co przyznawał ze zdziwieniem i chyba z zadowoleniem – o swoją żonę, którą po prostu rozchwytywano. Gdyby dał jej szansę, Julia mogła się okazać wspaniałą towarzyszką i partnerką. Czego więcej może chcieć mężczyzna?

A jednak przez cały czas ją obserwował, jakby spodziewał się, że w pewnym momencie Julia przestanie udawać i zostawi go samego. Ale jej zachowanie zdawało się takie naturalne, jej uśmiech taki szczerzy... Choć zbladł nieco, gdy witała się z Pattersonem, a zniknął zupełnie, gdy niespodziewanie u boku jednego

z jego klientów zjawiła się Melissa. Jednak szybko się opanowała. Przypuszczalnie tylko dzięki temu uniknęli nieprzyjemnej sytuacji. Julia przywitała bowiem Melissę jak dobrą znajomą i osobiście zaprowadziła ją do garderoby. Był ciekaw, o czym rozmawiały, ale nie odważył się zapytać.

A gdy wreszcie, strasznie przepraszając za spóźnienie, przyjechali Blackwellowie – razem z Sunny, która nikogo nie przeproszała, tylko od razu rzuciła się przyjaciółce na szyję – Julia wprost promieniała. Straciła nieco ze swych nienaganych manier i niezłomnego opanowania. Na widok bliźniaków wyraźnie się wzruszyła, a kiedy ścisnęła Sunny, obie popłakały się z radości. A Kena znowu męczyło to palące uczucie wstydu. Chciał zniszczyć ich przyjaźń wcale nie dlatego, że nie lubił Sunny – przed sobą nie musiał udawać. Jak w tak krótkim czasie można popełnić tyle błędów? Katarzyna miała rację. Jak wielka musiałaby być wina Julii, żeby karać ją w ten sposób? Nikt nie ma do tego prawa. Nikomu, bez względu na powody, nie wolno do tego stopnia wtrącać się w czyjeś życie.

– Sunny, na miłość boską! Przestań tak skakać wokół Julii. Wszyscy już wiedzą, że się cieszysz, a jak będziesz tak kręcić naszą mamusią, to wytrząsniesz z niej cennego malucha. – Mike poczuł się w obowiązku skarcić Kate.

– O rany! – Zaniepokojona Sunny zatrzymała się gwałtownie. – Nie pomyślałam...

– Nic nowego... – szepnął Mike.

– Zamknij się! – burknęła Sunny. – Nikt się ciebie nie pyta. Mogę...? – za to ona spytała z niezwykłą dla niej niepewnością w głosie. Julia skinęła głową, na co Sunny przytknęła obie ręce do jej brzucha. Zamilkła i przez chwilę stała nieruchomo.

– Kopnęło mnie! – krzyknęła. – Kopnęło mnie, widzieliście?

– Raczej słyszeliśmy – Mike znowu uznał za stosowne się wtrącić – i zaraz znowu cię kopnie, jak będziesz tak wrzeszczeć.

– A co ty tam wiesz! Ono też się cieszy, w końcu ukochana ciotka przyjechała w odwiedziny. Niech ktoś się ośmieli powiedzieć, że nie mam racji! – oświadczyła zadziornie.

– Nikt się nie ośmieli, bo będzie... – po raz pierwszy tego wieczoru odezwał się Ben, ale nie dane mu było skończyć.

– ...bo będzie miał z nami do czynienia – wyręczył go brat. – To chciałeś powiedzieć?

– Mniej więcej – wymruczał i wzruszył ramionami, dając za wygraną.

Jak zawsze Ben wycofywał się, ustępując pola bratu. Mike był sprytniejszy, weselszy, bardziej rozmowny i, choć wyglądali identycznie, wydawał się przystojniejszy. To on wodził rej w towarzystwie, nadawał ton zabawie i to on był inicjatorem ich wspólnych figli oraz chłopięcych wybryków. Za to Ben wyglądał na starszego, większego, poważniejszego i to nie tylko z powodu swojego faktycznego półgodzinnego starszeństwa. Posiadał w sobie jakąś moc, jakiś tajemniczy spokój i pewność siebie, które można dostrzec, o ile ktoś umie patrzeć. A Julia się tego nauczyła. Także Sunny, która kiedyś twierdziła, że nie potrafi rozróżnić bliźniaków, teraz nie miała z tym żadnych trudności. Nie wiedzieć jak i kiedy obie pojęły, że Mike jest silniejszym, a Ben mocniejszym z braci.

– Sunny, chciałabym cię komuś przedstawić. Pozwolicie? – Julia zwróciła się z delikatnym uśmiechem do Kennetha i Blackwellów. Jeżeli nawet Prayton miał jakieś obiekcje w tym względzie, Mike nie dał mu najmniejszej szansy, by je wyraził.

– Pewnie, pewnie, sikorki. Poplotkujcie sobie. Sunny o niczym innym nie marzyła przez całą drogę. A gdy złapaliśmy gumę, to mówię wam, klęła jak szewc, obawiając się, że przejdzie jej koło nosa ta najlepsza z babskich rozrywek.

– A niech cię! – Sunny zamachnęła się, ale Mike przezornie się uchylił. – Jesteś największym plotkarzem, jakiego znam, i ty śmiesz mnie krytykować?! Poza tym nie widziałam Julii od trzech miesięcy, jest więc chyba zrozumiałe, że chcę się dowiedzieć wszystkiego: jak się czuje, co się zdarzyło, jak jej się tu podoba, a w ogóle... – Zamilkła by wziąć oddech, co Mike bezlitośnie wykorzystał.

– A w ogóle to już idźcie, my zaś zobaczymy, co pysznego dla nas przyszykowano – zadyrygował Michael i bezbłędnie skierował się w stronę jadalni. – No dalej, na co czekacie?

Ben wzruszył ramionami, Ken mu zawtórował, a dziewczyny złapały się za

ręce i nie przejmując się nimi dłużej, ruszyły do kuchni.

Niestety, im bliżej było świtu, tym bardziej nastrój Kennetha się pogarszał. Ten wieczór, a raczej noc spieszyła już na spotkanie ranka, a on wiedział, że wraz ze świtem skończy się udawanie. Gdyby mógł zapłatać się w czasie, gdyby dało się gdzieś zgubić porządek i logikę zdarzeń z ich ciągłością i nieuchronnością, gdyby mógł zasypiać i budzić się bez balastu rozsądku, gdyby każdy nowy dzień był znowu dniem przyjęcia... Gdyby, gdyby... Ale urodził się w obrzydliwie realnym świecie, w którym można się pocieszać tylko tym, że podobno wszystko jest względne. Nagle nienawiść może okazać się miłością, zemsta wymówką, złość zazdrością, a smutek cichym zwiastunem radości.

Na razie jednak wdzięczność i podziw dla Julii zamieniły się w rozdrażnienie. Irytował go każdy jej uśmiech, zwłaszcza przeznaczony nie dla niego, każdy najdrobniejszy komplement, jakim ją obdarzano. Zrezygnował z uważnego obserwowania – teraz zwyczajnie śledził każdy jej ruch, pilnował każdego kroku, słowa, gestu. Nadal obejmował ją zaborczo, ale już bez tego czułego zdziwienia i rozpierającego uczucia szczęścia. Wrócił do autorytatywnego tonu surowego opiekuna, który wszystko wie lepiej. Upominał, karmił, wydawał polecenia: „Idź spać, Julio”, „Nie przemęczaj się”, „Pamiętaj o dziecku”, „Chyba już najwyższa pora na ciebie, teraz potrzebujesz dużo snu”, „Nie nalegajcie, Julia na pewno jest już zmęczona, w jej stanie...”, „No dobrze, ale tylko pół godzinki, ani minuty dłużej”.

Zachowywał się jak dziecko, które dostało pięknie zapakowany prezent, ale go nie otwiera z obawy przed rozczarowaniem. Czekają na niego tak długo, tak niecierpliwie, z taką nadzieją... Aż w końcu zaczyna szarpać wstążką, papierem, rzucać pudełkiem i niszczy to, co jest w środku – teraz już nigdy się nie dowie, czy miało w rękach swój wymarzony dar od losu. Czy rzeczywiście niewiedza jest lepsza od pewności?

A motyl tulił swoje skrzydła. Wracił do kokonu, z którego wyrwał się na krótko, tylko na jeden bal. Przez jedną noc Julia była motylim Kopciuszkim u boku swojego księcia, ale teraz przypominała sobie, że tak naprawdę jest tylko poczwarką. Z upływem nocy czary się skończyły – skrzydła odpadły, barwy poszarzały...

– Nie rozumiem, czemu tak się uparłeś? Odesłałeś Julię na górę jak niegrzeczną dziewczynkę. Ona jest w końcu dorosła i wcale nie chciało jej się spać. Niedługo pewnie wszystkie noce będzie spędzać przy twoim zaręczanym potomku, a ty bronisz jej tej ostatniej zabawy po świt. Poza tym przerwałeś nam rozgrywkę.

– Mike, chciałbym ci zwrócić uwagę, że Julia jest moją żoną.

– No i co z tego? – Blackwell patrzył na niego zdumiony.

– No i to z tego, że się o nią troszczę, a jeśli chce się nauczyć grać w bilard, ja ją mogę nauczyć.

– To czemu do tej pory tego nie zrobiłeś?

– Bo nie wiedziałem, że ma na to ochotę – warknął.

– A widzisz! Ja też nie wiedziałem, ale się domyśliłem i zaproponowałem swoje skromne usługi. Ona się zgodziła i okazała się bardzo pojętną uczennicą. Wiesz, co ci powiem? Może i sprawiacie wrażenie idealnego małżeństwa, jak na mój gust to nawet aż za bardzo, ale zdecydowanie nie wiesz wszystkiego o swojej żonie!

Lepiej by było, gdyby Mike, wyrażając opinie, przedtem uważniej przyjrzał się Praytonowi.

– Doprawdy? Może więc łaskawie zechcesz mnie oświecić?

Ani ponura mina Praytona, ani cichy szept Bena: „Przyhamuj, Mike” nie ostrzegły Blackwella.

– Czemu nie? Myślałeś, że żenisz się ze słodkim miłym kociątkiem, a tu okazało się, że kociątko ma pazurki, własne zdanie, lubi grać w bilard, a do tego wspaniale organizuje przyjęcia. Kto by pomyślał?

– No właśnie – powiedział Ken – kto by pomyślał? Z pewnością nie ja, ale widać ty jesteś lepiej poinformowany. – Nawet teraz kamienny spokój Praytona nie zaalarmował Mike’a. Uparcie kontynuował swoje wywody.

– Wiesz, może komuś z zewnątrz łatwiej to dostrzec – zaczął tonem

zwierzeń. – Zawsze uważałem Julię za miłą, sympatyczną dziewczynę, lecz dla ciebie trochę za miękką. Muszę ci się zresztą przyznać, że nie najlepiej wróżyłem waszemu małżeństwu. Wydawało mi się, że twój związek z Julią nie jest najszcześniejszym pomysłem, ale teraz... – Mike potarł brodę w zamyśleniu i mrugnął porozumiewawczo do brata. Ben jednak tylko pokręcił głową i znowu mruknął ostrzegawczo: „Skończ już...”, lecz Mike ciągle nie dostrzegał grozy sytuacji.

– Ale teraz...? – Kenneth wyraźnie czekał na ciąg dalszy.

– Ale teraz jestem mile zaskoczony. Julia mi zaimponowała. Okazało się, że ma siłę, dzięki której da sobie z tobą radę. Bałem się, że stanie się kobieciątkiem zamykanym w domu razem dziećmi, na szczęście nic z tego. Co prawda mogła nie ustąpić i jeszcze z nami zostać, ale widocznie nie lubi się z tobą kłócić przy innych. Julia jest nie tylko piękna, ale i mądra. Ciekawe czy wszystkie kobiety tak pięknieją w ciąży? Julia po prostu kwitnie. Bez trudu mógłbym się zakochać. Na marginesie, Ken, przyjmij najlepsze życzenie z okazji rychłego powiększenia się rodziny. Nie mieliśmy jeszcze okazji ci pogratulować, ale twoja żona jest tak fascynująca, że przy niej dziecko, nawet twoje...

– Przymknij się, Mike! – Ben zrezygnował z subtelniejszych sposobów powstrzymania brata. – Czy nie widzisz, że oni udają?

– Co udają?

– Wszystko. Szczęśliwą rodzinę, kochające się małżeństwo, spokój, harmonię... Tu czuć prochem, ale ty tyle gadasz, że niczego nie czujesz, niczego nie widzisz, nawet tego, że Prayton jest zazdrosny. – Ben nie podnosił głosu, nie entuzjazmował się swoimi odkryciami; było mu tylko przykro. Mówił bardziej do przyjaciela niż do brata i patrzył na Kena ze smutkiem, wiedząc, że ten nie zaprzeczy.

– Zazdrosny? O kogo? – Mike wciąż miał problemy ze zrozumieniem, o co chodzi.

– O każdego, ale teraz głównie o ciebie.

– Chyba żartujesz? O mnie...?! – Mike zachichotał, ale gdy spojrzał na poważną minę brata, na zaciśnięte, prawie niewidoczne usta Kennetha, na jego ręce wbite w kieszenie marynarki, przestał się śmiać. – Nie żartujesz... Teraz rozumiem!

Te groźne spojrzenia, Ken, były dla mnie, tak? – Prayton nie odpowiedział. – Dlatego odesłałeś Julię. Ale cię wzięło! Jednak... żeby aż tak? Posądzasz mnie o to, że podrywam ci żonę?

– A czemu nie? Sam powiedziałeś, że jest piękna i mądra. Chociaż to akurat wiem i bez ciebie. Przekonałem się, że jest również podstępną oszustką, kłamliwą... – zmełł w ustach obelgi. – Złapała mnie na dziecko, oszukała, a teraz udaje niewinną skromniśnię! Wielkie przerażone oczy, drżący głos, taka jest zazwyczaj i każdy się na to nabiera. W moim własnym domu wszyscy są przeciwko mnie. Więc radzę ci, lepiej uważaj, jeżeli jesteś nią zainteresowany.

– Ken, co ty gadasz? Zwariowałeś? Julia jest twoją żoną! Jak możesz myśleć, że ja... – Gdy wreszcie dotarło do Mike'a, o co Prayton go podejrzewa, o co podejrzewa Julię, był autentycznie zszokowany. – To paranoja! Poznałem Julię tego samego dnia co ty, zaledwie pół godziny wcześniej, ale chyba znam ją o wiele lepiej, a poza tym znam Sunny! – wykrzyknął, przekonany, że fakt przyjaźni z Sunny jest najlepszą rekomendacją. W pewnym sensie wyręczał Kate, która akurat poszła na górę razem z Julią, i nie mogła sama bronić przyjaciółki. – Jak możesz myśleć, że Julia specjalnie zaszła w ciążę...

– Mogę myśleć jeszcze więcej! Na przykład, że ukartowaliście to wszystko wspólnie. Wmanewrowaliście mnie w to małżeństwo.

– Kenneth! – Dwa bliźniacze głosy zabrzmiały ostrzegawczym unisono, ale Kena nic już nie mogło powstrzymać.

– W końcu dlaczego nie? Tak nalegaliście, bym przyszedł do was na przyjęcie. Przypadkiem znalazła się tam Julia, a Sunny jest przyjaciółką nie tylko waszą, ale i Julii. Kolejny przypadek? Może Sunny mnie nie lubi, ale z pewnością dostrzega niektóre moje zalety: pieniądze, pozycję... Ciekawe, ile czasu zajęło jej przekonanie was do planu pod tytułem „usidlenie Praytona”? Może to zresztą nie był pomysł Sunny, może Julia słyszała o mnie wcześniej i postanowiła wykorzystać fakt, że rudzielec zna was tak dobrze, może wy myśleliście, że robicie mi przysługę? Nieważne. W każdym razie, Mike, jeżeli nawet nie uważałeś tego małżeństwa za dobry pomysł, to również nie protestowałeś, natomiast bez zbytnich ceremonii zgodziłeś się zostać świadkiem. Czy to nie dziwne? Można by pomyśleć...

Mocne uderzenie zachwiało Praytonem. Ben zaledwie musnął go swoją pięścią, ale Ken musiał podeprzeć się o ścianę, by nie upaść.

– Należało mi się...? – zapytał szeptem, rozcierając szczękę.

– Należało ci się – odpowiedział krótko starszy z bliźniaków.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Kenneth, od tylu lat. – Mike pokręcił głową oszołomiony. Nagle jakby zmałał; smutne niedowierzanie nie było w stanie zappełnić miejsca po radości, która go opuściła. – Jak łatwo o tym zapomnieałeś. Zbyt łatwo, Ken. Może cię sprowokowałem, może sam nie wiesz, co się z tobą dzieje, ale... – Mike złapał go za ramię, mocno ścisnął i potrząsnął – ale, przyjacielu, może oskarżyłeś Julię równie bez trudu i bez sensu jak nas? Zastanów się. Może za łatwo, za szybko... Pomyśl o tym, a my postaramy się zapomnieć, że potraktowałeś nas jak wrogów.

Odeszli. Dla nich przyjęcie też już się skończyło. Widział, jak wolno, nie odzywając się do siebie, idą między rzędami półek zappełnionych leżakującym winem.

Przecież Mike tylko żartował, pokpiwał sobie z niego – często to robił. A on? Jak to się stało? W jaki sposób doprowadził się do takiego stanu, że nie ufał nawet przyjaciołom? Zawsze miał z tym kłopot. Nie potrafił wierzyć bez zastrzeżeń, nie umiał zaufać Julii. I to nie tylko z powodu ciąży, już wcześniej... Dlaczego? Czyżby Mike i Katarzyna mieli rację? Czy stał się paranoikiem, który wszędzie wietrzy podstęp, wszędzie widzi spiski? Zbyt łatwo, zbyt szybko...

Mike się mylił – wcale nie znał Julii dłużej, ale nie wiedział o spotkaniu w parku. Jaka wtedy była? Wesoła, beztroska? Nie... Taką ją poznał dopiero później. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślał, ale może dla niego i przy nim taka się stała...? Wtedy w parku była przestraszona i onieśmielona – taką ją zapamiętał i taka go zafascynowała. Nie mogła udawać. Nie wtedy! Zupełnie się go nie spodziewała, obcego, nieznanomego mężczyzny w parku, i zareagowała instynktownie – uciekła. Teraz też to robiła. Boże! Od chwili, gdy zostali małżeństwem, cały czas Julia od niego uciekała!

– Należało mi się! – krzyknął za Blackwellami. Dotarli już prawie do wylotu korytarza utworzonego przez rzędy półek. Nie zatrzymali się, nie odwrócili, tylko obaj unieśli wysoko zaciśnięte prawe dłonie z wycelowanym w sufit kciukiem.

Julia obudziła się koło południa. Przyjęcie zacierało się w jej pamięci. Może w ogóle go nie było, choć jak na sen pamiętała zbyt wiele. Jak osad w filiżance po kawie, jak wyrzucane na brzeg szczątki po rozbitym statku utkwiły w niej fragmenty rozmów, niedokończonych komplementów, ślady uśmiechów, rozbita szkatuła pozdrowień, skrawki uczuć, strzępki myśli... szczątki po jej staraniach.

Wracały do niej tylko po to, by powiedzieć: nie udało się, oszukiwałaś, a i tak przegrałaś.

– **A** to twoja piękna żona? – Starszy, pewny siebie mężczyzna o imieniu Jan i trudnym do wymówienia słowiańskim nazwisku, którego nie zapamiętała, jeden z tych ważnych klientów, skłonił się szarmancko i pocałował jej wyciągniętą dłoń. – Teraz nareszcie rozumiem! I pochwalam! Jak najbardziej! – Mężczyzna nieco kpiąco wydał wargi i klepnął Kennetha w ramię. – Tylko odpowiednia kobieta może odciągnąć mężczyznę od pracy i zmusić do zaszycia się na takim odludziu. Odpowiednia kobieta i dziecko w drodze. – Wybuchnął śmiechem i znowu poklepał Praytona, tym razem po plecach.

Nie był celowo uszczypliwy – po prostu miał taki sposób bycia, który zresztą jego niewielka jasnowłosa żona starała się zatuszować przepraszającym uśmiechem. Julia odwzajemniła się nie mniej bezradnym uśmiechem i, na przekór sobie, nie zarumieniła się. Ken podziękował jej za to delikatnym uściskiem.

– Tak, to właśnie moja żona i musisz wiedzieć, że jestem z niej bardzo dumny. Dzisiejsze przyjęcie to w całości jej dzieło i dlatego jestem pewien, że będziecie zadowoleni.

– Na pewno, na pewno – przytaknęła kobieta o imieniu Maria i nazwisku, którego Julia nie zapamiętała, żona jednego z tych ważnych klientów.

– **Patterson!** Dobrze, że jesteś. – Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Julia lekkim skinieniem głowy i zdawkowym uśmiechem odpowiedziała na uprzejmy ukłon adwokata. – W wolnej chwili będę miał do ciebie pewną sprawę. – Patterson rzucił Julii krótkie, badawcze spojrzenie.

– Czyżby twoja żona zgodziła się w końcu podpisać?

– Nie, nie o to chodzi. Raczej o prawny odpowiednik podarcia pewnego dokumentu. Zresztą, porozmawiamy później. Na razie rozgość się i nie myśl choć przez chwilę o pracy.

– Hmm... – Adwokat znowu badawczo przyglądał się Julii. – Dobrze. Jak sobie życzysz.

– Prayton! Kopę lat! Patrząc na twoją żonę, wreszcie rozumiem, dlaczego się tu ukryłeś. Pilnujesz, żeby ktoś ci jej nie wykradł?! Nie mam ci tego za złe, sam bym tak zrobił. – Nowy gość patrzył na Julię z czysto męskim zainteresowaniem. Znaczące chrząknięcie towarzyszącej mu kobiety przerwało te oględziny. – O czym to ja mówiłem...? Ach, tak! Stęskniłem się za tobą, stary lisie. Odkąd nie prowadzimy razem interesów, zaniedbujesz mnie. Choć właściwie powinienem się raczej z tego cieszyć. Gdyby było inaczej, znaczyłoby to, że mam kłopoty. A nie mam. Już nie! I to dzięki tobie. Wiem, że to staje się nudne, ale jeszcze raz ci dziękuję, naprawdę... – Kenneth go nie słuchał, wpatrywał się w kobietę stojącą u boku dawnego klienta.

– Melisso...

– Ken...

– To moja żona, Julia. Znacie się już...

– Tak. Poznałam ją na tym samym przyjęciu co ty.

Julia przyglądała się mężowi i jego dawnej przyjaciółce. Na twarzy Kena zaskoczenie zmieniało się powoli w jawne niezadowolenie. Melissa była spięta, zdenerwowana i wyraźnie na coś czekała.

– Melisso, tak się cieszę, że cię widzę! Nareszcie i ja kogoś znam. Tyle nowych osób, tyle nowych nazwisk... Boję się, że wszystko mi się popłącze. Z pewnością ty ustrzeżesz mnie przed popełnieniem jakiejś niewybaczalnej gąfy. – Julia odesłała pokojówkę. – Sama zaprowadzę panią do garderoby. – Już odchodziły, gdy dobiegł do nich szept towarzysza Melissy.

– Widzisz, Ken. Jakby to powiedzieć, jesteśmy z Melissą w fazie wstępnej.

Próbujemy się porozumieć. Nie masz mi chyba za złe, że ją tu przywiozłem? Między wami już przecież wszystko skończone, masz żonę i... – Kobieta zatrzymała się, chcąc usłyszeć odpowiedź, ale Julia ją ponagliła.

– Chodźmy. Musisz mi opowiedzieć, co nowego w wielkim świecie.

– Naprawdę się cieszysz, Julio? – Melissa poprawiała makijaż przed lustrem w garderobie.

– Naprawdę.

– Nie przeszkadza ci to? Tak jesteś pewna swojego męża? Biorąc pod uwagę to, co nas łączyło z Kenem, dziwię się, że nie jesteś zazdrosna. A może jesteś, tylko dobrze udajesz, co?

– Nie jestem. Ale ty chyba tak.

– Ja...? – Kobieta zrobiła zdumione oczy, ale szybko uciekła wzrokiem od skupionej twarzy Julii i obróciła się z powrotem do lustra. – Nie wiem... Nie wiem, po co w ogóle chciałam tu przyjechać. Może... – Wzruszyła ramionami i zdecydowanymi ruchami zaczęła malować usta pomadką. – Wiesz, że Carla, jego wspianą, niezawodną asystentką, odeszła z pracy, gdy dowiedziała się o waszych planach matrymonialnych?

– Wiem.

– Zakochała się w nim, tak jak wiele innych przed nią – stwierdziła ponuro Melissa. – Wszystkie byłyśmy głupie. Ty jedna wykazałaś się sprytem. Pewnie gdyby któraś z nas, tak jak ty, pomyślała o tym najprostszym sposobie, Prayton już od dawna nosiłby na palcu obrączkę. No cóż, ale my byłyśmy głupie i grałyśmy fair, co nie zawsze się opłaca.

Julia z opuszczoną głową przyglądała się czubkom swoich jasnozielonych pantofli na płaskim obcasie. Była już w siódmym miesiącu i choć nie chodziła za dużo, to i tak pod koniec dnia puchły jej nogi. Praktyczne obuwie, praktyczna ciążowa sukienka – może i ładna, w kolorze jej oczu, nawet w pewnym sensie kobieca, ale taka obszerna – praktyczna sukienka ślubna, praktyczny powód małżeństwa...

– Nie słuchaj tego, co mówię! Gadam trzy po trzy. W ogóle nie zwracaj na mnie uwagi. Nie chciałam cię urazić, nie chciałam tego powiedzieć, tylko tak... Idiotka! – mruknęła pod swoim adresem Melissa. – Uważasz, że jestem podła? – Trzymała przed sobą torebkę niczym tarczę, ale Julia nie zamierzała jej atakować.

– Nie, po prostu szczerza. Zresztą Ken myśli tak samo jak ty. – Poglądziła delikatnie, ze smutną czułością swój wypukły brzuch.

– Nieprawda! Widziałam was razem! Widziałam, jak na ciebie patrzy, jak się uśmiecha, jak cię bez przerwy dotyka. Jesteście szczęśliwi... Może właśnie dlatego tu przyjechałam, żeby się przekonać, że nie mam już żadnych szans, że on już nie wróci. Nie warto się starać, nie warto się łudzić...

– Nie warto... – szepnęła Julia, ale jej słowa umknęły Melissie.

Czarne włosy opadły na zaczerwienioną twarz, gdy młoda kobieta uniosła obie ręce i przytknęła czubki palców do łez, które pojawiły się w kącikach oczu. Otarła je szybko, ze złością.

– Nie chcę płakać! Zniszczę sobie makijaż. Żaden facet nie jest tego wart, a już zwłaszcza Kenneth Prayton! O Boże, znowu to samo! Ciągłe mówię coś nie tak. Przepraszam, ja... – Pochyliła głowę i zaczęła desperacko szukać czegoś w torebce.

– To nieważne, nie przejmuj się.

– Nieważne?

– Tak.

– Nie gniewasz się? – Julia pokręciła przecząco głową. – Bo ja... ja chętnie ustrzegę cię przed tymi gafami. Jeżeli...

– Więc mówisz, że wszystko im smakuje? – Katarzyna wyraźnie łaknęła pochwał.

– Tak. Słyszałam, jak jeden z gości mówił, że taki talent jak twój to dar od

Boga i że powinniśmy strzec cię jak oka w głowie.

– Naprawdę tak powiedział? – Katarzyna skromnie spuściła oczy.

– Tak. I jeszcze dodam, że on sam zjadł pięć twoich schabów w galarecie.

– No, no, widać był bardzo głodny, biedactwo! A ty jak sobie radzisz? – Gdy uznała, że jej kunszt kulinarny został należycie doceniony, gospodyni przestała się rozczulać nad wygłodzonym gościem i natychmiast zainteresowała się Julią.

– Dobrze. Lepiej niż przypuszczałam.

– Bo jeżeli jesteś zmęczona albo...

– Nie. Wszystko w porządku, Katarzyno.

– A twoja przyjaciółka jeszcze nie przyjechała?

– Nie. Jeszcze nie.

– Przyjedzie. Zobaczysz! Na pewno przyjedzie!

– **Katarzyno!** To jest właśnie Sunny – wcielony diabeł i moja najlepsza przyjaciółka. A to Katarzyna – nieoceniony klejnot tego domu.

Wieczna dziewczyna-dziecko i zażywna kobieta o spojrzeniu wróżki badały się wzrokiem. Zrozumiały się bez słów. Przymierze przypieczętowały mocnym uściskiem ręki i szerokim uśmiechem. „Będiesz dbała o Julię?” – pytały błękitne oczy rudowłosej. „Będę” – zapewniły jasnoniebieskie oczy wróżki.

– **Zostawiłaś je same?** Nie boisz się, że się pozabijają?

– Nie przypuszczam. Gdy wychodziłam, gadały w najlepsze.

– Pewnie o mnie. – Ken udawał, że go to nic nie obchodzi.

– Może. A co, boisz się?

– Może. Trochę. – Wziął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi. Przyglądała się jak zaczarowana tym jasno-ciemnym splotom. W ich intymnym wzorze połyskiwało złoto jej obrączki i srebro jego sygnetu.

– Julio... Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Jest.

– Zabiję go.

– Tak? A kogo tym razem?

– Praytona! Katarzyna wszystko mi opowiedziała! – Sunny spojrzała na Julię z wyrzutem.

– Co: wszystko?

– Jak cię traktował, co wyprawiał... Dobrze wiesz, o czym mówię! Nie udawaj! Już nie dam się nabrać. Czemu, do licha, nic mi nie powiedziałaś?! – zawołała z niewątpliwą pretensją w głosie

– Po co?

– Jak to: po co?! Co za głupie pytanie! Przecież przyjechałabym natychmiast, choćby po to, żeby zabić tego twojego... – Zamachała rękami jakby słowo „mąż” nie chciało jej przejść przez gardło. – Już ja mu wygarnę! Bez niedomówień wyjaśnię mu, co może sobie zrobić ze swoimi zakazami!

– A co to zmieni? On jest moim mężem, ojcem mojego dziecka. Co ty możesz na to poradzić?

Akurat wychodziła z łazienki. Nie zauważyli jej. Stali pośrodku holu

naprzeciw siebie i nie unikali swojego wzroku.

– Jesteś draniem, Prayton – wycedziła.

– W końcu ty wiesz to najlepiej, prawda, Sunny? Zawsze wiedziałaś lepiej niż ktokolwiek. – Zamierzona drwina chybiła celu, brzmiała zbyt prawdziwie.

– Tak. Ale miałam nadzieję, że się zmienisz. Przy Julii, dla Julii, ale...

– Może się zmieniłem, a może dopiero się zmieniam.

– Ty?! Nigdy! Nie wiem, po co to przyjęcie, co chcesz osiągnąć, przywdziewając skórę łagodnego, zakochanego mężusia. Wiem tylko, że Julia nigdy nie była tak samotna jak przy tobie.

Zachwiał się. Słowa Sunny okazały się o wiele bardziej bolesne niż uderzenie Bena.

– Doskonale, Julio! Wspaniały strzał. Masz wrodzone zdolności do gry w bilard.

– Przypadek.

– Ładny mi przypadek! Nie bądź taka skromna. – Mike zaśmiał się głośno. – Jak tak dalej pójdzie, to przegram. Z kobietą, na dokładkę nowicjuską... Co za wstyd! Przyznaj się, pewnie ćwiczyłaś po nocach?

– Julia w nocy śpi, Mike. – Kenneth brutalnie przerwał te przekomarzanki. – Chyba zapomniałeś, że jest w ciąży. Powinna pójść do siebie już pół godziny temu. Potrzebuje dużo snu i dlatego uważam, że już dość na dzisiaj. Prawie świta.

– Nie zauważyłem. Ale przy takiej partnerce... Trudno się dziwić.

– Julio, pora na ciebie. Powinnaś się położyć.

– Ale ja...

– Kenneth, do cholery, przestań się szarogęścić! – Teraz z kolei Sunny

musiała wtrącić swoje trzy grosze. Ale dla Praytona jej krzyki znaczyły dokładnie tyle samo co brzęczenie muchy: po prostu je zignorował.

– Julio!

Dziewczyna przymknęła oczy. Pozwoliła sobie na słabe westchnienie i lekkie wzruszenie ramion – to nieugięte spojrzenie i ta delikatna groźba w jego głosie były tak przykro znajome.

– Tak, Ken. Pójdę już. Masz rację. Przyjęcie właściwie się skończyło. Tylko my zostaliśmy. Nie będę chyba więcej potrzebna... Dobranoc, Mike, Ben... Dobranoc, Ken, a raczej... dzień dobry.

Wyszła.

Sunny, klnąc na czym świat stoi i obrzucając Praytona morderczym spojrzeniem, wybiegła za nią.

– Dlaczego pozwalasz się tak traktować?!

– Nie wiem.

– Kochasz go?

Milczenie.

– Odpowiedz, do jasnej cholery, bo mnie tu zaraz szlag trafi!

– Nie wiem.

Sunny patrzyła na przyjaciółkę, zamykając i otwierając usta, żadne odpowiednie słowa nie przychodziły jej do głowy.

W końcu podeszła do Julii i przytuliła ją do siebie.

– To lepiej się dowiedz – szepnęła. – I to szybko, zanim będzie za późno.

Przyjęcie skończyło się. I nic. Zaczął się nowy dzień. Taki sam jak wszystkie poprzednie. Chociaż nie. Sunny i Blackwellowie zostali do jutra. Tylko do jutra. Sunny wynajęła do pomocy w galerii jakąś studentkę, ale nie mogła jej za długo zostawiać samej. „W końcu to nie ty” – powiedziała. A i bliźniacy mieli swoje sprawy do załatwienia. Ale Kate obiecała, że przyjedzie znowu, niedługo, a Mike umówił się z nią na kolejną partię bilardu. To dużo. Przecież to dużo... Tylko dlaczego chciała, żeby nadal było wczoraj?

ROZDZIAŁ 10

Kenneth nadal wymykał się z domu – żeby nabrać dystansu i spokojnie pomyśleć. Gdy wracał, witająca go cisza nie wydawała się już tak natrętna. Była jak stary, zadomowiony przyjaciel, który nic nie mówi, ale swoim milczeniem skłania do zwierzeń. Ona najlepiej wiedziała, że trudno się porozumieć, gdy wcześniej w ogóle się nie rozmawiało. Co gorsza, on nawet nie próbował słuchać. Ale cisza słuchała – jego, Julii, każdego... Chodziła za nimi krok w krok, przyglądała się Manuelowi, a jeżeli nawet stroniła od Katarzyny, to i tak wiedziała, o czym myśli zręczliwa gospodyni.

Rozumiał już, że popełnił wiele błędów, ale nadal nie wiedział, jak je naprawić. Na to nie istniał żaden prosty sposób. Zwykle „przepraszam” nie wystarczy, tym bardziej że wciąż nie umiał się zdobyć choćby na tyle. On też czuł się oszukany. Julia przecież nawet nie starała się go przekonać. Po prostu ukryła się przed nim; jakby wcale jej nie zależało, by poznał prawdę. A jaka była ta prawda? Czy równie skomplikowana jak więzy, które ich łączyły i rozdzielały jednocześnie? Równie trudna do wytłumaczenia jak uczucia, których nie potrafił i bał się nazwać?

Może Julii w ogóle na nim nie zależało? W każdym razie nie na tyle, by o niego walczyć. Ważne było dziecko – tu nie miał wątpliwości. Ale odnosił wrażenie, że tylko ono się liczy, że tylko ono trzyma ją w tym domu. I jeżeli nawet sam był temu winien, to... czy zawsze tylko o dziecko chodziło? Czy nigdy nie liczyło się nic więcej? A on, co z nim? Kim był dla Julii? Kiedyś, teraz... Co stracił, odpychając ją? Może nic. Może wszystko. Czy naprawdę chciał to wiedzieć...?

Przyglądał się jej, gdy spała. Robił to często, prawie każdej nocy, ale musiał mieć pewność, że Julia rzeczywiście śpi. Bo w ich noc poślubną, gdy wszedł do czerwonego pokoju, nie spała; leżała sztywna i nieruchoma – zbyt nieruchoma. Prawie czuł, jak wstrzymuje oddech, słyszał, jak mocno bije jej serce, jak błaga go w myślach, żeby już poszedł. Czego tak się bała? Jego? Czy raczej jego dotyku? Kolejne pytanie, na które nie znał i nie chciał poznać odpowiedzi.

Tylko gdy spała, miał odwagę wejść do jej pokoju. Był intruzem w tym pastelowym świecie, ale zbyt lubił na nią patrzeć. Na jej uśpione, nabrzmiałe nowym życiem ciało. Była taka drobna i delikatna, a jednocześnie silna.

Czasami pojękiwała cicho, przewracając się niespokojnie z boku na bok. Może dręczyły ją złe sny? Te same, które kiedyś wyganiały ją z czerwonego

pokoju. Ale teraz nie chodziła już nocami po domu. Pastelowy świat usypiał Julię, a on, głaszcząc ją po włosach i szepcząc czułe słowa, nie pozwalał na przebudzenie. Słyszała go. Chociaż tyle – słuchała go przez sen. Koszmary odpływały, gdy ufnie wtulała policzek w jego ciepłą dłoń.

Wtedy pragnął tylko jednego – położyć się obok niej i tuląc przez resztę nocy, czekać do świtu. Czekać, aż się obudzi. Może wówczas uśmiechnęłaby się do niego i pocałowała tak jak kiedyś, dawniej, w innym świecie, w innym życiu.

Wtedy wychodził, zabierając ze sobą nierealne marzenia. Wracał do siebie, gdzie czekała cisza gotowa wysłuchać jego smutku.

To niesamowite jak ten dom szybko usypiał. Otulał się zmierzchem i mościł w milczeniu szarzejących ścian. Odmawiając wieczorną modlitwę jasnymi prostokątami okien, powierzał swój sen odległym gwiazdom. Po chwili światła lamp gasły... i dom zasypiał.

Gdyby i on tak potrafił – zamknąć oczy, odgrodzić się powiekami od nocy i odpłynąć w sen. Ale nie potrafił, nie tak szybko, nie bez wahania i mrocznych rozmyślań o jutrze.

Stawał się lunatykiem z wyboru i tropił ślady pozostawione przez Julię w śpiącym domu. Szedł za nicią rozciągniętą wzdłuż pustych, ciemnych korytarzy, która zawsze niezmiennie prowadziła pod drzwi jej pokoju.

Usłyszał krzyk. Cichy i niewyraźny, ale na pewno bolesny. Dochodził zza drzwi pastelowego pokoju. Nie wahając się, wszedł do środka. Księżyc oświetlał jej nienaturalnie wygięte ciało z głową wciśniętą w poduszkę. Spała. Mimo krzyku i bólu, spała.

Przypadł do łóżka. Pochylił się nad nią; jego twarz znalazła się tuż nad wykrzywioną w bolesnym grymasie twarzą Julii.

– Co się stało? Kochanie! Zły sen...? Coś cię boli? Powiedz mi, maleńka. Już jestem, nie pozwolę cię skrzywdzić... – Nocą czułe słowa przychodziły tak łatwo. Czy jutro ona nie będzie ich pamiętać, a on postara się jak najszybciej o nich zapomnieć?

Znowu krzyknęła. Zerwała się tak gwałtownie, że musiał odskoczyć, by nie zderzyli się czołami. Usiadła na łóżku i otworzyła oczy. Obróciła głowę i spojrzała na niego.

– Ken...? – wyszeptała i głośno jęknęła. – Boli...

– Co, kochanie, co cię boli? Powiedz mi. – Usiadł przy niej i odciągnął kołdrę. – Tu cię boli? – Dotknął dużego, ciepłego brzucha.

„To już chyba ósmy miesiąc? – pomyślał oszołomiony. – Już niedługo zostanę ojcem. A może...?! – Nagłe przerażenie wkradło się do jego myśli. – Może już teraz... Boże, tylko nie to! Ale nie, brzuch nie jest napięty, więc chyba nie...”

– Tu cię boli? – zapytał ponownie.

Spojrzała na jego duże, drżące dłonie, otulające tajemniczą wypukłość.

– Nie. Noga. – Próbowała dosięgnąć łydki, ale brzuch, dumny ze swej wielkości, nie pozwolił jej na to.

– Pozwól, ja to zrobię. – Wstał, odkrył nogi dziewczyny i ukląkł na prześcieradle między jej stopami. – To pewnie skurcz. Połóż się, a ja rozmasuję.

Posłuchała. Leżała spokojnie, nie wstydząc się swojego ciała okrytego tylko cienką bawełnianą koszulą. Myślała wyłącznie o uldze, jaką przyniosą jego silne dłonie. Zgiął jej nogę w kolanie i oparł stopę o swoje udo. Krzyknęła, gdy dotknął i ścisnął lekko twardy, skurczony mięsień.

– Na początku trochę poboli, ale zaraz będzie lepiej – powiedział tylko, choć jej ból odczuwał jak własny. „To moja wina, to przeze mnie cierpi”. Zdawał sobie sprawę z absurdalności tego zarzutu, lecz niewiele mu to pomogło.

– Lepiej, prawda?

– Tak... – szepnęła. Jego ręce długimi, zdecydowanymi ruchami masowały nieposłuszną łydkę. W końcu ból ustąpił. Przeszedł w odrętwienie, a potem w ciepłe mrowienie.

– Już dobrze. Dziękuję.

Okrył ją kołdrą i usiadł na skraju łóżka. Już jej nie dotykał.

– Śpij, Julio. Musisz mieć siły, by unieść tego kawalera. – Uśmiechnął się i wskazał brodą jej brzuch schowany pod kołdrą. – Jutro muszę wyjechać, na jakiś tydzień. Taka nagła sprawa. Rozumiesz? – Skinęła głową na znak, że rozumie. – Wyruszę o świcie. Pewnie będziesz jeszcze spała, więc już teraz się pożegnaj, ale gdy wrócę... – przerwał, wpatrując się w nią intensywnie – wtedy chciałbym z tobą porozmawiać. Zgoda? – zapytał z napięciem w głosie.

– Zgoda. – Mężczyzna zaczął wstawać. – Ken...

– Tak...? – Jego twarz i oczy okrywał cień; nie mogła z nich niczego wyczytać.

– Zostań jeszcze trochę. Proszę...

– Chcesz, żebym poczekał, aż zaśniesz?

– Tak. Może... może położyłbyś się obok mnie? – zapytała cicho, przygotowując się na odmowę.

– Obok ciebie...?

„Czyżby marzenie okazało się jednak realne?” – pomyślał zaskoczony.

– Jeżeli nie chcesz, to...

– Chcę, Julio, nawet nie wiesz jak bardzo.

Wkradając się pod jej kołdrę, czuł się jak złodziej. Chociaż sama go o to prosiła, wciąż nie mógł uwierzyć, że naprawdę tego pragnie. „Chyba nie podejrzewa, jak niebezpieczne jest to jej życzenie, jak trudno jest mi trzymać ręce z daleka od niej...”.

Przytulił się do jej pleców i objął ramionami ciepły brzuch.

– Tak dobrze?

– Tak. Dziękuję.

– Nie dziękuj, jeszcze daleko do świtu.

Nie odpowiedziała. Pokręciła się trochę, moszcząc w jego objęciach, i wkrótce już spała. Ale on nie mógł zasnąć. Nawet nie chciał. Wdychał zapach jej włosów, chłonał ciepło poruszanego lekkim oddechem ciała, pieścił – delikatnie, tak żeby jej nie obudzić – jasną skórę dłoni. Gdy kochali się ostatnim razem, myślał, że to już koniec, że Julia nigdy więcej nie pozwoli mu się do siebie zbliżyć. Po co mu to wtedy było? Żeby potem dręczyło go jeszcze większe pragnienie? Ale teraz nie czuł podniecenia. Czuł coś o wiele potężniejszego. A gdy pod jego palcami ktoś poruszył się nieznacznie, umiał to nazwać tylko jednym słowem: szczęście.

– Co, kolego, też nie możesz spać? – wyszeptał. – Świetnie cię rozumiem. Za dobrze ci jest. Pewnie w ogóle nie masz ochoty stamtąd wychodzić, co? Ale chciałbym cię w końcu zobaczyć. Tata już nie może się doczekać, wiesz? – Przerwało mu całkiem mocne kopnięcie; mała rączka lub nóżka wypełniła jego dłoń. Julia mruknęła coś przez sen. – Spokój, mały. Nie ma co się złościć. Chcesz obudzić mamę? – Mały człowieczek w środku gwałtownie zaprotestował, trzepocząc się jak rybka w sieci jego palców. – No, ja myślę. Opowiem ci bajkę. Co ty na to? – Brak odpowiedzi pod dłonią uznał za zgodę. – No, to słuchaj. Był sobie chłopiec, który nie wiedział, jak ma na imię...

Smutek potrafił ogarnąć ją w trakcie śniadania czy kąpieli, dopaść na spacerze czy w trakcie zakupów, wtrącić się do rozmowy, przerywając jej w pół zdania, przeszkodzić w czytaniu książki, zamazując litery przed oczami. To nie było w porządku.

Odkąd sięgała pamięcią, zdarzało jej się czasami doświadczać tego nagłego, dojmującego poczucia smutku i osamotnienia, ale nigdy tak często jak podczas ciąży. Przedtem przytrafiało jej się to najwyżej raz na rok, albo rzadziej, i każdy taki raz zapamiętywała bardzo dobrze. Nic go nie poprzedzało – żadna specjalna sytuacja ani przecucie, smutek pojawiał się znikąd, bez przyczyny. Trwał zaledwie kilka sekund, a potem mijał. Ale zanim zniknął, ważne stawało się tylko jedno – nie poddać się mu. Uczucie to było bowiem tak intensywne, tak dogłębne, że bez trudu mogła zrozumieć samobójców. Czuć coś takiego dłużej niż przez tych kilka sekund, czuć to miesiące, lata... Koszmar. Koszmar beznadziejnej pustki, depresji, której nikt nie udźwignie sam o własnych siłach.

A teraz w ciąży kilkusekundowe przerwy na smutek stały się jej chlebem powszednim. Nie liczyła ich, gdyż zdarzały się zbyt często, czasem kilka razy dziennie. Zlały się w jedno, w jakiś utarty zwyczaj, do którego przywykła. W takich chwilach samotnego smutku starała się nie myśleć o niczym albo też, na odwrót, próbowała skupić się całkowicie na czymś innym. Jednak najbardziej pragnęła wtedy po prostu przytulić się do kogoś i podzielić z nim swoim smutkiem. Ale to musiał być ktoś specjalny, w czyich objęciach mogłaby się zatopić i zasnąć. Taki ktoś jak Ken.

Przestało mieć znaczenie, że ją skrzywdził. Zapomniała o groźbach, oskarżeniach i karach. Jakby przestała w nie wierzyć. Nie umiałaby tego wytłumaczyć, ale czuła, że tylko przy nim jest spokój i bezpieczeństwo. Przy nim wracały wspomnienia, wciąż tak samo piękne, przy nim budziły się marzenia o rodzinie i miłości. Dlatego więc, ryzykując odmowę, poprosiła go w nocy, żeby został. Chciała, by właśnie on przejął na siebie część jej smutku, który znowu pojawił się nie wiadomo skąd. Dłonie Kena tak łatwo odpędziły ból, może więc i z tym nagłym żalem poradziłyby sobie bez trudu? Nie zawiodła się. Ciepłe objęcia przegnały samotność i miała cichą nadzieję, że obrażona pustka da jej spokój na jakiś czas. Chciała mu podziękować za sen i za tę nadzieję, ale...

Gdy się obudziła, Kena już nie było. Przecież uprzedzał ją, że musi wcześniej rano wyjechać. Dobrze, że jej o tym powiedział, bo choć nie zdążyła mu podziękować, to będzie mogła to zrobić, gdy wróci. Bo wróci i, tak jak obiecał, porozmawiają. Dobrze... Bo choć nie było go przy niej, przynajmniej wiedziała, że nie wymknął się chyłkiem o świcie jak złodziej – na palcach i z butami w ręce.

Nie wiedziała jednak, że on też odzyskał nadzieję. I nie umiejąc sobie z nią poradzić, wyjechał o wiele wcześniej, niż zamierzał. Nie domyślała się nawet, jak trudno było mu odejść, nie budząc jej i nie mówiąc, jak bardzo...

Ale tego Julia nie wiedziała.

Czuła za to niepokój, lęk coraz większy z każdym upływającym bez Kena dniem. Nie umiała go pokonać ani niczym usprawiedliwić. Nie pomagało podzwaniające ciszą współczucie domu, nie krzepiła gderliwa troska Katarzyny. Nawet prezent od Manuela tylko na moment rozproszył dziwną obawę, która ją nękała.

Przyniósł jej drewnianego pajacyka, którego sam zrobił. Gdy pociągało się za sznurek, tęczowy cudak przekrzywiał głowę, zginając nogi i unosząc ręce

w prześmiewczym wzruszeniu ramion. Zawiesiła go przy łóżeczku w pokoiku dzieciennym. Wyglądał na zadowolonego z takiego wyboru – jego wymalowany, szeroki od ucha do ucha uśmiech zdawał się to potwierdzać. „Nie przejmuj się” – mówił, wzruszając drewnianymi ramionami. „Daj sobie spokój z lękami” – namawiał, unosząc nogi w drewnianym lekceważeniu. „Pamiętasz? Strachów nie ma” – zapewniał, po swoim kręcąc głową. I przez moment nie przejmowała się, na jedną chwilę dawała sobie spokój z lękami i wierzyła, że strachów nie ma. A potem pajacyk opuszczał smętnie ramiona i zwieszał nagle bardzo ciężką głowę, zaś jego malowany uśmiech już nie cieszył.

I znowu – Kena nie było, a ją coś gnało z kąta w kąt, nie pozwalając znaleźć sobie miejsca. „Co się stało? – pytała, gdy niepokój narastał do granic obłądnego strachu. – A może dopiero coś się stanie? Przeczucie...? Czy ja mam złe przeczucia? Ken, boję się. Gdzie jesteś?”

Katarzyna poddała się. Nie pomogły maślane bułeczki, poranne plotki w kuchni ani bezładna paplanina Marty. Nie pomógł prezent od Manuela ani rozliczne zajęcia, jakie gospodyni wynajdywała dla Julii. Nawet wyprawa do miasteczka po ciuszki dla dziecka, którą z powodu przesądów Katarzyna odkładała aż do teraz, zdała się na nic.

Julia pozornie angażowała się we wszystko, co dla niej wymyślała – pomagała w kuchni, porządkowała książki w bibliotece, rozmawiała z ogrodnikiem na temat nowych sadzonek, z wyraźną czułością wybierała niemowlęce ubranka, słuchała Marty, dziękowała Manuelowi, ale... ciągle coś ją trapiło. I to coś nie chciało zniknąć. W końcu Katarzyna dała za wygraną. Postanowiła zadzwonić do Kennetha. Był jej tutaj potrzebny, był potrzebny Julii – i to teraz, zaraz. Niestety z jej postanowienia nic nie wynikło. Kenneth zostawił przy aparacie w holu numery do banku, agencji i swojego adwokata, ale nigdzie nie mogła go złapać. Próbowwała raz, drugi, dziesiąty; jednego dnia, drugiego, ale wszędzie, gdzie dzwoniła, albo jeszcze się nie pojawił, albo już był i poszedł. Nikt nie wiedział, gdzie go szukać.

„Co to za ważne sprawy go tam zatrzymują?! – złościła się Katarzyna. – Co za tajemnice, że nikt nic nie wie albo nie chce powiedzieć?!”. Wszędzie zostawiała alarmujące wiadomości – niepokój Julii udzielił się w końcu także jej – ale albo do Kena nie docierały, albo zwyczajnie ich nie odbierał. „Co on sobie wyobraża?!” – Katarzyna denerwowała się coraz bardziej, bo choć to ona dzwoniła, zawsze w pobliżu, niby przypadkiem, znajdowała się Julia. Widziała nadzieję na jej

twarzy, że może teraz, że może tym razem się uda. „Dlaczego tak jej na tym zależy?” – zastanawiała się gospodyni i próbowała znowu, i znowu...

A Julia czekała. „Wracaj, Ken. Wracaj do domu. Potrzebuję cię. Wracaj szybko”.

Ale on nie wracał, a gdy wreszcie wrócił do domu, Julii już w nim nie było.

Nie miał pojęcia, co go zmusiło, by swój pobyt w City skrócić o jeden dzień; jakiś niepokój, przeczucie, że dzieje się coś złego. Było to na tyle dręczące i nieustępliwe – choć nieokreślone – że pozalał wszystko, co się dało, a resztę odłożył na później. Przypuszczalnie przez ten pośpiech zepsuje sobie jeden z lepszych interesów, jaki ostatnio mu się trafił, ale... pal sześć japońskiego klienta z jego punktualnością, odwiecznymi zasadami i drażliwym kodeksem honorowym! Po prostu nie mógł dłużej pozostawać z daleka od domu, musiał wrócić – teraz, zaraz, tego wieczoru, nawet jeżeli do Prayton House dotrze w środku nocy. Cokolwiek to było, wzywało go, a on bez wahania odpowiedział na to wezwanie.

W domu czekała Julia. Może będzie już spała, a może nie. Może trudno jej zasnąć bez niego, tak jak on już od dawna nie umiał spokojnie zasnąć bez niej. Może czeka, aż ją utuli i opowie ich dziecku kolejną bajkę na dobranoc. Może, nie miał pewności... ale to wystarczyło, by pędził przed siebie, licząc skrupulatnie kilometry i minuty dzielące go od domu.

Przez ostatnie tygodnie nie potrafił się zdobyć na żadne działanie. Chyba wydawało mu się, że narodziny dziecka wszystko załagodzą – ot tak, po prostu, nagle on i Julia z wrogów staną się czułymi rodzicami. Ale wiedział, że to mrzonki. Pojawienie się dziecka niewiele zmieni, jeżeli oni sami się o to nie postarają. Chociaż ostatnio już zaczęło się coś zmieniać – on zrezygnował z walki, a Julia przestała uciekać. Nadal nie znał jej myśli ani uczuć, ale czy ona znała jego myśli i uczucia? Nie pozwalał jej na to tak długo. Właściwie nigdy nie pozwolił, nawet na początku. A Julia nie nalegała. I w tym był cały kłopot, w tym tkwiło źródło wszystkich ich problemów. On nie potrafił ufać, a ona walczyć o to, w co wierzy. Powinni byli uczyć się tego razem, jedno od drugiego. Zmarnowali swoją szansę, ale może mają jeszcze jedną? Wierzył w to. Wierzył...? A więc już zaczynał się uczyć.

Cyganka prawdę ci powie... I powiedziała, choć wtedy nie chcieli słuchać.

Nie wolno żyć chwilą wyrwaną z kontekstu. Co to za drzewo bez korzeni, co to za kwiat bez nasion niosących w sobie obietnicę przyszłości?

Mylił się co do Julii. Chciał w to wierzyć, więc wierzył. „Czy ufność nie jest piękna?” – myślał, czując w sobie siłę zdolną rozłupać mury dzielące go od żony.

Włączył radio. Wystukując palcami skoczny rytm jakiejś piosenki disco, próbował sobie przypomnieć, co jeszcze powiedziała wróżka. Coś o bólu i gniewie. O rozpaczy tak bliskiej nienawiści, że staną się jednym. Gdyby tylko chciał jej wtedy wysłuchać. Miała rację. Nie był zły, tylko zraniony. Nie był okrutny, tylko bardzo przerażony. Stąd jego zmienne nastroje, przerzucanie się od czułości do nienawiści, od tkliwości do chłodu. Czemu potrzebował tyle czasu, by to zrozumieć? Dlaczego dopiero czarny asfalt drogi prowadzącej do domu, noc z cichym krzykiem opływająca smukłe ciało mercedesa i ten niepokój gnający go przed siebie, skłoniły go do zastanowienia? Musiał wybrać. Zdecydować ostatecznie, czego tak naprawdę chce.

Bo pragnął jej, a potem odpychał, gonił za nią i odstraszał od siebie. Był nielogiczny za każdym razem, gdy ją atakował, a potem oskarżał o to, że się broni; jakże był niekonsekwentny, gdy zmuszał ją do milczenia, a potem żądał słów, krzyku i tego wszystkiego, czego nie chciała mu dać. A żądał przecież tylko po to, żeby niszczyć. Czy można to wybaczyć? Taką głupotę, którą tylko jedna myśl dzieli od zrozumienia, taką dziwną nienawiść, którą tylko krok dzieli od miłości – jeden krok i przepaść wyżłobiona nieufnością. On nie mógł sobie wybaczyć. Ale Julia jest lepsza od niego... Może jeżeli ją poprosi, da mu ostatnią szansę? Gotów był błagać na kolanach, by jeszcze raz zechciała mu zaufać. Już nigdy więcej jej nie zawiedzie, nie odeśle na górę jak skarconą małą dziewczynkę, która zakradła się na przyjęcie dorosłych. Teraz nie popełni tego błędu. Nie odepchnie jej od siebie po raz kolejny. Nie, już nigdy więcej.

Kilometry mijały. Droga była prosta, dom czekał, Julia może jeszcze nie spała.

Jadąc ciemnym parkiem otaczającym Prayton House, siłą powstrzymywał się, żeby nie przydusić gazu do deski. Jeszcze tylko kilkanaście sekund i kilkaset metrów żwirowej alei dzieliło go od domu.

Zdawało mu się, że widzi światło. „Niemożliwe... O drugiej w nocy?”. Jednak nie mylił się. Mercedes przysiadł i skoczył do przodu. Spod kół prysnął żwir wyrwany gwałtownie ze snu.

Dom nie spał. Czekał na niego – jasno oświetlony i przestraszony. „Co się stało? Julia... Boże! Julia...!”

Wyskoczył z wozu i podbiegł do frontowego wejścia. Z hukiem otwierając drzwi, wpadł do środka.

„Gdzie są wszyscy?! Jezu Chryste! Gdzie oni są?!”

– Julio! Julio, gdzie jesteś?! Co się dzieje? Manuelu, Katarzyno! Co się sta...
– Zauważył ich w końcu. Stanęli przed nim – błądy Manuel i Katarzyna ze śladami zaschniętych łez na policzkach i nowymi łzami napływającymi do zaczerwienionych oczu. Stali przed nim – roztrzęsieni, przeraźliwie smutni, w nocnych strojach, choć wcale nie spali. Już od dwóch godzin nie spali.

– Gdzie jest Julia? – wycharczał. Dławiący, paraliżujący zmysły i ciało strach prawie nie pozwalał mu mówić.

– Nie ma jej, Ken. Nie ma Julii... – zaszlochała Katarzyna i spojrzała na bladego, drżącego mężczyznę, który samotny jak nigdy dotąd, stał o krok od niej. Szukając pocieszenia, otworzyła ramiona i przytuliła się do niego.

Ken objął ją odruchowo i bezwiednie głaskał po plecach. Milczał i patrzył na schody prowadzące do góry, do pokoju Julii, do pustki, którą tam zostawiła.

– Nie ma jej tutaj... Zabrali ją... – usłyszał zdławiony szept i poczuł gorące łzy przesiąkające przez koszulę.

– Dokąd? Kto ją zabrał? Manuelu, powiedz mi, co się stało?

Stary służący umknął spojrzeniem w bok. W ciągu ostatnich dwóch godzin postarzał się o dziesięć lat. Nie potrafił, patrząc Kenowi prosto w oczy, powiedzieć tego, co musiał powiedzieć.

– Pogotowie. Zabrali ją do miasteczka, do szpitala... To Marta ją znalazła. Usłyszała krzyk i... – ciche słowa z trudem torowały sobie drogę przez ściśnięte gardło – Julia już tam leżała... Na podłodze, przy łóżku... Naprawdę szybko przyjechali... Marta zaraz po nich zadzwoniła. To bystra dziewczyna, nie straciła głowy, nie przybiegła do nas, tylko od razu zadzwoniła! Gdyby nie ona... Zanim nam w końcu powiedziała, zanim dotarliśmy na górę, pogotowie już było.

Powiedzieli, że to krwotok i dobrze, że tak szybko ich wezwano. Chcieliśmy pojechać z nimi, ale ten młody lekarz powiedział, że nie, że lepiej, jak zostaniemy w domu i spróbujemy cię zawiadomić. Wiesz, on bardzo się przejął, kazał dzwonić co godzinę. Dzwoniliśmy, ale wciąż nic nie wiadomo. Zapewnili tylko, że robią wszystko co w ludzkiej mocy, ale... – głośno westchnął, nabierając głęboko powietrza – żebyśmy nie mieli zbyt dużej...

– A właśnie, że będziemy mieć nadzieję! – przerwała mu z tłumionym krzykiem Katarzyna. Jeszcze mocniej przycisnęła się do Kennetha. – Musimy! Trzeba mieć nadzieję! Musimy wierzyć! Prawda, Ken, powiedz?! – Uniosła głowę i wpatrywała się w niego z desperacją.

Odsunął ją od siebie na odległość ramion i patrzył w skupieniu na zrozpaczone twarze swoich opiekunów. Szukali u niego oparcia, siły, która pomoże im udźwignąć rozpacz i strach, i stratę, jeżeli tak zechce los. Nie współczuli mu, ale czy miał prawo do ich współczucia, do żalu? Nie. Stracił je dawno temu, zanim jeszcze tu przyjechał. W domu, który był i nie był jego domem, Katarzyna i Manuel zbliżyli się do Julii o wiele bardziej, niż on się na to kiedykolwiek odważył. Stali się jej rodziną, tak jak kiedyś jego, z miłości i wyboru. Opiekowali się nią i słuchali, kiedy on tego nie robił. Nawet gdy myślał, że już tak wiele zrozumiał, znowu ją zawiódł – najboleśniej, najokrutniej. Spóźnił się. To ona go wzywała. To jej wołanie słyszał, ale zrozumiał je za późno. Nie miał prawa do współczucia, ale mógł pomóc Travisom, nawet jeżeli sobie samemu już nie potrafił.

– Tak, Katarzyno. Trzeba mieć nadzieję, trzeba wierzyć. – Ścisnął jej ramiona i po chwili uwolnił od siebie. Podszedł do schodów, oparł rękę na poręczy i spojrzał w górę.

– Wiedziałaś, wiedziałaś... – Gospodyni ocierała łzy i cień uśmiechu pojawił się na jej zapłakanej twarzy. – Dobrze, że już jesteś. Od tygodnia próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nigdzie nie mogłam cię złapać. Julię od twojego wyjazdu ciągle coś niepokoiło, więc pomyślałam, że gdybyś wiedział... że gdybyś wrócił... Ale teraz już jesteś, więc wszystko będzie dobrze.

Zaczął wchodzić na schody, ale słysząc słowa Katarzyny, cofnął się i wolno obrócił.

– Dzwoniłaś? Julia się niepokoiła?

– Tak. Jakby przeczuwała, że coś się stanie.

„Boże, jeszcze i to! Czy nie dość win, nie dość błędów?!”. Celowo nie odbierał żadnych wiadomości. Miał sprawę do załatwienia i nie chciał, by cokolwiek mu przeszkadzało. Cokolwiek, ktokolwiek... Nawet Katarzyna, nawet przeczucie Julii.

Powinien natychmiast pojechać do szpitala, ale nie miał odwagi. Wspiął się na schody, stopień po stopniu, wolno, niechętnie, ale musiał sprawdzić. „To nieprawda!” – krzyczało w nim coś, pchając go do przodu. „Prawda! Nie ma jej tam” – dręczył drugi głos, ściągając go w dół. Trzeba wierzyć! Ale tak trudno było mu się pogodzić z myślą, że jej tam nie ma, że nie czeka na niego, że nie ma już kogo utulić i nie ma komu opowiedzieć bajki na dobranoc.

Stał przed zamkniętymi drzwiami pastelowego pokoju i zbierał siły, by je otworzyć. Przyłożył dłonie do chłodnego drewna i... usłyszał jęk. Cofnął ręce. „Zdawało mi się. Tam już nikt nie płacze, nikt mnie nie potrzebuje!”. Przyłożył palce do wilgotnego śladu, jaki na chłodnym drewnie drzwi pozostawiła jego dłoń, i pchnął lekko.

– Marta...? Co tu robisz? – Dziewczyna klęczała na podłodze tyłem do niego i coś ścierała z dywanu. Nie usłyszała go. Podszedł do niej, ale nie zauważyła go.

– Marto... – Dotknął jej ramienia. Dziewczyna drgnęła i spojrzała na Kena niewidzącym wzrokiem. Patrzyła na niego przez parę chwil, a potem odwróciła się i znowu pochyliła nad ciemną plamą, którą próbowała zetrzeć. Podążył spojrzeniem za monotonnymi ruchami jej dłoni. Tarła i tarła, coraz mocniej, coraz rozpaczliwiej próbując zetrzeć ciemnoczerwoną plamę krwi na dywanie.

– Tu leżała... Tu ją znalazłam. Baliśmy się o nią. Była ostatnio taka niespokojna. Dlatego spałam w pokoju obok na wypadek, gdybym była potrzebna. Obudził mnie krzyk. Wiedziałam, czułam, że stało się coś złego. Gdy przybiegłam, ona już tu leżała. Nieruchoma. I ta krew... Tyle krwi! Nigdy nie widziałam tyle...och! – jęknęła. – Boże święty...! – zawodziła płaczącym głosem. Przysiadła na stopach i zaczęła kołysać się wolno na boki. – Boże, Boże! Tyle krwi. Myślałam... myślałam, że umarła. Leżała taka blada, taka nieruchoma... A gdy jej dotknęłam, złapała mnie za rękę, o, tak mocno... – dziewczyna chwyciła nadgarstek mężczyzny i ścisnęła kurczowo – tak mnie trzymała, aż bolało, nie mogłam się wyrwać. Ona mnie potrzebowała, a ja chciałam uciec... Bałam się, tak okropnie się bałam. Boże, wybac mi! Biedna pani. Powiedz mu, mówiła, powiedz mu, że nie

chciałam... Powiedz mu, wciąż to powtarzała, a potem zemdlała... a ja uciekłam. – Puściła jego rękę, złapała ścierkę i znowu zaczęła trzeć. Tarła... Tarła...

– Marto! Dostyc! Słyszysz mnie, przestań!

– Nie mogę... Muszę to wytrzeć. Pani tak lubi ten dywan...

– Wyrzucę go. Spalę!

– Nie, nie może pan! Pani wróci i będzie jej przykro. Ona tak go lubi. Gdy wróci... Wróci? – Patrzyła na niego błagalnie. – Gdy ją zabierali... Myśleli, że nie słyszę, ale ja słyszałam! Powiedział... ten młody lekarz... – prawie nie wydobywała z siebie głosu, tylko poruszała ustami, ale słyszał każdy niemy dźwięk, rozumiał każde ogłuszające bólem słowo – powiedział, że może... może uda im się uratować chociaż dziecko. – Jej oczy błagały, by zaprzeczył.

Dlaczego wszyscy żądali od niego nadziei? Skąd miał ją czerpać, wciąż na nowo, coraz więcej, skoro dla niego samego ledwo starczało?!

– Julia wróci. Idź. Zostaw to. Kupię nowy dywan, dokładnie taki sam. Nikt się nie pozna. Zostaw to! Zostaw mnie samego. Idź już... Idź stąd! – krzyknął, czując, że przekracza jakąś granicę. – Idź do Katarzyny, na pewno jest w kuchni, idź, proszę, chcę zostać sam. – Ale dziewczyna nie podnosiła się z klęczek.

– Nie mogę – szepnęła. – Muszę...

– Nie musisz! To nie twoja wina. Słyszysz?! Na pewno nie twoja! Wystraszyłaś się, to nic złego. Rozumiem. Najważniejsze, że mimo lęku pomogłaś Julii. Tylko dzięki tobie... – Złapał ją za przedramiona i siłą podniósł z kolan. – Jeżeli ktokolwiek zrobił wszystko, co tylko mógł, to właśnie ty! A teraz idź już! Idź, Marto, błagam, idź sobie!

W końcu posłuchała. Wolno, sztywno, jak mechaniczna lalka, ruszyła w stronę drzwi. Stała w progu.

– Kupi pan go, prawda? Dywan... Obiecał pan.

– Tak, kupię.

Bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. Słyszał oddalające się kroki –

z początku ciche, niepewne, potem coraz szybsze, gwałtowniejsze. Zaczęła biec. Uciekała od niego, od strachu. Biegła, by schronić się w ciepłych objęciach kuchni.

Pastelowy świat był pusty; opuszczony i splamiony cierpieniem. Plama. Jej ból przyciągał go. Podeszedł do miejsca, przy którym klęczała Marta. Plama krwi... Oskarżała go. Kazała opaść na kolana i zmusiła, by dotknął jej ciemnej, bolesnej czerwieni.

„Julio, chciałem ci tyle powiedzieć... tyle obiecać. – Gładził delikatnie ranę na dywanie. Drżącą pieszczotą koił jej krzyk. – Chciałem powiedzieć, jak ważna jesteś dla mnie. Zawsze byłaś. Tak ważna, że niszczyłem nas oboje, dręczyłem... Zabijałem w sobie po kawałeczku wszystko, co było tobą, bo nie mogłem znieść myśli, że nie jesteś prawdziwa. Julio, maleńka, wybacz mi... Wmawiałem w siebie, że jesteś zła, bo myślałem, że wtedy przestanie boleć, ale nie przestało. Łudziłem się, że rozpacz zniknie, ale nie zniknęła... A teraz, Julio, teraz, kochana... już nie umiem sobie z nią poradzić. Nie daję jej rady, najdroższa! Nie umiem już żyć bez ciebie... – Odwrócił ręce i spojrzał na palce naznaczone jej cierpieniem. – Nie odchodź ode mnie... Nie zostawiaj mnie, bo i tak pójdę za tobą. Gdziekolwiek jesteś, ja będę przy tobie. Zawsze, wszędzie... Gdzie ty, Kaja, tam ja, Kajus... zawsze, wszędzie...”

Ukrył twarz w dłoniach. W rytuale pokuty obmywał ból miłości swoimi łzami.

– Julio... – wyszeptał chrapliwie – gdziekolwiek odejdziesz, ja pójdę za tobą.

ROZDZIAŁ 11

Szpital w miasteczku był niewielki. Nie mógł pochwalić się lekarzami o światowej sławie ani sprzętem medycznym najnowszej generacji. Miał za to coś ważniejszego – kompetentny, uczciwy personel, który z prawdziwą pasją i pełnym oddaniem poświęcał się ratowaniu ludzkiego życia i zdrowia.

Panowała tu cisza i spokój wiejskiego pensjonatu; bez zabiegania i bezosobowej atmosfery wielkiego kombinatu, w którym pacjent jest tylko kolejnym przypadkiem, mniej lub bardziej skomplikowanym. Tutaj każdy był ważny; niesforny siedmiolatek ze złamaną nogą, niedoszła samobójczyni w niechcianej ciąży, bezdomny włóczęga z gruźlicą, który po rehabilitacji swój dług wobec szpitala odpracuje, pomagając salowym, farmer, który swoje trzydzieste urodziny ochrzcił zbyt dużą ilością bimbrow, złamanym nosem i dwudziestoma szwami na twardej głowie, poturbowani rodzice, którzy w wypadku stracili jedyne dziecko, ciężko pobita ofiara zazdrosnego narzeczonego, młody mężczyzna, który umierał na raka, trzymając za rękę swoją młodziutką żonę, leżąca tu od pół roku kobieta, która starała się nie stracić czwartej z kolei ciąży... Jednym wystarczyło kilka plastrów, dla innych nawet morfina była za słaba. Ale każdy otrzymywał uśmiech i ciepłe słowo; otoczony przez powagę i pokorę towarzyszące cierpieniu, każdy miał prawo do radości życia i godności śmierci.

Zanim wyjechał z domu, Ken zadzwonił do Blackwellów, prosząc, by powiadomili Sunny i MacAlistera. Wiedział, że tego chciałyby Julia – mieć ich przy sobie, jeśli się obudzi. Gdy się obudzi... Wtedy on chciał być przy niej; trzymać ją za rękę i mówić o wszystkim, o czym kiedyś bał się marzyć. Ale czy będzie chciała go słuchać? A jeżeli nie...? Jeżeli już się nie obudzi? „Nie! Nie wolno mi tak myśleć”. Zawsze pozostaje cisza, tak mówił, gdy gorycz kaziła każdą jego myśl. Ale gdy płacz zastępuje gorycz, a potem nie ma już nawet łez, wtedy pozostaje tylko wiara.

– Czym mogę panu służyć? – Uprzejme pytanie recepcjonistki wyrwało go z odrętwienia.

– Moja żona... Przywieziono ją jakieś dwie godziny temu. Chciałbym wiedzieć...

– Pańska żona...? Jak się nazywa?

– Julia Prayton. Karetka zabrała ją z domu. Chcę wiedzieć, jak się czuje. Proszę... Proszę mi powiedzieć, czy z nią...

– Prayton, Prayton... – Młoda kobieta szukała jego nazwiska w grubej książce przyjęć. – Ach, tak. Julia Prayton. Krwotok. Zaawansowana ciąża. Podejrzenie... – nie dokończyła. Grzeczny uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała na niego ze współczuciem. – Proszę poczekać. – Wskazała rząd krzeseł stojących pod ścianą. – Zadzwońię na blok operacyjny, żeby się czegoś dowiedzieć. Tam w rogu jest automat z kawą. Może pan się napije, a ja... – Nie dokończyła. Zrozumiała, że mężczyzna nie odstąpi jej na krok, póki wszystkiego się nie dowie. Gdy rozmawiała przez telefon, wpatrywał się w nią tak zachłannie, że czując się dziwnie nieswojo, spuściła wzrok. Po chwili odłożyła słuchawkę.

– Operacja jeszcze się nie skończyła. Musi pan poczekać.

– Poczekam.

To były najdłuższe dwie godziny w jego życiu. Nie miał ochoty na kawę – nie był w stanie przełknąć czegokolwiek. Nie mógł usiedzieć na miejscu – przemierzał korytarz tam i z powrotem. Podniósł kilka ulotek leżących na biurku recepcjonistki – próbował je czytać, ale nie potrafił zrozumieć ani jednego słowa. Wypalił na dworze dwie paczki papierosów.

Prawie zaczynał gryźć, gdy w końcu zjawił się lekarz, na którego widok młoda kobieta natychmiast wstała, obciągając swój nienagannie leżący uniform. Nowo przybyły wyraźnie utykał i wyglądał na bardzo zmęczonego. Jednak pomimo siwiejących włosów i głębokich bruzd na twarzy mężczyzna w białym kitlu był najwyżej parę lat starszy od Kena.

– Dzień dobry. – Lekarz wyciągnął dłoń o długich, silnych palcach chirurga. – Adam Gregory. Jestem ordynatorem. – Kenneth uściśnął jego rękę. – Saro, mogłabyś zrobić mi kawy? – zwrócił się z bladą imitacją uśmiechu do recepcjonistki.

– Oczywiście, panie ordynatorze. Czarną i dwie łyżeczki cukru? – Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do automatu.

– Co z moją żoną? Muszę wiedzieć! – Gregory uwolnił swoją dłoń z kurczowego uścisku. Kenneth oszołomiony patrzył na czerwone ślady, które pozostawiły jego palce. – Przepraszam...

– Nie ma za co. Proszę za mną. Porozmawiamy w moim gabinecie. – Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się i ruszył przed siebie, po drodze odbierając kawę z rąk wpatrzonych w niego dziewczyny. Nie mając wyboru, Prayton poszedł za swoim utykającym przewodnikiem.

Weszli do małego pokoju. Brakowało w nim wszelkich ozdób, kwiatów, wygod. Skromne biurko, dwa krzesła, regał, wąska kozetka. Czyżby szpital znajdował się w aż tak tragicznej sytuacji finansowej, że gabinet ordynatora wyglądał jak cela klasztorna? A może to jego własny wybór? Może był mnichem pomagającym ludziom, którzy przypadkiem trafili do jego pustelni?

Gregory badał wzrokiem siedzącego przed nim mężczyznę, który opierał się ciężko o biurko.

– Pańska żona miała dużo szczęścia. Powiedziałbym, że to cud, gdyby nie fakt, iż wciąż nie ma pewności, czy przeżyje do rana.

Samotny mężczyzna naprzeciw wbił udręczone spojrzenie w jego twarz.

– Nie ma pewności...?

– Przykro mi, ale nie. To był krwihak. Pękł. Raczej nie sposób go było wykryć wcześniej. Zresztą nikt go nie szukał. Sprawdziłem. Pańska żona nie przychodziła do naszej przychodni na badania kontrolne. Czy prowadził ją jakiś inny lekarz, spoza tego szpitala?

– Nie wiem.

– Teraz to i tak już nieważne. Nie posiadając wszystkich danych, nie potrafię powiedzieć, czy można było tego uniknąć. Pewnie nie. Nie chcę pana okłamywać, ale boję się, że możemy ją stracić.

– Nie wierzę.

– To dobrze.

– Dobrze...?

– Tak. Dzięki czemuś, czego nie rozumiem, pańska dzielna żona wciąż się trzyma, wciąż walczy... – W poważnym głosie lekarza Kenneth nie wyczuwał ani krzty współczucia, jakie okazała mu recepcjonistka.

– Pan mnie obwinia?

– Nie wiem. Ale po tylu latach... Gdy się widziało tyle bólu, cierpienia... Rozumie się pewne rzeczy instynktownie.

– Myśli pan, że jej nie kocham?

– Nie wiem. To pan sam musi sobie odpowiedzieć na to pytanie. Ja tylko chcę uratować pewną młodą kobietę, która uparcie nie poddaje się śmierci. Ale dla kogo? Dla kogo ona sama walczy? Dla siebie, dla pana czy dla kogoś innego? To już nie moja sprawa.

– Chciałbym ją zobaczyć.

– W tej chwili to niemożliwe. Jest na oddziale intensywnej terapii. Straciła mnóstwo krwi. Gdyby nie znaleziono jej tak szybko, gdyby nie wezwano nas natychmiast, gdyby nie miała tak popularnej grupy krwi, gdyby, gdyby... Ale miała szczęście i tylko dzięki temu jeszcze żyje.

– Chcę ją zobaczyć. Muszę z nią porozmawiać, wyjaśnić...

– Już mówiłem, to niemożliwe. Potrzebuje teraz przede wszystkim spokoju. Skąd mam wiedzieć, że pan jej nie zdenerwuje? Co prawda jest nieprzytomna, ale nigdy nie wiadomo. Jest w głębokim szoku. Znajduje się teraz na granicy. Jeden nieodpowiedni krok, słowo, czyjaś... obecność, a już do nas nie wróci. Nie mogę ryzykować.

– Przecież ja ją kocham! Nie zrobię niczego, co mogłoby...

– A od kiedy pan to wie? Od dzisiaj? Nagle zdał pan sobie sprawę, że ją kocha? Ale ona tego nie wie, tak? Gdzie pan był, gdy najbardziej pana potrzebowała? Interesy, co? To było ważniejsze. Więc proszę mi teraz nie mówić, że pan ją kocha. – Wbił w Praytona ostry, pogardliwy wzrok. – Widziałem wielu takich jak pan. Wszyscy jesteście tacy sami: pewni siebie, wszystkowiedzący,

nigdy się nie mylicie i nigdy nie miewacie wyrzutów sumienia. Poznałem aż za dobrze wasze wielkie miasta, wielkie szpitale i wielkie pieniądze. Niech to wszyscy diabli! – Gregory pocierał oczy i czoło palcami prawej ręki, a lewą zaciśniętą w pięść uderzał wolno o blat biurka. – Przepraszam. Zboczyliśmy z tematu. Poniosło mnie. Czasami mi się to zdarza, zwłaszcza jeżeli ktoś przypomina mi o tym, o czym nie chcę pamiętać. Przepraszam, pan nie ma z tym nic wspólnego, po prostu...

– Nie lubi mnie pan.

– To nie o to chodzi. Przecież w ogóle pana nie znam. Poza tym ja lubię tylko moich pacjentów, a pan nim nie jest.

– Ale moja żona jest...

– Tak, pańska żona jest moją pacjentką i w tej chwili ona jest dla mnie najważniejsza. Martwię się o nią, nie o pana. Pan sobie poradzi, ona... nie wiem. I dlatego nie będę ryzykować.

Kenneth nie zamierzał się tłumaczyć przed tym obcym człowiekiem; sam był swoim najbardziej bezlitosnym oskarżycielem i najsurowszym sędzią, a jeżeli miałby się bronić, tłumaczyć, to tylko przed Julią. Jednak zarzuty Gregory'ego pozwoliły mu zapomnieć na chwilę o strachu i poczuciu winy. Nawet jeżeli siedzący przed nim mężczyzna nie miał takiego zamiaru, to rozegrał tę scenę jak wytrawny psycholog. A może doskonale wiedział, co chce osiągnąć? Był dobrym lekarzem, bardzo dobrym – Prayton to po prostu wyczuwał. Ale w takim razie co robił w tym prowincjonalnym szpitalu? W takich miejscach kończy się karierę, a nie rozpoczyna.

– Może i nie byłem najlepszym mężem, ale skąd pan to może wiedzieć? Czyżby intuicja panu podpowiedziała? Pan tu jest nowy, prawda?

– Niezupełnie – odparł Gregory i zaintrygowany spojrzał na Kennetha, nie bardzo wiedząc, do czego ten zmierza. – Po trzech latach trudno raczej powiedzieć, że jestem tu nowy – zauważył ironicznie.

– Cóż pan takiego przeszkrobał, że przepelnięty goryczą wylądował pan aż tutaj, daleko od wielkiego świata, którym w oczywisty sposób pan pogardza? To musiało być coś poważnego, skoro wypuścili pana ze swoich bogatych rąk. Jaki duży szpital pozbędzie się bez wystarczającego powodu lekarza z taką intuicją?

I kto nalegał: oni czy pan?

– Podaje pan w wątpliwość moją rzetelność i umiejętności zawodowe? – W głosie Gregory’ego zabrzmiała autentyczna groźba.

– Skądże! Nie ośmieliłbym się. Może to dziwne, ale ufam panu. Chyba złość i drwina lepiej do mnie przemawiają niż uległość i pochlebstwa. Poza tym wiem, że nawet gdybym spróbował panu zaszkodzić, grzebiąc w pańskiej przeszłości, to i tak nie spuściłby pan z tonu, a ja nie doczekałbym się pokornych przeprosin, nie myślę się?

– Jeszcze czego! – mruknął lekarz i mimowolnie się uśmiechnął. Ten Prayton był jednak nieco inny, niż przypuszczał: twardy, niebezpieczny, zbyt domyślny. – Zresztą niczego by pan nie znalazł.

– Wierzę. Ja też mam intuicję. Wiem, że jest pan dobry, podejrzanie za dobry jak na taką prowincję. Umiem docenić czyjeś zdolności i dlatego nie rozumiem... Jak mogli się zgodzić, żeby...

– Nie pytałem nikogo o zgodę. Po prostu odszedłem. Choć właściwiej byłoby powiedzieć, że uciekłem. Ale to wyłącznie moja sprawa. Teraz to już naprawdę zбочylił się z tematu. Zamiast wypytywać mnie o moją przeszłość, o której nie mam ochoty z nikim rozmawiać, czemu dla odmiany nie zapyta pan o swoje dziecko?

– Dziecko...? – Kenneth był jak ogłuszony, jakby dostał cios prosto w splot słoneczny.

– Tak, dziecko! Czyżby pan zapomniał, że pańska żona była w ciąży? A może zwyczajnie pan nie zauważył? Godne podziwu roztargnienie.

– Dziecko... Boże, nie zastanawiałem się... Myślałem tylko o Julii...

– To się chwali. Tym bardziej że z dzieckiem wszystko w porządku. Ma pan córkę. Oczywiście jako wcześniaka umieściliśmy ją w inkubatorze, ale jest silną, zdrową dziewczynką i nie przewiduję żadnych kłopotów. Ją pan może zobaczyć, oczywiście jeżeli ma pan na to ochotę.

– Dziewczynka... Wydawało mi się, a raczej byłem pewien, że to chłopiec.

– No to ma pan pecha. Zwłaszcza że najprawdopodobniej Julia nie będzie mogła mieć więcej dzieci. – Gregory westchnął z rezygnacją. – Nigdy was nie zrozumieć. Dla większości ludzi dziecko to dziecko, byle było zdrowe, ale dla was... Tylko chłopiec jest ważny, syn, dziedzic, męski potomek... A dziewczynki... No cóż, je można tylko ewentualnie dobrze wydać za mąż. Przez moment łudziłem się, że pan jest inny, ale... – Gregory, patrząc na niego zimno, wycedził na koniec: – Pozostaje panu pocieszyć się myślą, że zawsze może się pan rozwieść i znaleźć taką kobietę, która urodzi panu tuzin synów. Zresztą może nawet rozwód nie będzie konieczny. Wdowiec to w końcu lepiej brzmi niż rozwodnik.

– Na litość boską, niech pan przestanie! Co ja panu zrobiłem, co pan o mnie wie?! Obraża mnie pan, nie pozwala zobaczyć się z żoną, drwi z moich uczuć... Kim pan jest? Moim sumieniem?! Człowieku, ponoć widziałeś tyle cierpienia, więc czemu nie umiesz dostrzec tego, które masz przed nosem?! Kocham moją żonę i kocham moje dziecko. Żaden przeżarty goryczą cynik nie ma prawa rzucać mi tej miłości w twarz. Dostyc! Starczy już. Skończmy tę rozmowę.

Prayton wstał. Gregory również. Mierzyli się spojrzeniami. Licytowali nawzajem: jeden dawał swój ból i strach, drugi – wspomnienie odległych ran, jeden rzucał na szalę chłodny wyrzut, drugi – gorzką wiedzę swoich doświadczeń, jeden miał nadzieję, drugi – świadomość, jak kruche bywa ludzkie życie. Żaden nie mógł wygrać, gdyż nie byli przeciwnikami. Stawali nie przeciw sobie, lecz zmagali się z tym, co tkwiło w nich samych.

– Nie będę przepraszać – powiedział w końcu Gregory. – Jeżeli się mylę, nie oczekuję przebaczenia. Jeżeli zaś mam rację, nie będę czuł satysfakcji, bo ta moja racja i tak niczego nie zmieni, nie pomoże pańskiej żonie, a tylko na tym mi zależy. Po prostu nie mogę znieść myśli, że krzywdzi się takie istoty jak ona. Ciągłe nie umiem się przyzwyczaić, że zawsze najmocniej cierpią ci najbardziej bezbronni.

Nie podali sobie ręki. Nie zostali też wrogami. Byli dwójką obcych sobie mężczyzn, których połączył i poróżnił niepokój o tę samą kobietę.

– Kiedy będę mógł zobaczyć Julię?

– W ciągu najbliższej doby wszystko powinno się wyjaśnić. Oczywiście nawet potem nie można wykluczyć wystąpienia jakichś powikłań, ale...

– Kiedy!

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, może już jutro, jednak...
- Dobrze, jutro. A gdyby ocknęła się wcześniej albo... albo...
- Zadzwonimy do pana. Proszę zostawić swój numer w recepcji. Nie ma sensu, żeby pan tu zostawał.
- Nie ma sensu... – powtórzył w zamyśleniu. – Teraz chcę zobaczyć moją córkę.
- Zadzwonię po pielęgniarkę, ona pana zaprowadzi. – Mówiąc to, podnosił już słuchawkę.
- Siostró, tu Gregory...

Prayton przyłożył dłonie i czoło do chłodnej szyby; chciał być tak blisko córki, jak to tylko możliwe. Poczul łzy pod powiekami.

– Witaj, córeczko – wyszeptał drżącymi wargami. Śpiąca w inkubatorze czerwona, pomarszczona istotka wydawała mu się najpiękniejszym stworzeniem na świecie. Mógłby tak patrzeć na nią bez końca.

- Boże, jaka ona śliczna... – Stojąca obok niego lekarka roześmiała się cicho.
- Jest pan wyjątkiem. Ojcowie z reguły są zawiedzeni. Spodziewają się pulchnego, rumianego bobaska, a noworodki raczej nie spełniają tych oczekiwań.

Gdzieś zniknął smutek; zastąpiła go tęsknota – chciał tulić, chronić i kochać. Przepelniała go miłość, bezbrzeżna, absolutna. Patrząc na córkę, czuł, że oto ma dla kogo żyć. To dziecko nie zastąpi mu żony, nie zajmie miejsca Julii w jego sercu, ale jest nadzieją, podarunkiem od losu, o który nie śmiał prosić, którego się nie spodziewał. Czyżby jednak niebo go wysłuchało? Czyżby jego wiara była na tyle mocna, jego pokuta na tyle szczerą, że otrzymał drugą szansę? Gdyby jeszcze Julia... Gdyby pozwoliła żyć mu u swojego boku. Już nic więcej... Nie będzie błagał o nic więcej, nawet o jej miłość.

– Czy ona na pewno jest zdrowa? Taka kruszyna... Chyba zmieściłaby się w mojej dłoni. Czy z nią naprawdę wszystko w porządku? – Szybko uczył się lęku

i troski o cud, który pomógł stworzyć.

– Jak najbardziej. – Stanowcze słowa lekarki i łagodny dotyk ręki rozwiały jego obawy, choć wiedział, że od niepokoju nie uwolni się już nigdy. To było brzemię, które z ochotą brał na siebie. Brzemię odpowiedzialności, ale i radości, które będzie wiązało się z każdym nowym nieporadnie wypowiedzianym słowem, każdym nowym maleńkim krokiem jego dziecka.

– Jest chudziutka. To zrozumiałe u wcześniaka, ale zapewniam pana, że szybko nabierze ciała. Nie musi się pan martwić.

– I tak będę.

– Wiem. – Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. A potem razem, w milczeniu przyglądali się jego śpiącej córce.

„Ma piękne oczy – pomyślał Gregory. – Błada, prawie przezroczysta twarz i ten ogrom jasnej zieleni... Podkrążone, smutne i przestraszone, ale piękne”.

Zaskoczyły go te myśli. Nigdy nie zastanawiał się nad szczegółami urody swoich pacjentów. Najważniejsze było dla niego ich zdrowie, choć zdawał sobie sprawę, że dla niektórych pacjentek powierzchowność liczyła się nie mniej niż sama walka z chorobą. Czasami zwykły lakier do paznokci, pomadka, ładna fryzura czy nowy szlafroczek mogły zdziałać więcej niż lekarstwa czy skomplikowane zabiegi.

Jednak od chwili gdy zobaczył Julię, wiedział, że nie jest ona zwyczajną pacjentką, nie dla niego. Gdy ją ratował, a ona gasła w jego rękach, gdy myślał już, że się nie udało, a ona mimo to wciąż się nie poddawała, gdy pomógł przyjść na świat jej dziecku, gdy czuł w niej to samo piętno smutku, co w sobie... I teraz, gdy patrzył w jej szeroko otwarte oczy, wiedział, że jest kobietą, którą spotkał za późno.

Julia bała się. Nie pamiętała, co się stało, gdzie jest... Nie знаła mężczyzny, który patrzył na nią łagodnie, z uczuciem, którego nie rozumiała. „Kim pan jest?” – chciała zapytać, ale nie potrafiła. Gregory dostrzegł nieme pytanie w jej

w spojrzeniu.

– Nazywam się Adam Gregory, jestem lekarzem. Znajdujesz się w szpitalu. Przywieźli cię tu wczoraj w nocy. Przypominasz sobie? – Widział, jak rozpaczliwe próbuje, jak się stara, ale... nie potrafi.

– Nie przejmuj się. Z czasem wszystko sobie przypomnisz. Najważniejsze, że do nas wróciłaś. Bałem się o ciebie, byłaś bardzo daleko, ale poradziłaś sobie wspaniale.

Jej usta zadrżały lekko – nie wiedział, czy to zapowiedź uśmiechu, czy powstrzymanego płaczu.

– Panie ordynatorze... – Do separatki weszła pielęgniarka. – Dzwoni Kenneth Prayton. Pyta o żonę. Czy mam mu powiedzieć...

– Nie. Sam z nim porozmawiam. Julio... – zwrócił się cicho do milczącej dziewczyny – zaraz wrócę. Poczekasz tu na mnie, nigdzie nie uciekniesz? – Nieznacznie pokręciła głową. „Teraz to na pewno był uśmiech” – pomyślał i ucieszył się, jakby dostał najpiękniejszy gwiazdkowy prezent.

– Jak czuje się Julia? Czy już coś wiadomo? Mogę ją zobaczyć? – Gregory zastanawiał się; nie był pewny, co odpowiedzieć. Jego przedłużające się milczenie zirytowało Praytona.

– Ogłuchł pan, czy co?! Obudziła się? Czemu pan nic nie mówi, do cholery?! Co z Julią? Czy ona... – Jego głos załamał się lekko.

Chciał go okłamać. Boże, naprawdę chciał to zrobić!

– Ocknęła się. Niedawno. Nie miałem czasu, żeby pana zawiadomić. Cały czas byłem przy niej. Jest zdezorientowana i niewiele pamięta z tego, co się stało. Musiałem ją uspokoić. Nie wiem... – Prayton nie zamierzał dalej go słuchać. Gregory usłyszał tylko lodowate: „zaraz będę” i trzask rzucanej słuchawki.

Czuł się winny. Julia nie należała do niego. Nie miał do niej żadnych praw, prócz tej trudnej do opanowania tęsknoty, jaką w nim budziła.

Źle potraktował Praytona. Oskarżył go, obraził, nie pozwolił zobaczyć żony, prawie wyrzucił ze szpitala... Czy naprawdę wszystko tylko dlatego, że winił go za jej smutek? A może był po prostu zazdrosny? Chciał być z nią sam, chciał widzieć, jak jej zielone oczy pogodnieją i pragnął zatrzymać ten obraz tylko dla siebie. Czyżby zakochał się w kobiecie, którą zobaczył wczoraj po raz pierwszy w życiu, z którą nie zamienił ani jednego słowa? „Nie wolno mi! Jestem lekarzem, a ona moją pacjentką. Muszę się opanować, bo jeżeli on... Jeżeli Prayton się czegoś domyśli, nie pozwoli mi się więcej do niej zbliżyć, nie pozwoli mi nawet na nią patrzeć”.

A Gregory tego potrzebował. Po raz pierwszy od wielu lat jego uśpione serce zabiło żywiej, po raz pierwszy od bardzo dawna wspomnienia nie wydawały mu się tak gorzkie, a ból samotności tak dotkliwy. Może nie miał do tego prawa, ale chciał widzieć, jak oczy, z których zniknął smutek, jaśniejają specjalnie dla niego, a delikatne wargi układają w uśmiechu, by powiedzieć tak wiele znaczące słowo: dziękuję. Oddałby lata życia, żeby... Ale na to spotkali się za późno.

Julia leżała nieruchomo, wbijając spojrzenie w sufit i przyciskając kurczowo ręce do brzucha. Od razu zorientował się, co się stało. Julia sobie przypominała. Gdy on rozmawiał z jej mężem, przypominała sobie, że była... że jest matką.

– Nie denerwuj się, Julio. – Wziął ją za rękę. – Z twoim maleństwem wszystko w porządku. Masz córeczkę, jest cała i zdrowa, tylko czeka, żebyś nabrała sił i mogła ją przytulić.

Ulga i wdzięczność w jej oczach oślepiły go. Słaby uścisk palców pętał mu dłonie, tak jak ona sama obudziła i uwięziła jego serce. Kochał ją. Nie miał pojęcia, jak to się stało, dlaczego... Nie wiedział, czy ma przeklinać los za okrutny żart, czy dziękować opatrności za uczucie, którego już nigdy więcej nie spodziewał się doświadczyć. Uniósł jasną dłoń i ucałował, a potem przykrył swoją ręką, by nikt, nawet ona, nie domyślił się, co znaczył ten pocałunek.

– Przypomniałaś sobie wszystko, prawda? – Kiwnęła głową. – Chciałabyś ją zobaczyć? – Znowu kiwnięcie. – Wiem – westchnął – ale musisz jeszcze trochę poczekać. Ty jesteś za słaba, żeby pójść do niej, a ona za mała, żeby ją tu przynieść. Ale już niedługo. Obiecuję ci. Wierzysz mi, Julio? – Przyglądała mu się długo, ważąc w sobie szczerą bijącą z jego słów i twarzy. W końcu przymknęła powieki na znak, że mu ufa i że poczeka tak długo, jak będzie trzeba. Wiele

znaczyło dla niego to zaufanie, było jak ciepło grzejące jego spragnioną uczucia samotność. Tylko...? Cień podejrzenia pojawił się nagle, przypominając mu, że przede wszystkim jest lekarzem.

– Julio? Twój mąż dzwonił. Zaraz tu będzie. Czy chcesz go zobaczyć?

Wahała się. Przez moment myślał, łudził się, że odmówi, ale ona zamknęła oczy i wolno skinęła głową.

– Powiedz mi. Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Mam przyprowadzić twojego męża do ciebie, czy nie?

Starła się, tak bardzo starała się spełnić prośbę tego dziwnego obcego mężczyzny, który patrzył na nią jak na coś bardzo kruchego i niesłychanie dla siebie cennego. Otworzyła usta, próbując ze wszystkich sił wydobyć z siebie to jedno krótkie słowo, dla niego, skoro tak mu na tym zależało, ale... nie mogła. Nawet mały cichy jęk nie opuścił jej spazmatycznie skurczonego gardła.

Nie mogła mówić. Nie mogła mówić! Ktoś, coś skazało ją na milczenie. Dlaczego?! Odwróciła głowę od wyczekującego jej odpowiedzi lekarza i ukryła twarz w poduszce; twarz i łzy, które po niej płynęły – ciche, gorące. Nawet płakać mogła tylko w ciszy.

Jego podejrzenie zmieniło się w pewność.

– Julio! Spójrz na mnie. Nie możesz mówić, tak? – Jeszcze mocniej wcisnęła policzek w poduszkę. – Julio, nie odwracaj się teraz ode mnie. Muszę coś sprawdzić i potrzebuję twojej pomocy. To ważne. Rozumiesz?

Patrzyła na niego przez łzy, ale wyraźnie starała się opanować, jej broda drgnęła kilka razy w nerwowym potaknięciu.

– Posłuchaj mnie teraz. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął jednorazową, sterylnie zapakowaną igłę do zastrzyków. – Będę kłuć tym twoją skórę w różnych miejscach, nie mocno, więc nie będzie bolało, ale powinnaś to poczuć i dać mi znak. Rozumiesz? Ja kłuję i czekam: jeżeli coś czujesz, kiwasz głową, jeżeli nie, kręcisz głową, że nie. Czy wszystko jasne?

Potaknęła niepewnie, jakby na próbę, ale zaraz poprawiła się, energiczniej poruszając głową w górę i w dół.

– No, to bierzmy się do roboty.

Sprawdził jej ręce i nogi; odłączył na moment od kroplówki i przewrócił delikatnie na bok, by zbadać okolice kręgosłupa. Potem kazał jej poruszać palcami, zginać kolana, które lekko ostukał. Oczywiście, trzeba będzie zrobić potem dokładniejsze badania, ale – odetchnął z ulgą – to nie paraliż, który czasami zdarza się po porodzie, zwłaszcza tak trudnym i niebezpiecznym. Odruchy miała prawidłowe, na każde uklucie odpowiadała kiwnięciem. Co prawda całkowity paraliż był raczej wykluczony. Przecież poruszała głową i rękoma, ale bał się o jej nogi. No i nie mówiła. Nie mógł mieć absolutnej pewności, ale teraz... Gotów był położyć na szali całą swoją zawodową reputację, że to nie z przyczyn fizycznych. Podejrzał istnienie jakiejś bariery psychicznej. Coś nie pozwalało jej mówić. Ale co? Może to z powodu szoku, a może blokowało ją coś innego. Jakieś zdarzenie z przeszłości, które wbrew samej Julii kazało jej milczeć.

Przykrył ją prześcieradłem, podłączył kroplówkę i różne inne urządzenia, których przeznaczenia Julia nie знаła, ale robiły to, czego ona nie mogła – wydawały dźwięki: piszczały, szumiały, rytmicznie pulsowały. Gregory przysiadł na brzegu łóżka.

– Julio, jestem prawie pewien, że nic nie stoi na przeszkodzie temu, byś mogła mówić. Nic... prócz ciebie samej. Coś nie pozwala ci mówić i będziesz musiała to w sobie przełamać, ale nic na siłę. Nie trzeba się spieszyć.

W jej oczach znowu zaszklily się łzy; jedna umknęła spod powieki i spłynęła po skroni.

– Nie płacz, proszę...

Pochylił się nad nią i pogłaskał niewielką kropelkę, która ukryła się we włosach.

– Przecież mi ufasz, prawda?

Ledwo zauważalne skiniecie nappełniło go czułością.

– Obiecuję ci, że to pokonasz. A ja ci pomogę. Gdy się obudziłaś, nie pamiętałaś, co się stało, ale przecież bardzo szybko wszystko sobie przypomniałaś. Z twoją utratą głosu będzie tak samo, z czasem minie. Będę obok i będę cię dobrze

pilnować, żebyś się niepotrzebnie nie zamartwiała.

Unikała jego spojrzenia. Jakby wstydziła się swoich nieposłusznych łez, które ciągle od nowa napływały do oczu; całkiem zwilżyły jasne włosy na skroni i płynęły gorącym strumyczkiem wzdłuż policzków.

– Julio, spójrz na mnie. Proszę... Bo pomyślę, że płaczesz przeze mnie. Przyznaj się. Gdy na mnie patrzysz, zaraz zbiera ci się na płacz. Ale nie musisz się nade mną użalać, już się przyzwyczałem do swojego wyglądu; wiem, że jestem brzydki, siwieję, utykam i że odstrasza takie młode śliczne damy jak ty.

Julia uśmiechnęła się leciutko i pokręciła przecząco głową, stracając z rzęsy łezkę, która zawisała tam na moment, niezdecydowana, czy ma ochotę opuszczać to miejsce. Gregory patrzył, jak wolno spływa, by zatrzymać się w kąciku ust.

Pochylił się nad Julią jeszcze bardziej. Położył dłonie na poduszce po obu stronach jej głowy. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale był niczym spragniony wędrowiec u kresu drogi. Potrzebował tego jednego orzeźwiającego łyku, żeby przetrwać.

Dotknął ustami słonego ciepła. Wiedział, że smak tej łzy zapamięta do końca życia. Był tak blisko źródła, które... odnalazł za późno. Tak blisko jego pokrzepiającej wilgoci, tak blisko muskającego jego twarz oddechu, że... skusił się. Przeklinając los, który z niego zakpił, pokazując źródlaną wodę życia nie dla niego, nienawidząc siebie za swoje nieokiełznane pragnienie, pocałował Julię. Była miękka, ciepła i delikatna, i... nie dla niego. Ale gdy raz spróbował, chciał pić znowu – chciwie, łapczywie, do syta.

Kocham cię – krzyczały jego palce zaciśnięte na poduszce. Choć zaledwie musnął, zaledwie jej posmakował, czuł, że to musi mu wystarczyć. Uniósł głowę i spojrzał na Julię. Już się nie uśmiechała, ale w jej oczach nie znalazł wzgardy, potępienia czy choćby śladu oburzenia. Była zaskoczona i trochę... rozczarowana. Gdy zrozumiał dlaczego, pożałował, że się nie broniła.

To nie na pocałunek Gregory'ego czekała. Nie jego chciała zobaczyć po obudzeniu. Był oszustem podszywającym się pod mężczyznę, któremu zazdrościł; złodziejem, który ukradł dla siebie kilka chwil z jej życia; przypadkowym przechodniem, który wziął do ręki cudze marzenie, a teraz musiał je zwrócić prawowitemu właścicielowi. Za swój błąd zapłaci cenę tym większą, że wiedział, co traci.

– Widzisz, już nie płaczesz. Mama mnie tego nauczyła: pocałuj, a przestanie boleć. To zawsze skutkuje, nawet na taką beksę jak ty. Tylko przyrzeknij, że mnie nie zdradzisz! – wykrzyknął cicho w udanym przestraczu. Rozejrzał się ukradkiem wokół siebie i szepnął konspiracyjnie: – Inaczej będę musiał chodzić od pokoju do pokoju i całować wszystkie pacjentki, które płaczą. Nie zdradzisz mnie?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się, kładąc jednocześnie swoją dłoń na jego ręce.

– Wiedziałem, że nie mogłabyś być aż tak okrutna.

Wiedział również, że musi natychmiast stąd wyjść, bo w przeciwnym razie zrobi coś nieobliczalnego, na przykład znowu ją pocałuje, choć przestała już płakać.

– Panie ordynatorze... – Wejście pielęgniarki uchroniło go przed popełnieniem tego szaleństwa. – Na dole czeka pan Prayton, awanturujący się pan Prayton. – Kobieta mrugnęła porozumiewawczo do Julii. – Żąda natychmiastowego widzenia z żoną. Pan mu da coś na uspokojenie czy ja mam to zrobić? – zapytała całkiem poważnie, choć wewnętrzny uśmiech prawie ją rozsadzał.

Julia natychmiast uznała, że ta pielęgniarka to skarb dla pacjentów, którzy w jej obecności po prostu nie mogli się nie uśmiechać, i utrapienie dla lekarzy, gdyż swoimi żartami bezustannie podkopywała ich autorytet.

– Już idę. – Wstał, a potem dodał, nie patrząc już na swoją pacjentkę: – Jak słyszę, masz bardzo gwałtownego męża. Chcesz go widzieć? – Jej skinięcie zraniło go i nic nie mógł na to poradzić. – Chodźmy, sostro...

– Tylko szybko, zanim on tam zdemoluje całą poczekalnię. Mówię panu, co za facet... – Wywróciła oczami, spojrzała na Julię przez ramię i wymruczała: – Zazdroścę pani, co z niego za wspaniała bestia...

– Sostro Darrel! Pani żarty posuwają się stanowczo za daleko! – skarcił ją surowo Gregory.

– Już dobrze, dobrze... Ale robimy mu ten zastrzyk? Bo ja bardzo chętnie. Mówię panu, szefie, jakie on ma przystojne ręce, założę się, że ma też najbardziej seksowne... – Julia nie usłyszała reszty zdania, bo przerwała je ostra reprimenda.

– Siostrzo Clarysso Darrel! Ostrzegam panią po raz ostatni! Jeżeli nie przyhamuje pani swojego języka, będziemy musieli się pożegnać. Jest pani wspaniałą pielęgniarką, podkochują się w pani wszyscy pacjenci od lat trzech do stu, wiem, że grozi mi strajk całego szpitala, jeżeli ośmielę się panią zwolnić. Gdyby nie to, wyrzuciłbym panią już dawno temu. Ale za długo tolerowałem pani niestosowne zachowanie, pani żarty doprowadzają mnie do szału, pani zupełny brak szacunku jest niewybaczalny, a pani sama staje się nie do zniesienia! – Ciężko westchnął. – Postawię sprawę jasno, jeżeli nic się nie zmieni, to albo pani, albo ja...

– Już dobrze, panie ordynatorze. Niech pan tak nie krzyczy, przypominam, że znajdujemy się na oddziale intensywnej terapii. Spróbuję przystopować, ale proszę zrozumieć, jak ja mogę być poważna, skoro mam na imię Claryssa. Claryssa! Przez dwa „s”. Siostra Claryssa, brr... – wzdrygnęła się – zupełnie jak zakonnica. Muszę żartować dla równowagi. – Głosy oddalały się stopniowo. – Poza tym proszę się tak nie nadymać, bo pan pęknie z tej powagi... – Słowa pielęgniarki dolatywały do Julii coraz bardziej niewyraźne. – Traaach! – usłyszała jeszcze wesoły okrzyk, któremu towarzyszył wybuch śmiechu i głośne: „Siostrzo!”, rzucone tonem przywołującym do porządku, ale też bezradnym i rozbawionym wbrew sobie.

„Nadyma... pęknie... trach...?” – Julia otworzyła usta w zdumieniu, a potem zachichotała, w absolutnej ciszy, ale chichotała całą sobą.

Prayton musiał przyznać, że bliźniacy przechodzili samych siebie. W trudnej sytuacji, z którą on powoli przestawał sobie radzić, zachowali jasność umysłu, zdrowy rozsądek i umiejętność przewidywania. Byli – jak to określiła Sunny – niczym „dwie, niewzruszone przez czas i burze, twarde skały w potoku życia”.

Zadzwoił do nich w środku nocy, a już następnego dnia wczesnym rankiem zjawili się w Prayton House razem z Sunny i Clayem MacAlisterem. Pomyśleli o sprawach, które jemu nawet nie przyszły do głowy: powiadomili studentkę zatrudnioną przez Sunny, iż galeria przez bliżej nieokreślony czas będzie zamknięta, przełożyli na inne, późniejsze terminy wizyty pacjentów doktora zapisanych na najbliższy tydzień, odwołali dwa kolejne wykłady MacAlistera, które w ciągu kilku nadchodzących dni miał wygłosić na Akademii Medycznej. Kiedy zdołali tego dokonać, dla Kennetha pozostawało zagadką. Najważniejsze, że pomyśleli i zajęli się wszystkim, łącznie z przyszykowaniem zupełnie

nieprzygotowanych na ich przyjazd pokoi gościnnych.

Dla Kennetha liczyła się tylko Julia i telefon łączący go ze szpitalem, w którym ją zostawił. Nie mógł być z Julią, więc cały czas spędzał przy aparacie, czekając na wiadomość. Czekał... czekał... A tymczasem cały dom był na głowie Blackwellów. Dom, w którym zaważyło się niebo, i nagle wszyscy bez wyjątku, domownicy, służba, pracownicy – jakby spodziewając się końca świata – nie wiedzieli, co ze sobą zrobić; mieli setki pytań i problemów, z którymi nie mogli sobie sami poradzić, a rutynowe czynności i codzienne obowiązki, które zazwyczaj wykonywali bez trudu, wręcz odruchowo, teraz sprawiały im same kłopoty.

Czy to możliwe, że bez Julii wszyscy czuli się niepewni i zagubieni? Czy to możliwe, by przez tych kilka miesięcy Julia, nawet specjalnie się o to nie starając, wywarła aż taki wpływ na dom i na każdego, kto ją poznał? Tak, chyba tak. Przecież jemu naprawdę cały świat rozpadł się w rękach. Bez Julii nic nie miało znaczenia, żadnego sensu... Tak więc to bliźniacy odpowiadali na pytania, radzili, pomagali. Ken mógł tylko dzwonić co kilka godzin i czekać. Nie jadł, nie spał, tylko czekał, bał się, tęsknił i czekał.

W tym czasie Mike dyskutował z Katarzyną na temat posiłków i wydawał dyspozycje dostawcy, który akurat teraz musiał się zjawić; pomagał Manuelowi w ostatecznym wykończeniu dziecinnego pokoju; pocieszał chlipiącą po kątach Martę. Ben wziął na siebie obowiązki dotyczące posiadłości, gdyż nieoczekiwanie zarządca zrobił się dziwnie bezradny. Nawet kiedy Ben, poirytowany panującym wokół bałaganem i nieporadnością, poradził Marinusowi, żeby wziął się wreszcie w garść i przestał zawracać mu głowę głupotami, na niewiele się to zdało. Tak więc znowu to Blackwell musiał rozmawiać z ogrodnikiem, dzierżawcami, dostawcami nowego sprzętu rolniczego i stajennym, który przybiegł z wiadomością, że ulubiona klacz Praytona dostała kolki.

Gdy przyjechali bliźniacy, Julii nie było zaledwie od kilku godzin, a jednak dom zdążył w tak krótkim czasie stanąć na głowie. I tylko Mike z Benem pilnowali, żeby się nie wywrócił.

Kiedy po dokładnie dwudziestu telefonach i sześciu paczkach papierosów – czyli po trzydziestu czterech godzinach i piętnastu minutach od chwili gdy pogotowie zabrało Julię – Prayton zadzwonił do szpitala po raz dwudziesty pierwszy, cały dom wstrzymał oddech.

– Jadę do szpitala. Julia się obudziła. – Napięcie zelzało momentalnie. Dom

odetchnął z ulgą, podobnie jak bliźniacy i Sunny, którzy na dźwięk bardzo głośno odkładanej słuchawki przybiegli z kuchni, gdzie Katarzyna przygotowywała lunch. Z tyłu nadchodzili już MacAlister nerwowo splatający palce, pociągająca nosem Marta i oczywiście Katarzyna, która lekko dysząc, wycierała mokre dłonie w fartuch.

– Obudziła się – powtórzył Kenneth i uśmiechnął się po raz drugi w ciągu trzydziestu czterech godzin i dwudziestu pięciu minut. Ten pierwszy uśmiech ofiarował zeszłego dnia swojej córce.

– Jadę z tobą – kategorycznie stwierdziła Sunny. Mina MacAlistera wskazywała, że i on myśli o tym samym.

– Jak chcesz – mruknął Prayton, nie mając sił na kłótnie z rudzielcem. – Tylko pospieszcie się – dodał, kierując się w stronę drzwi wyjściowych.

– Marto, nie pociągaj nosem. To nieeleganckie, moja mała. Lepiej pomaszeryj po kapelusz pana doktora i żakiet Sunny, no, no...! – ponaglił dziewczynę Mike.

– Już... Już biegnę...

– Bez przesady! Wystarczy że w ogóle ruszysz z miejsca. – Odpowiedziało mu kolejne pociągnięcie nosem, równie głośne i nieeleganckie jak poprzednie.

– Też bym z wami pojechała, tylko... przez cały czas bym płakała, więc lepiej chyba... – wyznała niepewnym głosem Katarzyna, jakby już walczyła ze łzami.

– Nie przejmuj się, Katarzyno. – Mike objął ją, nie bez pewnego trudu, swoim silnym ramieniem. – My też zostaniemy. Julii z pewnością nie można męczyć, więc gdybyśmy przyjechali do niej całą delegacją, nie wpuściliby nas za próg szpitala. I tak obawiam się, że jak zobaczą MacAlistera i Sunny z rozsierdzonym Praytonem na dokładkę, to przegonią ich na cztery wiatry. Tak więc najlepiej będzie, jak my tu sobie w spokoju i... bez nerwów – zaznaczył, kiwając groźnie palcem – poczekamy, aż Julia wróci cała i zdrowa, i nie sama.

– Oczywiście, ma pan rację, panie... panie... – Katarzyna spojrzała na niego, marszcząc brwi. – Przepraszam, ale właściwie którym z panów pan jest?

– Michael. – Mike skłonił się lekko. – Ale niech się pani nie przejmuję, to się zdarza, dość łatwo nas pomylić.

– Widzę, ale spróbuję zapamiętać. Pan jest ten bardziej wygadany, tak?

– Tak – potwierdził Mike i wybuchnął śmiechem.

Katarzyna podreptała do kuchni, mrucząc do siebie:

– Tak, tak, trzeba wszystko przygotować. Tyle roboty... Boże, Boże... Julia wraca, a tu wszystko w powijakach. W powijakach? Hmm...

Ben patrzył za Katarzyną i uśmiechając się pod nosem, stwierdził:

– Sympatyczna kobieta. Spostrzegawcza.

– Uhm... – Mike myślał już o czymś innym. – Zauważyłeś, że Prayton był jakiś wściekły? Oczywiście przedtem też się denerwował, ale...

– Julia się obudziła. – Dla Bena wszystko było jasne.

– No to powinien się cieszyć, a nie...

– Obudziła się, a on nic o tym nie wiedział. Mieli dzwonić jakby co. – Wzruszył ramionami.

– Aha. – Mike pokiwał domyślnie głową. – Polecą głowy, he?

– Coś w tym stylu.

Jechali w zupełnym milczeniu. Gdyby Ken potrafił skupić się na czymkolwiek innym niż na Julii, z pewnością zdziwiłoby go zachowanie Sunny. Była wyjątkowo spokojna i małomówna. Mógł spodziewać się wyrzutów, ataków i oskarżeń, których nie szczędził mu Gregory, ale nic takiego nie nastąpiło. Sunny zamknęła się w sobie i prawie nie zwracała na niego uwagi. Również MacAlister w niczym nie przypominał zadowolonego z siebie złośliwego chochlika. Wyglądał jak stary człowiek, żałujący wielu rzeczy, które powinien był zrobić, przywołujący słowa, których nie zdążył powiedzieć, wspominający okazje, których nie

wykorzystał.

Jechali we trójkę, ale jakby osobno. Wcześniejszy niepokój o Julię, a teraz wspólnie odczuwana ulga, zamiast połączyć, tylko jeszcze bardziej oddaliły ich od siebie.

Prayton skoncentrował się na swojej złości, żeby nie myśleć o tym, co powie Julii, gdy już ją zobaczy. „Co ten Gregory sobie wyobraża?! Był przy niej, uspokajał ją... Do diabła, a ja?! Przecież to ja, to mnie... Boże, co ja jej powiem, jak wytłumaczę, jak przekonam...?”

– Chciałbym widzieć moją żonę. – Dziewczyna w recepcji nie była tą samą kobietą, która przyjęła go wczoraj w nocy, choć posłała mu uśmiech nie mniej grzeczny i uprzejmy.

– Proszę poczekać... – Nie miała szansy dokończyć.

– Dość się już naczekałem! Teraz chcę zobaczyć moją żonę!

– Ależ, proszę pana...

– Mielicie dzwonić i co?! Julia się ocknęła, a ja, gdybym sam nie zadzwonił, pewnie w ogóle bym się o tym nie dowiedział. Co to ma być, do cholery?! Jakiś spisek czy co? Kim jest ten Gregory, żeby mi dyktował, kiedy mogę zobaczyć swoją żonę, a kiedy nie! No i czemu pani milczy? No?! – Zrobił krok w stronę recepcjonistki, która zbladła i cofnęła się, gwałtownie przełykając ślinę. – Czemu pani nie odpowiada?! – wrzasnął, aż przechodząca obok pielęgniarka podskoczyła z wrażenia, a potem zamiast przyspieszyć, zwolniła kroku, przekrzywiając w zastanowieniu głowę. Wreszcie stanęła i z wyraźnym zaintrygowaniem zaczęła przyglądać się Praytonowi, a zwłaszcza jego żywo gestykującym rękami.

– Prayton, opanuj się! – syknęła za jego plecami Sunny, którą wybuch mężczyzny nie tyle zmieszał, co szczerze zdumiał.

„Publiczna awantura w wykonaniu Kennetha Cristobala Praytona? Ja piórkuje, co to się na tym świecie wyrabia!”

– Nie mam najmniejszego zamiaru! – odwarknął przez zaciśnięte zęby. – To... – znowu zwrócił się do patrzącej na niego z autentycznym lękiem recepcjonistki – zwyczajna granda, normalny skandal! Niech pani nie stoi jak mumia egipska! Czemu nic pani nie mówi, nic pani nie robi?!

– Tak, ja... Już dzwonię... Już idę, zaraz... – jąkała się.

– Prayton, nie stój nad nią jak cerber. Nie widzisz, że bidulka drży ze strachu jak osika? – Sunny doszła do wniosku, że jak na jeden dzień Kenneth wystarczająco nasycił swoje krwiożercze instynkty.

– Tak, tak, drogi chłopcze. – MacAlister również postanowił interweniować. – Może byśmy się w końcu czegoś dowiedzieli. No, no, dziewczyno, nie przejmuj się tak tym młodym człowiekiem, denerwuje się o swoją żonę, jak my wszyscy zresztą. – Uniósł znacząco brwi i posłał recepcjonistce swój, wypróbowany już w gorszych sytuacjach, zawodowy uśmiech dobrego wujka.

Kenneth wzięty w dwa ognie zacisnął pięści i wymamrotał pod nosem bardzo niecenzuralne przekleństwo.

– Ja... Zaraz zadzwonię po pana ordynatora – drżącym głosem wyszeptwała recepcjonistka, ale ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła wybrać numeru.

– No, widzicie?! Ona jest do niczego. Czy w tym szpitalu nie ma nikogo bardziej odpowiedzialnego?!

– Panie Prayton, proszę, ja... – Dziewczyna prawie płakała.

Pracowała tu dopiero od miesiąca i jak na razie nie miała styczności z kimś takim jak ten wysoki, wściekły mężczyzna, do którego nic nie trafiało.

– Ja zajmę się panem Praytonem. – Pielęgniarka, która z takim zainteresowaniem przyglądała się rękom Kennetha, wkroczyła do akcji, wyręczając zgębioną recepcjonistkę. „To nie praca dla mnie” – pomyślała zrozpaczona i opadła bezwładnie na fotel, czując nieprzepartą ochotę, by schować się pod biurko.

– O co chodzi? – zapytała pogodnie pielęgniarka. Miała krótkie, czarne, mocno kręcone włosy i rozbijający uśmiech. Była nie za niska, nie za wysoka, młoda, choć jej wiek trudno byłoby dokładnie określić, ładna, choć bez przesady,

ale za to o świetnej figurze. Nawet raczej mało kobiecy strój pielęgniarki nie krył jej przyjemnie zaokrąglonych kształtów. W złotych oczach błyskało rozbawienie i chęć niesienia pomocy.

– O co chodzi?! Pani chyba kpi?

Pielęgniarka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– To moja specjalność – stwierdziła z dumą i poruszyła figlarnie brwiami. Kennetha wcale to nie rozbawiło, w przeciwieństwie do Sunny; nawet MacAlister blado się uśmiechnął.

– Od dwóch dni nie mogę zobaczyć swojej żony. Ten wasz ordynator mnie do niej nie wpuszcza. Mówi, że może jej to zaszkodzić. Przecież to absurdalne! Jestem jej mężem! A pani pyta, o co chodzi?!

– Julia Prayton to pana żona.

Nie pytała, ale on i tak potwierdził.

– Tak, moja żona, do cholery!

– Domyślam się, że widział pan już swoją córkę? – Kobieta była wyraźnie dobrze poinformowana.

– Tak, widziałem! A teraz chcę nareszcie zobaczyć Julię. Może dość już tych pytań? Niech mnie pani do niej zaprowadzi albo zawoła tu kogoś innego, kto będzie mógł to zrobić, albo... sam ją znajdę – zakończył groźnie.

– Pójdę po doktora Gregory'ego, on zdecyduje, czy Julia jest gotowa na odwiedzinę. A pan tu grzecznie poczeka.

– Gregory i Gregory... – odburknął rozdrażniony. – Czy w tym szpitalu nie ma żadnego innego konowala, tylko ten cholerny doktorek, który traktuje moją żonę jak swoją własność?!

– Ten doktorek jest najlepszym lekarzem, jakiego znam, a pana żona jest jego pacjentką, więc zrozumiałe, że...

– Dla mnie nic nie jest zrozumiałe, prócz tego, że dzieją się tu bardzo dziwne

rzeczy.

– Zapewniam pana, że zdziwi się pan jeszcze bardziej, jeżeli natychmiast się pan nie uspokoi – oświadczyła pogodnym tonem Claryssa Darrel.

– Co pani powie? – zdziwił się uprzejmie Kenneth.

– A powiem. Pana obecny nastrój nie wpłynąłby dobrze nawet na osobę zdrową jak byk, a pańska żona z pewnością się do takich nie zalicza. Więc jeżeli istotnie pani Prayton odzyskała już przytomność, to proszę sobie wybić z głowy, żeby doktor Gregory dopuścił takiego awanturnika do swojej pacjentki, której, nawiasem mówiąc, uratował życie.

Prayton stracił animusz – cała złość z niego wyparowała. Został tylko przygnębiony mężczyzna, przerażony własną nadzieją i marzeniami, o których myślał, że odeszły dawno temu. „Urządzam tu jakieś dantejskie sceny, a przecież liczy się tylko ona... Najważniejsza jest Julia. Co jej powiem? Czy będzie chciała mnie widzieć?”.

– No więc jak, będziemy już grzeczni czy mam krzykliwemu chłopcu zaaplikować zastrzyk w siedzenie, po którym robi się potulny jak baranek? – Jeżeli pielęgniarka dostrzegła nagły smutek mężczyzny, nie dała po sobie niczego poznać.

– Tak, będziemy już grzeczni, proszę siostry. Może już pani iść, nie rozniosę na strzępy tego waszego szpitala.

– Zaraz wracam – rzuciła kobieta i już jej nie było.

Sunny, która z rosnącym rozbawieniem i niedowierzaniem przysłuchiwała się rozmowie, teraz śmiała się otwarcie. Ken specjalnie się jej nie dziwił, skoro i MacAlister podejrzenie pochrząkiwał, unikając jego wzroku.

– Ja piórkuję, naprawdę świat się zmienia, jeżeli Jego Wysokość Prayton przestraszył się jednej czarnowłosej pielęgniarki. Zresztą, mam wrażenie, że ona rzeczywiście gotowa była zrobić ci ten zastrzyk...

– A ja bym cię trzymał – mruknął MacAlister i zaraz obrócił głowę do ściany. – Z przyjemnością... – dodał, ale może im się tylko zdawało.

Dziwne... Żadne z nich nie zwróciło uwagi na fakt, że wystarczyło zaledwie kilka żartów i bezpośrednich uwag uśmiechniętej pielęgniarki, by wyrwać ich z zakłętego kręgu milczenia i samotnego oczekiwania. Może właśnie na tym polegał fenomen talentu siostry Claryssy Darrel, że nikt nie zdawał sobie sprawy z jego niezwykłości.

To była naprawdę bardzo szczegółna pielęgniarka.

Ktoś, kto wierzy w takie rzeczy, mógłby nawet powiedzieć, że to czarownica.

Zjawił się Gregory.

– Panie Prayton, tylko proszę spokojnie i delikatnie. Julia jest jeszcze bardzo słaba, nie można jej denerwować, więc...

– Tak, oczywiście, doktorze. Może pan w to nie wierzyć, ale Julia jest dla mnie jeszcze ważniejsza niż dla pana, nie zrobię niczego, co mogłoby jej zaszkodzić.

„Co on wie? – myślał zrezygnowany Adam. – Ważniejsza niż dla mnie?! Co on wie...”.

– Muszę panu wierzyć, nie mam innego wyjścia, bo Julia chce pana widzieć. Jednak zanim pan tam wejdzie, muszę uprzedzić, że...

– Potem, potem... – Kenneth mógł myśleć tylko o tym, że Julia chce go zobaczyć.

– Jak pan sobie życzy. Niech pan wchodzi. Ma pan pięć minut. Tyle samo dają tej młodej rudowłosej damie i doktorowi MacAlisterowi.

Prayton go nie słuchał – wolno, ostrożnie i z lekkim wahaniem wchodził już do separatki Julii.

Pod okrywającą ją białą prześcieradła wydała się taka krucha i bezbronna. A te wszystkie urządzenia wokół tykały i mruczały ostrzegawczo, by nie popełnił żadnego błędu.

– Julio, martwiłem się, bardzo... – Kenneth stał niepewnie przy jej łóżku; nie

wiedział, czy może usiąść na brzegu materaca, czy może lepiej przykłęknąć na podłodze u wezglowia. – Tak bardzo się bałem, kochanie...

Patrzyły na niego szeroko otwarte oczy Julii. Podążyły za nim, gdy szedł do rogu pokoju i sięgał po stojące tam krzesło; śledziły go, gdy ustawiał je przy łóżku i nie przestały obserwować, gdy wreszcie usiadł i wziął ją za rękę.

Wtulił twarz w jej dłoń i pocałował bladą, lekko wilgotną skórę. Julia... Znowu czuł jej smak. Muskał wargami jej palce, przesuwając jej dłonią po swoich policzkach, czole, brodzie. Przypominał sobie jej zapach. Znowu cały świat ograniczył się do zmysłu smaku, węchu, dotyku... „Tak blisko i znowu tak daleko... Dlaczego milczysz? Tak bardzo za tobą tęskniłem. Tak bardzo cię Kocham...”.

– Widziałem naszą córkę. Jest piękna. – Przysunął bliżej krzesło i pochylił się nad jej twarzą. – Chciałem ci za nią podziękować.

Wpatrywał się w jej wargi, jakby chciał siłą zmusić je do mówienia. „Powiedz coś, Julio. Powiedz: tęskniłam, poproś: Kochaj mnie, powiedz coś, Julio, cokolwiek!”. Delikatnie jak piórkiem pocierał jej wargi swoimi, obrysowywał pocałunkiem kontur jej ust, koniuszkiem języka nieśmiało przywitał jej język i... wycofał się. Tylko na tyle się odważył.

– Jak jej damy na imię? Myślałaś już o tym?

Patrzyła na niego bezradnie.

– Co byś powiedziała... – zastanawiał się przez chwilę – może na przykład Catherine, Kitty, po swojej matce chrzestnej Kate Sweetheart i przyszywanej babce Katarzynie Travis? Kitty Prayton, ładnie. Podoba ci się?

Julia wolno skinęła głową, a dwie niewielkie łzy spłynęły po jej policzkach.

– Kochanie, czemu płaczesz? Czy to przeze mnie? Zdenerwowałem cię...? – Ujął jej twarz w dłonie. – Musisz mi powiedzieć. Martwisz się o coś? O naszą córkę?

Jej broda lekko zadrżała i poruszyła się ledwie zauważalnie.

– Ależ z nią wszystko w porządku! Czy Gregory ci nie powiedział?!

Kolejne ledwo dostrzegalne skinięcie wzmogło jego niepokój.

– Więc o co chodzi?! Skoro wiesz, że nasza córka jest... nasza córka...

Julia zamknęła oczy. Łzy płynące po jej twarzy wciskały się między jego palce. Przypominały, przywoływały słowa wypowiedziane dawno temu, rzucone w gniewie i bólu, pełne nienawiści tak podobnej do rozpacz.

Słowa są jak kamienie, a ciśnięte w gniewie, wracają. Czuł ich ostre uderzenia. Córka... Julia się bała. Wierzyła, że spełni swoje groźby i zabierze jej córkę. Była taka dzielna i odważna, nie poddała się, a teraz... Chciał jej tyle ofiarować, tyle powiedzieć, ale jak miał to zrobić, skoro ona się go bała? Lękała się, że jej walka okaże się nadaremna, że i tak wszystko straci, bo on zabierze jej Kitty, ich maleńką córeczkę.

– Proszę, spójrz na mnie – błagał, gładząc jasne włosy, kciukami pieszcząc mokre policzki. – Nie skrzywdzę cię, Julio. Musisz mi uwierzyć! Już nigdy więcej. Prędejm sobie rękę uciął. Przysięgam! To jest nasza córka. Bardziej nawet twoja niż moja, bo ty dałaś jej życie, ryzykując własnym. Nie mógłbym... – Głos go zawiódł, nie wiedział, jak ją przekonać. – Nie mógłbym ci jej zabrać. Uwierz mi, proszę! – Szukał odpowiedzi w zieleni jej oczu. Niczego już nie krył, ani bólu, ani tęsknoty, ani łez. – Ja tylko chciałbym być przy was, kochać was, o nic więcej nie proszę. Wierzysz mi? Julio, błagam, wierzysz mi? Odpowiedz... Maleńka moja... Nie męcz mnie dłużej. Nawet nie wiesz, czym były dla mnie te godziny bez ciebie, jakbym umierał... – Nie zauważył, że pięć minut ich jednostronnej rozmowy już minęło. – Julio, powiedz coś... Tak bardzo, tak bardzo cię...

– Panie Prayton... – przerwał mu cichy szept lekarza. – Musi pan już wyjść.

Gregory od kilkunastu sekund stał w drzwiach. Słyszał błagania swojego rywala, jego półwyznanie i czuł żal, gorycz porażki, do której nie miał prawa. „Za późno...” – pomyślał, ale mężczyzna, któremu zazdrościł, może miał jeszcze szansę.

– Tak... Za moment... – Prayton, stojąc tyłem do niego, otarł szybko oczy wierzchem dłoni. – Julio, muszę już iść. Sunny i twój stryj także chcą cię zobaczyć, ale przyjdę jutro, obiecuję. Może wtedy mi odpowiesz.

Chciała go zawołać, chciała mu powiedzieć, że wierzy – stara się wierzyć – że to dla niego ratowała ich dziecko, ale... nie mogła. Krzyk zamarł jej w gardle.

Myśli pozostały nagie; nie potrafiła ubrać ich w słowa, choć tak bardzo się starała. „Co chciałeś mi powiedzieć? Czemu odszedłeś bez pożegnania, na które czekałam? Co tobie nie pozwala mówić? Tak bardzo mi ciebie brakowało, przez tyle miesięcy... A teraz, choć mówisz tak wiele, to przemilczasz jeszcze więcej... Dlaczego, Ken?”.

Prayton siedział w poczekalni. Recepcjonistka, której nie dostrzegął, udawała bez powodzenia, że też go nie widzi. Łokcie oparte o kolana, twarz ukryta w dłoniach – siedział otępiały, próbując zebrać myśli, ale nie potrafił; rozsypały się, rozbiegły, pochowały jak koraliki zerwanego naszyjnika. Julia nie może mówić, nie może mu odpowiedzieć. Gregory w końcu to z siebie wydusił. Dlaczego dopiero teraz? Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim? Bariera psychologiczna – stwierdził i oczywiście było, kogo za to wini.

Sunny i MacAlister zostali na górze; weszli do Julii, uprzedzeni przez lekarza. O czym z nią rozmawiali, o czym mówili, wiedząc, że ona nie odpowie? I jak on sam ma jej teraz wszystko wytłumaczyć? Jak ma jej wyznać, co czuje, gdy jej uczucia i myśli pozostaną tajemnicą? Jak ma sobie poradzić ze swoją świeżo odkrytą miłością, skoro ona milczy?

MacAlister podszedł do siedzącego samotnie mężczyzny.

– Moja mała Julia... Moja mała, dzielna dziewczynka... – wyszeptał i usiadł na krześle obok Kennetha. Położył dłonie na kolanach i utkwiał wzrok w podłodze. – Widziałem waszą córeczkę. Pokazali mi ją, jest chyba podobna do ciebie. Wiesz, nie znałem Julii, gdy była taka mała jak... Kitty? – Ken kiwnął głową. – Tak... Po raz pierwszy zobaczyłem ją, gdy miała już cztery lata. Jej rodzice, mój brat i jego żona, zostawili ją u mnie i wyjechali. Pamiętam... Drobną poważną dziewczynką o dużych, zielonych oczach, trzy małe walizki, miś pod pachą. Prawie nie rozstawała się z tym misiem, był brudny, wyliniały i miał ucho przyszyte czerwonym kordonkiem. Nie spodziewałem się... Nie chciałem obowiązków, żadnych dzieci, ale ona... Pokochałem ją. Sam nie wiem kiedy. Po prostu nie sposób było jej nie kochać. Kiedyś zjawiła się u mnie w nocy, w piżamce i na boso, z misiem i poduszką... Powiedziała: stryжку, potwory przyszły nas odwiedzić. Potwory i strachy... bała się ich. Gdy zmarli jej rodzice, miała koszmary, budziła się i płakała. Kochałem ją... Tylko tyle mogłem jej dać, ale pomagało... wtedy. A teraz nie wiem, co mam robić, jak jej pomóc. Czy wystarczy kochać, a potwory znikną? Nie wiem. Myślałem, że dałem jej dom, że była ze mną szczęśliwa...

Dlaczego nie mówi? Dlaczego? Co mam zrobić...?

– Opowiedz mi o niej. Opowiedz mi o Julii – poprosił Ken. – Chcę wiedzieć, jaka była, chcę ją poznać. Już dawno powinienem to zrobić.

Chciał zrozumieć. Pragnął poznać kobietę, którą kocha. Chciał słuchać zwierzeń starego człowieka, którego kiedyś uważał za wroga tylko dlatego, że uwierzył w jego żarty i kpiny. Co z tego, że MacAlister jest psychiatrą? Czy to znaczy, że musi nim być przez cały czas, nawet wtedy gdy nie leczy swoich pacjentów, gdy nie prowadzi wykładów, nawet wtedy gdy rozmawia z mężczyzną, który zrobił dziecko jego bratanicy? Nie musi. I wtedy, tamtego chłodnego poranka, gdy Ken trafił zziębnięty i rozgoryczony pod jego drzwi, stryj Julii zapomniał o swojej specjalności, swoim tytule naukowym, prawie czterdziestoletnim stażu pracy. Tak bardzo się ucieszył szczęściem swojej wychowanki, że zapomniał, jakimi motywami potrafią kierować się zranieni w swojej dumie mężczyźni. Zapomniał i plótł, co mu ślina na język przyniosła, a Ken wierzył... Uwierzył we wszystko co najgorsze, bo właśnie najgorszego się spodziewał, chociaż sam siebie przekonywał, że było na odwrót.

– Opowiedzieć ci o Julii? O mojej małej dziewczynce? – MacAlister patrzył na niego przez chwilę, ale potem znów przeniósł wzrok na podłogę, jakby na jej krzasiastym ekranie pojawił się film sprzed lat. Taśma wspomnień przewinęła się i stanęła na dniu, w którym stał się stryjem.

– Tak, opowiedz mi o małej dziewczynce, jaką kiedyś była Julia, o dziewczynie, jaką potem się stała, i o kobiecie, której nigdy nie znałem.

To był stary film, czarno-biały, z lektorem o drżącym ze wzruszenia głosie. Taśma zacinała się, zrywała, czasami przeskakiwała o kilka lat, czasem o kilka chwil, by później wrócić do opuszczonych kadrów. MacAlister, snując opowieść, i Prayton, słuchając jej, znowu towarzyszyli Julii. Choć leżała tam na górze, milcząca i smutna, była również tutaj z nimi – poważna dziewczynka z przeszłości.

Trzymali ją za rękę, gdy witała swój nowy dom; pomagali pakować zeszyty, gdy po raz pierwszy szła do szkoły; kochali, jak mogli najmocniej, gdy rozpaczała po stracie rodziców; pocieszali wchodzącą w dorosłe życie nastolatkę, oplakującą jedyne przyjaciela z dzieciństwa – małego wyliniałego misia z uchem przyszytym czerwonym kordonkiem – który mimo całej dziewczęcej troski rozpadł się ze starości; słuchali, gdy śpiewała mu ostatni raz ich wspólną, dziecienną kołysankę. Słuchali... Wsłuchiwali się w głos, który teraz ucichł. Śpiew

dziewczyny przywołał obraz milczącej młodej kobiety leżącej na górze. Znowu byli przy niej. Jeden z nich odgarnął z jej czoła kosmyk wilgotnych włosów, drugi z ciepłym uśmiechem ucisnął bladą dłoń. Znowu ze wszystkich sił starali się zrozumieć słowa, których nie mogła wypowiedzieć.

ROZDZIAŁ 12

Po tygodniu Julia i Kitty wróciły do domu. Co prawda Gregory chciał je zatrzymać nieco dłużej w szpitalu, ale nie potrafił walczyć z Julią, a ona tego właśnie pragnęła – wrócić do domu. Widział to w jej oczach, gdy niespokojna czekała na odwiedziny męża; rozpoznawał w czułości, z jaką dotykała córki. Nie umiał z tym walczyć. Za późno, by choć próbować.

Poza tym nie było żadnych powodów, by jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną godzinę pozostawiała pod jego opieką, prócz oczywiście chęci zatrzymania jej przy sobie jak najdłużej. Wymykała mu się i nic nie mógł na to poradzić. Nawet autorytet lekarza i ordynatora nie robił na niej wrażenia. Gdy sprzeciwił się, by karmiła piersią, oczywiście nic nie powiedziała, ale jej niemy upór był nie do pokonania. Chciała swojemu dziecku zapewnić wszystko co najlepsze, niby to rozumiał, ale... Miała pokarm, wracała do zdrowia – leżała już wraz z innymi matkami na zwykłym oddziale. Pediatra również nie widział żadnych przeciwwskazań, wręcz pochwalał jej decyzję. Mała Kitty systematycznie przybierała na wadze; każdą butelkę opróżniała do ostatniej kreski i wciąż domagała się więcej – w takiej sytuacji pierś matki gotowa na każde zawołanie byłaby najlepszym rozwiązaniem. Ale Adam Gregory nadal miał wątpliwości. Nie jakieś konkretne zastrzeżenia – zwyczajnie lękał się o Julię, obawiał się, czy ma dość siły. W końcu minęły dopiero trzy dni od operacji.

Dziwny to był spór – w gruncie rzeczy trwał zaledwie kilka minut, może nawet krócej. Po prostu Gregory znajdował się w pobliżu, gdy siostra Claryssa przyniosła Julii córkę. Nie pytał dlaczego akurat ona – siostry Darrel wszędzie było pełno i zawsze zjawiała się dokładnie tam, gdzie najbardziej jej potrzebowano.

Julia zobaczyła wtedy swoje dziecko po raz pierwszy. Rozwinęła delikatnie becik i wodziła czule dłońmi po nagim ciałku. Przyglądała mu się z zachwytem; obejrzała dokładnie każdy paluszek, każdą najmniejszą fałdkę. A potem przytknęła nieco zniecierpliwionego tymi oględzinami malucha do swojej nabrzmiałej piersi. Mały głodomór natychmiast odnalazł życiodajny sutek i przyssał się do niego; Kitty kurczowo złapała pierś matki i wyglądało na to, że długo nie zamierza wypuszczać jej ze swoich łapczywych paluszków. Butelka poszła w niepamięć, liczyło się tylko to duże, miłe, bezpieczne ciepło. Cudowny widok. Gdyby to było jego dziecko, jego żona...

– Julio, nie jestem pewien, czy możesz już karmić, czy w ogóle powinnaś

karmić... – Spojrzała na niego znad główki dziecka. W jej oczach dostrzegł nieugiętą wolę, a także ślad rozczarowania. Nie mogła mu odpowiedzieć, ale może to i lepiej. Bał się tego, co mógłby usłyszeć.

Za to siostra Claryssa nie miała żadnych problemów z mówieniem.

– Pan chyba nie mówi poważnie?! Już chyba niczego nie można być bardziej pewnym! Jakim prawem chce pan pozbawić matkę tego najbardziej intymnego kontaktu ze swoim maleństwem? A dla dziecka nie ma nic lepszego niż mleko jego własnej matki, która, jak widzę, ma go aż w nadmiarze. – Przerwała na chwilę i zwróciła się do Julii: – Dobrze, że nie dali pani żadnych leków na powstrzymanie pokarmu. Na szczęście nasz zapobiegliwy doktor o tym akurat zapomniał. Ale musi pani ściągać to, czego mała nie wypije. Pokażę pani później, jak to robić.

Julia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

„Jak ona dobrze rozumie moją Julię, lepiej niż ja sam. Z każdym się dogada i wcale nie potrzebuje do tego słów. Czarownica z tej Claryssy...” – pomyślał Gregory, nie po raz pierwszy zresztą dochodząc do takiego wniosku.

Tymczasem czarnowłosa pielęgniarka patrzyła na niego z naganą, wręcz potępieniem w złotych oczach. Znowu poczuł się jak student pierwszego roku medycyny, który zemdlął na widok krwi. Choć zdarzyło się to dawno temu, wciąż pamiętał tamto upokorzenie, złośliwe uśmiechy i kąśliwe uwagi kolegów. Wielu z nich dorobiło się już prywatnej praktyki, dużego domu, dzieci, wrzodów, którejs z kolei żony, kochanki...

– Julia nie tylko ma pokarm, ale chce i może dać go swojej córce. Niech pan, u licha, przestanie trząść się nad tą dziewczyną jak kura nad kurczęciem! Julia, że się tak wyrażę, sama jest już dorosłą kurą i wie najlepiej, co jest dobre dla jej nowo narodzonego pisklęcia. Pan jest tu tylko kogutem, który pieje na alarm bez potrzeby i któremu chyba pomyliły się kury i podwórka.

Upomniała go, skarciła jak uczniaka!

„Ile lat ma ta kobieta: trzydzieści czy sto? Czyżby domyśliła się, co czuję, i postanowiła mnie ostrzec? Stąd ta niewybredna metafora?” – zastanawiał się. Kto wie, wszystko było możliwe, nawet to, że siostra Claryssa, z którą pracował od trzech lat i o której wciąż niewiele wiedział, czytała w nim jak w otwartej księdze. Dyplomowana pielęgniarka, najlepsza, jaką kiedykolwiek spotkał – dyplomowana

czarownica z piekła rodem, której ostrzeżeń nie powinien lekceważyć.

– Dobrze, Julio. Rób, jak uważasz, tylko w razie czego, pamiętaj, natychmiast daj mi znać. Jeżeli poczujesz się gorzej, stwierdzisz, że nie dajesz rady, niczego nie ukrywaj. Dobrze? – Julia machinalnie skinęła głową; wcale nie był przekonany, że go słyszała, ani tym bardziej że posłucha. Nie patrzyła na niego. Starając się nie przeszkadzać ssącemu dziecku, głaskała je leciutko, przesuwała palcami po drobnych ramionkach, szyjce i rytmicznie poruszającym się policzku. W końcu położyła swoją dłoń na główce córki – jakby sprawdzała, czy dobrze pasują – przylegały idealnie, jak dwie połówki jednego owocu.

Musiał stąd wyjść. Natychmiast.

– Niech już pan idzie, doktorze. – Pielęgniarka najwyraźniej się z nim zgadzała. – W takiej chwili ktoś obcy tylko przeszkadza. Matka i córka powinny zostać same. Muszą się lepiej poznać, nacieszyć sobą, bez zbędnej asysty. Chyba tylko mąż i ojciec byłby tu teraz mile widziany. „Choć nie jestem pewna...” – pomyślała Claryssa. Coś jej przeszkadzało i nie pozwalało dotrzeć do miejsca, w którym Julia ukryła swoje uczucia. To był naprawdę twardy orzech do zgryzienia. Skoro nawet czarownica trzeciego stopnia, specjalistka od natury ludzkiej, odbywająca bezterminowy staż w tej specyficznej, przesyconej uczuciami szpitalnej społeczności, nie potrafiła sobie z nim poradzić.

– No to idziemy. Pan pierwszy. – Nie dała Gregory’emu możliwości zmiany zdania. Zanim zamknęła drzwi, przypomniała sobie jeszcze o czymś. – Jak pani skończy albo się zmęczy, proszę nacisnąć ten biały guzik przy łóżku. Ktoś zaraz przyjdzie i zabierze małą. – Julia zmartwiła się. – Bez obawy, kiedy przyjdzie kolejna pora karmienia, znowu ją do pani przyniosę. No a teraz już zmykam. Smacznego, maluchu! – zawołała z cichym śmiechem i zamknęła drzwi.

Zostały same. Matka i córka. Ale nie czuły się samotne. Miały siebie – cóż więcej potrzeba do szczęścia? Cóż więcej...

Witał je cały dom. Błyskał radośnie oknami, odbijał w lustrach uśmiechy i ocierane ukradkiem łzy, uszczęśliwiony migotał kryształkami żyrandola. Stęskniony hol pełen wzruszonych twarzy witał Julię i nowego domownika, którego chciał poznać jak najprędzej.

Prayton wszedł za żoną, trzymając na rękach kwilący, chyba znowu głodny, pakunek. Cały czas się bał, że go upuści. Gdy zaproponował Julii, że weźmie od niej Kitty, nie zaprotestowała. Umieściła ją ostrożnie w jego ramionach i uśmiechając się lekko, wygładziła okrywający niemowlę kocyk.

Ucieszył się. Niewiele mu teraz wystarczało do szczęścia: uśmiech żony, niewielki ciężar, który trzymał w objęciach, rodzina, wspólny dom, przyjaciele, którzy czekali, by ich powitać... Niewiele? Może dla innych. Ken nigdy w życiu nie miał więcej. Przecież to musi wystarczyć! Lepiej nie drażnić losu, prosząc o więcej. Zresztą, o co mu chodziło? O tych kilka niespełnionych marzeń, z których sam zrezygnował? O samotne noce, do których zdążył się już przyzwyczaić? O co jeszcze? O milczącą żonę, o słowa, które pragnął od niej usłyszeć, choć sam bał się wyznać, co czuje? A może po prostu o nadzieję na kolejny zielony cud, w który kiedyś nie potrafił uwierzyć. Czemu nie umiał przestać marzyć, czemu był taki chciwy? Chciał wszystkiego, a przecież los i tak hojnie go obdarował: miał nareszcie dom i rodzinę, żonę, która choć milczała, to jednak nie odpychała go otwarcie. I miał córkę. Spojrzał na dziewczynkę, która cicho posapując, ssała kciuk. To była jego nadzieja, to był jego cud. Przecież był szczęśliwy. Czegóż więcej mógł pragnąć? Czegóż więcej...

Jej pierwsze spotkanie z Prayton House... To już prawie pół roku. Teraz było tak samo, a jednak inaczej. Hol, równie wysoki i jasny jak wtedy, teraz był również przyjazny i znajomy. Znowu tonęła w obfitych objęciach Katarzyny i czuła mocny uścisk dłoni Manuela. Za nią stał zawsze tak samo tajemniczy Kenneth, jej mąż, który jednak teraz tulił do siebie ich dziecko. Dookoła podskakiwała podniecona Sunny, a stryj, nie mogąc się do niej dopchać, pomachał jedną ręką, a drugą przesłał stryjowsko-ojcowski pocałunek. Uśmiechnęła się i odesłała mu całusa tą samą drogą. Marta jak zwykle chlipała, pociągając nosem, a bliźniacy klepali się po plecach i mrugali porozumiewawczo.

Wróciła. To dobrze. Nie była już sama – miała dom, przyjaciół, córeczkę i... męża, który teraz stanowił dla niej zagadkę większą niż kiedykolwiek.

Kochała ich wszystkich – dom, przyjaciół, Kitty, Kena... tak, swoją miłością objęła nawet jego, przecież był częścią tego wszystkiego, fragmentem odczuwanego szczęścia. Nie tak je sobie wyobrażała, ale nie narzekała. Jej szczęście nie przypominało błysku, oślepiającego, zapierającego dech w piersiach momentu, który mija i pozostawia pragnienie, by kiedyś jeszcze raz dotknąć nieba.

Nie marzyła już o takim szczęściu. To bezpieczne, spokojne, pełne ciepła zadowolenie było lepsze, trwalsze. Niedośyt? Wyparła się go. Może dawniej chciała czegoś więcej, ale teraz już nie. Dzisiaj wystarczy to, co ma, a na co zaledwie miesiąc, zaledwie tydzień temu nawet nie liczyła.

Kenneth nie był już obcy; przypominał Kena, jakiego kiedyś znała i prawie odważyła się pokochać. Choć nadal pozostał dla niej tamtym fascynującym i groźnym nieznanym z parku, równocześnie coś się zmieniło. Może pogodził się w końcu z myślą, że jest mężem i ojcem? Może teraz, gdy trzymał na rękach ich córkę, zrozumiał, czym jest rodzina? I nareszcie ich małżeństwo będzie takie, jakie być powinno od samego początku, jakiego oczekiwała. Związkiem opartym na wzajemnym szacunku, przyjaźni, miłości do dziecka. Koniec z oskarżeniami, wyrzutami, winą i karą, ciągłą walką. Spokój i zadowolenie – to bardzo dużo. Była wdzięczna losowi i nie wymagała niczego więcej, nawet gwarancji, że to szczęśliwe zadowolenie potrwa lata. Nie musiała rozmawiać z Kenem, by wiedzieć, że on myśli podobnie. Cieszymy się tym, co mamy, nie oczekujemy gwiazdki z nieba i świąt przez cały rok. Tak, Ken, właśnie tak!

Jednak niepokój, który wkradał się w jej myśli, nie tak łatwo dał się uspić tymi rozsądnymi argumentami. Oblaskawić taki niepokój to nie to samo, co wypchnąć na strych niepamięci stare marzenia i niepotrzebny już bagaż wspomnień. Nie to samo... Ten niepokój towarzyszył jej od chwili, gdy ocknęła się w szpitalu, a po powrocie do domu pojawiał się coraz częściej. Nie mogła mówić, ale z każdą godziną milczenia myślała i czuła coraz intensywniej, coraz głębiej; jak człowiek, który tracąc wzrok, z czasem wyostrza bardziej pozostałe zmysły: słuch, dotyk, węch...

Nie mogła już dłużej tego ukrywać przed sobą – nie chciała mówić. Milczenie było takie wygodne! Nie trzeba pytać ani odpowiadać, nie trzeba układać zdań, by wyrazić uczucia i myśli, nie ma potrzeby obawiać się, że zdradzi się je jakimś nieopatrzonym słowem. Jakie to wygodne, jakie bezpieczne! Na początku, w szpitalu, próbowała walczyć ze swoją niemotą, ale potem zrezygnowała – za szybko, za łatwo. I to ją niepokoiło. Podczas gdy wszyscy pozostali szukali przyczyn i starali się jej pomóc, ona przyjęła utratę mowy jak wyrok przeznaczenia. Poddawała się.

Ale Ken też milczał, może w inny sposób, lecz on także zrezygnował ze słów.

Słowa mają tyle znaczeń... Zbyt dużo. A czasami są aż nazbyt jednoznaczne.

Wyrażają prawdę i oszukują; mogą pocieszyć, ale równie często ranią. Nie chciała już więcej czuć bólu, który niosą ze sobą. Nie miała siły, by szukać prawdziwego sensu i znaczenia ukrytego w kilku dźwiękach. Wołała okryć się milczeniem, niż chować za niepewną osłoną słów. Pora wyznań i krzyku minęła. Zresztą chyba nigdy nie miała dość odwagi, by zdobyć się na coś mocniejszego od szeptu, a teraz zabrakło jej wiary, by chociaż spróbować.

W ciągu dwóch miesięcy Julia przekonała się jak bogata jest mowa gestów. Poruszając brwiami, dłońmi czy głową, mogła nadal żywo uczestniczyć w porannych kuchennych plotkach. Bez trudu porozumiewała się z Katarzyną, Martą i oczywiście Sunny, zanim ta po „miesiącu słodkiego nieróbstwa i wylegiwania się na wsi” wreszcie stwierdziła, że pora wracać do „roboty i starego kieratu”. Manuel z zasady był małomówny, więc jej problem nie wydawał się przy nim niczym szczególnym. Z kolei stryj zazwyczaj mówił za dwóch, więc ona nie musiała się już specjalnie wysilać. Bliźniacy, będąc w nieustającej przewadze, mogli dogadać się z każdym, tak więc wymagająca zaledwie nieco żywszej gestykulacji rozmowa z Julią nie sprawiała im żadnego kłopotu. Co do Kennetha... przy nim raczej musiała się pilnować, by ze spojrzenia czy zwykłego odwrócenia głowy nie wyczytał zbyt wiele. Na przykład tego, że zaczynają do niej wracać uczucia i pragnienia, zdawałoby się zapomniane z chwilą, gdy zdecydowała się na to małżeństwo z rozsądku.

A gdy już wszelkie inne sposoby porozumienia zawiodły, zawsze pozostawały kartka i ołówek. Naprawdę wcale nie musiała mówić, by wyrazić to, co chciała powiedzieć. W szpitalu, do którego chodziła na badania kontrolne, ktoś jej poradził, by nauczyła się języka migowego; wtedy poczuje się pewniej i bariera niepozwalająca jej mówić szybciej zniknie. Nawet nie spróbowała. Tylko czyje złudzenia podtrzymywała w ten sposób? Przecież nie swoje. Dlaczego więc nie chciała przyznać, że nie mówi, bo nie chce? Po co oszukiwała, udając, że pragnie odzyskać głos?

Przestała siebie rozumieć. Już nie wiedziała, czego chce, a czego się boi? „Porozmawiamy” – obiecał jej kiedyś Ken, zanim zasnęła. Czekala na tę rozmowę i jednocześnie pragnęła, by nigdy do niej nie doszło.

Co gorsza, nie miała komu się zwierzyć. Bliźniacy po dwóch tygodniach musieli wrócić do swoich tajemniczych obowiązków i zabrali ze sobą MacAlistera, na którego niecierpliwie czekali jego pacjenci. Sunny chyba najlepiej zrozumiałaby

niezdecydowanie Julii, ale ona też wyjechała. Kenneth...? Właśnie jego nie mogła prosić o radę. Przecież obwinił się o jej milczenie, więc gdyby dowiedział się, że wcale nie ma ochoty wyzdrowieć, poczułby się jeszcze gorzej. Zwyczajnie nie chciała go martwić. A, jeszcze Kitty...

Tylko przy córce szczerze żałowała i wstydziła się swojego tchórzostwa.

Kitty była taka maleńka. Gdyby mogła, Julia najchętniej nosiłaby ją i przytulała do siebie przez cały czas. Tęskniła do niej każdej nocy, chociaż spała tuż za ścianą. Tęskniła w ciągu dnia, gdy zamiast niej Kitty opiekowali się pielęgniarka, Katarzyna czy Kenneth. Tęskniła każdego wieczora, gdy najpierw pod opieką pielęgniarki, a potem już sami, kąpali Kitty i kładli spać. Tak bardzo chciała śpiewać jej wtedy kołysanki, a utulając do snu, powiedzieć zwykle „dobranoc, córeczko”. Do tej pory nie mogła uwierzyć, że to cudowne, śliczne dziecko jest jej córką, że ten mały człowieczek należy do niej i do Kennetha, że wspólnie udało im się stworzyć taki cud!

Dziewczynka była bardzo grzecznym niemowlakiem – wręcz modelowym, wprost z kart podręcznika dla młodych matek. Czuwała w dzień, spała w nocy; mając miesiąc, przespiała już całe sześć godzin, od północy do szóstej rano. Nie grymasiła, nie chorowała, nie miewała nawet kolek. Co trzy godziny, z dokładnością do kilku minut, Kitty robiła się głodna i opróżniała obie piersi, tak że Julia nie musiała wcale ściągać niewykorzystanego pokarmu. Gdy zaczęła dostawać soczki, smakowały jej na równi z mlekiem; Julia nie wątpiła, że gdy przyjdzie pora na kaszki i zupki, mała odniesie się do nich z takim samym entuzjazmem. Prawie wcale nie płakała, nie nudziła się i nie domagała ciągłego noszenia na rękach; mogła długi czas leżeć i przyglądać się pajacykowi zawieszonemu przy łóżeczku albo w skupieniu obserwować grzechotki, które tańczyły radośnie, trącone małą nóżką lub rączką. „Urodziłam małego filozofa” – myślała czasami rozczulona Julia.

Jeśli chodzi o Kena, okazał się ojcem więcej niż modelowym – cierpliwym, troskliwym i bardzo przejętym swoją rolą. Interesował się wszystkim, poczynając od niegroźnej wysypki, której dostała od proszku (Ken osobiście wyrzucił całe opakowanie i oświadczył, że odtąd jej ubranka mają być prane wyłącznie w płatkach mydlanych), a kończąc na konsystencji kupki (gdy była nieco luźniejsza po wypitym soku, ledwie trzech łyżkach, wezwał lekarza!). Wynajął pielęgniarkę i przyznał również, że gdy mała podrośnie, zamierza zatrudnić nianię. Julia nie protestowała, choć nie uważała tego za konieczne. Zdawała sobie sprawę, że nie próbuje odseparować jej od córki, a jedynie chce odciążyć w obowiązkach, które

zresztą wypełniała z radością. Ale fakt, iż Kenneth myślał i troszczył się o nią w ten sposób, że nie odmawiał jej prawa do zmęczenia czy zniechęcenia, napełniał ją niezrozumiałą satysfakcją. Bo dlaczego tak bardzo cieszyła ją ta troska?

Obserwował ją, przyglądał się ze smutkiem i czymś, czego nie pojmowała. Miała wrażenie, że Ken na coś czeka. „Może mnie sprawdza? – myślała czasami. – Czekaj, aż popełnię jakiś błąd?”. Ale to nie tłumaczyło jego zachowania. Nie tylko dla Kitty był troskliwy, czuły, opiekuńczy. Swój czas poświęcał wyłącznie rodzinie i domowi. Stał się idealnym mężem i ojcem. Praca, banki, agencja, klienci – jakby przestali istnieć. „O co mu chodzi?” – zastanawiała się. Julii nie przeszkadzała jego stała obecność w domu, po prostu nie umiała się do niej przyzwyczaić. To było takie do Kennetha niepodobne! Z drugiej strony nie wiedziała, jak powinna się zachowywać w tej dziwnej sytuacji, która nieoczekiwanie stała się codziennością, czymś absolutnie normalnym, w każdym razie dla Kena. Nie chciała mu się narzucać czy zbyt absorbować swoją osobą, co nie znaczy, że go otwarcie unikała, tylko... Ileż to razy w tym punkcie rozmyślała Julia bezradnie wzduszała ramionami.

Ken wręcz przeciwnie, jakby specjalnie jej szukał. Bez przerwy się na niego natykała – w jadalni, kuchni, w bibliotece, w pokoiku Kitty. Zawsze już tam na nią czekał. Uśmiechał się, podchodził do niej, obejmował delikatnie i całował w czoło. To było takie czułe, miłe i takie... bezpłciowe. Zżymała się na takie myśli. „Jesteś matką – tłumaczyła sobie – przede wszystkim matką. I on tak cię widzi, przecież tego chciałeś”. Niewiele to jednak pomagało. Nie umiała zignorować faktu, że Ken jest wciąż tak samo atrakcyjny i pociągający jak kiedyś. Gdy sytuacja między nimi była napięta, nie potrafiła myśleć o swoim mężu jak o przystojnym, interesującym mężczyźnie. Ale teraz, gdy poczuła grunt pod nogami, gdy Ken był znowu taki jak dawniej, teraz chciała, żeby wszystko było takie jak dawniej. Chciała znowu poczuć się kobietą – również w nocy.

Nie zdradzała się z tymi zawstydzającymi ją myślami. Powtarzała sobie, że jeszcze nie pora, że muszą od nowa się poznać. Poza tym dopiero dwa miesiące minęły od jej powrotu ze szpitala. Za wcześnie na seks. Seks...?! Nie mogła uwierzyć, że takie myśli chodzą jej po głowie. „Co mnie opętało? Może to hormony? Kobiety w ciąży mają różne dziwaczne zachcianki, może karmiącym matkom też się zdarza... Karmiąca matka...” – poczuła, że oblewa się rumieńcem od stóp do głów. Kolejna rzecz, która wprawiała ją w zmieszanie. Cieszyła się, że może karmić – jakby odprawiała jakieś tajemnicze misterium – ale od chwili gdy wróciła do domu, Ken nie opuścił ani jednego karmienia. Za pierwszym razem zapytał, czy może patrzeć, a ona nie potrafiła mu odmówić. Potem już nie pytał – zawsze wiedział, kiedy Kitty jest głodna i często sam przynosił Julii

zniecierpliwioną dziewczynkę. „Nasz mały głodomorek ma do ciebie sprawę” – mówił.

Siadała z córeczką w bujanym fotelu, a Ken – po turecku na dywanie przed nimi. Układała małe ciało na dłoni i przedramieniu, a główkę w zgięciu łokcia. Nie patrząc na męża, pochylała twarz nad córką i po chwili czuła drobne paluszki ściskające jej skórę, głodne usteczka obejmujące wrażliwy, czasem aż do bólu, sutek i... męskie spojrzenie na swojej obnażonej piersi.

Miała wrażenie, że jest naga. Matka i córka? Nie... kobieta, mężczyzna i dziecko, które razem stworzyli. Intymny kontakt matki z córką zamieniał się w równie intymną więź kobiety i mężczyzny. Co ich wiązało? Dziecko, męskie spojrzenie czy dumna, nabrzmiała mlekiem i podnieceniem kobieca pierś? Mogła powiedzieć: odejdz, nie patrz na mnie – wystarczyłby jeden gest, jedno wymowne spojrzenie – ale nie robiła tego. Potrzebowała choćby tej namiastki jego męskiego zainteresowania. Może Ken widział tylko matkę i córkę, ale ona wcale nie czuła się wyłącznie jak matka. Była kobietą, boginią urodzaju i płodności, a on jej czciociele, jej mężczyzną. Gdy na nią patrzył, czuła się piękna, upragniona i pożądana. Bała się tego spojrzenia i niecierpliwie go oczekiwała.

Skrzywiła się i bezgłośnie syknęła. „To boli, maleńka” – skarciła ją w myślach i wysunęła pierś z ust dziecka.

– Co się stało? Boli cię? – spytał niespokojnie, podnosząc się z podłogi. – Pomogę ci.

Wziął od niej Kitty, oparł o swoje ramię i klepał po pleckach, czekając, aż się małej odbije. Po paru minutach – Julia z reguły musiała trzymać ją co najmniej pół godziny – oddał jej córkę i pomógł ułożyć na ręce, gdzie druga, przepełniona pokarmem pierś niecierpliwie czekała na swoją kolej. Poczowała w niej mrowienie, pierś stała się twarda i ciężka, a po chwili z ciemniejszego czubka popłynęło kilka mlecznych kropel. Ken przysiadł na piętach i patrzył zafascynowany. Już tyle razy towarzyszył jej w trakcie karmienia, ale nigdy jeszcze nie był tak blisko – na wyciągnięcie ręki...

Męska dłoń, dotąd nieruchomo wsparta o kolano, ożyła. Julia znieruchomiała, nie potrafiła go powstrzymać ani zachęcić, nie mogła nawet jęknąć. Nieco niepewnie Ken odsunął brzeg jej koszuli. Zadrzała, gdy musnął

lekko jej skórę; wstrzymała oddech, gdy jego palec zdążył złapać kremową łzę, zanim zniknęła w rozchylonej buzi dziecka. Uniósł rękę, wysunął język i posmakował. Uśmiechnęła się z ironią na widok jego miny. A czego się spodziewał? Słodkiej śmietanki...? No to się zawiódł.

– Jej to smakuje? – zapytał zdumiony.

Julia wzruszyła ramionami i znowu się uśmiechnęła, tym razem pobłaźliwie.

„Zapytaj ją” – odpowiedziała w myślach.

– Chyba nawet bardzo – wyszeptał – sądząc z tego, jak się przyssała. Gdybym był niemowlakiem, pewnie też by mi smakowało...

„Ale już nie jesteś niemowlakiem, na pewno nie...” – Julia oddychała z coraz większym trudem.

– Ale już nie jestem niemowlakiem, więc nie potrafię docenić tego dość specyficznego smaku. Natomiast umiem docenić to, na co nasz maluch raczej nie zwraca uwagi.

Przenosił wzrok z jednej piersi na drugą, a jego badawcze spojrzenie wyczyniało z Julią przedziwne rzeczy. Płonila się i bladła na przemian, jej skóra stała się tak bardzo wrażliwa, tak bardzo spragniona dotyku, że bezwiednie pochyliła się ku niemu.

– Masz teraz większe piersi... – Gwałtownie przełknął ślinę. – Zawsze martwiłaś się, że są za małe... – Westchnął. Z dziwnym wyrazem twarzy, ni to głodu, ni zamyślenia, pogłaskał nabrzmiałą, gorącą wypukłość i przytulony do niej aksamitny policzek Kitty. – A ta... – przysunął się bliżej drugiej piersi, teraz miękkiej i mniejszej, z wycmoktaną, zaczerwienioną brodawką – ta jest taka, jak zapamiętałem.

Ujął w dłoń ciepły wzgórek i leciutko dotknął kciukiem bolesnego miejsca. Poczwała dreszcze biegnące od czubków jego palców do każdej komórki jej ciała. Cofnęła się bezwiednie – nie wiedziała, czy z powodu bólu, czy nagłej przyjemności, która ją ogarnęła. Zbliżył się jeszcze bardziej; jego twarz znalazła się na wysokości najwrażliwszego w tym momencie punktu jej istoty.

– Boli...? – Jego szept owiał gorącym oddechem skórę Julii. – Moja biedna,

moja maleńka... – Usta objęły szczyt piersi, język wilgotną pieśczętą łagodził nadwrażliwość sutka. Wolną ręką przytuliła do siebie jego głowę, wplotła palce w ciemne włosy. Miała przy sobie dwie najdroższe osoby. Nareszcie zrozumiała, czego się bała, przed czym uciekała. Ale przed tym nie mogła uciec. Nie potrafiła dłużej się bronić. Mogła tylko dać się wchłonąć i płynąć, płynąć... płynąć... Fala, która kiedyś ją porwała, powróciła i pochwyciła ją w objęcia. Znowu była tylko drobiną kołyszącą się w bezmiarze miłości. Westchnęła – cicho, lekliwie, ale Ken usłyszał.

– Julio...? – Uniósł głowę i wpatrywał się z rozpaczliwą nadzieją w drżące wargi i lekko przestraszone oczy. – Powiedz coś do mnie, proszę... tak długo czekałem... Julio... Julio... Julio... – powtarzał bezgłośnie. Uniósł się, klęczał, a jego dłonie ujęły jasną twarz. Przechylił się nad nieświadomą niczego Kitty i zaczął muskać delikatnymi pocałunkami przymknięte powieki Julii. Odnalazł i zapamiętał łuk brwi, zagłębienie skroni, linię policzka; odkrył drogę – maleńką bruzdę – biegnącą od skrzydełka nosa do kącika... – Julio... – szepnął w jej rozchylone usta. Prawie załkała, gdy poczuła wreszcie jego wargi na swoich. Objęła go za szyję, ich języki splotły się w długim powitaniu, łyzy mieszały się z pocałunkiem, smutek z nadzieją, ulga z coraz większym pragnieniem... Chciała zatrzymać go przy sobie na zawsze, chciała kochać, chciała błagać: nie odchodź, nie zostawiaj mnie samej, już nigdy... ale Ken się odsunął. Płaczliwy protest Kitty kazał mu rozluźnić uścisk. Oderwał dłonie od twarzy Julii, zsunął smukłą rękę ze swojego ramienia.

– Już nie mogę dłużej, nie potrafię... Chcę ciebie, potrzebuję coraz bardziej, coraz mocniej... więcej i więcej... – Wstał, wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale tylko zacisnął palce i jego dłoń zamarła w powietrzu. – Ale nie wiem... Boże, nie wiem, czy ty jesteś już gotowa! Powiedz coś, daj mi znak, że się nie mylę! Inaczej... nie potrafię tak żyć. Ta niepewność mnie dobija! Julio...

Chciała skinąć głową, złapać go i przytrzymać, ale wiedziała, że nie o to ją prosił. Chciał słów, tych prawdziwych, chciał wiary, odwagi i szczerości. Żądał od niej całkowitego zaufania, bez żadnych „może”, „spróbujmy” i „jakoś to będzie”.

Milczała.

Odszedł.

Jego samotność bolała ją bardziej niż jej własna. Pozostała pustka i cisza po słowach, których nie wypowiedziała.

Kitty spokojnie zasnęła. Jej słowa nie były potrzebne, nie rozumiała ich jeszcze. Czuła się syta, bezpieczna i kochana – w jej świecie nic więcej nie miało znaczenia.

Ale czy w jakimkolwiek świecie liczy się coś bardziej od tego?

Idź do niego – poranne słońce wślizgnęło się do pastelowego pokoju, budząc Julię swoją lipcową radą.

Tak, tak, musisz mu w końcu uwierzyć – dodał dom, przeciągając się w cieniu łóżka i ziewając jasnymi plamami słońca na ścianach.

Usłyszała cichy płacz. Kitty też się obudziła. Słyszając jej głodne wołanie, piersi Julii zareagowały natychmiast – wilgotna plama na przodzie koszuli powiększyła się. „Już idę, córeczko, już... jeszcze chwila...”. Wstała. Wolno, dziwnie niechętnie. Musiała podjąć decyzję. Nie potrzebowała dobrych rad poranka i przyjacielskich upomnień domu, by zdać sobie z tego sprawę. Ken miał rację. Męczyli się w tym zawieszeniu, w tym spokojnym zadowoleniu, które było zbyt niepełne, by nazywać je szczęściem. Zaufanie absolutne – tego potrzebowali, tym powinni się obdarować. Zrozumiała, że inaczej nigdy nie będzie naprawdę spokojna i bezpieczna. Tylko wciąż się obawiała, że nie ma w sobie dość odwagi, by podjąć takie ryzyko.

Obmyła twarz i piersi. Wychodząc z łazienki, spojrzała w lustro: blada, wymizerowana niespokojną nocą twarz patrzyła na nią oskarżycielsko. „Jeżeli kochasz – powiedz mu to, jeżeli kochasz – zaufaj, a jeżeli nie kochasz dość mocno, miej choć tyle uczciwości, by się do tego przyznać”.

Nie słyszała już płaczu Kitty. Może mała zasnęła? Jednak z za drzwi dziecinne pokoju dobiegały jakieś szmery i cichy monotony głos. Lekko nacisnęła klamkę i niezauważona stanęła w progu, osłonięta cieniem uchylonych drzwi.

Ken...? Jakim cudem płacz córki sprowadził go tutaj szybciej od niej? I czemu nie przyniósł małej do niej? Przecież wcześniej zazwyczaj tak robił. Niespodziewanie nabrała pewności, że tu, w pokoiku ich córeczki, Ken spędził dzisiejszą noc. Czyżby zraniła go swoim milczeniem tak bardzo, że szukał

pocieszenia w towarzystwie śpiącego niemowlęcia?

Siedział na dywanie, oparty plecami o ścianę; na ręce trzymał Kitty, jego zgięte w kolanach nogi prawie ją zasłaniały. Dziewczynka położyła główkę na piersi Kena i chyba spała. Przytulił twarz do jej włosów, głaskał delikatnie po plecach i mruczał niewyraźne słowa, które z trudem docierały do Julii, przebijając się przez głośny łomot jej serca.

– Staralem się. Może nie od samego początku, ale ostatnio naprawdę się starałem. Próbowałem ze wszystkich sił, chcąc do niej dotrzeć, przekonać, że teraz jestem inny, że teraz może mi zaufać. Przecież nigdy nie chciałem jej skrzywdzić. Byłem głupi i ślepy... Wymyśliłem sobie jakąś karę, jakieś zadośćuczynienie, ale gdzieś tam w środku czułem, wiedziałem, że nie mogę i nie chcę jej ranić. Tylko wtedy nie wiedziałem dlaczego. A odpowiedź była taka prosta... Ale stało się, maleńka, i już powoli zaczyna brakować mi nadziei, że uda mi się to naprawić. Próbuję wciąż od nowa, staram się... Dlaczego ona nie mówi? Czy aż tak mnie nienawidzi? Czy aż tak ją skrzywdziłem, że nie ma już dla mnie miejsca w jej życiu? Moja maleńka... – Pocałował leciutko rudawy puszek na główce Kitty. – Czy tylko ty mi zostałeś? Maleńka... Nazywałem tak twoją mamę. Wiesz, ona jest całym moim światem i nie umiem jej tego powiedzieć... Zawsze bałem się miłości, pewnie dlatego że jej nie znałem. A teraz mam ciebie i Julię, i boję się jeszcze bardziej. Patrzyłem na mojego ojca i myślałem, że miłość jest straszna, że oglupia i niszczy. To prawda, to właśnie ze mną zrobiła, bo się jej wyparłem, a teraz nie umiem już bez niej żyć... Co mam zrobić? Co jeszcze mogę zrobić...? Może powinienem odejść, dać za wygraną, ale nie potrafię. Równie dobrze mógłbym...

Julia wycofała się, szybko, bezszelestnie. Nie chciała, żeby Ken ją zauważył. Zdławiła szloch, który targnął jej ciałem, bo wiedziała, że nie będzie to ten cichy niemy płacz, do którego zaczęła się już przyzwyczajać. Schowała się w swoim pokoju. Ukryła twarz w poduszce i płakała – bezradnie, rozpaczliwie. Powróciły słowa. Rozpychały się w jej głowie, paliły gardło, cisnęły bezładnie na usta. Które wybrać? Które?! Straciła rozeznanie. Nie wiedziała już, co jest prawdą, co przerażeniem, co nadzieją, a co zwykłym strachem przed uczuciem, które usłyszała w jego głosie. Co wybrać, co odrzucić? Kim była? Tchórzem czy kobietą zranioną już zbyt wiele razy? Musiała pomyśleć, musiała uwierzyć albo... Albo co?!

Nie chciała, żeby odszedł. Potrzebowała go. Był częścią jej samej, tak jak jego córka. Musiała... musiała... Rozejrzała się po pokoju. Pastelowy świat dostarczył jej siły. Dom, którego ścieżki poznała lepiej niż zakamarki własnej duszy, był przy niej jak zawsze i czekał na decyzję. Przywołała na pomoc

wszystkie dobre i złe chwile, jakie tu spędziła. Czas ochronnej ciszy i dni czerwonego lęku. Ciepło kuchni i chłód jadalni. Przyjęcia, których nie lubiła, i to jedno, kiedy udawanie dało jej tyle samo smutku co radości. Gorycz dotyku bez miłości i czułość niedawnego pocałunku. Plama na dywanie zniknęła, ale pamiętała tamten ból. Poczowała odległe wspomnienie skurczu i powróciła ulga, którą przyniosły jej pewnej nocy ciepłe męskie dłonie... Jego pełne uczucia przekomarzanki z Katarzyną, czuły szacunek dla Manuela, jego ogromne przywiązanie do Kitty i jego milczenie, które mówiło tak wiele. Czemu wcześniej tego nie widziała? Nie rozumiała... Podobnie jak tego, że ostatecznej odpowiedzi musi szukać gdzie indziej. Nie tu, ale tam, gdzie się to wszystko zaczęło i właściwie skończyło, zanim miała okazję pojąć, co tak naprawdę oznacza.

To ona musiała odejść. Wrócić tam, gdzie błędziła nawet we wspomnieniach. Wrócić do swojego strachu i jego gniewu, do swojej nieśmiałości i jego irytacji. Musiała odejść, by wrócić do dnia, w którym się spotkali. Tam tkwiła odpowiedź, klucz, który zgubili, szyfr do tego, kim byli, kim się stali, dlaczego tak długo nie umieli być sobą i czemu nie potrafili żyć ani razem, ani osobno. „Tam, tak... Tam pomyślę. Zrozumiem, uwierzę albo...”.

Okno biblioteki wychodziło na północ, na ogród rozpościerający się z tyłu domu. Ogród był duży, rozległy; cień trzypiętrowego budynku, w którym kryły się drzewa i krzewy lubiące takie ciemne miejsca, padał tylko na część zielonego obszaru. Warzywniak, oczko w głowie Katarzyny, w oddali sad, a na granicy cienia i pełnego słońca ulubione rabaty kwiatowe Julii – kolorowe, pachnące, brzęczące rozmowami zapracowanych pszczół.

Były tam. Pośród kwiatów. Kitty drzemała w cieniu rozłożystego orzecha, a Julia pielila ziemię wokół róż. Widział jej pochyloną głowę w słomkowym kapeluszu, dłonie w żółtych rękawiczkach i plastikowe wiaderko nieopodal, do którego wrzucała wyrwane chwasty.

Wyraźnie go dzisiaj unikała – nie mógł się mylić. Gdy byli razem, starała się na niego nie patrzeć, a jeżeli już napotkała jego natarczywe spojrzenie, odwracała głowę albo spuszczała wzrok. Ignorowała próby nawiązania rozmowy na gesty, pytań jakby nie słyszała. W końcu znajdowała jakiś pretekst i wychodziła, nienaturalnie nerwowa i spięta.

Nawet niespodzianka, którą dla niej przygotował, nie wywołała takiej

reakcji, jakiej oczekiwał. Ucieszyła się, ożywiła, ale tylko na chwilę, a potem zamyślenie zastąpiło radość, a dziwne zdecydowanie wyparło uśmiech z jej oczu. Niespodziankę przygotowali razem z Sunny; to był zresztą pomysł rudzielca, ale spodobał się również jemu. Postanowili otworzyć w miasteczku filię Crazy Gallery, którą oczywiście Julia miała poprowadzić. Znaleźli już lokal i zaczęli go urządzić. Nie oczekiwał żywiołowego entuzjazmu, gorących podziękowań, ale... żeby tylko jeden uśmiech, krótki błysk zainteresowania? I to wszystko? Chciał ją wyrwać z apatii milczenia, z odosobnionego świata macierzyństwa. Przecież lubiła swoją pracę! Domyślał się, jak bardzo w ciągu ostatnich miesięcy musiało jej brakować godzin spędzanych w galerii, wśród ekscentrycznych eksponatów i nie mniej osobliwych klientów. Więc czemu...?

Coś się działo, coś bardzo ważnego, a on nie miał pojęcia, co to takiego. Był jak widz, który nie może ani zmienić, ani domyślić się biegu wydarzeń rozgrywającej się na jego oczach sceny. Mógł tylko patrzeć i czekać. Co to było? Sztuka z niekończącą się liczbą aktów? Tragedia, w której na końcu wszyscy giną? Czarna komedia czy dramat z naciąganim happy endem? A on, kim był? Zdezorientowanym widzem, statystą, równie nieistotnym jak kandelabr trzymany w spoczonej dłoni, czy aktorem, który zapomniał swojej roli? Zupełnie się pogubił. Ale strach – widza czy też głównej gwiazdy przedstawienia – był jak najbardziej realny, perlił się na czole w namacalnym dowodzie istnienia i kazał sięgać po kolejnego papierosa, gdy czekanie stawało się nie do wytrzymania.

Upalne lipcowe popołudnie wchłonęło smugę dymu, jakby łudziło się, że znajdzie w niej choć kroplę wilgoci. Wyrzucił niedopałek przez okno. Jeżeli Katarzyna go znajdzie, przyjdzie mu wysłuchać kolejnego wykładu na temat szkodliwości palenia i zaśmiecania ścieżek. Nie tylko on czekał. Duszność wyczuwalna w powietrzu była jak zapowiedź od dawna wyglądanego deszczu. Suche grządki i gorący wiatr szemrzący ospale wśród liści tak jak on wyczekiwały choć kropli ożywczej nadziei. Tylko Julii, spokojnie pielącej róże, zdawało się to nie dotyczyć. Jeżeli o czymś myślała, coś rozważała, to swoim problemem podzieliła się wyłącznie z różanym krzewem, wdzięcznym za uwolnienie od uciążliwego towarzystwa perzu. Bładoróżowe pąki nad jej głową przypomniały mu inne róże – całe różane pole obsypane popiołem jedwabiu... Ciekawe, czy jeszcze ma tę sukienkę? Tak pięknie w niej wyglądała. Może gdyby poprosił, gdyby urządził bal specjalnie dla niej...?

Spojrzał na bezchmurne niebo – może w nocy przyjdzie burza. Przydałoby się. Ale bez względu na kaprysy pogody jego prywatna ulewa była zdecydowanie zbyt blisko, by mógł ją zlekceważyć. Jutro porozmawiają. Deszcz czy upał, jutro

skończy wreszcie z tą ciszą przed burzą. Jeszcze tylko jedna noc milczenia, a potem nastąpi oberwanie chmury, pęknie nareszcie ten kłębiasty balon skrywanych uczuć i tłamszonych w sobie wyznań. Przyjdzie pora na oczyszczającą spowiedź, na życiodajne strugi słów. „Jutro. Jutro... – obiecał sobie, na pół świadomie, na pół trwożliwie, oddalając jeszcze na jedną noc chwilę uwolnienia żywiołu. – Jutro zerwiemy tę tamę, przez którą jesteśmy jak dwa brzegi wyschniętej rzeki. Woda nas połączy albo rozdzieli. Ale to jutro... dopiero jutro”.

Jego cień podążał za nim jakby z pewnym ociąganiem. Może dlatego, że zawzięcie dyskutował z każdym innym mijanym przez nich cieniem, z każdym najdrobniejszym fragmentem ciemności, z każdą plamą szarości na ich drodze. Dzisiejszego poranka cała ta kryjąca się zwykle po kątach szajka, całe to cieniste towarzystwo wykukiwało zaintrygowane i ciekawe najświeższych wiadomości; ktoś wychylał się zza rogu korytarza, coś wysuwało się spod komody stojącej przy ścianie, jakiś półcień przyczaił się pod krzesłem, nawet zza ramy portretu przodka zerkało na niego jakieś podłużne ciemne oczko.

Ale Ken nie miał ochoty ani nastroju, by dyskutować z własnym cieniem.

Zawahał się przy drzwiach do pastelowego pokoju, ale poszedł dalej i najpierw zajrzał do Kitty. Spała na brzuszku, a mała łapka zaciśnięta w piąstkę leżała tuż obok policzka, na którym zauważył resztki jej mlecznej diety. Widać jego córka już jadła i teraz ucięła sobie poranną drzemkę; w jej zwyczajach od wczoraj nic się nie zmieniło – sješta zaczynała się zawsze po jedzeniu, bez względu na porę dnia czy nocy.

Musnął zaciśnięte paluszki, poprawił kocyk, a gdy spojrzął na wiszącego przy łóżeczku pajacyka, odruchowo pociągnął za sznurek. „Nie przejmuj się” – wzruszenie ramion, „daj sobie spokój z lękami” – przekrzywiona głowa dotyka drewnianego łokcia, „jutro będzie lepiej” – szeroki, nieblednący uśmiech. Kenneth westchnął. „Już jest jutro, mój mały. Wczorajsze jutro to właśnie dzisiaj, ale nie łam sobie tym drewnianej głowy...” – puścił sznurek, pajacyk smętnie zwiesił ręce i nogi.

Zapukał. Czuł się trochę dziwnie, pukając rankiem do pokoju własnej żony, tym bardziej że nikt nie odpowiadał. „Może zasnęła? Nakarmiła Kitty i postanowiła jeszcze trochę poleniuchować w łóżku”. Nacisnął klamkę. W końcu nie pierwszy raz zakradał się tutaj w trakcie jej snu. A jeżeli nie śpi...? Przecież

chciał porozmawiać, więc równie dobrze może to zrobić teraz, zaraz.

Pokój był pusty. Tknięty złym przeczuciem zajrzał do komody – ubrania leżały w idealnym porządku. Chyba niczego nie brakowało. Odetchnął z ulgą.

„Ale gdzie jest Julia?”

Rozejrzał się wokół, jakby podejrzewał, że dziewczyna po prostu gdzieś się schowała. Może wyszła na chwilę i zaraz wróci? Ruszył do drzwi. Wyrzwał na korytarz i stanął niezdecydowany w progu.

„Gdzie ona jest, do diabła!”

Nie wiedział, czy ma tu poczekać, czy zacząć jej szukać?

„Może zeszła do kuchni?”

Nie zdając sobie z tego sprawy, już szedł w stronę schodów. Pojawiła się niejasna, niewyraźna myśl. Jej wczorajsze zachowanie... Powróciło złe przeczucie. Przypieszył kroku. Prawie zbiegł ze schodów i lekko zdyszany wpadł do kuchni.

– Julio...? – Owionął go aromat świeżo zaparzonej kawy i dopiero co wyjętych z pieca bułeczek. Przy stole siedziała Katarzyna. Sama. Gospodyni spojrzała na Kena bez zwykłego powitalnego uśmiechu. Przed nią na blacie leżała jakaś koperta.

– To do ciebie. Już tu leżała, gdy przyszedłem.

Ken sięgnął po kopertę. Katarzyna przyglądała mu się, jakby trzymał w dłoni odbezpieczoną bombę. Doskonale ją rozumiał. Wyciągnął złożoną kartkę. Spojrzał na podpis, przygryzł wargę. Litery skakały po papierze. Szybko przebiegł po nich wzrokiem. To, co udało mu się przeczytać, wystarczyło. Julia wyjechała. Odeszła. Zostawiła go! W geście protestu, bezsilnej złości, zmiął list i rzucił go na podłogę.

– O co chodzi? Co tam było? To od Julii? – Zerwała się z taboretu i podniosła białą kulkę.

– Sama zobacz. To też do ciebie – stwierdził krótko i wyszedł.

– Do mnie...? – Kobieta rozpostarła wygnieciony papier i przytrzymując go

po bokach dłońmi, zaczęła czytać. Gdy skończyła, zamyśliła się głęboko. Nie wszystko w liście Julii było dla niej zrozumiałe, ale czuła, że musi iść za Kennethem. „Ten nieznośny chłopak na pewno wszystko przekręcił i dopatrył się w tych kilku zdaniach wyłącznie najgorszego”. Starannie złożyła papier i schowała go do kieszeni fartucha.

Znalazła Kena w salonie. Palił papierosa i właśnie nalewał sobie whisky.

– Po pierwsze zgaś to świństwo, a po drugie przypominam ci, że jest siódma rano. Chyba nie masz zamiaru pić o tej porze?

– Jak najbardziej – wycedził. Długa spódnica zafalowała wokół Katarzyny, gdy podeszła do niego i zdecydowanie wyjęła mu z dłoni szklanę.

– Zgaś to! – Wzruszył ramionami, ale posłuchał. Zawartość szklaneczki wylała z powrotem do butelki, nie roniąc przy tym ani kropli.

– Nic nie może się zmarnować, co? – zadrwił, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jemu samemu tak drżą ręce, iż miał kłopot nawet z utrzymaniem szklanki. Wcisnął dłonie do kieszeni spodni. Katarzyna zakręciła butelkę, odstawiła ją na miejsce i zamknęła barek.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie, chłopcze – zaczęła, patrząc na niego surowo. – Ona wróci.

– Co ty powiesz?

– Przecież to napisała, wyraźnie.

– Nie napisała tylko, kiedy wróci, prawda? Ona odeszła, rozumiesz?! Zostawiła nas, porzuciła... I ciebie, i mnie, ten cholerny dom, nawet Kitty. Myślałem, że ona... ale widać się pomyliłem. Nic ją nie obchodzimy! A ja jak zwykle znowu wyszedłem na głupca.

– Masz rację! Na zupełnego idiotę! – krzyknęła rozwścieczona Katarzyna. – Czy ty chociaż dokładnie przeczytałeś ten list? Może nie wszystko w nim jest dla mnie jasne, ale akurat to co trzeba zrozumiałam doskonale. Pisze, że musi wyjechać, ale że niedługo wróci. Niedługo! – podkreśliła, na co Ken znowu tylko wzruszył ramionami, burcząc: „Akurat!”. – Prosi mnie również – kontynuowała niezrażona, choć coraz bardziej poirytowana Katarzyna – żebym zaopiekowała się

Kitty, co uczynię z przyjemnością, i żebym dawała małej tę mieszankę, którą już wcześniej dostała parę razy. Twierdzi, że na pewno sobie poradzę, no bo niby czemu miałabym sobie nie poradzić – mruknęła pod nosem – i zapewnia, że wróci jak najszybciej. Słyszysz? Jak najszybciej! Ona może być tu z powrotem lada chwila, za parę godzin, najpóźniej jutro... – Położyła dłoń na ramieniu Kena i lekko nim potrząsnęła. – Słyszysz?! Może już wraca...

– A może nie? Może wróci za parę godzin, może za parę dni, a może wcale?
– Spojrzał twardo w twarz stojącej przed nim kobiety. – Nie wierzę jej. Zostawiła nas, choć nie miała do tego prawa. Nie wolno jej było mnie zostawić, nie teraz, gdy...

– Wiesz co, Cristobalu? – Głos Katarzyny był podejrzanie cichy i spokojny.
– Ty jesteś naprawdę głupi. To wręcz niewiarygodne, jak bardzo. I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby twoja biedna żona, zdesperowana aż takim skretynieniem, zostawiła cię na zawsze. Ciebie, ale nie Kitty! Zastanów się i puknij w czoło, rusz wreszcie tą swoją tępą mózgowicą!

– Zastanawiam się i ruszam, ale pukanie sobie daruję... Już i tak głowa boli mnie dostatecznie mocno – burknął na równi zły i rozbawiony.

Katarzyna sobie nie darowała: nie dość, że kretyn, to jeszcze Cristobal, ale czuł, jak powoli opadają z niego napięcie i złość. Chociaż nie, to nie była złość. Powinien się w końcu nauczyć dobrze rozpoznawać to uczucie. Strach, przeraźliwy lęk, że straci Julię – to czuł od chwili, gdy zniknęła. I zareagował automatycznie, tak jak kiedyś: zaatakował, wyładowując swoją frustrację i obawę na nieobecnej żonie.

Powrócił do starych błędów. Ogromnie rozjuszył tym Katarzynę i zawiódł samego siebie. Chciał zaufania, prosił o nie, a sam...? Miał wrażenie, jakby właśnie dostał pierwsze i ostatnie ostrzeżenie od losu. Dopiero się uczył, jak trudno jest kochać, jak trudno ufać... Gdy przyszło do pierwszej lekcji cierpliwości, do pierwszego sprawdzianu z zaufania, to niewiele brakowało, by go nie zaliczył. Na szczęście pojawił się błysk zrozumienia; wystarczyła jedna mała iskierka rozsądku, żeby rozwiać mgłę gniewu i strachu.

Nareszcie mógł spojrzeć na wyjazd Julii z właściwej perspektywy. Katarzyna miała rację: Julia nie zostawiłaby Kitty. Trafniejszym pytaniem było nie „czy”, ale „kiedy” wróci, i dlaczego w ogóle wyjechała. Musiała mieć naprawdę ważny powód. Tu również jego gospodyni się nie pomyliła; Julia nie zostawiłaby

Kitty na długo, ot tak sobie. Teraz, gdy trochę ochłonął, sam zdał sobie sprawę, że nawet kilka godzin bez córki stanowi dla niej rozłąkę. Więc dlaczego wyjechała?

– Czy ty mnie słuchasz? Kenneth?! Nie mam pojęcia, co ci się w tej twojej głowie roi, ale wiem jedno: Julia wróci. A dlaczego wyjechała? Oczekuję, że właśnie ty mi to wyjaśnisz. O co jej chodziło, gdy pisała, że musi wrócić do początku, do dnia, w którym się to wszystko zaczęło? Nie rozumiem. Że niby co...? Musi wrócić do miejsca, gdzie się urodziła? Gdzie spędziła dzieciństwo? – Katarzyna pokręciła głową i sapnęła niedowierzająco. – Czy ona pojechała do stryja? Ale po co? W końcu wyjechał stąd jakiś miesiąc temu. Już się stęskniła? Przecież mogła zatelefonować. Nic z tego nie rozumiem. A ty? Kenneth, wiesz, co ona... Gdzie ty idziesz?!

– Wracam do kuchni. Po list – dodał z niechętną nutą usprawiedliwienia w głosie. – Muszę jeszcze raz dokładnie go przeczytać – wyjaśnił osłupiałej Katarzynie.

– Chcesz powiedzieć, że tego nie zrobiłeś? Zmiałeś go i wyrzuciłeś, wcale nie czytając?! A potem miotasz się i oskarżasz...

– Idę – przerwał jej zniecierpliwiony.

– Daruj sobie. Mam go tutaj. – Poklepała się po kieszeni fartucha. – Domyśliłam się, że pewnie niezbyt dokładnie...

– Daj mi go. – Wyciągnął rękę.

– Daj, daj... A co ja jestem, biuro rzeczy znalezionych czy co?

– Katarzyno! To ważne. Przestań się bocyć.

– A kto się bocy?! Masz. – Podała mu wygniecioną kartkę.

Teraz czytał uważnie, każde zdanie po kilka razy. Starał się znaleźć prawdziwe znaczenie każdego słowa, każdej pustej linijki między wierszami. Skoro to było takie istotne dla Julii, on także musi to odkryć. Trop, ślad, wspomnienia... Coś zajaśniało, mignęło na granicy pamięci. Co to było? Początek... Dzień, w którym wszystko się zaczęło... Co mogła mieć na myśli?

– A już w ogóle nie rozumiem, o co jej chodzi z tym waszym spotkaniem,

z tym szukaniem słów... To za mądre dla mnie, zupełnie bez sensu... – Zamachała rękami i choć patrzyła na niego wyczekująco, jej mina wskazywała, iż raczej wątpi, by akurat on okazał się dostatecznie mądry, aby znaleźć ten sens.

Powrócił do słów z początku listu. Prawie rozdarł kartkę, którą ścisnął zbyt mocno.

„Nasze spotkanie było takie nierealne i tak wiele zmieniło w moim życiu. Stałam się inna, wyparłam się dawnej siebie, ale teraz muszę połączyć obie Julie: tę dawną i tę, którą poznałeś. I jeszcze tę trzecią, która była lustrzanym odbiciem pierwszej, ale o rysach twarzy drugiej. Muszę znaleźć most między nimi i między nami. Bo który Ken jest prawdziwy? Która Julia? Może każde z nas składa się z wielu postaci, z wielu odsłon? Muszę odszukać je wszystkie i połączyć. Muszę cofnąć się do źródła, do pierwszego dnia, żeby zrozumieć, żeby uwierzyć, bo chcę uwierzyć! Bo chcę wrócić do was, do ciebie... i już zostać. Mogę mówić, Ken, znowu mogę mówić, ale muszę poszukać słów, które chcę ci powiedzieć”.

– No i co? Rozumiesz coś z tego? – Katarzyna naprawdę szczerze lubiła Julię, ale określenie „bełkot” wyraźnie cisnęło się jej na usta; miała je na końcu języka, prawie je usłyszał w napiętej ciszy, jaka zapadła.

– Myślę... – powiedział wolno po nieznośnie długiej chwili.

– To myśl szybciej – nakazała. – Julia ma jakiś problem i musimy się dowiedzieć, co to takiego. Ona gdzieś się tam błąka, a ty tu sobie myślisz.

Nasze spotkanie... pierwsza Julia, druga, trzecia. Początek, spotkanie...

– Wiem, gdzie ona jest – stwierdził nagle.

– No... – zachęciła go Katarzyna.

– Zajmij się Kitty. Jadę po nią.

– Po Julię? A może ona wcale nie chce, żebyś po nią jechał? – zasugerowała ostrożnie. – Może Julia... Ale gdzie ona jest?

– W parku.

– Zwariowałeś?! Wyjechała stąd ukradkiem, nikogo nie uprzedzając, tylko

po to, żeby przespacerować się po parku? Przecież tu też jest park, i to jaki! – W Katarzynie obudził się ni z tego, ni z owego lokalny patriotyzm.

– To jest specjalny park, Katarzyno. Bardzo specjalny... – Zamyślił się i spojrzął na ogród za oknem. Letni ranek zmienił się w jesienne popołudnie drzemiące leniwie wśród starych drzew, alejka w sadzie dziwnie przypominała pewną brukowaną, wąską uliczkę, a wyrwane chwasty, które zapomniane leżały przy ścieżce obok róż, zaszeleściły pod jego wzrokiem ciepłymi kolorami opadłych liści.

– A jeżeli Julia się mnie nie spodziewa, jeżeli ją zaskoczę, to będzie dokładnie tak samo jak wtedy, za pierwszym razem...

Oprzytomniał, słysząc wymowne chrząknięcie Katarzyny, która nie rozumiała już absolutnie niczego.

– Przywiozę ją. Jeszcze dzisiaj. Obiecuję.

– A tylko spróbuj jej nie przywieźć – zagroziła. – Tylko spróbuj...

Huśtawka była zardzewiała i skrzypiała bardziej niż trochę. Ale jej to nie przeszkadzało. Ten monotony, zgrzytliwy dźwięk nie kłócił się z jej nostalgicznym nastrojem, wręcz przeciwnie – wprowadzał ją w rodzaj hipnotycznego transu; dzięki niemu jej podświadomość będzie mogła udzielić lub przynajmniej poszukać odpowiedzi, po które tu przyjechała.

Stryj się zdziwił, kiedy ją zobaczył. Zajrzała do niego tylko na chwilę, ale oczywiście nie obeszło się bez lunchu. Anna zaserwowała jej herbatę z mlekiem (wedle jej słów najlepszy napój dla karmiących matek) i placek domowego wypieku. By nie urazić gospodyni stryja, Julia musiała też odpowiednio długo i głośno zachwycać się kociętami, które powiększyły ostatnio panoszącą się już w całym domu i ogródku liczną kocią rodzinę. No i oczywiście nie obyło się bez wyjaśnień. Fakt, że może mówić niespecjalnie zainteresował stryja, albo dobrze to ukrywał, ale skąd się Julia tu wzięła, i to bez zapowiedzi – owszem. Musiała długo uspokajać zarówno stryja, jak i Annę, nawet ocierające się o jej nogi koty, że nic się nie stało, że z nią i Kitty wszystko dobrze, a ona po prostu przyjechała z krótką wizytą. Dla spokoju ducha stryja gotowa była skłamać, że wezwały ją interesy, na przykład związane z galerią albo ze sprzedażą jej mieszkania...

MacAlister w pewnym momencie przyjrzał się Julii uważniej i przestał pytać o cokolwiek. Stwierdził tylko, że dzisiaj nie ma wykładów, a i zamówionych wizyt jest stosunkowo niewiele, ona bezdyskusyjnie zostaje do jutra, bo nie ma mowy o nocnej jeździe, więc później będą mogli sobie spokojnie i szczerze porozmawiać. Zabrzmiało to bardzo fachowo, żeby nie powiedzieć „psychiatrycznie”; to terapeutyczne „porozmawiamy” wyraźnie ją prześladowało. Gdy do stryja przyszedł pierwszy pacjent, a Anna zajęła się obiadem, Julia, nie czekając dłużej, wymknęła się do parku.

Opustoszały plac zabaw ucieszył się z jej wizyty; musiał być bardzo samotny. Pewnie wszystkie okoliczne dzieciaki wyjechały na wakacje. A może tu już nie mieszkały żadne dzieci? Chyba nawet wnuki sąsiadów stryja, dwa jasnowłose brzdące, które zawsze latem, na zasadzie obustronnej umowy, podkrażały im z ogródka truskawki, nie wiedzieć kiedy dorosły i nie bawiły się już w piaskownicy. A jeszcze nie tak dawno temu ona udawała, że ich nie widzi, a oni, że nie mają pojęcia, skąd się wziął na ich niewinnie uśmiechniętych buziach czerwony, słodki sok.

Ale Julii nie przyciągnęła tu ani stara ulubiona huśtawka z dzieciństwa, ani wspomnienie zamków z piasku, jakie tu kiedyś budowała. Wróciła tu dla nieznajomego, dla intruza, który pewnego jesienno-go dnia zakłócił spokój tego miejsca; dla obcego, który swoimi gniewnymi pytaniami wypłoszył stąd ciszę, a ją samą napelnił nieznanym dotąd lękiem.

Huśtawka skrzypiała, ptaki niezrażone upałem nawoływały się hałaśliwie, wywołując wśród zakurzonych letnim pyłem liści śpiewny harmider. Właściwie wcale nie było tu tak cicho. To znaczy, jeżeli dźwięk kojarzyć z ludźmi, to panowała tu absolutna cisza; typowa wiejska cisza, która uszy mieszczaucha raniła tysiącem rozmaitych odgłosów. Pisklęta domagały się kolejnego robaka, ptasi rodzice przechwalali się swoimi nieopierzonymi pociechami, ich piskliwym apetytem i pięknym nowym gniazdem, które zbudowali na wiosnę. Samotny młody śpiewak wygwizdywał przeciągle hymn pochwalny na cześć słońca, lata i własnej niczym nieskrępowanej radości. Wróble wyklócały się o kawałek sznurka i ciepły jasny piasek, idealny do kąpieli. Gołębie przechadzały się parami, nie zwracając uwagi na plebejskie towarzystwo rozwrzeszczanych wróbli. Nad fioletowo-białym kwiatem koniczyny krążył kosmaty, tłusty trzmiel, który buczał jak wprawiony w ruch pasiasty dziecinny bąk. Wśród trawy niewidoczne świerszcze stroiły swoje skrzypce na wieczorny koncert. A pomiędzy jasnozielonymi liśćmi akacji i jej słodko pachnącymi białymi kwiatkami uwijały się pracowite pszczoły. Jedna z nich

akrobatycznym tańcem próbowała zachęcić swoje towarzyszki, by poleciały za nią – kwitnąca od niedawna aleja lip, którą odkryła, wciąż ją wabiła aromatyczną obietnicą, wciąż kusila obfitością żółtego nektaru.

Park nucił melodię, która wydała się Julii dziwnie znajoma. Słowa piosenki pełne smutku i nadziei były ciche, drżące, ale zrozumiała je i powtarzała za parkiem, za szelestem liści, ptasim szczebiotem, brzęczeniem pszczoł...

Smukła wiewiórka zsunęła się bezszelestnie z pnia kasztanowca rosnącego nieopodal placu zabaw. Stała na tylnych łapkach i objęła arystokratycznym spojrzeniem ssaka tę rozdokazywaną ptasio-owadzią społeczność. Wyglądała na nieco znudzoną, a może miała po prostu trochę wolnego czasu przed umówionym spotkaniem. Poprawiła rude futerko i owinęła się niczym etolą swoim puszystym ogonem, z którego była taka dumna. Skrzypnęła huśtawka. Ruda księżniczka z umiarkowanym zainteresowaniem zerknęła na Julię, która poczuła się trochę nieswojo, będąc obiektem tej wyniosłej, niechętniej obserwacji.

Miała wrażenie, że przechwyciła myśli poirytowanego zwierzątka: „Ta tutaj nie jest groźna, ale jest człowiekiem – topornym, hałaśliwym i brzydkim jak wszyscy pozostali. W ogóle ludzie to nie towarzystwo dla mnie. Pora się wynosić”. Kilka błyskawicznych susów zdumiało Julię. Ale po chwili wiewiórka przystanęła i obróciła się. Chyba przypomniała sobie, że przecież nie ma kogo się bać, a ta nieruchoma postać na huśtawce nie stanowi dostatecznego powodu do panicznej ucieczki. Gwałtownie poruszyła całym ciałem, co wyglądało jak wiewiórczy odpowiednik ludzkiego wzruszenia ramion. Potem spokojnie, bez poprzedniego pośpiechu, odbiegła w sobie tylko wiadomym kierunku. Może miała randkę z leszczyną? A może po prostu musiała przypilnować dojrzewających orzechów. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się jakiś inny, równie szlachetnie urodzony rudzielec...

To miejsce zawsze tak działało na Julię. W zetknięciu z beztroskim, a zarazem tak zabieganym i, pomimo pozornego bezładu natury, tak celowo, precyzyjnie uporządkowanym mikroświatem parku odpływały jej zwykłe, codzienne problemy. Chwila obecna zdawała się wiecznością, jedynym realnym punktem otaczającego ją kosmosu. Tylko że przyroda nigdy nie zrobiłaby takiego błędu, jaki popełnili ona i Ken. Teraźniejszość zamknięta w kuli ulotnego wrażenia, mgnienie czasu uwięzione w tęczowej bańce nigdy nie stanie się odizolowanym światem wyrwanym z kontekstu nieuchronnego przemijania.

Każdy dzień, każda sekunda nierozzerwalnie splatały się tu z odwiecznym

rytmem pór roku. Był czas na obietnicę wiosny, na rozleniwienie lata, nostalgię jesieni i sen zimy. To, co było, niezauważalnie i nieustępliwie przeradzało się w to, co będzie. Właśnie tego musiała się nauczyć – pojąć konieczność łączenia przeszłości z przyszłością. Musiała zrozumieć pokorę najdrobniejszego źdźbła trawy wobec władzy upływającego czasu i nadzieję zawartą w najmniejszym nasionku, które bez obaw czeka na swój wschód słońca.

Ile czasu potrzeba, by zrozumieć, że jest się tylko fragmentem odwiecznego wzoru? Nieznaczną linią w cudownym splocie magicznego kobierca, który wciąż się zmienia, pozostając przy tym zawsze taki sam?

Kochała go. Ich nitki sploty się i poplątały. Potrzebowała spokoju i ciszy tego miejsca, by zrozumieć, że nie da się ich rozdzielić, nie niszcząc przy tym życionośnej przędzy. Mały supełek był niczym wobec zerwania kolorowych nici przeznaczenia.

Kochała go. Czulość jego gniewu, ciepło milczenia i troskliwość wymyślonej kary. Węzeł sprzeczności. Supeł niezrozumienia i błąd nieufności. To wszystko stanowiło wzór miłości, którą odnalazła. Gdy go spotkała, miał w sobie niezasklepione rany wspomnień. Niósł w sobie ból dawnych złości i buntów, tak jak ona ciągnęła za sobą całe tony nieśmiałości i kompleksów, ciężar odrzucenia i zadrę pierwszego dziewczęcego upokorzenia.

Dał jej miłość, tylko nie umiała jej dostrzec ani w zranionych słowach, ani w przykrytej plastrem milczenia rozpacz. Bandaż gniewu, antybiotyk ironii – nie pomogły na chorobę, która go dręczyła. To ona była tym tajemniczym wirusem, z którym jego system obronny nie umiał sobie poradzić.

Kochała go, zarażona tym samym bakcylem miłosnej gorączki. Kochała go, wierzyła mu i wcale nie chciała wyzdrowieć.

Zabłądził. Znowu. „Gdzie jest ten cholerny park?!”. Wąskie uliczki wyglądały identycznie. Był tu już przecież dwa... nie, trzy razy. No tak, ale za pierwszym razem, wściekły na Melisę, trafił tu zupełnie przez przypadek, za drugim myślał wyłącznie o czekającym go spotkaniu z Julią, a za trzecim nie zauważyłby parku, nawet gdyby ten klepnął go w ramię. Wciąż nie mógł sobie przypomnieć, jak wtedy znalazł się przed drzwiami MacAlistera. Kolejny przypadek? Raczej przeznaczenie... Dość wspomnień! Musi znaleźć Julię, bo

inaczej zwariuje.

Bruk na głównej ulicy powinien być większy, ale skąd miał, u diabła, wiedzieć czy kostka, po której akurat jechał, była drobna czy nie?

Znowu odnosił wrażenie, że jego mercedes stał się wehikułem czasu, który przeniósł go w dziewiętnasty wiek. Uczucie *déjà vu* pogłębiło się, gdy znowu pełen rozdrażnienia wypatrywał choćby jednego przechodnia, choćby jednej zjawy z przeszłości.

Park. Nareszcie. Dostrzegł siedzącą na huśtawce samotną postać. Pisk hamujących kół odezwał się w jego pamięci bliźniaczym hałasem zupełnie nie na miejscu. Szybkie, nerwowe kroki przeniosły go do odległego prawie o rok jesienno spotkania. Stał przed nią, jego cień witał się z jej cieniem. Uniosła głowę, prześlizgując się po nim tamtym, tak dobrze zapamiętanym, nieobecny spojrzeniem.

Dostrzegła długie nogi, dłoń wciśniętą w kieszeń spodni, rozpiętą kurtkę, pierś unoszoną szybkim oddechem, rękę przeczesującą włosy nerwowym gestem, twarz bez wyrazu, posiwiałe skronie... Posiwiałe? Kiedy...?

– Zabłądziłem. Czy może mi pani powiedzieć, jak się stąd wydostać?

Jej odpowiedź przerwała zaklętą pętlę czasu.

– Ja też zabłądziłam, ale teraz chcę wrócić do domu.

Wstała. Nie uciekła. Patrząc mu prosto w oczy, poprosiła:

– Zaprowadź mnie do domu, Ken.

Otworzył ramiona, wyciągnął ręce. Przytuliła się do niego. Była tylko jedna Julia, tylko jeden Ken. Była tylko jedna miłość, jeden dom – przy nim, przy niej.

– Tu jest twój dom, Julio.

– Wiem. Teraz już wiem.

EPILOG

Trzydzieści lat później, w dawnym czerwonym pokoju, obecnie przerobionym na małżeńską sypialnię państwa Praytonów; żadnej czerwieni, jedynie zieleń młodej trawy i stonowany błękit zmieszany z szarością. Dla niektórych mogło to stanowić dość niespotykane, niczym nie uzasadnione zestawienie kolorów, ale dla Julii i Kennetha skojarzenie było natychmiastowe – wystarczyło spojrzeć w oczy leżące obok w olbrzymim łóżku osoby.

– Przez ciebie moją ulubioną rośliną jest trawa, wiesz? – Ken przewrócił się na bok, twarzą do Julii. – Znowu mi się dzisiaj śniła. A tak w ogóle to dzień dobry. – Ucałował jasne włosy żony i przyciągnął ją do siebie. – Nie wiem, po co nam takie wielkie łóżko, albo zwyczajnie się marnuje, albo muszę cię w nim szukać.

– ...bry... – wymamrotała i wtuliła się w jego ciepłe ciało. – Aleś ty duży...! – wyszeptała z zachwytem i wysunęła usta, domagając się pocałunku.

– Wypraszam sobie! – Udał oburzenie, choć już o wiele trudniej przyszło mu udawać, że nie dostrzega jej zachęcającego uśmiechu. – W ciągu trzynastu lat przytyłem tylko cztery... – jej uśmiech się poszerzył – no dobrze, niech ci będzie, pięć i pół kilograma, ale ani grama więcej! I wszystko to są same mięśnie. – Usłyszał cichutki chichot i poczuł pieszczotliwe dotknięcie na brzuchu. – No, może nie same, ale... – Wstrzymał oddech, wciągnął brzuch, a ona najnormalniej w świecie go uszczypnęła. – Ach, ty! Ty złośliwy małpiszonie! Jeżeli uważasz, że jestem za gruby, to zaraz wstaję i idę biegać. – Wysunął nogę spod kołdry, jakby naprawdę miał zamiar wstać. – I nie będę jadł śniadania. Doceń moje poświęcenie, dla ciebie jestem gotów wyjść wprost z łóżka na śnieg i mróz, i jeszcze narazić się Katarzynie...

– Zamknij się i pocałuj mnie – zażądała, a on nie kazał się długo prosić. – Po pierwsze... trudno... w środku maja... o śnieg i mróz – szeptała między pocałunkami. – A po drugie... wcale nie chodziło mi o... twój brzuszek biznesmena. Zupełnie nie o to... – wymruczała uwodzicielsko.

– A o co? – zapytał niewinnie.

– A o to. – Jej ręka powędrowała trochę niżej.

– Ach, o to – bąknął lekceważąco. – To normalne u zdrowego mężczyzny.

Taka poranna przypadłość zdarza się dość często.

– Tobie zdarza się codziennie.

– A tobie się to podoba. I to jeszcze jak, w końcu to wszystko twoja wina!

– Aha, teraz to już nie żadna poranna przypadłość zdrowego mężczyzny, tylko moja wina... – Zaśmiała się. – No ale skoro tak, to muszę się chyba tym zająć. Jak myślisz?

– Ja już w ogóle nic nie myślę! – jęknął. Ręka Julii zdecydowanie przeszkadzała mu w myśleniu. – Katarzyna twierdzi, że nie jestem w tym najlepszy.

– W myśleniu może i nie... Za to w czym innym... – rozmarzyła się.

– Słuchaj, ty podstępna dręczycielko! Albo zaraz przystąpimy do działania, albo idę pod prysznic. Zimny! – zagroził.

Po półgodzinie razem wylądowali pod prysznicem i bynajmniej nie był on zimny. Łazienka, oczywiście błękitnozielona, posiadała niewielki dodatek czerni w postaci kominka, który jako jedyny ostał się z poprzedniego wystroju tego miejsca. Julia uznała, że dostatecznie przemawia do jej wyobraźni pomysł wysychania po kąpielu w ciepłe promieniującym z kominka, choćby czarnego. „Zwłaszcza po wspólnej kąpeli” – przytaknął Kenneth i kominek został.

– Umyj mi plecy, nie mogę sięgnąć – poprosił.

– To pewnie przez te mięśnie. – Roześmiała się. – No już, już, bez obrazy... Dawaj mydło. A swoją drogą nie musisz szukać pretekstów. Pięć i pół kilograma w tę czy w tamtą nie robi mi różnicy, lubię cię dotykać. – Przesunęła dłonią po szerokich plecach męża. – No, no, całkiem niezłe te kilogramy. Pamiętasz, że dzisiaj mamy specjalny dzień? – zapytała, namydlając ręce.

– Yhm... Chociaż dla mnie od trzynastu lat każdy dzień jest specjalny. – Odwrócił się i przytulił ją do siebie; zapomniane mydło upadło na posadzkę. – Czy mówiłem ci już dzisiaj, jak bardzo cię kocham?

– Cóż... jeżeli nowy dzień liczy się od północy, to chyba z pięć razy. – Spuściła skromnie głowę i zamrugła powiekami jak nieśmiała panienka.

– A ty...?

– Co ja?

– Ty się coś dzisiaj lenisz. Czy mam to z ciebie wyciągnąć siłą? – Przycisnął ją do ściany i unieruchomił jej biodra swoimi.

– Kocham cię, kocham cię, kocham... kocham... – Głos Julii coraz bardziej gardłowy, coraz bardziej zmysłowy cichł z wolna.

– Słyszę, że nadrabiasz zaległości. A co do tej siły, to mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu... – Delikatnie ugryzł ją w ramię.

Niewyraźny jęk nie zabrzmiał jak protest.

Po kolejnej półgodzinie usiedli przed kominkiem, by wyschnąć w ciepłe ognia.

– Ciekawe, czy Kitty już wstała?

– Żartujesz? W dzień swoich urodzin?! Założę się, że w ogóle się nie kładła.
– Kenneth dobrze znał swoją córkę. – Pewnie już siedzi na tym swoim drzewie i ma nadzieję, że nie każemy jej stamtąd schodzić.

– Przesadzasz, mój drogi. Może Kitty nie przepada za gośćmi, ale jak każde dziecko uwielbia prezenty.

– Chciałaś powiedzieć, jak każda kobieta – parsknął. – Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam mówić do niej Kit. Nie mam pojęcia, skąd jej się biorą te zwariowane pomysły! Może zachowywać się jak chłopiec, ale dla mnie na zawsze pozostanie moją małą dziewczynką.

– Ach, ci ojcowie... – Julia ciężko westchnęła. – Ken, ona dawno temu przestała być twoją małą dziewczynką. Nasz mały filozof przestał filozofować z chwilą, gdy nauczył się chodzić. Od dnia, w którym sama zaczęła sobie wybierać ubrania, nie widziałam, żeby założyła spódniczkę, nie mówiąc już o sukience. Chciałam ci również przypomnieć, że pierwszym wyraźnie przez nią

wypowiedzianym słowem, oprócz oczywiście mama, tata, było...

– Kochanie, wcale nie musisz mi przypominać, że nasza córka klnie jak szewc.

– I jest najlepsza w pluciu na odległość.

– W czym?! – Mina Kena wskazywała, że tego się jednak nie spodziewał, nawet po Kit Prayton.

– W pluciu na odległość... – zaszemrała cichutko Julia. – Dostałam na ten temat list ze szkoły.

– Na temat tego, że jest najlepsza?

– Nie, na temat plucia w szkole w ogóle. O rankingu nie pisali; dowiedziałam się tego bezpośrednio od zdobywczyni zaszczytnego pierwszego miejsca. – Julia wzruszyła ramionami. – Wystarczyło ją trochę przydusić, a sama się pochwaliła.

Ken przeczesał palcami wilgotne włosy.

– Czy mam z nią porozmawiać? – zapytał, choć widać było wyraźnie, że się do tego nie pali. Julia pokręciła głową i uśmiechnęła się wyrozumiale. – Wiem, wiem. Jestem za miękki wobec niej, ale ja po prostu wciąż mam przed oczami... – Spojrzał w ogień i zamyślił się. – Wciąż widzę w niej tę maleńką, słodką istotkę, jaką zobaczyłem przez szybę na oddziale noworodków. – Uśmiechnął się do odległego o trzynaście lat wspomnienia. – Dla mnie zawsze będzie właśnie taka.

Julia znowu ciężko westchnęła.

– Tylko ona już nie jest ani tak maleńka, ani tak słodka jak kiedyś. Jest za to upartą, nieznośną nastolatką, która bunt ma we krwi. Czasami zastanawiam się w kogo ona się właściwie wrodziła.

– Hm...?

– No, bo nie we mnie! Ja byłam bardzo grzeczną dziewczynką. – Teraz oboje ciężko westchnęli i pokręcili bezradnie głowami.

– W Sunny – stwierdzili jednocześnie i kategorycznie, i wybuchnęli śmiechem.

Kitty, a raczej Kit, bo tak się ostatnio kazała nazywać, siedziała w swoim domku na drzewie i miała nadzieję, że nie będzie musiała stąd schodzić aż do wieczora.

– Nienawidzę gości, nienawidzę przyjęć, nienawidzę urodzin – mruzczała po nosem. – Jak ty wyrosłaś, Kitty?! Jaka z ciebie ładna dziewczynka! A co tam w szkole? Masz już chłopca? Fuj! – Wzdrygnęła się. – Obrzydlistwo, zwyczajne obrzydlistwo! Nie cierpię tego... Cholera, jak ja tego nie cierpię!

„Co prawda będą prezenty... – zastanowiła się. – Dużo gości – dużo prezentów. No i Katarzyna obiecała, że upiecze tort migdałowy. Pycha! – Oblizwała się z lubością. – Poza tym – rozmyślała dalej – przyjedzie ciocia Sunny”.

Sunny, jej matka chrzestna i najlepsza przyjaciółka, oczywiście zaraz po mamie.

Mogłoby wydawać się dziwne, że za najlepsze przyjaciółki uważała dwie dorosłe kobiety, gdyby nie fakt, że Kitty niespecjalnie lubiła dziewczęta w swoim wieku. Uważała, że są głupie, naiwne i ciągle chichoczą zupełnie bez powodu. Zdecydowanie bardziej wolała towarzystwo chłopców, w każdym razie do czasu aż jej nie zdenerwowali. A co tu dużo mówić, Kit dość łatwo było zdenerwować.

Kiedyś, gdy po którejś z kolejnych bójek, w jakie się bezustannie wdawała, musiała za karę zostać po lekcjach w szkole, podsłuchiwała rozmowę dwóch nauczycielek. Jedna z nich stwierdziła, że Praytonówna jest typem samotnika, a druga roześmiała się i dodała, że takiego bardziej awanturującego się samotnika. „Ona jest jak młody wilczek, który musi na każdym wypróbować swoje zęby” – usłyszała i choć nie do końca zrozumiała, co pani miała na myśli, porównanie do wilka bardzo jej się spodobało.

Mimo swej porywczosci Kitty była lubiana; mogła nieskromnie powiedzieć, że zarówno chłopcy, jak i dziewczynki zabiegali o jej przyjaźń. Choć obawiano się jej humorów, zarazem ceniono za dowcip, bezkompromisowość i świetne pomysły na zabawę – przy Kit po prostu nie sposób się było nudzić.

Dziewczynka wróciła do pocieszających rozmyślań. „Chyba jednak nie wszyscy dorośli są wredni. Razem z Sunny przyjadą przecież wujkowie Ben i Mike; oni są naprawdę fajni”. Lubiła się z nimi przekomarzać i uwielbiała, gdy zwracali się do niej „proszę pani”, no i do tego zawsze przywozili góry prezentów.

„Na pewno przyjedzie też dziadek Clay. On jest taki śmieszny! – Zachichotała cicho. – Wygląda jak stary pomarszczony chochlik i opowiada takie zabawne historyjki. Kto jeszcze? Ach, na pewno przyjdą też ciocia Cara i wujek-doktor Adam”.

Jako zupełny brzdąc, dopiero uczący się mówić, Kitty miała duże trudności z prawidłowym wymawianiem imienia cioci Cary; choć się starała, zawsze zamiast „Claryssa” wychodziło jej „C...ar...a”, i tak już zostało. Ciocia Cara również była jej przyjaciółką, może nie tak bliską jak mama czy Sunny, za to jak nikt inny umiała odgadywać najróżniejsze pragnienia Kit. Czy chodziło o procę, książkę lub żółwia – prezent od niej zawsze był spełnieniem skrytego marzenia dziewczynki.

Natomiast wujek-doktor Adam, jak go nazywała, wydawał się postacią dość tajemniczą. Ona sama nawet go lubiła i mama zawsze witała go z radością; podobno to właśnie on uratował im życie, więc chyba był powód, aby go lubić, jednak tata jakoś za nim nie przepadał. A gdy go kiedyś zapytała dlaczego, coś tam burknął i zaczerwienił się. Kitty sądziła, że to ze złości, ale mama wybuchnęła wtedy głośnym śmiechem i powiedziała: „Uwielbiam, kiedy jesteś zazdrosny”. Tata zazdrosny...? O mamę? Z powodu wujka-doktora?! Wszystko to było bardzo dziwne. Skonsternowana tym wspomnieniem Kit przygryzła wargę i bezmyślnie podrapała się po łydce pogryzionej przez komary.

Smukła, choć niewysoka, szybka i zwinna jak małpka, bystra, sprytna i zawzięta, o ciętym języku, zadartym nosie i rudych, niesfornych lokach, chyba rzeczywiście Kitty najbardziej była podobna do swojej „ciotki” Sunny – zarówno z wyglądu, jak i charakteru. Tylko oczy koloru młodej trawy, smagłą cerę latynoski oraz dziwny sentyment do parków odziedziczyła po rodzicach.

Inne utwory Joanny Łukowskiej:

„**Państwo Tamickie**” – zbiór opowiadań obyczajowych

„**Ulica Abrahama**” – powieść obyczajowa-historyczna

„**Wybory**” – zbiór opowiadań dla młodzieży

„**Kura pisząca. Tom 1: Ssaki ptaki i robaki**” – zbiór felietonów

„**Od pierwszego dotyku**” – zbiór opowiadań; romans, erotyka, obyczaj

„**Dreszcze**” – zbiór opowiadań; obyczaj, thriller, fantastyka

„**Pierwsza z rodu: Znajda**” – powieść fantasy

„**Z krainy kucyków**” – zbiorek opowiadań dla dzieci

Wszystkie tytuły dostępne są także w formie ebooków na stronie Oficyny wydawniczej RW2010 oraz w większości księgarni internetowych.

